

Nienasycenie. Część druga, Obłąd





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Dziękujemy panu Jackowi J. Hoffmanowi za sfinansowanie opracowania niniejszej publikacji.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

STANISŁAW IGNACY WITKIEWICZ

Nienasycenie

POWIEŚĆ

CZĘŚĆ DRUGA. OBŁĘD

*Poświęcone pamięci
Tadeusza Micińskiego*

SZKÓŁKA

Straszliwe czasy nastały dla Genezypa Kapena. Pocieszał się tylko tym, że takie same czasy nastały prawie dla wszystkich. Tak, tylko niektórzy, w tym ostatnim zdawało się podrygu, umieli jeszcze użyć uciekającego ogonka życia — na niego zawzięło się wszystko — i od zewnątrz, i od wewnątrz. I nie zdawał sobie z tego sprawy ten bałwan, że tkwi w samym „złotym” jądrze szczęścia (złotym w znaczeniu zorzy jesiennej nieba, żółtkłego listka osiki w słońcu, połysku doskonałego w swej formie żuka), (bo jak śpiewał czasem myjąc się marchese Stampi:

„jeśli cię nic nie swędzi i nie zanadto boli,
nie miej pretensji żadnej do najsroźszej doli”.)

w środku pestki „źrałej”, pękającej doskonałością barw jagody na tle krystalicznego błękitu przestrzeni, jagody, którą inni może tylko z lekka oblizywali, a którą on żarł od środka jak tłusty robak, raczej gąsienica, z której miał powstać mieniący się wszystkimi kolorami motyl. Ale czy powstanie? Oto pytanie. „Ja, wybierając los mój, wybrałem szaleństwo” — mógł powiedzieć z Micińskim. A do tego jeszcze wszystko przysiężone w jedną, precyzyjną w swej celowości maszynę, pchało go ku temu szaleństwu systematycznie, nieprzeparcie. Jak takie „*psychopatisch angehauchtes Individuum*” „*tombera dans un pareil engrenage*” to „*wsio propalo*”. Ale tłumacze to wszystko takiemu durniowi. Młodość — któż zdoła wyrazić urok tej istności, która tylko we wspomnieniu jest tak piękna, jak mogłaby być w aktualności swej, gdyby nie związana z nią, na prawie husserlowski „*Wesenszusammenhang*”, głupota.

Informacja: Kraj zamienił się w jedną olbrzymią poczekalnię, o tak szalonym napięciu potencjałów czekania, jakiego w historii dotąd nie notowano. Może zaledwie żydzy czekali tak Mesjasza, jak u nas wszyscy nie wiadomo czego. Prócz zmechanizowanej do idiotyzmu pracy każdego obywatela w jego krążku działania, głównym zajęciem było tak zwane „oczekiwanie samo w sobie” — „*die Erwartung an und für sich*”. Nawet Syndykat Zbawienia Narodowego — (raz na zawsze S. Z. N.) („Stowarzyszenie Zająców Najtchórzliwszych” — jak mówiły cienie dawnych komunistów) funkcjonował automatycznie w niepojęty sposób, zdając wszystko ze strachu przed odpowiedzialnością, na przyszłe, niewiadome czyny Kocmołuchowicza. Ten zaś, tajemniczy jak nigdy, (nikt nie wiedział, po czyjej jest stronie, i nikt nie śmiał tego badać) — walił całą swą niesamowitą energię w organizację armii, przygotowując ją do nieprzezwycięzalnych dla nikogo czynów. Kogo zechce, czy raczej *kogo raczy* wyróżnić, nie wiedział nikt, ani on sam — był zarówno tajemniczym dla siebie, jak i dla innych — a może więcej — w tym była jego siła. Nie wiedzieć czego się chce było w tych czasach wszechwiedzy i wybujałej introspekcji trudniejszą rzeczą niż wiedzieć.

Moskwa była zdobyta. Między Polską a chińską nawałą znajdował się pas „buforowych”, czy „butaforskich” Wielkich Księżstw: litewskiego, białoruskiego i ukraińskiego, w których panował chaos nieopisany i zupełnie nieciekawym. Wiadomo, jak taki chaos wygląda — (ciekawym jest tylko dla tych, co w nim są — z boku nie przedstawia żadnych punktów zainteresowania — prócz tego, „co się z niego wyłoni”, a o tym znowu nigdy nic zawczasu powiedzieć nie można). — A więc: a) tak zwane przeciąganie wzajemnie różniących się band przez różne punkty, b) problem, jakie należy mieć

danego dnia przekonania w danym punkcie i c) kwestia żarcia — oto wszystko. Reszta: stosunki płciowe, metafizyka i klimat pozostają niezmiennione. Opowiadania o tym na gębę i piórem nudne są aż do rzygania włącznie. Wszyscy Wielcy Książęta (nawet Nikifor Białosielski, Kijowski), znajdowali się już w Polsce i lizali od rana do nocy stopy S.-Z.-E.-nu, robiącemu pod siebie w przerażeniu najwyższym. Zdarzały się odstępstwa w nieokreślonej sferze programowej „*Erwartungspolitik*”. Próbowano nawet założyć stronnictwo „Oczekiwaczy Czystych”. Ale Kocmołuchowicz szybko zlikwidował tę sprawę: nie lubił rzeczy nieokreślonych — robiły mu konkurencję. Z zalanej przez Chińczyków Rumunii nie dochodziły żadne wieści. Mniejsza z tym. Dalej nie posuwały się te żółte małpy, jak mówiono prawie ze złością. Nie wiadano, że ten stan rzeczy miał trwać o wiele dłużej niż przypuszczano. Właściwie w całym kraju jedynie dobrze czuł się Kocmołuchowicz — (to było bezsprzecznie jego *peribelium*) — i może jego najbliższe otoczenie — chociaż troszeczkę gorzej. Znając jego nieustraszoną odwagę nikt nie mógł go posądzić o osobiste tchórzostwo, ale mimo to, w niektórych kołach „pobrzękiwaczy szabelką”, szeptano głucho w dzikim strachu, że powinien by tak jednak natrzeć pierwszy, zanim Chińczycy zdołają zorganizować na swój sposób Rosję. Tymczasem działy się dziwne rzeczy w tej jedynej na kuli ziemskiej krainie niespodzianek. Na skutek „wszechludzkiego” zakazu używania na wojnie gazów i aeroplanów — (pierwsze w postaci tak zwanych „gazów psychicznych” używane były w walkach wewnętrznych, drugie jedynie jako środek komunikacyjny), który wydała wszechwładna Liga Obrony Racjonalnej Wojny (z siedzibą w Caracas w Wenezueli, i którego trzymali się z absolutną ścisłością nawet Chińczycy (ci, dzięki Konfucjuszowi, jedyni dżentelmeni na naszej planecie) przemysł chemiczny i lotniczy znajdował się w zupełnym zastoju, ćwiczone u nas właściwie tylko piechotę, i kawaleria, — macierzysta broń generał-kwatermistrza, — nawet ona była z lekka zaniedbana. Armię automatyzowano z wzrastającym ciśnieniem na wszystkich piętrach. Paradne marsze zajęły prawie połowę czasu, który dawniej poświęcano ćwiczeniom taktycznym. Przypominały się carskie czasy w rosyjskiej gwardii. Liczba oficerów wzrosła niepomniernie — już na pięciu żołnierzy wypadał jeden oficer, a tu ilość oficerskich szkół powiększono ciągle. Pacyfiści obliczali, że energia zużyta na samo salutowanie szła w miliony ergów na jeden dzień, tym bardziej, że jako zbyt lekceważący, zniesiono system dwupalcowy — salutowało się całą łapą, jak przystało. Defajdyści, jak z polska po francusku nazwano „*defaite'ystów*” przepelzali bokami jak gady, szepcząc jedynie sobie wzajemnie potworne wiadomości. Sejm nie funkcjonował, budżet nie był dokładnie znany nikomu. Zaczęto coś nawet przebąkiwać o „tajnej pożyczce chińskiej”. Ale redaktora gazety, który coś podobnego w przybliżeniu tylko napisał, rozstrzelano po bardzo krótkim procederze (dla przykładu) — (czy jest coś okropniejszego z punktu widzenia tego rozstrzelanego?) — i przebąkiwacze przestali przebąkiwać — jak makiem zasiał. Sytuacja była tak dziwna, że najstarsi ludzie łapali się za głowy — ale zaraz przestawali — bo właściwie po co? Ogólna miłość i zgoda przeszły nagle, w połowie kwietnia, w ogólną wzajemną nieufność z dawnych czasów. Potężny katalizator na Wschodzie dysocjował i jonizował nietrwałe, wybuchowe związki wewnętrzne swoim kolosalnym polem napięcia, które podobno dawało się odczuwać już w Niemczech. Czuło się, że są tu wplątane siły obce, ale gdzie był ich punkt zaczepienia, nie mógł dociec nikt, bo pewni ludzie umieli milczeć gorzej od ryb, a ci, co by chcieli czegoś się dowiedzieć, nie mogli — nie mieli egzekutywy tortur. Jak w ogóle tego rodzaju stany, stosunki, poglądy i instytucje mogły istnieć, wobec opasującego nasz biedny kraj pierścienia sowieckich republik, z wylotem na do niedawna białogwardyjską Rosję, nikt pojąć nie był w stanie. A z tymi, którzy okazywali skłonności do odgadnięcia tej zagadki postępowano tak, że najśmielsi tracili na ten widok dycht i kontenans. Bo to wiedzieli wszyscy: od 1 kwiet-

nia tortury były na porządku dziennym. Ale mówić o tym znaczyło tyle, co już być dawno storturowanym. Nauczyły się więc milczeć największe nawet zafajdane zwykle plotami gaduły i najbardziej śmierzzące, niemyte pyski — milczała nawet prasa.

Genezyp mało odczuł utratę swoich niedoszłych prawie bogactw, bo nie nauczył się ich jeszcze używać. Matka pocieszała się swobodą i szatańską wprost miłością, którą wzbudziła w czterdziestokilkoletnim, niezużytym przez kobiety Michalskim. Wydobywanie z tego bykodziałacza, dzikołaka i wdowca całych wagonów dziecięcych wprost uczuć i promieniowanie rozwartą w pełni kobiecością, na co już nadziei pod koniec nie miała, otworzyło jej dopiero oczy na świat, który z suchego wiórka zmienił się dla niej w jakąś tryskającą fontannę nieznanych barw, dotyków, zapachów, pojęć, spermy i rozpierającej radości — zagrała krew przodków: grafów de Kisfaludy-Szaràs, chociaż po kądzieli. Przy czym sama rozwijała się jakby w jakiejś diabelskiej wylęgarni. Wywleczono zapyłone wymyślności, których przed wiekami uczył ją jeszcze nieboszczyk-mąż — zza grobu rozwijał i kształcił teraz szczęśliwego kochanka. Doprowadzony do ostateczności Michalski postanowił się z nią żenić, ale ona nie mogła jeszcze powziąć w tym względzie ostatecznej decyzji. Finansowo pomagali trochę krewni, ale z niechęcią, bo dawniej też byli przeciwni małżeństwu dobrze urodzonej sieroty z „tym piwowarem”. „Jak spadać w tym kierunku, to już na samo dno” — mówiła sobie pani Kapenowa i coraz bardziej zżywała się z myślą połączenia swego losu na zawsze z buchającym energią buhajem, „królem pepeesowych kooperatyw”, jak nazywano jej ukochanego Józia. Jedynie Lilian buntowała się przeciw twardemu losowi. Utrata jaśniepańskości i związanego z nią ciągłego płaszczenia się „warstw niższych”, co napawało ją, jak to teraz dopiero pojęła, ciągłą, chroniczną przyjemnością, była ciężka. Ale i ona w niedługim czasie znalazła swoją własną rówienkę pochyłą dogodnego upadku, tylko bardziej interesującego niż proste, jednorazowe „durknięcie w dół” matki — zaczęła mianowicie grywać dziecinne role w teatryku Kwintofrona (tak zwanym „Kwintofronium”), gdzie umieścił ją, po przewyciężeniu pewnego oporu baronowej, zakochany w córce jej do zupełnego „ostierwienienia”, bujny i burzący się, i nie mieszczący się ciągle w sobie, Sturfan Abnol. Postanowił wychować małą Kapenównę na swoją żonę „nowego typu” — jak mawiał tajemniczo. Mieszkali w czterech pokoikach, w opuszczonym pałacu Gąsiorowskich na ulicy Retoryka — każdy wie, gdzie to jest.

W trzy dni po przybyciu do regionalnej stolicy K. = R. S. K., Zypcio wzięty został w kluby straszliwej dyscypliny oficerskiej szkoły typu C — najpiekielniejszej — za zmarszczkę na prześcieradle kara była do dwóch dni aresztu, zależnie od okoliczności ubocznych. Nazywano ich prowincjonalną gwardią kwatermistrza, popularnie — pegiekwakami. ON SAM stawał się w tych środowiskach postacią prawie że mityczną, mimo (to prawdziwy cud) aż nazbyt realnej swej egzystencji, objawiającej się w częstych wizytacjach, po których panika zdawała się pozostawać w budynkach w postaci jakiegoś prawie materialnego fluidu. Duch jego dosłownie obecny był na wszystkich lekcjach i ćwiczeniach — wolne od niego były zdaje się tylko ubikacje laksatywne, w których oddawanie honorów zostało wzbronione. Raz jednak zdarzyła się zabawna — z punktu wojskowego historia — oto kwatermistrz wpadł do jednej z takich salek, gdzie kołem stały uprzejmie zapraszające do wypróbnień instrumenty — wpadł, by przekonać się o tym, czy odpowiedni rozkaz jest szanowany. Było pełno. Nie wytrzymali przerażeni niedoświadczeni cywile — stanęli na baczność jak jeden mąż, nie bacząc na stadia czynności swych, w jakich się znajdowali. Wszyscy dostali po pięć dni kozy. „Lubię, jak wiara w portki przede mną sra — nie będą tego robić na froncie” — mawiał wódz, pusząc swe czarne, kozackie wąsiska. Ale na tle dawnego ojcowskiego terroru dyscyplina mało ciążyła młodemu „junkrowi” (jak nazywano też z rosyjska wychowanków szkół wojskowych) — przyzwyczaił się szybko do bezsensownych procedurów (zaczął nawet pojmować ich sens głęboki), a nawet stał się dla niego cały ten aparat miażdżenia i kształtowania na nowo, obcej armii, normalnej indywidualności doskonałym antidotum na ostatnie przeżycia — był właśnie warsztatem „beziemiennej siły” Tengiera. Z niesmakiem, nieomal z pogardą myślał teraz Genezyp o tej włochatej pokrace. Sztukę całą miał gdzieś i poniekąd słusznie — co komu z tego w takich czasach. A o ledwo zrodzonej metafizyce mowy nawet nie było — czas był wypchany aż do pęknięcia — życie szło z maszynową jednostajnością.

Pierwsze dwa tygodnie nie opuszczał embrion oficera ponurego gmachu szkoły, wznoszącego swą ceglasto-rudą masę na zboczach białych, wapiennych podmiejskich wzgórz — nie mógł się nauczyć prawidłowego oddawania honorów. Wieczorami, w *krótkie pół-godziny* wytchnienia przed obiadem, marzył o dalekim mieście i rodzinie, wpatrzony w buro-czerwoną lunę na horyzoncie, rozświetlaną czasem zielonymi odbłaskami tramwajowych iskier. „Dobrze ci tak — teraz masz” — powtarzał sobie. Rosła w nim siła, ale nie jako posłuszne celowe narzędzie, tylko jakby jakiś anarchistyczny eksplozyw, który nie chciał całkowicie zmagazynować się w wyznaczonych mu komorach — przelewało się to gdzieś w tajne, nieznane prymitywnemu introspekcjonście zaułki ducha i tam krzepło w coś złego, nastroszonego przeciw niemu samemu i życiu. Coraz częściej odczuwał pokłady nienazwanej obcości w sobie, ale na dłubanie w rzeczach tych nie miał czasu. Tak się to gromadziło, gromadziło — aż na koniec: „trach” i... ale o tym później. Było jedno: najgorszy objaw: tworzona siła obracała się przeciw jej twórcy. Obok, na marginesie duszy, zapisywała jakaś obca ręka tajemnicze znaki, które odczytać miał dopiero dużo później. Były to funkcje tłących się w podziemiach jaźni wspomnień tamtego przebudzenia się dziwności i tamtych przeklętych pierwszych dni życia na swobodzie. (Czy nie ostatnich?) Zdawało się, że otworzyła się i zaślśniła w zaświatowej jakiejś błyskawicy jaskinia pełna skarbów, dziwów i potworności, a potem zatrasnęły się wrzeczadze (konieczne wrzeczadze) i nie wiadomo było teraz, czy to nie był sen tylko. Jakże okropnie przedstawiało się teraz to pierwsze wejście w otchłań niewiadomego, co tak nęciła tajemniczym urokiem, różnobarwnością przyszłych zdarzeń, możliwością nasycenia nieuświadomionych apetytów — od najniższych do najwyższych. Apetyt umysłowy, zdławiony w zarodku w ten wieczór u Tengiera i w pustelni Bazylego, nie dawał znaku życia. Już niczego nie spodziewał się Genezyp po „literaturze”, która zawierała dla niego dawniej wszystkie możliwości i niespełnione uroki życia, to nasycenie ostateczne, którego w życiu być nie mogło. Zróżniczkowało się wszystko, rozprysło na tysiące nieskoordynowanych zagadnień: od tajemniczości Istnienia jako całości — do mrocznych głębin uczuć, które ząbowały się o stającą się rzeczywistość w sposób zastraszający i złowrogi. Dwoistość — były chłopczyk i obcy mu stający się oficer — dwie te istności bełtały się obok siebie, nie mieszając się nigdy w jedną osobowość. Więc *takim* miało być to wszystko? W tym słowie zawierało się piekielne rozczarowanie. Ale czuł się też winnym sam. Od tego dnia i nocy tej zależała cała przyszłość. I co z tego uczynił? Sięgnął brudną, chłopięcą łapką w otchłań tajemnicy i wyciągnął kupę krwawych flaków. A może naprawdę był to skarbiec i on sam, przez to nieumiejętne sięgnięcie, zmarnował wszystko i nigdy już nie wróci taka chwila, aby móc ten błąd naprawić.

W tym czasie Genezyp zaczął stawiać pierwsze kroki w nieistotnej dotychczas sferze przyjaźni. Toldzio był zdyskwalifikowany zupełnie. Inne pseudo-przyjaźnie z czasów szkolnych zapadły się w nieokreśloną, nieróżniczkowaną masę przeszłości jednocześnie ze zmianą warunków życia. W ogóle cały ten czas, zdający się kiedyś tak pełnym znaczenia i barwnych przeżyć, bladł coraz bardziej i zasnuwał się szarą zasłoną na tle nowych wypadków, które jak ostrza wbijały się w świadomość, wierząc niby artezyjskie studnie w niezbadanych dotąd, pustynnych krainach ducha, dobywając z tajemniczych głębin jak wędki coraz to nowe myśli-potwory głębinowe, coraz to ostrzejsze uświadomienie istoty rzeczywistości. Ale wszystko to było nie to i nie to... „Więc to taki jest ten świat” — w zdaniu tym mieściły się całe pokłady niewyraźalnych znaczeń, których ogólną formułą mogłoby być jakiegokolwiek twierdzenie, wyrażające przypadkowość w konieczności, dowolność każdego czynu na tle poczucia, że musi się być takim a nie innym w całości, w tym właśnie miejscu czasu i przestrzeni, ograniczonym niby absolutnymi prawami fizyki, a jednocześnie nieskończenie wolnym w teoretycznych choćby możliwościach, — wyrażające ogólnie kontyngencję na tle przyczynowości, obejmującą całe Istnienie wraz z niemożnością pomyślenia nie tylko Absolutnej Nicości, tego absolutnego nonsensu, ale nawet głupstwa tego rzędu, co na przykład przypuszczenie: „a co by było, gdyby mnie nie było wcale”, któremu, a nawet przypuszczeniu Nicości, logicznie nic zarzucić nie można. Prawo i bezprawie, i płynąca stąd względność, męczyły w wolnych od zajęć chwilach mózg tej oficerskiej protoplazmy. Oczywiście dla Kocmołuchowicza na przykład myśli takie byłyby nonsensem nie-do-zniesienia. Może w godzinę śmierci zaledwie zdobyłby się tego gatunku człowiek na potraktowanie serio tak wysokiego rzędu baliwerni. A iluż było już

wtedy młodych ludzi, którzy nie zdążyli (mimo pewnej inteligencji) zauważyć w sobie podobnych stanów podmyślowych, wydzielić ich jako coś odrębnego z codziennego tła zwierzęcej pospolicości. Każda upływająca chwila zdawała się już być pełną ostatecznego zrozumienia, czym jest to upragnione i wiecznie uciekające życie, a każda następna zadawała kłam tej ostateczności, przebijając nowe warstwy wewnętrzne i ukazując nowe sfery na zewnątrz, a wszystko na opak i nie tak jak trzeba. Nie oceniał Genezyp szczęścia tego okresu: męczył się ciąglą zmiennością i zwężaniem się pozornie nieogarnionych możliwości — już widział niewyraźnie klin, w który miał się zaklinować na zawsze: będzie (ogólnie) takim, a nie innym — jakim? — nie wiedział. Więc *takim* jest to życie, ciągle nieuchwytnie, wymykające się wykrętnie, kiedy już zdawało się, że się ma w rękę jego sam najskrytszy pepek czy ośrodek, z którego wszystko dałoby się automatycznie wywlec, wykręcić i wyżyć. Chodziło, mówiąc popularnie, o zasadę, z której logicznie każdy słuszny sposób reakcji na dane zjawisko można by wyprowadzić. Mimo tych wysiłków zdobycia jednolitego poglądu w sferze idealnej, zawodziły wszystkie drobne postanowienia realne, a ciągle niespodzianki zewnętrzne (oficerowie kursowi, koledzy, świat wojskowych pojęć i zwalana codziennie na głowę pakami całymi odpowiedzialność) i również niespodziewane, nie dające się absolutnie przewidzieć i opanować, reakcje wewnętrzne, napelniały Genezypa niesmakiem i wstrętem do samego siebie. Tracił nadzieję, że chaos ten kiedykolwiek da się w jakiś jednoznaczny sposób uporządkować i opanować. Ludzie, ci inni niepojęci ludzie — to był najjadowitszy problem, tak byli inni, że nie można sobie było wyobrazić możliwości porozumienia, mimo używania tych samych znaków o tych samych znaczeniach. Zypcio po raz pierwszy zaczął ze zdumieniem rozpoznawać różnorodność typów ludzkich. Dawny ojciec i „dawna” również księżna wydawali mu się teraz jedynie tworamii jego własnej wyobraźni — przekonał się, że ich wcale nie znał — tak — i nie pozna — bo z księżną postanowił nie widzieć się nigdy w życiu, a ojciec jak wiadomo umarł — otóż to właśnie: było to wiadomym, ale śmierć ta nie była śmiercią innych ludzi i możliwą jego własną — to była inna śmierć — niezupełna. Stary żył w nim i niepoznawalny już w rzeczywistości rozrastał się jako nowa przepoczwarzona, ekstrapolacyjnie poza polem doświadczenia wytworzona i oczywiście sfalszowana osobowość — urastał do rozmiarów wszechwładnego tytana. Jeśli wierzył Zypcio w życie przyszłe i duchy, to jedynie w stosunku do ojca. Możliwa jego śmierć własna stanowiąca zupełnie różną od śmierci innych ludzi „istność”, była też zróżniczkowana: jedna: śmierć ogólnie-daleka, symbol końca życia, której bał się czasem właśnie śmiertelnie, i ta druga, wesola, niebezpieczna, „sławna”, „śmierć walecznych”, po której zdawało się rozpoczynać nowe życie. Mimo pogardy dla sztuki i osobistego wstrętu, coraz bardziej tęsknił do wszechwiedzącego Tengiera — tylko żeby nie ta jego pokraczność i pocałunki — brrr...

Ciągła samotność wśród ludzi i poza zajęciami nawet, w największym gwarze, wytwarzała obłędne samozjadanie się w „myślach”. Nie były to związki określonych pojęć — raczej bezforemne obrazy, szkice i „obłomki” jakichś przyszłych koncepcji, znajdujących się w stanie załączkowym. Załączki te pelżyły koncentrycznie ku jakiemuś, na razie urojonemu centralnemu punktowi, co dawało pozory potencjalnej struktury całości, a nieukończoność systemu męczyła wprost okropnie — ale to strasznie. Tak by się chciało, aby tanim kosztem wszystko było takie doskonałe, uporządkowane, bez zarzutu — a tu nic: chaos, bezład, zamieszanie, kłótnia poszczególnych części między sobą, awantura. Na nic nie było czasu. O, gdyby tak móc żyć pięćset lat, lub ze trzydzieści razy „pod rząd”. Wtedy dałoby się coś nie coś zrobić, czegoś dokonać. (Na tle sflaczanego tempa życia, „bieżałości”, klejkości „*milieu ambiant*” — wszystko zdawało się odbywać w becze ze smołą — wielu u nas [i Kocmołuchowicz też] doznawało podobnych wrażeń). A tak — nie warto. „*Il faut prendre la vie gaiement ou se brûler la cervelle*” — tak mawiał, cytując Maupassanta, jeden z nieprzyjemniejszych kawalerskich typów szkolnych, tak zwany „nieprzyjemniaczek”, naczelnik manège, porucznik Wołodyjowicz. Miało to dodawać ducha wychowankom. Genezyp czuł, że żyć będzie krótko — na czym opierał to przypuszczenie, sam nie wiedział, w każdym razie nie na groźniejszych wypadkach. Rok dwudziesty pierwszy wydawał mu się samą wiecznością — ale o tym później.

Szkolni przyjaciele byli bardzo nieciekawi. Jeden różowy „intuicyjny” chłopczyna, o rok od Zypcia młodszy, był dość delikatny, ale za to głupawy. Drugi — pierwotnawo-mądrawy, trzydziestoletni chłop, były urzędnik bankowy, miał faktycznie wyższe

intelektualne aspiracje, ale za to tak był nieprzyjemny w swych formach towarzyskich, że tamte zalety ginęły w nich jak małe brylanciki w olbrzymim śmietniku. Poza tym ćma pół-automatycznych, zaledwie zdających sobie sprawę z własnego istnienia, duchowych chudzieli. A wszystko to było złe, zazdrosne, pełne wzajemnej pogardy i napuszone, operujące w rozmowie ciąglymi przykrymi aluzjami i złośliwościami, na które nie wiadomo było jak reagować. Bo Zypcio złośliwym nie był i cierpiał na „*esprit d'escalier*” w formie ostrej. Nie reagował drugi raz, trzeci, czwarty, aż nagle robił awanturę o byle chamską poufalość i zrywał stosunki, co mu wyrabiało opinię „nadwrażliwego” psychopaty, jakim faktycznie był. „Zbyteczna wrażliwość” — myślał z goryczą. — „Dobrze, ale jest to wyrazem pewnej subtelności. Czemu na mnie nikt się nie skarży? Czyż ideałem naszym ma być chamstwo i niedelikatność?” Ale cóż pomóc mogły takie myśli? Trzeba było się izolować, bo „przypuść tu raz chama do konfidencji — zaraz ci na mordę wlizie”. A robić przykrości i peszyć ludzi Zypcio nie umiał wcale — był w ogóle dobry, po prostu *dobry* — co tu ciekawego można o tym powiedzieć.

O, wstrętny był ten przeciętny inteligent polski tych czasów! Lepszy już był nawet wysokiej marki dranie, lub po prostu tłum (ale z daleka), w którego zwojach i skrętach czaiła się złowroga, bezlitosna przyszłość przeżytych warstw ludzkości. Całe społeczeństwo zepsute fałszywą, amerykańską „*prosperity*”, zdobytą za pieniądze ościennych i nieościennych pół-bolszewickich państw, tych hodowców „przedmurza”, — całe społeczeństwo (powiadam) było jak zepsuty jednak tuż przed stratą rodziców i pieniędzy, który dziwi się potem, że cały świat nie zajmuje się tym, aby on miał dziś obiad i nie może pojąć, że nikogo to nic nie obchodzi. Tak też było później.

Kocmołuchowicz, wyczerpawszy w swej manii produkowania oficerów całą prawie zbywającą poza urzędami inteligencję, sięgnął już porządnie w pół-inteligencję, a nawet domacywał się wprost do sfer najniższych, do tak cwanych „duchowych batiarów”, wybierając stamtąd co najtęższych psychicznie drabów, podobnie jak Fryderyk II swoich grenadierów. Genezyp, nie przyzwyczajony do sposobu bycia tego rodzaju indywiduów, nie mógł pogodzić się z istnieniem swych trzystu przeszło kolegów, którzy mieli prawo poufalić się z nim bez wszelkich ograniczeń. A na dnie czuł do siebie za to najsroższą pogardę. Przecież był niczym i co gorsze nigdy kimś nie będzie. Nie dadzą: a) czasy, b) ludzie i c) brak czasu. Tęsknił do innych historycznych epok, nie zdając sobie sprawy, że tam byłby jeszcze gorszą może (choć kto wie?) ciurą, niż w tym okresie największej rewolucji świata — jedyne go przewrotu istotnego: absolutnego ujednoczenia ludzkości w formach nieprzewidywanych w żadnej doktrynie przeszłości: nikt nie mógł przedtem wykonypować tego, że potwór cywilizacji dojdzie do takich rozmiarów i że metody walki z nim nie mogą być wypracowane zawczasu. Niby robił to faszyzm, ale za dużo pokutowało w nim jeszcze dawnych nacjonalistycznych i indywidualistycznych pozostałości. Ograniczył się więc Zypcio do paru naiwnych masek wobec bezpośrednich swych dowódców, na szczęście ludzi niezbyt przenikliwych, a poza tym otorbił się o ile możliwości zupełnie. Dyscyplina utłaczała go powoli i systematycznie, ale tylko na powierzchni. Chwilami nawet był zadowolony, że tak od razu stał się tym niby-czymś w kręcącej się z coraz większą bezmyślnością machinie społecznej. W głębi rozszarpanych przez księżną i niezagojonych bebeczów puchła podświadoma żądza erotycznych przeżyć. Ale Genezyp postanowił „żyć w czystości”, aż póki nie nadejdzie prawdziwa miłość — pozornie banalne to powiedzenie było najszlachetniejszą rzeczą, jaką ten nieszczęśliwy chłopak dotąd wymyślił. (Była to jednak „linia postępowania” niezależna, nie mająca nic wspólnego z całokształtem życia i jako taka bezwartościowa). Nie godził się na użycie żadnych antidotów, co było tym łatwiejsze, że, po dwóch tygodniach obowiązkowej niewoli, zamknięto go znowu na tydzień aresztu, z powodu nagłego braku umiejętności w slaniu łóżka i palenia w olbrzymim piecu szwadronowego lokalu. [Stary gmach po-hieronimicki, czy też po-pneumatycki, a dawniejszy pałac Herburtów, wciągał z rozkoszą wyziewy bardziej świeckie, ba — nawet wojskowe]. Nieściśliwie ciała byłych metafizycznych chwil, tamtych „przebudzeniowych”, ogólnie-nienasyceńskich, obłe, wyslizgujące się jak pestki, a jednak mięsisto-żywo-twarde, wymykały się wszelkiej analizie. A jednak czuł Genezyp w rzadkich i nikłych a krótkotrwałych jak daleka błyskawica letniego wieczoru jasnowiedzeniach, że tam to właśnie kryło się przeznaczenie, tajemnica całości jego niepoznawalnego charakteru. Zawsze można powiedzieć, że właściwie co nas obchodzi

taki to a taki głupniarz czy nawet główniarczyk — ale rzecz nie jest tak prosta, jak by się wydawała. Czekał wyroków od obcej potęgi w sobie, od tego swego „więźnia”, jak nazywać zaczął rządzącego wszystkim podświadomie nie sobowtóra nawet, a nieznanego osobiście, tylko z widzenia jakby, bardziej dorosłego niż on sam, pasażera w sobie. Ale jeszcze nie bał się go zupełnie — to miało nadejść trochę później. Na razie przelotny pasażer, czy więzień ów wewnętrzny, żył w sferze oderwanej, ale bliżej pojęciowo nieokreślonej. Jego myśli i przeczucia ledwo zaznaczone nie zahaczały się o ruchowe ośrodki Genezypowego ciała — nie miały jeszcze odpowiednich transmisji. To ciało, pod wpływem wojskowych ćwiczeń, rozwijało się po prostu bez przesady w coś nadzwyczajnego. (Zostawmy na boku wszelkie kawalerskie subtelności — kawaleria dla kawalerzystów). Nie był to troglodytyczny akt, jakich wiele spotyka się w sferze sportowych maniaków: kwadratowy w barach i suchy w biodrach i brzuchu. Raczej stanowiła ta kupa organów hermafrodytyczną syntezę pewnej kobiecości z męskością, ale wszystko razem doprowadzone do maksymalnej nieomal harmonii i niepozabawione pewnej bydlęcej potęgi. Smutnie i ze wstrętem nawet spoglądał czasem na swoje wspaniałe członki (onisuakimalipans) — czemu nikt nie używa tych bądź co bądź męskich wspaniałości, czemu ta cała kupa pierwszorzędnego mięsa więdnie bezużytecznie w tej kazarmie? Może wyjdą z tego młyna mocniejsze części — każda z osobna — a nawet jako materialna całość — ale rządzone przez zabiją (tylko skończone flaki giną w takich warunkach) w dalekiej od indywidualnego przeznaczenia bezdusznej dyscyplinie, duszę, niezdolne już do dźwigania żadnej wyższej marki jedności osobowości. Daleka, wspaniała, nieznaną nikomu, chyba jemu samemu w chwili powstawania, myśl takiego oto Kocmołuchowicza, ciążyła nad każdym osobistym *wewnętrznym* losem (pojęcie losu trzeba zróżniczkować), ugniatając osobowe istnienia według swoich nieoczekiwanych skrętów i załamów. Takie dziwne! — nieprawdaż? — tam, gdzieś w stolicy siedzi sobie przy zielonej lampie taki hocheksplow ludzki i nic nie wiedząc o tym (jako takim), każe żyć w zupełnie nieoczekiwany sposób jakiemuś, uwielbiającemu go z góry, na kredyt, młodzieńcowi, na którego zwraca się „oko opatrności” (choćby w powieściowych tematach), ukazując go znowu całemu społeczeństwu jako symbol. A tak, poza paroma przyjaciółmi i rodziną, pies o tym nie wie. Jak już społeczeństwo definitywnie obejmie nad sobą władzę (czy w jakim sownarkomie, czy programowo elitycznej radzie gospodarczej — to wszystko jedno), takie stosunki niewspółmiernych dusz będą niemożliwe — będzie nudno.

Po ukończonej karze zostawały jeszcze do święta trzy dni bez możliwości opuszczenia szkoły. Zaczynało być trochę ciężko: ból w skórze, jakby lekka gorączka, genitalia rozrżnięte i bebecchy, przewalające się w swych czeluściach, ślepe potwory wysuszone wewnętrznym upałem. Życie błysnęło nagle, odległe, niedostępne i „urocze”, jak uroczą może być tylko nieznaną kobietą.

Informacja: Kurs trwał 6 miesięcy, z czego przez 3, w czasie przebywania na oddziale młodszym, wolno było wydalac się z gmachu szkolnego jedynie raz na tydzień w niedzielę i to bez nocowania poza gmachem.

SPOTKANIE I JEGO SKUTKI

Samotna myśl gotowała się w odległym od życia imbryku. Drobne duszki, niepozorne wysłanniki Wielkiego Złego, bez którego nie byłoby Istnienia w ogóle, nieznacznie preparowały piekielny dekokt, którym postanowiono, w podświadomych zaświatach i gdzieś jeszcze w dalekiej linii przodków, zatruć ten idealnie stworzony do innych warunków „organizm” młodego Kapena. Trudno.

Któregoś wieczoru, kończącego *metafizycznie powszedni* dzień, kiedy to w pospolitości właśnie widzi się najwyższą dziwność, gruntownie wyjałowiony, umysłowo wysterylizowany wojskowością Zypcio wezwany został do sali przyjęć. Już gdy dyżurny podchodził do niego, już wtedy wiedział, co to znaczy. Pękła tajemna tama, oddzielająca serce od niższych części brzucha. Sam ją, nieomal w tajemnicy przed sobą, budował, starając się zlekceważyć problemat tego związku. I bał się ciągle o jej całość. A tu pękła nagle, bo ten dureń Kwapek „zaczął” do niego podchodzić w sposób urzędowy. Okropne, nie wiadomo czemu, przeczucie rzuciło sercem. Pokazała się amfilada dalekich przeznaczeń: wymuszone wypicie trucizny — do dna, do ostatniej kropelki i czarna, burzowa chmura milcz-

kiem zwalająca się na okrwawiony mózg, sterczący niby bezludna wyspa na Południowym Oceanie, w bolesnej pustce życia. Ognisty język wyższej świadomości liznął lubieżnie obnażoną, obolałą od nieartykułowanych myśli mózgową korę. To, to, to — właśnie to: wytropiono jego myśli w kryjówce, zanim zdołały się opancerzyć. Powolna egzekucja rozpoczynała się właśnie 13 maja o trzy na siódmą. Pachniał mokry bez przez otwarte okna korytarza. Tłoczył się duszący płciowym smutkiem zapach, z ciężką wilgocią pół-deszczowego, ponuro-wiosennego wieczoru. Rozpacz straszliwa załapała go po szyję, bez ratunku. Już nigdy, nigdy, — dożywotnie więzienie w sobie samym. Te mury szkolne, te mury już były raz, kiedyś w innym życiu i gniotły go tak już od niepamięci, przez pamięć (wydrzeć to!) aż do bezpamięci, do nieskończone powolnego roztopienia się w Nicości. Ale czekało po drodze małe piekielko. „Czemuż mnie wszyscy zmuszacie, abym musiał zwariować” — szepnęła ze łzami, idąc po znanych, twardych, „rycerskich”, „ostrogowych”, męskich schodach, które teraz zdawały się być zrobione z ciepłej gutaperki. Wiedział już, co to znaczy: los, w postaci niemieckiego kata z bajki, wybierał z dziecinnego pudła z prezentami jakieś figurki i stawiał mu na drodze życia. One nie żyły — to były świetnie zrobione automaty, udające do złudzenia tak zwanych „bliźnich”. (Batiarowaty starszy osobnik w dżokejce i chustce czerwonej na szyi, odsłaniającej niepachnącą, żylastą grdykę, z dużymi pręgami blizn po gruczolach). W to trzeba było pocałować i nadstawić drugi policzek — w pierwszy on już wyrzynał kiedyś. Nigdy, przenigdy! Nie kochał w tej chwili nikogo — nie wiedząc o tym, był praktycznym solipsystą. — Naprawdę dyżurny i cały świat były to tylko związki elementów Macha. Wszedł do poczekalni dla gości. Świadomie myślał, że to matka go tam czeka, z Lilian, z Michalskim — już raz tak było — *wiedział*, niższą częścią brzucha, że tam musi być jego najbezwstydniejsze przeznaczenie. Mówcie sobie, co chcecie, ale „erotyzm to *jest* piekielna rzecz — to nie można tego lekceważyć” — jak powiedział kiedyś pewien kompozytor. (Tylko nie można oddać tej jego intonacji głosu, tego przerażenia rozkoszą i tego wyrazu oczu, zażawionych ohydny, śmierdzącym urokiem). Ostatni raz wymknął się z diabelskiej równi pochyłej, wydobyty ręką ojca, wyrwał się z mrocznego „gapo”, które ciągnęło go od spodu za wszystkie mięśnie, ścięgna i nerwy. Ostatni raz ojciec podał mu rękę zza grobu. Od tej chwili wiedział Zypcio, że musi być sam, i wiedział też, że nie udźwignie (choćby miał nieludzkie nawet siły) swego losu na tamtej wyższej płaszczyźnie, wyrosłej ze środkowego kółeczka dziecinnego schematu metafizycznych przeżyć.

Na płciowym spodzie duszy zaległa już złowroga cisza śmiertelnego niepokoju i strachu. I tylko w myślowym kompartymencie zobaczył nieswoimi, zupełnie nawet cudzymi oczami JA. Jakże piekielnie była ponętna. „Młoda dziewczynka — a to bestia! Ona nigdy nie przestanie... Boże — (ten martwy Bóg!) — Wybaw mnie od tego potwora!” — szepnęła podchodząc do księżnej, która, ubrana w szaro-niebieskawo-fioletową „sukienkę”, (tzw. „*bleu Kotzmoloukhowitch*” — modny dziś błękit, koloru wprowadzonych przez Generalnego Kwatermistrza mundurów) i czarno-granatowy kapelusz, stała oparta o jeden z filarów sali. Nie było nikogo. Cisza straszliwa, głośna sobą w sobie, rozprzestrzeniła się w całym gmachu na tę chwilę. Wybiła siódma — daleko, na jakiejś miejskiej wieży, w świecie życia, szczęścia i wolności. Rozpacz tamta z metafizycznych wymiarów spelzła chyłkiem (chyłek) na ziemię i zmieniła się w głuchy płciowy ból — tak to diabeł kusi pozorami niewymiernych wysokości, aby następnie wytarzać w błocie. Butla z lekarstwem stała tuż obok — tylko sięgnąć łapą samca, w rękawiczce „chłopięcej” delikatności i nieśmiałości. [A w tej samej chwili, tam, w stolicy całego kraju, „Wielki Kocmołuch”, jak go nazywano, upapwany po łokcie augiaszowym zaiste dookolnym świństwem, które starał się zmyć ze swego kraju choćby kosztem powiedzmy diabli wiedzą czego, odczytywał raport pewnego Chińczyka, który stał przed nim zgięty we dwoje, jak człowiek skazany na ścięcie. Kocmołuchowicz rzekł: „Czy można wiedzieć, co on myśli?” Odpowiedział Chińczyk, mandaryn drugiej klasy, człowiek bez wieku: „Jego Jedyność jest absolutnie nieodgadniony. Wiemy tylko, że to jest myśl najwyższa, wszechludzka. Załatwi to, czego nie załatwiecie wy, choćbyście zwołali radę największych mędrców całego waszego świata. Wasza wiedza przerosła wielkość waszych dusz. Jesteście w mocy maszyny, która się wam wymknęła z rąk i rośnie, jak żywy stwór, żyjący swoim, samoistnym życiem i zjeść was musi. Próbowali odgadnąć myśl Jego kapłani wymierających kultów — za pomocą tru-

cizn i potęgi narzuconej woli. Dojrzał ich z oddali i zginęli wszyscy — ścięto im głowy, a winy podsunięto inne”. — Kwatermistrz drgnął i nagle skoczył do nahaja, wiszącego na ścianie. Chińczyk zwał jakimś cudem, poprzez dwa pokoje, pełne adiutantów. A ten zastygł z nahajem w ręku na środku pokoju i zamyślił się głęboko po sam pępek. Jażn jego zetknęła się z całością bytu w skurczu niewymownym, a potem z nędznym robaczkiem, z ludzkością całą. Zapłakał do środka i pocisnął guzik dzwonka, na krzywych nogach podszedłszy do zielonego stołu z paperasami. Wszedł adiutant...] Tę scenę widział Genezyp, patrząc w twarz swego wcielonego losu — może to była prawdziwa telepatia, bo rzeczywiście działo się to właśnie o 7¹³ w gabinecie wszechwładnego „Kwatermajstra”.

Informacja: Ale co to jest równoczesność i rzeczywistość? Ani fizyka, ani filozofia nie odpowiedzą nigdy (według niektórych) po wsze (wszawe?) czasy na te pytania, jak i na wiele innych. A co do telepatii, ta jest możliwa, jakkolwiek wytłumaczenie jej (czyli objaśnienie mechanistyczne) może tylko polegać na tym, że *nie będziemy przekraczać poglądu fizycznego* i będziemy szukać nieznanymi dotąd sposobów przenoszenia się energii wytwarzającej się w mózгах przy pewnych procesach i mogącej oddziaływać na inne mózgi, wywołując w nich pewne procesy. Ale tu znowu zaczyna się psychologia — możemy skonstatować pewne związki między niewspółmiernymi sferami — więcej nic. To samo stosuje się nie tylko do odgadywania myśli, ale do widzenia czy słyszenia na odległości nienormalne i z przeszkodami, o ile taka rzecz w ogóle zająć może. Ale gadania o „materializacji myśli” (!) są tak bezsensowne, jak np. teoria kalafioryzacji lokomotyw, a nawet więcej. To samo też stosuje się do wszystkich tak zwanych „zjawisk nadnaturalnych”. Wszystkie rozwiązania dowolne, kursujące dziś między publicznością, polegają na nieznanym psychologizmu (kierunku filozoficznego — nie psychologii jako nauki) i stosunku jego do poglądu fizycznego, który jest statystycznym i przybliżonym i daje się w terminach pierwszego wyrazić.

— Tak bardzo tęskniłam za tobą — (przez wielkie *T*) — nie gniewasz się, że przyszałam. — Szept spłynął najbardziej płciową drogą przez górną połowę ciała aż tam. — Musiałabym i tak przyjechać, ale naprawdę to tylko do ciebie. Ty jesteś już dorosłym — musisz wiedzieć dlaczego, ach dlaczego musiałam tak postąpić. Nie umiesz ocenić mnie teraz. Zrozumiesz wtedy, co ci dałam, kiedy mnie już może nie będzie, kiedy przeze mnie właśnie nie skrzywdzisz tej drugiej, czy trzeciej, którą będziesz kochał naprawdę — będzie ci się tak wydawać. Jednak kochałeś i kochasz tylko mnie — może na zawsze — nie wiem o tym. Nie gniewasz się? — Jak pokorna suka wygięła się i spojrzenie błękitne, „niebiańskie”, rozlane, wylupione z jądra, rozbebeszone, niechlujne, oddane aż do samego rdzenia istoty (tu gdzieś koło nerek i głębiej i z tej strony nawet) zatopiła jak ostry szpon w jego twardych oczach. Pocisk trafił, pękł, pozabijał (tylko myśli) i zniszczył jak papierową zabawkę kunsztownie, dziecinnie wykombinowaną redutę czy przyczółek mostowy. Przez wyrwę tłoczyły się długo więzione żądze, dzikie, spocone, śmierzące, rozjuszone — na niektórych brzęczały jeszcze łańcuchy, szły jak żelazne robactwo, na zdobycie duszy. Nad nimi rozpiął się błękitny parasolik, udający prawdziwe niebo — czysta, wielka miłość. Kochał ją teraz bez miary, tę biedną, starowatą dziewczynkę — jak nikogo dotąd. Nagle wszechświat rozświetlił się od spodu luną wschodzącego szczęścia — oddalone, tęskniące za sobą w męce przestrzenie (połacie, tereny?) ducha złączyły się we wściekłym, palącym uścisku. Jeszcze czegoś tak piekielnie, wysublimowane zmysłowego nie przeżył Zypcio nigdy — nawet (!) wtedy, gdy wlepiony gałami w szybę łazienkowego okna, dokonał tamtego niemrawego i gnuśnego czynu nad sobą — raczej nie: nad tym świeżo w sobie odkrytym, trochę w tej chwili plugawym gościem. Krwawa, lepka mgła oplotła i przeniknęła zwiotczałe w nieziemskim pożądaniu ciało. A przecież jeszcze nic nie drgnęło i nie podniósł się ani na włos wielki przeciwnik ducha, samotny, głupi, wszechwładny w cielesnych walkach ON. Gdzie była właściwie ta oczekiwana żądza, czyli właściwie чуć? Unicestwiwszy ciało, objęła śmiertelnym uściskiem świat cały aż w nieskończoność. Kochał tę babę zupełnie na czysto, jak za najlepszych czasów, jak nigdy jeszcze nie kochał matki, ani siostry, ani nawet ojca. Takie to czyste było to uczucie... Aż

śmieszne po prostu. „*Il fornicatore*” przemówił wreszcie, przez zalepione lubieżną papką gardło:

— Gniewać się, to mało. Ja nienawidzę pani i nigdy już... Zamknęła mu twarz, wszechwiedzącą nagą ręką — (szybko, na jedną czwartą minuty przedtem, zdjęła rękawiczkę, wiedząc, że wykona taki właśnie ruch). Odepchnął tę rękę brutalnie, ale wspomnienie ciepła i zapachu zostało: nieśmiertelne gencjany Fontassiniego trwały, mimo że świat przewrócił się do góry nogami: — Nie chcę — rozumie pani? Za co? Dlaczego? Coś tak potwornego! I ja tak panią kochałem!! — Kłamał bezczelnie nie wiadomo po co — to znaczy kłamał świadomie, — w istocie było to prawdą, w tej chwili prawdą się stało — a zresztą czort wie — nikt tego nie pojmie jak jest, a tym bardziej jak było, nawet ci, którzy i tak dalej... — Mam wstręt do pani, jak do ropuchy — brzydzę się sobą, jak o pani myślę... — Chwyliła go za rękę mocno, aż do bólu — baba była silna.

— Nie — dopiero teraz kochać mnie będziesz. Ale już jest za późno na to, co było przedtem. — Patrzyła mu prosto w mordę rozkochanymi, płomiennymi „oczyma”. Oblęd był w tym spojrzeniu — dla dodania sobie odwagi i uroku księżna kropnęła „empedekoko” — jak mówiła. Czyniła to rzadko, w najważniejszych momentach życia. — Możemy się widywać — mówiła dalej głosem nieprzyzwoitszym od rozwalonych bioder, od bosych nóg, od ust całujących diabli wiedzą już co — ale nigdy twoją już nie byłabym, nawet jeślibyś o to błagał. — To ostatnie słowo było szczytem sztuki: ujrzał Zypcio siebie na kolanach przed nią — ona z gołymi do kolan zarzuconymi jedna na drugą nogami, dotykająca mu nosa prawie prześlicznymi, spedikiuowanymi palcami, o różowych paznokciach. Szpon *buro-czerwonego* nieszczęścia zatopił mu się we wnętrzości, a żądza ponura jak śmierć w torturach w wiosenne popołudnie, moregowata, czarno-złota, diabelska tęsknota za wymykającym się na wieki szczęściem, przywalila trumiennym, całuniastym wiekiem *złoto-czerwoną*, tylko co rozkwitła w pożarze ciała przyszłość. Rozpacz oblepiła lubieżną aż do bólu mgłą narządy płciowe — teraz nie symbole potęgi, a wstrętne flaki ze zbitymi pogardą mordami, pogardą, okazaną im przez *tamto*. Co za bezczelność! Nie rozumiał nic — był przecież bądź co bądź mężczyzną. I, właśnie dlatego, że nie rozumiał, postąpił tak, jak trzeba. Ha — musi ze wstrętem zdobyć po raz wtóry to dymiące duchowymi zbrodniami bagnisko — a mógł już pokochać na nowo — tak mu się zdawało — jej — nie. Zamachnął się i uderzył w biały kark pięścią naiwną i niewprawną. Poprawił z drugiej strony, chwytając jednocześnie instynktownie lewą ręką za wspaniały kapelusz od Hersego (Firma „Herse” przeżyła wszystkie dotychczasowe kataklizmy). A ona zachłysnęła się z rozkoszy... (on rwał już jej włosy i walił, walił — co za cud! — więc ją kocha? —) Ale zaledwie się rozpędził i uczył już falę żądy, zstępującą z krzyżów w lędźwie i pośladki, wyrwała mu się, a na załomie schodów (drzwi nie zamknął w zdumieniu) w drodze łaski „dały się słyszeć” kroki. Podniósł szybko porzucony kapelusz i wpakował jej brutalnie na głowę. Taka cudowna chwila i — zmarnowana, psia-krew! Przez kogo? Nie przez tego, co tam szedł po schodach — daleko głębiej: przez ojca, który Zypcia tu wsadził i w dodatku był kochankiem tego cielska, tego jego „ideała”, kiedy ono, to cielsko (wcale nie za tłuste zresztą) promieniało jeszcze młodością (no tak ze 28 lat) — a on dostał już ochlap jakiś i tego ochlapu nie może pokonać i zgnębić i musi go jeszcze *zdobywać*!! Ach — co za wstyd i rozpacz! Zatęsknił aż do furii za jakąś czystą, panienkowaną miłością. I wspomniawszy Elizę, tę trochę zahukaną, dobrą istotę (raczej stworzonko jakies) z pierwszego wieczoru u księżnej. Rozdarta dusza stanęła dęba, a jednocześnie gorzko zapłakała nad „przydzielonym” jej, bezwolnym ciałem. Darł się w pasy w męce godnej doprawdy lepszej sprawy. Ale co on właściwie mógł o tym wiedzieć? Na czym mógł oprzeć skalę swoich porównań? Żeby choć tak wierzyć, jak ten szczęśliwy Bazyli, mleć swoje ukochane znaczki, jak Benz, a choćby takiego potwora, jak muzyka Tengiera! Nie — życie samo w sobie. „Nie dać się zwyciężyć, nawet samemu sobie” — przypomniawszy mu się zdanie Putrycydesa. Ten, mimo całej pospolitości życia, walczył, zmagając się z czymś — jeśli nie po prostu wielkim, to olbrzymim. A on? Ta oto małpa przeklęta, za której ciała dotknięcie jedno sprzedałby teraz cały kramik napompowanych mu przez ojca „idealizmów” [siły, honoru, uczciwości i tym podobnych mamideł (raczej papideł)] — ta belzebubica była jedynym symbolem rzeczy, jeśli nie najwyższych, to najsilniejszych. Poczł preraźliwą wydrążoną pustkę tego, na czym stał i o co się opierał. Musi zbudować nową płytę podstawową z jakiegoś psychicznego żelazo-betonu, bo inaczej byle

Idealista, Syn

co i kto wytrąci go z równowagi. A materiału tego pod ręką nie było — trzeba byłoby eksploatować kopalnie w dalekich, utraconych już krajach metafizycznej dziwności, na nowo je zdobywać. Kiedy? Nie było czasu. Życie parło, jak gaz w brzuchu, zmuszając do rzeczy nieprzystojnych. A parę jeszcze takich wytrąceń i znajdzie się na dnie istnienia: plugawa, miękka masa, bez ambicji, bez szkieletu, bez jąder — bezpłciowa, bezhonorowa — brrr... Wstręt i strach ocaliły go. Skonsolidował się — ale po to tylko, aby dookoła drogą dopełnić nieuniknionego przeznaczenia. Bo gdybyż naprawdę kochał ją! Ale właśnie naprawdę nienawidził (cztery warstwy — któraż z nich była prawdziwa w tym przekładańcu? — o szczęśliwi wagotonicy, co nie macie tych problemów) i w kłamstwie tym była małość. Jeszcze jedna wolta i stał się dobrym. Ale taką dość parszywą dobrocią, płynącą ze słabości i strachu przed cierpieniem. Po schodach szedł dyżurny oficer, jego „wróg”, młody, brutalny obrzydłaczek, chamskawy poruczniczek z poprzedniego kursu, Wołodziejowicz.

— Przyjęcie skończone — wygłosił sztucznie dystygowanie. — Junkier Kapen do szwadronu na miejsce. Pani pozwoli odprowadzić się do bramy. Miałem przyjemność być przedstawionym kiedyś w teatrze — galówka na cześć wodza...

— To dość mało — rzekła wyniosłe, bezsensownie księżna. Ale zawinął się dookoła niej z tą samczą zapobiegliwością, którą tak lubią baby i uwłókl ją za sobą. Rzuciła Zypciowi, zza ramion tamtego, spojrzenie łzawe i palące, piekące i śwędzące, w którym było wszystko i nic — poczuł się jak na bezludnej wyspie, opuszczony przez wszystkich — ona tylko istniała (księżna, nie wyspa) — dopięła swego: pięła, pięła, aż dopięła bestia. Ach, stokroć łatwiej byłoby mu walczyć z nią, gdyby na niego nałaziła, narzucała się mu, napychała — ale tak? Poczuł, że hak głęboko tkwi mu w zgęstniałej krwi. Cały, razem ze środkowym kółkiem, przechylił się na stronę złych potęg, królujących w tej podświadomej części jego istoty, której bał się zawsze, prawie zabobonnie. Wychylił się nad przepaścią odrobinę zanadto — czy zdoła wciągnąć się na nowo. Rozszarpany zupełnie szedł marmurowymi schodami w górę. Schodził tu przed kwadranssem jako ktoś zupełnie inny. Nie poznał siebie w czarnym lustrze niewiadomego, w którym przeglądały się przesuwające się sobowtóry. Gwar miasta, który buchnął przez otwarte okno korytarza wraz z czarnym upałem majowej nocy i zapachem mokrych bżów, odczuł jako wstydlivy ból pokonanych genitalii, obrzmiałych i nieznośnie rozdrażnionych. Musiał o tej niewygodnej godzinie rozpocząć definitywny bój. Zakrył się wolą, jak wiekiem trumny. Umierał i odradzał się co sekundę na nową mękę i wstyd. A tamte flaki ciągle żyły swoim osobistym, prywatnym, niezależnym życiem i puchły, i puchły w dziwnie jakiś nieprzyjemny sposób i to nawet wtedy, gdy z nieprzejednaną zawziętością najbardziej właśnie niszczył obrazy dawnej i możliwej rozpusty. Pod szarym kocem, w smrodliwej atmosferze szwadronu (któż u nas mył się, z małymi wyjątkami, nawet w te czasy, porządnie?), spocony, samotny, ze śwędzącą skórą i innymi okropnymi objawy, junkier Kapen zdobywał, najezony zionącymi trującym gazem kiszkami, barbakan ducha.

A księżna zaraz za węglem gmachu (przyszła piechota) zawyla głośno okropnym samicyzm szlochom (zaszlochała wyjem), w przepaloną gęstość czarnej majowej nocy, takiej, w której lęgnie się wszelka lubież i złe płciowe świństwo. (Pocieszał ją obrzydławy poruczniczek, jak mógl). Tylko ten jeden został jej chłopys na świecie i tego nie mogła zdobyć — Kapen oczywiście, a nie ten pocieszyciel. Była nieciekawa, prostolinijna i prosto-uczuciowa. — Co tu o niej pisać — demonizmy wszystkie diabli wzięli. Trzeba było jednak czekać 3 dni do niedzieli. A on tymczasem stężeje, zmężnieje, rozdrażni się aż do kości (czuła ten swój jad przewalający się w przyśpieszonym pulsie po jego gęstniejącej krwi) i będzie taki cudny, taki cudny, że „chyba ja się wścieknę, gdy on — ach, nie — to niemożliwe” — „i jaki śliczny był w tym mundurze! Tylko nie taki czysty zdaje się...”, „Ale on może być nawet brudny, może nawet śmierdzieć — (umyślnie półgłosem powtórzyła to straszne słowo) — i ja te jego smrodki kocham” — zakończyła bezwstydnie, wyzywająco. Kobiety są czasami niemożliwe. Czuła całe niebezpieczeństwo takiego poddania się, ale nie mogła wytrzymać — jeszcze raz, jeszcze raz, a potem niech już stanie się ta rozpacz zupełna: oszroniona zagwazdraną przeszłością jesień szarej, beznadziejnej starości.

Informacja: A tam w Ludzimierzu Putrycydes Tengier nie wytrzymał też w swoim rodzaju i zrobił kompromis — (dotąd unikał starannie wszelkich pół-środków np. grania po bajzlach, lekcji śpiewu w szkółkach, poprawiania utworów tzw. „reiner Finger — muzykantów” itp.): przyjął wyrobioną mu przez Sturfana Abnola posadę muzycznego kierownika: pianisty i kompozytora w dziwnym teatrzyku Kwintofrona Wieczorowicza. Miał „okraszać” muzyką jak kluski słoniną straszliwe „wprzódniewiadziaki”, „cobędzietobędki”, „znieacki” i „niepewnostki” (broń Boże nie niespodzianki — to słowo, zużyte jak ścierka, zabronione było u Kwintofrona), od których już dziwne wrzenie powstawało z wolna nawet wśród zdziesiątkowanej „wojenną” służbą inte- i pół-inteligencji. Ta ostatnia, na Zachodzie i Wschodzie wymarła prawie warstwa, u nas znajdowała się w tych latach w pełni rozkwitu. Towarzystwa roily się wprost od indywidualuów, rozstrzygających najzawilsze problemy przy pomocy iście pacanowskich czy kocmyrzowskich systemów pojęć — prawdziwi mędrzy milczeli smutnie, nie chcąc wdawać się z taką hołotą. O przekonaniu kogoś takiego o czymś mowy być nie mogło. Trzygroszowe objaśnienia zastępowały zupełnie wypieraną poza obręb społeczeństwa intelektualną pracę. Na kompromis Tengiera wpłynęła też tak zwana żądza życia, czyli po prostu chęć zmienienia za jaką bądź cenę kobiecego „menu”. Motyw nienasyenia zanadto już często zaczynał się powtarzać w jego ostatnich hypermuzykaliach. Zrzucił któregoś dnia maskę półwiejskiej pokraki i wyświeżony na potwornego degenerata i zmąpiałego geniusza, pomknął wraz z całą rodziną węgierskim ekspresem do stolicy K. Pani Tengierowa miała w tym też swoje planiki, które kryła szczelnie pod maską troski o wychowanie dzieci w bardziej odpowiednich warunkach. Wszystko składało się jak najlepiej, ale na małą skalę. Program maksymalistyczny musiał być zarzucony.

REPETYCJA

Nareszcie nadszedł dzień pierwszego wyjścia ze szkoły. Zdawało się, że dyscyplina, terror i to, co Genezyp nazywał „karnością” (ale nie w znaczeniu dyscyplinowym, tylko sądowym — „wdrożenie dochodzenia karnego” — brrr...) rosną z godziny na godzinę. O lada głupstwo mógł całkiem niewinny człowiek wpaść w tarapaty, które w razie lekkiego choćby nieopanowania delikwenta mogły znowu skończyć się w sądzie wojskowym, a dalej diabli wiedzą gdzie. Tortury — oto było pojęcie, od którego ledwo zaznaczonego obrazowego cienia bledli do ścianowo-prześcieradłowo-chustowych odcieni najwięksi dotąd śmiałkowie. Odpowiedzialność, na modłę chińską zhierarchizowana, zwałała się na bezpośrednich zwierzchników i dalej, dalej aż do drzwi czarno-zielonego gabinetu Wielkiego Mistrza Niepewnej Przyszłości — tu był jej kres. Nad nim był już tylko wyblakły ze starości Bóg, (a może też błdy z przerażenia, jak mówili inni), albo Murti Bing — o tym nie śmiano nawet szeptać.

Wściekły wskutek nieznośnego oczekiwania i jak na niego niezwyklej beczynności, (18 godzin pracy na dobę — nawet i on się przeczekał), nie wiedząc, co zrobić ze sobą i z armią, rozprzestrzeniał swoją zduszoną wypadkami — raczej brakiem ich — indywidualność w sferze wojennego szkolnictwa. Tam to kuł potęgę, która zaczynała wyginać się i wypuczać poza granice poprzednio pozakładanych ramek negatywnego czysto stanowiska: izolacji i ochrony „statut excremental?”, jak nazywano aktualny stan rzeczy tj. rządu Syndykatu i zakłamy pseudo-faszizm. Natężony do ostatnich granic gmach wewnętrznej, duchowej konstrukcji kraju drżał od napięcia sił i trzeszczał złowrogo, ale trwał. Gdzie jednak było dokładnie to napięcie — nikt pojąć nie mógł, bo jednoczesny bezwład ludzi wzbudzał podziw nawet u zagranicznych gości — oczywiście tych stałych, dawnego typu. „Das ist nur in Polen möglich” — mawiał stary feldmarszałek graf Buxenhayn (ostatni z młodszych kolegów Hindenburga), który też znalazł oczywiście swoje miejsce w tradycyjnie gościnnym „Przedmurzu”.

I takie nędzne kółeczko, taka amoeba jak Genezyp, nie mogła przeżyć swobodnie najgłębszych, najtajniejszych stanów i uczuć, tych właśnie rzeczy, dla których ostatecznie

warto żyć, z pewnego punktu widzenia — niewspółmiernego oczywiście z poczuciem rzeczywistości większości ludzkich bydląt [to mało, to właściwie komplement] w „sukienkach” (ach ty droga!), sweterkach i smokingach. Musiał być, w najsubtelniejszych nawet drgnieniach swej istoty, tam gdzie tkwi jądro sensu niczym nieuwarunkowanego istnienia, marną funkcją wielkiej (pożal się Boże! komu?) (może nawet aktualnie nieistniejącej??) koncepcji jakiegoś tam Kocmołuchowicza, który, za cenę władzy i działania, stracić musiał z konieczności ten wymiar istotności, będący udziałem jedynie czystych kontemplatorów i to w dodatku dostatecznie „zsofistykowanych”. Ale tamta „koncepcja” (o której nikt zresztą nie wiedział i sam jej przyszły twórca też) była bądź co bądź także wynikiem jakichś międzykomórkowych nierównowag w tym pięknym, włochatym, *czarnym mimo białości* i sprężystym jak byczy surowiec i jego własna wola, cielsku generalnego kwatermistrza. To cielsko chciało się wyżyć do końca, razem ze zbitym z nim w jedną nierozzerwalną kupę drapieźnym, nienasyconym (powiedzmy otwarcie), brudnym w swej potędze duchem. I tak oto po prostu, niewolniczo, gnuśnie, ze zsumowanych przypadkowo osobistych bezsensów, tworzyła się tak zwana historia. Bo „historia naprzód, czy na wspak, to chyba największa z blag” — jak mówi poeta. Za paręset lat nie będzie już mózgu zdolnego scałkować narastającą komplikację. Tysiąc rzutów nie da pojęcia o jednej chwilce tej najdziwniejszej z epok. Najdziwniejszej, ale dla kogoś z innej planety — nie dla nas już niestety. Ponad tym unosi się tylko zasada Wielkich Liczb, ostatnia instancja wszechświatowej konieczności tak w fizyce, jak i (trochę inaczej) w dziejach żywych stworzeń — biuro statystyczne jako kryterium Prawdy — do tegośmy dopełzli. I nikt nie widział (i nie zobaczy) całej potwornej „zdumiewającości” tworzenia się czasów i samego w nich trwania, bo o ile życie prywatne było wtedy dość już oddziwnione, to dzieje przedstawiały po prostu ucieleśnioną samą pospolitość. I nie w tym była rzecz, żeby rzeczywistość naprawdę była pospolita — fakty same w sobie dziwne, ciekawe np. dla Ludwika XIV lub Cezara, rosły jak astralne grzyby po jakimś metafizycznym deszczu, ale nikt tego nie widział. A cóż jest warte cokolwiek, co istnieć może, jeśli tego nikt nie widzi? Nic. Chyba że ciekawym jest Istnienie Poszczególne samo w sobie, czyli jakieś jedno jedyne dla siebie „ja”. Ale w *nich* nieciekawie odbijałby się świat nawet dla jakiegoś idealnego nad-observatora, o ile by takowy istniał. Zabawna była całość, zablągowana, nieodgadniona. Przepaści otwierały się nie tam, gdzie ich oczekiwano: doskonałość społeczna niosła w sobie jad, będący integralną jej częścią: nad-komplikację, przerastającą siły indywiduum. Nikły głos uproszczycieli konał w gąszczu bezosobowej zawilgości — jałową pustynię stwarzały: mnogość i bogactwo (pozorne) — tak jakby ktoś na trzechcentymetrowej miniaturze zechciał wyrysować wszystkie pory skóry, węgry i pryszczki — muszą wtedy z konieczności zatracić się rysy twarzy i podobieństwo. Ludzkość traciła swe oblicze, przez uwzględnienie najdrobniejszych jego elementów. Beztwarzowa, zamazana jedność wschodnia na krańcach historii, jak ponury, czerwony, jesienny księżyc, oświetlający pobożowisko po bezcelowej walce. Straszliwe, metafizyczne prawo ograniczenia pokazało spoza nieogarnionych pozornie horyzontów swoje nieprzebyte bariery i rogatki. Spiętrzona fala tak zwanego „rozwoju” i „postępu” kłębiła się bezsilnie u stóp przeszkody nie-do-zdobycia, którą jest — w całym nieskończonym Istnieniu, a nie tylko u nas w Polsce i na ziemi w ogóle —: niemożność przekroczenia pewnego stopnia komplikacji bez utknięcia w bezwyjściowym chaosie: niewspółmierność społecznego elementu z całością, którą wielość ich tworzy. Chyba cofnąć się. — Ale jak?

Już ubierając się wiedział Zypcio, że wstąpi tylko do domu, a potem ordynarnie „poleci” natychmiast do „Palazzo Ticonderoga” na ulicy Granicznej. Naturalnie nie w celach erotycznych (to było oczywiście wykluczone — gdzieżby! *taka hańba!*), tylko w celu esencjonalnych wyjaśnień dotyczących stosunków duchowych, wyjaśnień, które nastąpiłyby bezsprzecznie, gdyby nie przerwał ich wtedy brutalnie dyżurny oficer. To połączenie wojskowości z erotyką, ta militarna bezwzględność i mundurowo-sprzączkowo-paskowa dokładność i twardość, zastosowana do rzeczy psychicznie tak subtelnych, a fizycznie tak śliskich i miękkich, miała dla Genezypa specjalny urok. Ostrość i brzęk ostróg zdawały się wrzynać (z młodym okrucieństwem pierwsza, z rozpacz wzbudzającą beztroską drugą) w pragnące bebechy wszystkich bab świata. Co tam ta jedna głupia księżna! Miał je wszystkie pod sobą jak jakieś ujeżdżone na śmierć klacze, suki pokornie pelzające, smutnie łaszące się kotki. Czuł wyraźnie „nieczłowieczość” kobiet. (Matki stanowiły niby wy-

jątek. Ale ta sprawa była niewyraźna — chyba wziąć pod uwagę czas od chwili urodzenia dziecka). Życie roztaczało się zachęcającym skrzytem, kusząc oszalałą, pniącą się młodość — mnogością przyszłych barw nieznanych i skrytością diabelskich niespodzianek urągało czającym się w śpiących jeszcze zwojach mózgu zimnym rachmistrzom: obłędowi i śmierci. Spuścił się Zypcio ze smyczy w bezkresną pozornie dal nieodgadnionego wieczoru. A do tego nie mógł bądź co bądź w ten sposób zakończyć stosunku z osobą, która dała mu odczuć bądź co bądź po raz pierwszy jedyną bądź co bądź w swoim rodzaju groźę rzeczy płciowych i była bądź co bądź „kims”, a nie pierwszą lepszą dziewczynką, o których to stworzeniach w ogóle pojęcia nie miał. Tak okłamywał siebie, prawie nie wierząc w tej chwili w rzeczywistą egzystencję przedmiotu tych rozmyślań. Ale mimo to tak był przepracowany, zmacerowany dyscypliną i gruczołowo wyjałowiony, że ujrawszy pierwszą kobietę na ulicy zdumiał się niepomiarnie: „co też to jest za stworzenie!?” — pomyślało w nim błyskawicznie umęczone bydlę. I już w następnym ułamku sekundy uświadomił sobie fakt istnienia kobiet w ogóle — „dobrze jest — jeszcze nie wszystko stracone”. — Jednak świat bez „tego” byłby pustynią nie-do-przebrnięcia. I zaraz potem cała nędza tej „koncepcji” i odwartościowanie wszystkich „oderwanych” (od czego?) męskich spraw. Mignęły mu się, w muskularnej raczej, niż wzrokowej, wyobraźni: matka i księżna, splecione w jakimś świętokradczym kołowrotku, czy karuzeli zwierzęcych nieprzyzwoitości. Po raz pierwszy dopiero w tym połączeniu odczuł naprawdę pogardę dla matki jako dla kobiety. Jednakże wolałby, żeby całej tej brudnej historii z Michalskim nie było wcale — och — „wolałby gorąco”, aby matka wcale kobietą nie była, tylko czystym duchem, zaklętym w jakąś maszynę do rodzenia dzieci. Niepokalane poczęcie to jednak cudowna rzecz! W ogóle to słusznie tak nazwane „kalanie” to jest przecie piekielny wprost wymysł. Żeby w tym umieścić motor trwania gatunku i najwznioślejszej twórczości, trzeba być złośliwcem bez sumienia. Ale trudno: ostatnie usprawiedliwienie znajdowało wszystko w tym, że kończył się oto dawny świat właśnie w tym zaprząłym we własnym sosie kraiku, a nie wiadomo było, jakie formy mogło przybrać istnienie po tym skrycie oczekiwanym końcu. Nadzieja wszystkich zawiedzionych, niedorobionych, niedopieczonych, niedogotowanych, psychicznych „siemimiesiadczyków” — a tych był legion. Nawet konserwatyści (w miarę religijni i w miarę demokratyczni) czekali końca, żeby móc choć powiedzieć: „a co? nie mówiliśmy...?”

W domu nie zastał Zypcio nikogo. Był zły. Tak się napompował na to pokazanie się Lilianie i matce w nowym galowym mundurze ostatnich polskich junkrów. A do tego kartka, że te damy są na podwieczorku u księżnej i tam go oczekują. A wstyd! A z drugiej strony może tak było lepiej, że on nie idzie tam z własnej woli, tylko jakby z musu, żeby nie wydać się ze wszystkim przed matką. Takie zagwazdrane, dziecinne, wprost pieluchami śmierzzące problemy, splecione w jedną „girlandę” z ornamentami najdziwniejszej chwili życia: początkiem bycia „kims”, usymbolizowanym w granatowym z żółtymi rabatami mundurku. Przerażony był po prostu przepychem „palazzo Ticonderoga”. Forteca jakaś (znał ją jeszcze z niedawnego dzieciństwa) zmieniona od wewnątrz w „edredonowy, mandrylowo nieprzyzwoity dytyramb” na cześć rozpulchnionych ciał i dusz zropiałych w rozkładzie — inaczej nie da się to wyrazić. Zestawienie twardych bastionów z lubieżną miękkością wnętrza, działało już na schodach rozwalniająco-płciowo. Ich dawny „pałac” w stolicy, który zwiedzał tylko kiedyś za dawnych czasów, wydał mu się nędzną budą w porównaniu z tym gniazdem rozkosznie konającej nieprawości i wiekowych znęcań się nad ludzkim bydlę. To doprowadziło go do wściekłości. Widocznie młoda, drobkiwiczowska krew Kapenów wzburzyła się i sfermentowała, *z bolszewiczata* nagle na tle nędzy, w zetknięciu z symbolem dawnych, odwiecznych, ginących teraz pra-potęg. Cóż z tego, że matka była z domu — a niech ją — bezwstydny worek, pełen chamskich wydzielin tego „pana Józefa” — niech go „do trumny przez lejek wliwają!” Nie czuł nic ohydy tych snobistyczno-blasfemicznych myśli-gówien — za chwilę dopiero miał się wahać w przeciwną stronę.

Tym nieznośniejsze były mu w tej chwili obowiązkowe zachwyty nad jego pięknością i mundurem: duma promieniejąca bezwstydnie w oczach matki i zdziwiony wzroczek Lilian („to jednak taki morowy jest ten Zypcio!”) i dobrotliwy, smutny i trochę ironiczny uśmiezek tamtych warg wszystko umiejących. W domu całkiem inaczej wypadłyby te oględziny. Tu był nędznym dzieciakiem. Resztki kontenansu diabli wzięli. Czuł się nie

wiadomo czemu brudnym, choć wyszorowany był (szczotką (Sennebalta (Bielsko)) jak rondel w luksusowej kuchni. Ujrzał jak na patelni całą śmieszność walki z *czymś* tak potężnym, zmiennym, władającym górami całymi niezbadanych środków unicestwiania, jak księżna. Jedno lubieżne młasięcie wszechmocnego ozora i widział siebie zmienionego w oszalałe zwierzątko, miotające się we wstrętnym, upokarzającym, bezwolnym, wahałowym ruchu — jedno pogardliwe skrzywienie tych jadowitych mandybulów i mógł pograć się w beznadziejny, żalony smutek płakawego wyjca, jakiegoś śmietnikowego „trubadura” (czyż jest coś obrzydliwszego jak trubadur?) czy onanistycznej mały na łańcuszku! Teraz dopiero, na tle „umundurowania” (które tylko co było takim szczęściem) i nędzy swego stanowiska, księżna wydała mu się nareszcie prawdziwie wielką jakąś — a! czort wie kim — wielkim zjawiskiem po prostu, jak wojna, burza, wybuch wulkanu, trąba morska czy trzęsienie ziemi — była nawet bezpłciowa w tej wielkości. (Zahamowana erupcja seksualna uderzyła na mózg — w książce umieszczał teraz Genezyp negatywny ekwiwalent swego „*Minderwertigkeitsgefühl*”). I on w nią....! A, to nie-do-uwierzenia! Tego nie było i więcej być nie może. Nie mógł zupełnie pojąć, na czym polegało to wyolbrzymienie, udostojnienie, to „ukoronowanie tego babska w innym rządzie wielkości”. Bo nie urodzenie, nie uroda jako taka (w zupełnej niezależności od stosunku, jaki ich łączył i rozdzielał), nie wpływy, które miała w zagrożonym w swoich podstawach Syndykacie Narodowego Zbawienia. Więc co u diabła?

Coś było w tej nadbabe straszliwego poza wszystkim dającym się określić: stała się dla niedoszłego metafizyka wcieleniem, jedynym na razie, tajemniczości bytu, zamarłej w sferze bezpośredniego przeżywania zupełnie. W niej, a nie w nim, osobowość występowała jako tajemnica z mrocznego gąszczu życiowego zagmatwania — piętrzyła się jak niezdołana twierdza w nieskończonych obszarach bezsensu. Po co? Po to aby być, psia krew! — i na tym koniec. A reszta to umysłowe fintifluszki tchórzów i niedołęgów, zasłaniających społecznymi fikcjami, wyniesionymi do godności zaświatowych potęg, ponurą, niesprowadzalną do niczego potworność Istnienia. Bo może być i potworność wesoła — ale ta niestety jest udziałem tylko czystych cyklotymików.

Zypcio, po dwóch tygodniach gniotu dyscypliny, płał się teraz w tej atmosferze „rozdarcia ran”, z uczuciem niewysłowionej męki. (Tło, tło było nieodpowiednie — wszystko można znieść na „*podchodiaszcom fonie*”). Oglądał tajemnicze istności niepoznawalnych bytów, jak zwierzęta dziwne w menażerii lub monstrualne ryby w akwarium — przez kraty i trzycalowe szyby. Nigdy nie wejdzie do tych klatek, nie posiedzie istoty przeżywania tych bestii, nie będzie pływał nigdy w swoistym medium tych potworów jak w swym własnym. To przebicie się przez życiową realność, nudną jak beznadziejne czekanie na łup jesiennego pająka w odmuszonym, opuszczonym pokoju, możliwe było tylko przez dokonanie aktu płciowego z tą wiedźmą. Ale tego zabroni mu ambicja, której nie pokona nigdy, nigdy. Straszna jest rzeczą nie móc być panem swej ambicji i widzieć jak na dłoni, jak siła ta niszczy życie całe (jedno-jedyne, w chwilach rzadkich jasnowidzeń), dla bezpłodnych fikcji, nawet w świecie pojęć mających wątpliwą podstawę egzystencji. I cóż z tego? Nawet, nawet powiadam, gdyby mógł to wszystko przezwyciężyć, to cóż by było? Jak tego użyć, co z tym zrobić, jak uczynić *czymś* trwałym? — (bo o to głównie chodzi). A pytacie: „co właściwie?” — „no tę esencję życia, wartość znikomą uroku, która właściwie nie trwa, to coś, czego jest coraz mniej na świecie (dziś tylko wariaci coś o tym wiedzą naprawdę), a co nie mieści się ani w samym użyciu, ani dokonaniu, ani poświęceniu, tylko wszystkim tym istnościom nadaje dopiero wyższą markę: odblask niedocieczonej tajemniczości wszystkiego”. (To wszystko powiedziane było kiedyś po pijanemu przez Benza). Przecieka to wszystko przez zaciśnięte szpony, znika przed zachwyconą mordą bydlęcia w tużurku, czy mundurku, i pozostawia je znowu, wplątany w codzienny, bezsensowny kołomąt. Wiedzą o tym coś najęźsi nawet schizotypicy. Nie wynaleziono jeszcze na tę rzecz fiksatywu i wątpliwym jest, czy to kiedykolwiek nastąpi. Można tego nie mieć wcale i nie męczyć się. Ale *czymże* różni się wtedy ludzkie bydlę od zwierzęcego?

Wyrastały góry problemów, dla których jakiego-takiego załatwienia trzeba by żyć tysiące lat. Nikt nie spełnia tych trylionów czy kwindcyllionów możliwości w nim zawartych — jest jedno to paskudnie jednowymiarowe życie, *wzdłuż* którego właściwie człowiek toczy się jak po relsach — (z metafizycznego punktu widzenia oczywiście, poza

wszelkimi niezadowolzeniami — o byłby kontent chyba jako stumózgowa i milion-mac-kowa potwora) a *jednocześnie* idzie jak po linie nad przepaścią: maksymalna niewola i za to (właśnie za to) maksymalne niebezpieczeństwo — i to nie tylko na wojnie pod huraganowym ogniem, ale w zacisznym saloniku czy sypialni, wśród zbytku, ciszy, wygody i pozorów szczęścia, którego nigdy zresztą być nie może — przynajmniej dla schizoidów. Z tymi, czy podobnymi myślami w tobołku, czy plecaku duchowym wszedł był Zypcio do salonu, gdzie czekała na niego „rodzinka”, nienawistna mu w tej chwili aż do żądy mordowania włącznie. Właśnie przez swój kontrast z tą wlnią, chelbią i drętwą, czy też po prostu wybrydowaną bledzią z metafizycznych burdelów samej Astoret. Rozpar-ta w grzęzawisku lubieżnej aury siedziała na wiotkim foteliku wznosząc się w wymiarach ducha jak niedostępna turnia, zamykająca wyjście z wąwozów wiecznego upodlenia i „sro-mu” (tak — okropne!!), sama rysując się na zaświatowym niebie odwiecznych tajemnic (osobowości, płci, śmierci, no i nieskończoności), skąpiana w blasku zachodzącej swej, ale *tout de même* niepospolitej, zaiste nie-kobiecej *ęteligencji* (— jak mówiła). Odmłod-zona (w czarodziejskim zakładzie „Andrea”), nieznośnie piękna i w piękności plugawa, łaskocząco ponętna i jak nigdy dotąd po prostu „droga” — niezniszczalny dla najdzikszej rozkoszy nawet symbol ogólnego „żalu za życiem” i Zypciowego wstydliwego dziecięctwa (mimo odznak tak żartobliwie zwanego „partupiej junkra” [Kocmołuchowicz miał wprost zboczenie do Rosji]) i niezmytej hańby bez granic. Wiedział już, że wpadł na relsy — cała pomaturyczna swoboda rozwiała się.

Matka ścisłała go czule, ale w tej chwili nienawidził ją (jak „nie” połączone — to czwarty przypadek): i za to, że była tu *jego* matką (śmiała być!) (i nie szanowała nic-a-nic jego dorosłości) i za Michalskiego — to nie-do-przewyciężenia — będą wieczne fluktuacje. Gdyby choć sama była czysta i przyjęła go naturalnie jakby nigdy nic, mógłby się o nią oprzeć on — głowa rodziny. I to nawet było zobrzydliwione i ośmieszone. Wi-dział to w uśmiechu dalekiej jak mgławica Andromedy potwornej damy swego głupiego serca. Wszystko nastawione było jakąś diabelską ręką, aby go zgubić i zgotować mu naj-srozsze upokorzenie. Ledwo przywitał się z nadskakującą mu jak wróbelek siostrą: ją też mu wydarto: tamten szczęśliwiec: Sturfan Abnol, który cały świat miał gdzieś, w jakimś metafizycznym hyperderierze. Oprócz tego mundurku, w którym się dusił, nic nie było jego własnością — psia-krew, żebrak! Czyż wszystko to byłoby możliwe, gdyby ten sta-ry, przewrotny mędrzec nie zrobił tamtej przedśmiernej wolty. Mógł to zrobić on sam, Zypek, jako głowa rodziny właśnie — w tym byłaby wielkość. A tak została mu wytrze-biona ostatnia wewnętrzna trampolina dla jakiego bądź czynu. Był marionetką, (raczej „irinonetką”), a przy tym ruszał się w powietrzu jakby w gęstej smole.

Po paru objaśnieniach, które „oddał” paniom głosem zdławionym wściekłością, roz-mowa weszła na inne, plugawe tory. Ach, więc to wszystko było już ukartowane! Matka pchała go po prostu w objęcia tej klempawej szoldry, która coraz bardziej złowrogo za-czyniała mu się podobać. Czuł że nie wytrzyma i ta beznadziejna walka podniecała jego żądze aż do złośliwego szału. Znienawidził wszystkich i wszystko coraz jadowiciej, a bez cienia pogardy. Nie istniały inne kobiety — ho, ho — tylko to, a inaczej pęknie tu na te dywany, na te obrazy, bibeloty i fatalaszki, obsika ten cały kram skondensowanym, za-prawionym trującą nienawiścią, sosikiem swojej najgłębszej istoty. Najgorzej irytował go zaś zdeformowany biust księżnej, wykonany w nefrycie przez Kocia Zamoyskiego, wnuka słynnego na cały świat nieboszczyka Augusta. Wydobył z niej ten bydlak właśnie całą tę niezwykłość, która go wściekała. Ostatnim wysiłkiem trzymał się na włosku od naj-regularniejszego ataku furii. „Na włosku” — sam sobie powiedział. A był to oczywiście złoto-rudy włosku, zaplątany na podniebieniu podczas diabli-wiedzą-czego — ach, mó-wić nie warto — krwawy mrok bezecnej „chuci” zniszczenia zalewał ostatnie miękkie zwaliska mózgu — sterzczały już tylko szczyty centrów kontroli najwyższej. Chciałby się bić z nią jak z napadającym wstrętnym drabem — jakiś pojedynek na śmierć... Ona, zgadując jego myśli, rzekła wolno:

— Kiedy panie wyjdą — ja nie wypraszam — ale sama mamusia pana mówiła („ach więc one wyjdą, a on zostanie — tak zostanie — musi, musi —”) to pójdziemy na „*escrime*” do sali gimnastycznej. To panu dobrze zrobi... — Matka coś głądziła dalej. Syczącym głosem przerwał te jakieś nieokreślone dywagacje na jego temat, a mające bardzo nie-przyjemny posmak pchania go w jakieś karierowe świństwo.

— Więc mama chce, abym ja był po prostu tajnym adiutantem pani — ordynarnie oczyma wskazał księżnę. — Wie mama chyba o zasadniczej sprzeczności syndykatu i partii wojennej, która jest wierną naszemu wodzowi. Oni by chcieli dyplomatycznie opanować Chińczyków i uratować...

— Cicho, cicho... —

— Nie będę cicho. Ja was wszystkich zadenuncjuję...

— Nic nie rozumiesz, dziecko. Ja ciebie już wychowywać dalej nie potrafię. Nie chcę, abyś niszczył stosunki z ludźmi tak sobie życzliwymi jak Irina Wsiewołodowna. Mówiła mi, że była u ciebie w szkole i że byłeś niegrzeczny. Dlaczego? Nie trzeba zniechęcać do siebie ludzi chętnych... (Wiedział, co to za chętki. Czy ta mama zgłupiała, czy spodłala tak z tym „panem Józefem”?)

— Czy mama nie wie — zaczął, ale musiał spojrzeć na tamtą i sparaliżowany okrutnym, żółto-zielonym błyskiem jej oczu urwał. — Czy mama jest tak naiwna — i urwał znowu.

— Ja chcę tylko, żebyś umiał ocenić dobroć Iriny Wsiewołodowny, która obiecała wprowadzić cię w świat polityczny. Jesteś przeznaczony na adiutanta Generała-Kwatermistrza — (tak mówili o nim tylko w pewnych sferach). — Nie możesz być takim zwykłym, głupiotkim oficerkiem — musisz poznać wpierw ludzi wybitnych i wiedzieć, jak się zachować w sytuacjach nader skomplikowanych — musisz też nabrać ogłady, której niestety takim przeciwnikiem był twój nieboszczyk-ojciec.

— Proszę nie mówić o ojcu. Zrobię, co zechcę. Jeśli nie nabiorę sam politycznego rozumu, zostanę oficerem frontowym, do czego mam największą skłonność. Potrafię zginąć bez parszywych form intelektualnych, wymaganych w jakichś parszywych politycznych salonikach, w których robi się bezsilną politykę kompromisu...

KSIEŻNA (szczęśliwa). — Panie Zypku — jeszcze herbaty. Z pana zdolnościami szkoda, aby pan robił to, co za pana byle dureń potrafi. A przy tym będzie pan miał punkt obserwacyjny świetny. Człowiek zajmujący się literaturą nie powinien odwracać się od życia i to wtedy, jeśli ono chce mu pokazać swą twarz z najciekawszej strony. —

— Zupełnie inne na to mam poglądy. — (Księżna uśmiechnęła się ironicznie: „ona ma poglądy!”) — Życie nic z literaturą wspólnego nie ma — chyba u autorów, którzy w ogóle do literatury nie należą — są bezmyślnymi fotografami jakichś zatęchłych kąci-ków rzeczywistości. Literatura właśnie — nie teatr i nie poezja, tylko proza — stwarza nową rzeczywistość według teorii Chwistka. Teoria ta bezsilna jest wobec sztuki czystej, ale na szczęście to coś, czego nawet nie rozumiem, zanika w naszych oczach. Rozumiem właśnie twórczość nie jako produkowanie tej idiotycznej, nikomu niepotrzebnej tak zwanej „czystej formy” i nie jako odwalanie rzeczywistości, tylko jako stwarzanie rzeczywistości nowej, do której uciec można od tej, której mamy dosyć po same gardła...

— No czy tak bardzo dosyć, panie Zypulka — śmiała się już otwarcie Irina Wsiewołodowna.

MATKA. — Zypciu! Jak ty mówisz ordynarnie! Ty musisz zacząć bywać... — Księżna spoważniała.

— Panie Zypku: Sturfan Abnol, ten schizofrenik, ten genialny marzyciel wcielonej pustki, zawrócił panu głowę swymi teoriami. To dobre w teatrze Kwintofrona Wiczorowicza — dodała widząc oburzenie na „jasnej twarzycze” Lilian — w teatrze w swoim rodzaju nadzwyczajnym. Tam jest miejsce dla niego, artyście — bo artystą jest, mimo że twierdzi, iż sztuki nienawidzi — tam, gdzie właśnie zupełna pustka w znaczeniu nieobecności wszelkiej treści realnej wciela się naprawdę w życie jako zbiorowa twórczość artystyczna. Indywidualizm się w sztuce skończyło. Bo w to wytwarzanie nowej treści urojonej, w przeciwieństwie do jakiegoś dawnego formizmu, nie wierzę. Byłam raz i *nic* — dosłownie *nic*. Ale musimy tam pójść razem. Lilian już w przyszłym tygodniu wystąpi po raz pierwszy w cudnej burdelesce swego Sturcia czy Fania. Ale literatura — mówiła dalej swym najbardziej uczonym stylem — nie tkwiąca silnie w podłożu społecznym danej chwili, bojąca się jadowitych problemów i dalekich horyzontów dla jakichś dydaktycznych urojeń; chęci podnoszenia mas, musi być fałszem, narkotykiem „*tretiawo razriada*” dla ludzi słabych, nie mogących wziąć za kark najprostszej rzeczywistości. Sam Abnol przerzuca się na teatr z całym swoim niby hyperrealizmem... (Nieletni fornikator był zgębiony na miękko. Rosyjski przewlekły akcent działał na niego jak *jobimbina*).

— Co za pomieszanie pojęć w tej biednej rudej głowie — zaczął Genezyp programowo — wyższościowo, ale nie wystarczyło mu materiału i odwagi i utknął. — Niech pani lepiej postawi jasno kwestię wobec mamy. Skąd ta cała życzliwość dla mnie? Chce pani mieć okaz dla obserwacji? Chce pani na mnie wykonać jeszcze jakiś piekielny eksperyment, bo się pani nudzi. O, gdyby mama wiedziała wszystko!

— Wie — nie skłamałam nic. Mama mnie rozumie jako kobieta. Nieprawdaż, baronessa?

— O, jak ja jednak panią znam! — Zakrył twarz rękami purpurowy ze złości i wstydu. Jakiż był piękny! Szkoda! Lilian pochłaniała nierozczłonkowaną, niezrozumiałą „istotę życia” podświadomymi ssawkami. Coś się w niej prężyło do skoku — jeszcze chwila, a będzie wiedzieć wszystko. To wiedzieć i potem wkręcić w to Abnola i wszystko inne dalej — położyć się na życiu, jak pantera na dogonionej antylopie, odpocząć, a potem chleptać żywą krew... Znowu nadstawiła różowe uszki pod niewinnymi blond-kosmykami.

— Nic-a-nic mnie pan nie zna i nie pozna nigdy. „Poznaj mię dobrze, bo wkrótce utracisz, jak sny przez dobre duchy malowane” — co to: Słonimski, czy Słowacki? *A usio rawno! Głupie poetniki*. Pan jest dziecko — biedne, okrutne dziecko. Kiedyś pan zrozumie wiele rzeczy, ale wtedy może być za późno, za późno... — Coś zajęczało w jej głosie, zajęczało powoli coraz bardziej jej biedne serce. Była teraz jak duża, przemądrzała i bardzo biedna dziewczynka. Genezypa zdławiła za gardło jakaś wstrętna litość. — Pan mnie sądzi fałszywie. Pan jest z tych, którzy prócz siebie nikogo od środka nie pojmą — nigdy — w tym pana szczęście i nieszczęście. Pan będzie dotykał życia przez ciepłe, grube rękawice — już nie przez gumę — pana nic nie zrani, ale nie dojdzie pan nigdy do całkowitego szczęścia w uczuciu. — („Sama jest taka” — pomyślał leniwo Zypcio). — Skąd pan wie, przez co ja przeszedłam, i co cierpię teraz. Człowiek z bólu może pokąsać rękę, która go głodzi. Pan zastępuje mi synów, których tracę — każdego inaczej. Maciej jest obcy, a Adam nie wyjdzie już stamtąd... — (Zażęła na sucho i opanowała się natychmiast). — I zamiast cenić mamę, że jest tak liberalną matką, pan nią za to właśnie pogardza.

— Matki nie powinny wglądać w brudne męskie sprawy synów, o ile nie przekraczają one granic kryminalnych... Sprawy, nie matki. Cha, cha! — śmiał się nieprzytomnie jak bohater Przybyszewskiego. — Baronowa, przygotowana snadź na wszystko, nie drgnęła nawet.

— Księżna jest bardzo zdenerwowana i opuszczona. Książę i markiz Scampi musieli wyjechać do stolicy, a książę Adam jest aresztowany. Pomyśl — jest sama — chodzi o to, ażeby miała młodego przyjaciela. Młodość to wielka rzecz. Ileż jej idzie na marne, gdy dla kogoś mały jej kawaleczek może być tą wielką dźwignią, dopełniającą jego układ sił... („Język »pana Józefa«” — z obrzydzeniem bąknął w myśli Zypcio. „Ja mam być podręcznym akumulatorem energii dla tego babska!”).

— Tak — moją uboczną misją na tym nędznym światku — (Mignął się jej w wyobraźni jakiś wspaniały dwór i ona jako kochanka młodego króla — wszechwładna w polityce i w miłości...) jest wprowadzenie pana w świat. Przeżyję w tym moją drugą młodość.

— Ale czemu naprawdę nie pojechała księżna do stolicy? — brutalnie spytał Genezyp, nagle zdołała, zły samiec. Zdawało się, że w oczach trzech kobiet pokrył się cały włosami. Zmałpiał.

Nastała chwila niby-kłopotliwego milczenia. Światy waliły się gdzieś, niepodobne do tego, w którym odbywała się ta rozmówka. I mimo że, połączywszy odpowiednie punkty, można by jeden z drugiego kolineacyjnie wyprowadzić, nikt z tych czworga ludzi, w życiu samym w sobie pogrążonych, nie wiedział nic o tamtych „zaświatowych” obszarach, w których żyli teraz, aktualnie, jak widma, obdarzone wyższym ponad-bydłym sensem — wszyscy czworo w tej samej dokładnie chwili, gdy pili herbatkę tu, w tym saloniku.

— Czemu tak, czemu — powtórzyła obłądnie księżna i zaraz spadła z tamtego wymiaru w ten salonik, jak postrzelony ptak. — Muszę tu pilnować przyjaciół męża, a przy tym mam pewien osobisty interes... Gdybym była tam, musiałabym się starać o uwolnienie Adama. A ponieważ znany jest mój osobisty urok, więc rozumie pan, oni wszyscy zawzięci są na mnie więcej niż na kogokolwiek bądź — żeby pokazać swój niby obiektywizm, dla przykładu, żeby pokazać, że ja na nich nie działam, właśnie na złość będą

Grzeczność

stokroć bezwzględniejsi niż z jakąś pierwszą-lepszą petentką... — Genezyp nie słuchał tych tłumaczeń.

— Ten osobisty interes, to jestem ja — raczej moja cielesna powłoka. „*Oboloczka*” — tek. — (Był sam dla siebie tak wstrętny, że nie mógł „wyjść z podziwu”, że go po prostu na pysk stąd nie wylewają). — Jestem dla pani smacznym kąskiem — niczym więcej. Bo nawet sympatii pani dla mnie nie ma. Traktuje mnie pani jak głupie zwierzątko — użyć, a potem wyrzucić. I tylko podziwiam matkę, że z panią razem przystępuje do spisku przeciw mnie, chcąc mi odebrać siłę i odpowiedzialność, jako jej opiekunowi.

Ta bzdura była już kompletnie ponad siły obu pań. Coś zaczęło się rwać. Bezsens stanu całego społeczeństwa, z fikcyjnym rozdziałem na Syndykat i to coś bezimiennego, o czym bali się mówić, a nawet myśleć, najśmielsi, i to beztwarzowe, tajemnicze, zadowolenie z chwili, to właśnie wcielało się w tę właśnie chwilę w tym salonie, jak w najdoskonalszy symbol. Niepotrzebność tych ludzi i takich ich stosunków. Ale niepotrzebność dla kogo? — dla nich, czy dla tych tam obalwaniowych i *zadowolonych* robotniczy? Chwilami zdali się niepotrzebni wszyscy, i ci, i tamci — niepotrzebny był świat — nie miał go kto przeżywać w sposób godny i warty. Zostawał pejzaż sam w sobie i trocha bydła — to mało. Tylko żywy mur chiński mógł jako tako to załatwić — ale to było coś w rodzaju lawiny: bezimienny żywioł. Lepiej by jeszcze zrobiła „*eine Weltkatastrophe*” — zderzenie planet czy wejście w nieznaną mgławicę.

KSIEŻNA. — Pan jest niemożliwie brutalny. Myśmy mówiły tu z godzinę przed pana przyjściem, wszystko ułożyliśmy, już było tak dobrze, tak dobrze, a tu...

GENEZYP: — Porozumiały się panie jako kobiety, mama ma *pana* Michalskiego — pani chce mieć mnie. Mamie jestem niepotrzebny, nawet zawadzam jej w tym całym „nowym życiu” (z ironią) — chce mnie zwalić z karku i jako syna, i jako opiekuna. Anadiomene z piany od piwa — piął się — tania gargotka z higienicznymi miłosnymi placuszkami, — ja nie chcę być jaką „*Selbstbefriedigungsmaschine*”, ja...

MATKA: — Zypciu! Tu jest twoja siostra. Zastanów się, co mówisz. To obłąd zupełny, — ja już nie wiem, kim ja jestem. Boże, Boże...!

GENEZYP: — Niech mama nie wzywa Boga, bo Bóg dla mamy dawno umarł: razem z papą: to było jego istotne wcielenie. — (Dobrze, ale skąd to bydło wiedziało np. o tym?) A ta „siostra” za parę tygodni więcej będzie wiedzieć o życiu, niż ja — a może już wie teraz. Nie mam nic przeciw Abnolowi, ale z daleka od Lilian.

— Podświadoma zazdrość brata — rzekła z naukową powagą księżna.

MATKA: — Sturfan jest potomkiem bojarów rumuńskich, a za rok niecały będą mogli się pobrać. Lilian kończy szesnaście lat we wrześniu.

GENEZYP: — A róbcie sobie co chcecie! Nie wiedziałem, że w ten pierwszy dzień wyjścia mojego ze szkoły takie będę miał przyjemności. Wszyscy za mnie coś chcą robić, a nikt nie wie dokładnie co. Ale w imię czego, tego też z was nikt nie wie — oto co jest gorsze.

KSIEŻNA: — Właśnie to jest ta bezideowość dzisiejszej młodzieży — z tym chcemy rozpocząć walkę, zaczynając od pana.

GENEZYP: Wskażcie mi tę ideę, a upadnę przed wami na brzuch. Idea hamulcowa — oto wasz najwyższy szczyt.

KSIEŻNA: — Są idee pozytywne — jest Syndykat Zbawienia. Tylko na hamulcach wóz nasz toczyć się może na takiej pochyłości jak dzisiejsze czasy. Hamulec jest dziś najpozytywniejszą rzeczą, bo stwarza możliwości innego wyjścia niż bolszewicki „*impasse*”. Idea narodu jest konieczna...

GENEZYP: — Idea narodu kiedyś, krótki czas, była ideą pozytywną: była to idea-juczne bydło, niosła na swoim grzbiecie inne. Była to pomocnicza linia w zawiłym geometrycznym rysunku. Wielbłądy ustępują przed lokomotywami — po wykonaniu planu linie pomocnicze wyciera się. Wszelki kompromis narodu i społeczeństwa jako takiego jest niemożliwy. I mimo całej beznadziejności należy wam zginąć na tych nowych okopach Świętej Trójcy — tylko bez Boga — oto sztuka. A trójca wasza to chęć użycia za wszelką cenę, chęć już tylko pozorów władzy za cenę lizania brudnych dla was łap proletariatu i wola kłamstwa, jako jedynej twórczości — oto wasze idee.

LILIAN: Przyszły mędrzec z Ludzimierza, jak przyszły święty z Lumbres w pierwszej części powieści Bernanosa!

GENEZYP: — Jakbyś wiedziała! Zobaczysz jeszcze czym...

KSIEŻNA: — Nie zakłamuj się, Zypulka. Ja sama miałam też kiedyś takie pomysły. Ale teraz widzę, że tylko w kompromisie jest przyszłość, przynajmniej na dystans naszych tymczasowych istnień. Czemu Chińczycy zatrzymali się? Bo się boją Polski, boją się, że tu, w tym kraju kompromisu, siła ich rozbije się choćby chwilowo, że się rozłoży ich armia, gdy ujrzą kraj szczęśliwy, bez żadnych bolszewickich pseudo-idei.

GENEZYP: (Ponuro). — Raczej to bagno. Czyż kraj nasz jest szczęśliwy? Jeśli się wejrzy w głąb tego splotu... („Tu są takie aktualne, częściowe sprawy do załatwienia, a ten brnie w jakiś „pryncypjalny rozgwor!”)

KSIEŻNA: — Nie trzeba za nic patrzeć w głąb. Po co! Trzeba żyć — to największa sztuka. — (Błada, nędzna wydała mu się jej afektacja w tej chwili), — Ach — czuję, że idzie na mnie coś wielkiego z dalekich przestrzeni, co mi potwierdzi moje prawdy! Pan, panie Zypku, może oddać nam nieocenione usługi, o ile, jako tajny członek Syndykatu, wejdzie pan w najbliższe otoczenie Kwatermistrza, który otacza się ludźmi politycznie bezpłciowymi.

GENEZYP: — Po prostu chcecie ze mnie mieć szpiega w sztabie tak zwanego przez was Kwatermistrza. Tyle on jest Kwatermistrz, co ja. To jest wódz. A niedoczekanie wasze. Nie — dosyć — będę tym, czym być chcę. Będę miał cierpliwość, aby to zobaczyć bez niczyjej pomocy. Od tej chwili niech nikt nie śmie mną kierować, bo ja go pokieruję tak, że popamięta, albo nie popamięta wcale — to gorzej. Nie prowokujcie we mnie tajemnej siły, bo was wszystkich rozniosę. — Olbrzymiał fikcyjnie, wydymany urojoną potęgą — czuł to, ale opanować się nie mógł. Coś obcego stawało się najwyraźniej w mózgu — ktoś tam grzebał niewprawną ręką w tych zawitych aparatach — ktoś nieznan, jakiś straszny pan, który nie raczył się nawet przedstawić, za niego załatwiał wszystko — bezczelnie, pośpiesznie, bez namysłu, na pewno, bezapelacyjnie. Sam początek, ale wystarczy. „Czy to tamten, już trochę znany (choć powierzchownie) gość, wylazł z ukrycia? Boże — co się stanie za chwilę?! Nikt tego wiedzieć nie mógł, nawet sam Bóg, chociaż mówią, że to ON właśnie odbiera rozum swoim stworzeniom — jak wszystko inne zresztą — odbiera i daje. On albo programowo niszczy częściowo (czy „wylacza”) swoją wszechwiedzę (jest wszechmocny — tak) (dla swojej zabawy, czy „zasługi wiernych”), albo jest okrutnikiem ponad wszelkie nawet ludzkie zrozumienie. A czyż jest okrutniejsze bydlę niż człowiek?” — Tak mniej więcej myślał okruchami Zypcio, na tle tamtego mózgowo-materialnego działania się czegoś niewiadomego. Wydzierał się Zypcio sam z siebie w tajemniczy, okropny świat, w którym rządziły inne prawa, niż tu — ale gdzie to się działo? Był tu i tam jednocześnie. „Gdzie jestem?” — krzyczał ktoś bezgłośnie w jakichś jaskiniach bez formy, dna i sklepień, w „grotach, które rzeźbi sen i obłąkanie” [Miciński]. Ach — więc to jest ten obłąd, o którym się tyle mówi. To wcale nie jest takie straszne: lekka „nie-euklidesowość” psychiki. A jednocześnie ta „próbka bez wartości” była czymś tak okropnym, że na całe życie wystarczy by mogła. Nie to samo — tylko to, co być poza tym mogło: co powiedzą na to centra motoryczne, a dalej mięśnie, ścięgna, kości — czy nie obrócą wszystkiego dookoła w puch i proch — a potem konsekwencje — to jest straszne. A jednocześnie, z przerażającą zaiste jasnością, widział całą głupią, pospolitą sytuację obecną. Zatrzymał wzrok na Lilian, jak na libelli stałej w nachyleniu wśród tego chwiejnego kłębowiska pospolitości. Kochał ją, żyć bez niej nie mógł — ale działo się to za szybko, tą, która zawsze oddzielała go od świata. Sztylet zdradliwej ambicji wbił mu się we wnętrzości od spodu — zniemackie pchnięcie zagrobowego ojca. To ona temu winna — matka — ona jest wariatka. To po niej ma ten cały pasztet we łbie. A jednak ani na chwilę nie chciałby być kimś innym. Dźwignie samego siebie ponad siebie razem z tym obłądem. Bo to był obłąd — wiedział o tym, ale jeszcze się nie bał. Ta myśl była jasna aż do oślepienia — czarność dookoła. Jednak trochę się przeraził i oprzytomniał. Wszystko to trwało jakies nieuchwytnie mgnienie czasu. Gdzie to się podziać mogło w oczywistej jednoczesności? Jakby czas się rozdziwił i biegł na wyścigi dwiema różnymi kolejami.

Genezyp stał oparty pięścią o stół. Był blady i chwiał się z wyczerpania, ale mówił zimno, spokojnie. Czuł w sobie rozgałęzionego jak polipa ducha Kocmołuchowicza — przyjemnie jest mieć wodza i wierzyć mu. (Księżna wyła do wewnątrz z zachwyty. Tak się

jej podobał ten mały „buntowuszczyk”, że nie wiem. Ale teraz zgiąć go trochę, chociażby troszeczkę upokorzyć i żeby na nią, w postaci gwałtu i tych jego soczków (jak nacięta młoda brzoźka w słońcu) wyładowała się ta cała dziwna, zagmatwana wśród hamulców wściekłość: „Skanalizowanie męskiego abstrakcyjnego szalu i niewystarczalności wszystkiego” — jak to nazywał markiz Scampi). Matka przerażona nagle zacichła jakby obita od środka i przyplaszczyła się. Ale za to Lilian patrzyła na niego z uwielbieniem — to był ten jej ukochany, wymarzony Zypcio — takim go chciała mieć jako brata właśnie: prawie wariatem. Nienormalność była konieczną pieprzną zaprawą bratersko-siostrzanych infiltracji, o mały prożek już od płciowych psycho-centrów — (dla niego też). Taki inny był niż wszyscy — „niezyciowe widmo” — jak mówił Sturfan Abnol. Wszystkie trzy baby, każda na swój sposób, korzyły się przed urojoną potęgą chwili, nie widząc (jak zwykle) istotnych powiązań na daleki dystans. Znowu zaczęło się to samo:

GENEZYP: Będę takim, jakim być chcę, chociażbym tam miał i zwariować. Tak więc mama wie, że byłem kochankiem tej pani i że w moich oczach zdradziła mnie z Tol-dziem. Tak — patrzyłem na to z łazienki, zamknięty umyślnie na klucz. — Spodziewał się, że jeśli sam to jasno wypowie, tym samym wzniesie się ponad dziejącą się za jego plecami machinację. Obie damy zachowały zupełny spokój. Nowe kierunki w wychowaniu panienek: przepajanie całkowitą wiedzą zła z punktu, w samym nieomal zarodku uczuć. To miały być te silne kobiety przyszłości. Lilian wiedziała o wszystkim: pojęciowo — raz — i dwa): bezpośrednio, dolnym brzuchem, w którym przeżyły się głodne życia potwory. — I mama by chciała, abym ja potem...! Ja nie wiem, gdzie ty żyjesz obecnie — w jakimś niezrozumiałym dla mnie świecie. I to nie jest świństwo! — to syn jest bardziej konserwatywnym od matki! To wszystkiemu winien Michalski — pan Józef — cha, cha!

MATKA: Okrutny jest twój śmiech. Przypomnij sobie ten ranek... Jakże byłeś inny wtedy...

GENEZYP: I wstręt mam jeszcze dotąd do siebie za ten ranek. To było właśnie po *tym*... — (Tu wskazał na księżnę). — Chcę strząsnąć z siebie wszystko, być nagim jak embrion i zacząć wszystko na nowo. — (Baby w śmiech — ale szybko się opanowały. Strasznie oburzony Zypcio zmartwił zmieniony w jedną ranę. Zapadał się w grząski wstyd, śmieszność lepka i jałową beznadzieję. Huśtawka). I Lilian, Lilian wtajemniczona w takie rzeczy! — Chciał się ratować histeryczną obroną siostry — naprawdę nie obchodziło go to wcale.

MATKA: Ty nic nie rozumiesz kobiet. Widzisz w nich najgroźniejszą siłę, zagrażającą twojej niewykształconej indywidualności, a nie dostrzegasz tego, jak krucha jest ta ich potęga — ile muszą one nagromadzić w sobie pozornego zła, aby was w ogóle wytrzymać. Ty nie wiesz, co ona wycierpiała dla ciebie. — Wstała i objęła księżnę. — My obie tak cierpimy razem nad tobą. Zrozum sercem i ją, i także twoją biedną matkę, która nic prócz cierpień w życiu nie miała. Ty nie wiesz, co to jest zacząć kochać naprawdę po trzydziestce! — Zaczął tajać po wierzchu — spocił się jakby tłustą czy śluzowatą litością — ale się trzymał — raczej tamten „gość” trzymał go na granicy zupełnej fiksacji. „W obłądnie też jest siła” — pomyślało mu się w pustej przestrzeni między sobowtórami.

GENEZYP: Nie chcę nic o tym wiedzieć! Wstrętne jest to uczuciowe ślimaczenie się wasze. O — jakże ohydną rzeczą jest uczucie ludzkie, właśnie ludzkie — to zawinięte w kłamlive futerały odpadków społecznych transformacji. O wiele szczęśliwsze są bydlęta — tam u nich jest to prawdą.

MATKA: Mało co różnisz się od bydlęcia, moje dziecko. Przebierasz miarę w brutalności, łudząc się, że jesteś silnym człowiekiem. A co do Lilian to są te nowe metody wychowania. Nie chciałyśmy cię zrazać przedwcześnie. Wczesne uświadomienie nie jest niczym złym — przesady, które kosztowały wiele pokoleń ich zdrowie psychiczne. Za kilka miesięcy Lilian będzie i tak żoną Sturfana. Prawda, córeczko, że lepiej teraz się czujesz, jak wiesz wszystko?

LILIAN: Ależ oczywiście, mamo! Nie ma o czym gadać. Zypcio jest dzieciak, ale jest wspaniały w swoim rodzaju. Z czasem oswoi się ze wszystkim. Przecież na Nowej Gwinei nie ma wcale kompleksów freudowskich. Tam dzieci od szóstego roku życia bawią się w małżeństwo. A potem wszystko jest „tabu” w obrębie jednej wioski. A siostra jest największe „tabu”: za dotknięcie śmierć — [dodała z nieprzyjemną kokieterią]. — Wszystko jeszcze będzie dobrze: wewnątrz pozornej mechaniczności życia my stworzymy nowe,

Szaleństwo

normalne pokolenie — nie nasze dzieci, tylko nas samych. My nieznacznie, od środka zmienimy wszystko. — [dodała znowu z naukową już całkiem powagą].

— Dla Chińczyków będą te nowe pokolenia — nawóz albo podmurowanie ich konstrukcji w tym kraju — przerwał jej wściekle upokorzony Zypcio, któremu wszystko przewracało się w głowie. — Frazesy, gołosłowne obietnice bez podstaw, otumaniania się nałogowych optymistów — ja wiem to po sobie. — A jednak sytuacja podobała mu się gdzieś na dnie, ale na przekór wszystkiemu, co uważał w sobie za wartość: sam początek perwersji — dzieło tamtego draba w nim. Tylko czym było to dno? (Co to mogło obchodzić takiego Kocmołuchowicza!? Furda! A jednak to są te właśnie różniczki, (te „cząsteczki mózgowo-psychiczne” jak mówił pewien zniewieściany hrabia-bergsonista), z których robi się miazga, w której pracuje taki mąż stanu, który — i tak dalej. Nie wiedział Zypcio, jak są do siebie podobni z tym oberhyperkwatremistrzem, którego tak wielbił i który dużo by się mógł nauczyć, patrząc przez lupę na tego swego mikrosobowótora. Za późno się spotkali, ze szkodą dla nich obu).

Coś wyłaziło znowu z głębi. Oświeciła Zypcia nagła błyskawica od środka — objawienie. Stało się w nim całym tak lekko, przestronno (i jasno nawet) jak w zakatarzonym nosie po dwóch decygramach kokainy. Ten tam nienazwany, którego się bał i przed którym się bronił, to drugi on prawdziwy, najprawdziwszy — wypuścił go z podziemi na światło — niech się rozprostuje, rozepcze i też niech użyje. [„Wariat może spełnić swoje życie jedynie w obłędzie” — tak by powiedział genialny Bechmetiew]. Wszystko poświęcić można, aby go poznać wreszcie i ujarzmić, lub być ujarzmionym. Ale jak to uczynić, za cenę jakich zbrodni czy wyrzeczeń. Takie długie to życie jeszcze! Od tamtego można by się nauczyć, jak je zapelnąć i przetrzymać. Tylko tamten może to uczynić — on sam będzie zawsze „za szybą”, jak ryba w akwarium.

Informacja: Nie czuła tego wszystkiego Lilian. Wszystko miała w sobie — była doskonała, psychicznie okrągła, bez skazy — jak papa — cyklotymik. To (co za cuda kryły się w tym „tym”!) bawiło ją jedynie umysłowo, zupełnie na zimno. Świetnie dopasowała do swego wewnętrznego chłodu maskę dorosłej osoby. Ten chłód, było to właśnie to, za czym tak dziko szalał Sturfan Abnol. Ale dotąd (broń Boże) nic między nimi nie zaszło. Parę pocałunków, podczas których spytała go lodowato: „czemu mnie pan tak liże?” — nie było to wstętne, tylko dziwnie obojętne — nie pochodziło z tego świata, w którym żyła w myślach swych: nie połączyły się jeszcze wybuchowe materiały z lontem, prowadzącym do ukrytych w małej, „dobrze zekwilibrowanej serwelce” (jak mówiła księżna Irina) detonatorów. Ale coś wyłaniało się poza tym: owoc życia, bezkształtny jeszcze, nie przypominający na razie w niczym Fallusa, wypinał się kusząco. Zdawało się to tak idealne jak przeziorek seledynowy wśród mgieł w jesienny poranek, a były to całe węzowiska plugawych sił i apetytów, rozpierających się aż w nieskończoność. Kiedy już, już miały się zetknąć niewspółmierne światy (jak usta — ale te idealne, nie mięsiste wargi Sturfana z jej poziomkową marmeladką) i stworzyć nowe chemiczne połączenie: świadome kobiece bydłectwo i potęgę, Lilian doznawała czegoś graniczącego prawie z religijnym zachwytem: jej czysta jeszcze bądź co bądź duszyczka płała się w eterycznej, niespełnionej piękności urojonego, nieurzeczywistnialnego Istnienia.

Zamknęły się znowu „wrzędzące” więziń: jeszcze nie czas. Genezyp opadł bezwładnie od wewnątrz. Odbite miał mięśnie od kości i wszystkie bebechy w nieładzie. Mógł być tytankiem tam w szkole i walczyć zwycięsko ze swymi osobistymi wrogami: dowódcami sekcji i plutonu. Ale tu, oblepiony świńskością i urokiem spotęgowanego ponad jego miarę życia w formie tych bab (te rodzinne potęgowały tylko urok tamtej księżęcej bestii, zamiast osłabiać, jak by to powinny) poddawał się na całej linii. Chyba trzasnąć do diabła wszystkie trzy od razu (tylko od razu — inaczej nie wyjdzie ten pasjans) i nie zobaczyć ich nigdy więcej w życiu. Ach — gdyby to tak można taką sztukę wyczynić — są przecież tacy, co tak robią. Coraz mniej ich jest, ale są, psie-krwie. Ale na to nie miał odwagi. Sam utajony obłęd trzymał go za kark i kazał chleptać z tego koryta nędzy dalej. Brzydki kompromis wlał się z boku i płynął jak struga mętnego bocznego potoku

w czystej rzece. Zarzut bezideowości palił go wstydem nieznośnym. Jakąż bowiem miał ideę? Czym mógł usprawiedliwić fakt swego życia, nagi, odarty z codziennych, drobnych dowodów konieczności, sterczący chwiejnie z otaczających bagnisk bez żadnych podpórki dziecinnych koncepcji istotności koncentrycznych kółek — no czym?! A ta wściekła baba miała przy tym jakieś polityczne koncepcje, miała w ogóle łeb na karku, a w tym łbie mózg wcale nie ostatniej jakości, prawie że męski i w dialektyce wyćwiczony. Nie było wcale łatwą rzeczą tak ją z punktu zlekceważyć. Czy to nie oburzające?

Wlekło się wszystko niemożliwie. Już nikt go nie przekonywał. Wiedziały wszystkie trzy (jak więdmy z Makbeta), że się poddał. Babi tryumf zapanował w salonie, oblepił nieprzyzwoitym śluzem wszystkie meble, dywany i bibeloty. Matka i Lilian podniosły się z foteli z tym charakterystycznym pochyleniem naprzód, wyrażającym dystygowane pływanie ponad nędzną, przewyciężoną rzeczywistością — była w tym też wdzięczność dla księżnej. Pani Kapenowa ucałowała syna w „czołko”, nie pytając go nawet, czy wychodzi, czy zostaje. Przyszły adiutant Wodza zadrżał od tego pocałunku: nie miał ani matki, ani siostry, ani kochanki; był sam zupełnie w nieskończonym wszechświecie, jak wtedy, po tym fatalnym przebudzeniu. O ekskrementalnych przyjaciółach nawet nie pomyślał. Ha — niech się dzieje co chce. Wyjdzie i nie wróci, tylko nie teraz, nie zaraz, na Boga, nie w tej chwili. „*Der Mann ist selbst*” — jak mówił naczelnik szkoły, generał Próchwa.

Wyszedł z paniami do przedpokoju. Ale kiedy całował na pożegnanie *piekielnie miękawą* rączkę księżnej Iriny, ta zdążyła mu szepnąć razem z gorącym oddechem, wycelowanym prosto w prawe ucho: „Zostaniesz. Niezmiernie ważne rzeczy. Cała przyszłość. Kocham cię teraz zupełnie inaczej”. Rozpuścił się w tym szepcie, jak cukier w gorącej wodzie. I nagle, zmieniony sam dla siebie do niepoznania, rozjaśniony upadkiem, już nie sam i nie w rozpacz (ujutność trochę śmierdzi, ale to nic) zadowolony, rozczulony, prawie szczęśliwy przez łagodne (środek łagodnie rozwalniający) płciowe rozluźnienie, został. Ale zaraz po wyjściu tych pań księżna stała się zimna i daleka. Genezypa chwyciła znowu lodowata rozpacz — za mordę, brutalnie. Na to więc zdradził sam siebie, aby za upadek wewnętrzny nie dostać nawet jednego ochłapu, choćby gorszego, tego ciała, którym w istocie pogardzał. Natchnienie do jakiegoś decydującego czynu nie przychodziło. Łupić, bić, mordować, kopać — a tu stał w kąciku grzeczny chłopczyk z sercem *en compôte*.

— ...teraz nie będziemy mówić o nas. — [Siedział wypięty i po wojskowemu stężały. Ta „kupa elementów” przed nim była tak daleka (oto „inny wymiar” jak byk w tej samej przestrzeni), że nie mógł pojąć, nawet w przybliżeniu, jakim cudem mógłby sobie pozwolić na najłżejszy nawet, „najsiostrzeńszy” pocałunek. Męka rozkładu za życia, i to na zimno, trwała. „Ach — wyrwać się już raz na szeroką falę bez tych przeszkódek, zastawek, drobnych hamulczyków” — ciągle miał uczucie, jakby mu kto laskę między nogi wstawiał. Koniec szkoły — oto termin ostatni — wtedy on im pokaże... Ale żeby nie było tak, jak z maturą, kiedy to najważniejsze problemy osobowości wylazły wtedy, gdy wszystko zdawało się być załatwione, skończone.] — to najmniej ważne (niby „my”) — Ważniejsze jest to, kim ty będziesz dalej. Ty właśnie, Zypciu, z twoją naturą pełną tajemniczego, bezforemnego żaru, nie możesz żyć tak bez żadnej idei. To grozi pęknięciem, obłędem w najlepszym razie. W tobie odbija się, jak przelatujący obłok w lusterku, cała ludzkość. Ja wiele zrozumiałam, patrząc na te twoje szamotania się. — (Mówiła jak jakaś stara ciotka, będąc *tak* piękną! To piekielne...) — Idea organizacji pracy nie doprowadzi nikogo do wielkich czynów. To są koncepcje szarej przyszłości i dla tej przyszłości istotne — ale my musimy patrzeć na ich wcielanie się w dawne organizmy społeczne, których częściami na pół jeszcze jesteśmy i dlatego czujemy tylko ból i nudę — wrastamy sami w siebie w obcych nam formach. — („»Cóż« w piętę goni ten babon” — pomyślał Zypek). — Są to idee pomocnicze, techniczne, które *obecnie* zużywać może każda partia dla swoich celów, począwszy od nas: Syndykatu Zbawienia, aż do zbolszewizowanych Książąt Mongolskich — ale kiedyś będą one urzeczywistnione w całej ludzkości — i na szczęście nas już wtedy nie będzie. Właściwie nie są to żadne pomysły, którymi można żyć, albo się im poświęcać — o ile się nie jest specjalistą w danym zakresie.

GENEZYP: Tak, ale idea ciągle i to pokojowo wzrastającego dobrobytu, połączona z ideą zamazania walki klas, w stylu dawno-amerykańskim, do którego rozkwitu doprowadziła kiedyś idea organizacji pracy, może już być, dla dostatecznie zmateralizowanych ludzi,

dostateczną podporą dla przetrwania choćby istnienia — nie mówiąc już o jego przetwarzaniu i stwarzaniu nowych zupełnie wartości, w co wierzą tylko oportuniści i zwykli durnie, i karierowicze. Przetwarzać — to już jest wiele, gdy naokoło widzi się zalewającą nas pustynię ducha — pogodzić się z beznadziejnością i żyć w prawdzie, a nie omamiać się urojonymi nowaliami, które niby nadejść mają — nie brać ostatnich podrygów za zaczątki rzeczy nowych... — (przecież to ona sama kiedyś to mówiła!) — Jakże łatwo jest obiecywać jasną przyszłość, bełkocząc nieszczerze, ze skłamanymi łzami w oczach, banalne, oklepane pocieszenia ludzi niezdolnych do okrutnego myślenia: że przecież zawsze były wahania i oscylacje i ludzkość coś sobie dla uciechy zawsze wynalazła... — (Tracił zupełnie poczucie, w imię czego mówi — czy przekonywa ją, czy siebie samego z nią razem przeciwko sobie — powtarzał, jak papuga, rzeczy, których mu naopowiadał jeden z jego kolegów, były ekonomista-amator, Voydeck-Wojdakiewicz).

KSIEŻNA: Pleciesz, drogi, jak na torturach. Dobrobyt nie może wzrastać nieograniczenie, a uspołecznienie jako takie — *als solche*, powtarzam — może, i to niezależnie od dobrobytu, którego rozwój może się zatrzymać i żadna siła go nie wzmoże. Nie mówiąc już o Europie, widzimy to jasno na Ameryce: mimo wszystkich wysiłków organizacji pracy i maksymalnych wynagrodzeń, i oszalałającego dobrobytu tych tam robotników, i wzrastającego współludziału w przedsiębiorstwach, nic nie mogło uratować tego ładu od komunizmu. — Apetyty ludzkie są niezmiernie...

GENEZYP: Stępią się — niech pani będzie spokojna. To było tylko kwestią czasu: jeszcze chwila i załatwiłoby się wszystko bez przewrotu. Właśnie w nowych społeczeństwach...

KSIEŻNA: Nigdy się nie dowiemy, jak to być mogło, gdyby i tak dalej... Fakt dowodzi mojej słuszności. Widać stąd, że jeszcze — *jeszcze*, powtarzam — trzeba idei wyższej, której tam brakło, a jakaż idea wyższa jest od narodowej?

GENEZYP: O, to pani plecie! — (Postanowił być brutalnym). — Bez żadnego komunizmu, na tle ekonomicznej współzależności narodów, która wyszła na jaw po wojnie narodów, okazało się, że narodowość jest humbugiem, fikcją byłych rycerzy, tajnych dyplomatów, ciasno patrzących przemysłowców i operatorów czystego pieniądza. Wszystko tak się splątało na świecie, że mowy nie ma o oddzielnych narodach w znaczeniu samodzielności — (znowu zabrął i nie wiedział, czy to, co mówił, jest jego własnym przekonaniem, czy tylko bezmyślnym małpowaniem Wojdakiewicza. —)

KSIEŻNA: To, co nastąpiło po Wielkiej Wojnie, to był właśnie zamaskowany bolszewizm pod pozorami międzynarodowych, ponadnarodowych, ale pozostawiających im jakieś niby odrębne życie, instytucji. I dlatego klapnęły te wszystkie ligi i międzynarodowe biura pracy i jest tak, jak jest teraz. — (Księżna używała ordynarnych słów polskich, nie zdając sobie sprawy z ich właściwego smaku). — Może być tylko narodowość, albo mrowisko — trzeciego wyjścia nie ma. Musisz żyć ideą narodową, bo należysz do tej ginącej części ludzkości. To trudno: nie można kłamać: nie być tym, kim się urodziło. Lepiej wcześniej zginąć prawdziwym, niż żyć zakłamanym. Musisz mi się poddać, o ile nie chcesz dojść do swej własnej odwrotności, co z twoją naturą jest bardzo prawdopodobne. Musisz zostać tajnym członkiem Syndykatu, o ile w ogóle chcesz przeżyć samego siebie na swoich własnych szczytach, a nie na cudzym śmietniku. — (Genezyp zakrył twarz rękami: teraz go wzięła! Skąd ona mogła znać słowa, wcielające się w jego bezpojęciowy gąszcz, raczej wywlekające stamtąd, nadziane na symbole jak na patyczki, kawały żywego mięsa jego najistotniejszego trwania. Czyniła to oczywiście przy pomocy swych organów płciowych bezpośrednio, tak „intuicyjnie” („he, he, panie Bergson!”), jak klasyczny do znudzenia sfeks swoją sprawę z przekłętą lizką. On to wiedział i palił się ze wstydu, mimo że pochłonął jeszcze w szkołach całą literaturę biologiczną od Loeba i Bohna poczynszy, tych wielkich panów, co pojęcie instynktu rozbili w puch i proch, niszcząc pośrednio jedną z najpotworniejszych błag jakie były: bergsonizm). — Coś dziwnego przygotowuje się w atmosferze — są to ostatnie podrygi — zgadzam się, ale jest w tym posmak wielkości, której brak wszyscy tak boleśnie i obleśnie odczuwamy: „*Die Freude zu stinken*” — jak pisał ten nieszczęśnik Nietzsche. — (I zaraz dalej:) — Dotąd nie zdołaliśmy, mimo szalonych wysiłków, nikogo z nas wkręcić w najbliższe otoczenie kwatermistrza. Ty jeden, jako specjalnie przez niego wybrany, — mówią, że twój ojciec coś nie coś wiedział o jego dalszych planach — możesz nam dostarczyć niezmiernie cen-

nych wiadomości, choćby o jego sposobie życia, o tym, jak pije śniadanie i zdejmuje te swoje historyczne lakiery na noc. Przecież nikt z naszych nie wie nawet w przybliżeniu, jak przechodzi codzienny zwykły dzień tego monstrumu. A potem oczywiście mógłbyś wślizgnąć się w rzeczy daleko ważniejsze... —

Z najniższych nizin, z moczarów, z tyłów ohydnych bud i śmietników, ale własnych, odpowiedział Zypcio: (rzeczywistość jak na niego wspaniała, ale wstrętna i zgnicie w małym loszku na brudnej słomie — dwa obrazy tańczyły w jego umęczonym mózgu, nie mogąc się przemóc. Załatwiła to mowa, niezależna jakby od osobowości. To pewno tamten trzeci, wariat, mówił w imieniu szlachetnego chłopczyka, sam szlachetnym wcale nie będąc — miał tylko wolę, „den Willen zum Wahnsinn”).

— Przede wszystkim na wszystko to nie będzie już czasu — czy wy sobie wyobrażacie, że Chińczycy będą czekać, zanim wy załatwicie wasze wszystkie brudne rachunki w imię waszych bezpłodnych, utuczonych brzuchów? Śmieszne złudzenia!

— A fe! Co za bolszewik! Opamiętaj się. Nie bądź ordynarny jak agitator jakiś.

— Mówiłem już, że szpiegiem nie będę — warknął — i to w imię żadnej idei, nawet absolutnie najwyższej.

— Nawet szpiegostwo dla celów wyższych jest czymś wzniosłym. A tu przecież... Nawet dla mojej przyjaźni? —

— Pluję na taką przyjaźń! Czy pani miłość poprzednia do mnie i demoniczne sztuczki były również wynikiem jakiejś, czy tej samej politycznej kombinacji? O, jakże upadłem strasznie... — znowu ukrył twarz w dłoniach. Patrzyła na niego jednocześnie z czułością matki i drapieżnością kota o włos od pochwycenia zdobyczy. Wypuczyła się cała, sprężyła ku niemu, ale dotknąć go jeszcze nie śmiała. Mogło to być przedwczesne, a jeśli nie w tej chwili, to nigdy już. Genezyp czuł się jak mucha w lepie — o wyciągnięciu połamanych nóg mowy być nie mogło, a skrzydła brzęczały rozpaczliwie w powietrzu, dając złudzenie swobody. Malał aż do zaniku z niemożliwego wstydu do siebie i do całej sytuacji. — Posłyszał dzwonek od drzwi wchodowych, dochodzący gdzieś z dalekich zakamarów nieznanego pałacu.

— Ty nic nie chcesz zrozumieć. Najpierw chodzi o ciebie samego, o twoją jedyną drogę życia, na której możesz się istotnie przeżyć. A potem o twoją karierę także, w razie zwycięstwa Syndykatu. Pamiętaj, że to nie wszystko jedno, skąd się patrzy na życie: czy z łoża parterowej, czy z przesyconego wyziewami paradyzu. „Leute sind dieselben, aber der Geruch ist anders” — jak powiedział pewien wiedeński fiaker Piotrowi Altenbergowi. Nikomu jeszcze nie pomogło programowe zdeklasowanie się, a powrót na swoje miejsce trudniejszy jest niż się to zdaje. — (Przerwać jakim bądź sposobem to walenie się ciężkich jak jakieś potworne kufry (właśnie) słów).

— Czyż pani myśli naprawdę, że my możemy zatrzymać Chińczyków i ostać się w tej parszywej, umiarkowanej demokracji wśród tego morza bolszewizmu?

— I to mówi wielbiciel i przyszyły adiutant kwatermistrza! Sprzeciwiasz się, moje dziecko, zasadniczej myśli twego idolu.

— Nikt nie zna jego myśli — w tym jest jego wielkość...

— Dość wątpliwa co najmniej. Jest to siła, nie przeczę, ale wichrowata, siła dla siły to jest jego idea, siła w czystej formie. My, Syndykat, musimy go użyć dla naszych celów.

— I taka galareta, która co chwilę mówi co innego, ma być wyrazem organizacji, która jego, JEGO chce użyć! Cha, cha, cha!

— Nie śmiej się. Jestem zdenerwowana i gubię się w sprzecznościach. Ale któż się w nich dziś nie gubi? Widzisz: tam z Zachodu będziemy mieli tajną pomoc. To, że upadła Biała Rosja, niczego nie dowodzi. Tam nie było ludzi, takich właśnie, jak Kocmołuchowicz. Tam, na Zachodzie, młode bolszewizmy, jeszcze z lekka od spodu podnacionalizowane i używające tajnie faszystowskich metod, pod pozorami tego, że czas jeszcze nie przyszedł — co za sprzeczność! — drżą, powiadam ci, przed możliwością chińskiego gniotu, niwelującego wszelkie subtelniejsze różnice. Dlatego muszą nam pomagać, nie tylko w utrzymaniu *status quo*, czyli obecnego marazmu, ale muszą nas czynnie pchać w ideowo przeciwną im stronę, ze względów technicznych. W głowie się mąci, gdy się pomyśli do czego doszła komplikacja życia. Finanse z Zachodu — to jest ten cud polski, którego te żółte małpy, z ich uczciwością, zrozumieć nie mogą. Potworne tajemnice ci

mówię — za to — śmierć w torturach. A jeśli to się nie uda, to ostatnia zapora dla Chińczyków przerwana, żółty potop i koniec rasy białej. Niestety, tak się wszystko uspołecznilo, że kwestia ras nawet przestaje coś znaczyć na wielką skalę — kolory skóry nawet stają się obojętne. Właśnie przychodzi pan Cylindrion Piętalski, baron papieski i szambelan, były dowódca kulomiotów gwardii Jego Świątobliwości. — Genezyp poczuł się owadem w tym domu: karaluchem, prusakiem, pluskwą. Ha — gdyby można czasem całego siebie wyrzucić prosto w nicłość, nie przestając przy tym istnieć! Cóż to byłaby za frajda!

Wszedł ohydny (przecież mógłby być pięknym tego gatunku osobnik — więc po co? Po co i to jeszcze? Przypadek.), wymokły, obwisły, chudy na gębie, a brzuchaty na brzuchu blondyn, z rozczesanymi „po lordowsku” faworytami, w monoklu na czarnej tasiemce. Zaczął mówić zaraz (był widać uprzedzony). (Bezplciowość jego była aż nazbyt widoczna — ten przynajmniej na pewno nie był kochankiem księżnej.) — mówił — i obecnym zimno robiło się od trupowatości pojęć, których używał. Po prostu czuło się, że kwestia narodowości w ogóle, a polskiej w szczególności, na skutek przemacerowania w literaturze od romantyzmu aż po ostatnich neo-zbawicieli, jako też z powodu przegwałdzenia jej na wylot na wszystkich obchodach, uroczystościach, wiecach, posiedzeniach i rocznicach w bezdusznych frazesach i obietnicach bez żadnego skutku, jest czymś tak martwym, wyczerpanym i dalekim od rzeczywistości, że nikogo nigdy *naprawdę* poruszyć już nie będzie zdolna. Jadowite kłamstwo ścinało żywe białko w promieniu sięgającym po orbitę Neptuna. Zdawało się, że na innych planetach i ich księżycach zamiera wszystko od nieznośnej nudy i jałowości problemu, że jeśli na satelicie Urana czy Jowisza zaczyna tworzyć się coś w rodzaju narodu, to oddech Piętalskiego, zionący potworną pustką frazesu, musi zwarzyć i zamrozić ten żywy kielek na odległość bilionów kilometrów. Wszyscy wiedzą, jak taki sos wygląda i pachnie, tym bardziej na tle zgnitego kawała rzeczywistości, którą podlewa i usmacznia — można nie cytować dosłownie. Było w tym coś niesłychanie męczącego — to samo-załgiwanie się typowego „poważnego człowieka”, czy też programowa błaga jakiegoś równie poważnego demona. Dobrze, dobrze — ale w imię czego? Nie — tak bezsensownej politycznej sytuacji nie było nigdzie, nawet w Hyrkanii, gdzie obok rządu bolszewickiego trwał błazeński król, pozostawiony niby na pośmiewisko dla innych — w gruncie rzeczy bardzo wtrącał się do rządów i sam bawił się znakomicie. A ten gadał — i słowa takie jak: miłość do kraju, ojczyzna, poświęcenie dla dobra narodu itp. (choć już mało było w ogóle takich słów — pozapominano wiele — kursowały tylko najmniej wyświechtane, w których jeszcze resztki znaczenia tknęły się jak ćmy o lampę lukową o tajemnicze ciemne ognisko ostatecznego sensu istnienia) padały z oślinionych, sinawych warg siwiejącego blondasa, „filaru” Syndykatu. On istniał tylko w tych słowach — poza tym był widmem, plamką na siatkówce Boga.

Genezyp dusił się ze wstydu za ten naród — (i za siebie jako element tego właśnie narodu). Co za pech! A jednocześnie brał odpowiedzialność za to, że wszyscy byli tacy — taki mały, różniczkowy Mesjaszek! Też się wybrał w porę! A tu myśl podła: czy warto w ogóle być czymś w takiej klapdrze? Po co? Przypomniało mu się zdanie Tengiera: „urodzić się garbatym Polakiem — to wielki pech, ale urodzić się do tego jeszcze artystą w Polsce, to już pech najwyższy”. Dobra nasza („*bonne la nôtre*” — jak mawiał Lebac), że artystami nie jesteśmy. Nie — nie miał racji ten bluźnierca. Z takich oto powiedzonek składa się ta parszywa atmosfera „*Die Kerlen haben keine Ahnung was arbeiten heiss und dazu haben sie kein Zeitgefühl*” — tak mawiał Buxenhayn. Otóż: każdy swoje, nie oglądając się na innych, a może kiedyś... Ale znowu chińska nawała i ogólne spóźnienie się z tymi kwestiami. Poczuli bestie, że czas ucieka, jak zawisła im nad łbami (nic nie lepszymi od dawnych „golonych pałek”) żółta fala, niosąca niewymierne już z tymi dawnymi przeznaczenia. Za późno! Zatulić łeb w brudną pierzynę i robić swoje: odtąd — dotąd, nie myśląc o niczym — przeczytać głupią powieść, pójść na dancinę, kogoś poobłapiać i zasnąć. Jeszcze nie przyszedł czas tak doskonałej organizacji — jeszcze trzeba było myśleć — Zjedzona przez „dziki kapitał” Europa nie mogła wyciągnąć ręki ku wstającemu Wschodowi — „trzeba było wszystko stracić, aby wszystko zyskać” — jak pisał kiedyś Tadeusz Szymberski. Coś takiego kołatało się jeszcze w niektórych pół- i ćwierć-duszach i wylażyło, gdy już bardzo na nie pluto, ale coż to takiego było: jakaś cieniutka ambicyjka,

że to niby jego naród, takiego oplutego, jakies czysto zmyslowe przywiazanie do pewnych dzwiekow (na Zachodzie Esperanto gnębiło coraz bardziej rodzime mowy), jakies pół-bydlęce uczuciátko do krajowego „narzecza”, to był ten tak zwany i znieawidzony patriotyzm. A w gruncie rzeczy maska dla apetytów. A to straszne, psia-krew!

I on w imię tych trupów-pojęć, wyrosłych jak grzybki na trupie dawnego kompleksu uczuć, zwanego: — tak czy owak — wszystko jedno — on miałby popełnić najgorsze świństwo w stosunku do tego jedyne go człowieka z jajami, biednego Kocmołuchowicza, skazanego oczywiście w tych warunkach na zagładę? Nie. Podniósł się znów z dymiących oparzelisk jaźni tajemny gość z krainy obłędu, gdzie wszystko jest takim, jakim być powinno — dla niektórych oczywiście. W pewnej chwili Zypcio dał w twarz Piętalskiemu i wyrzucił go do przedpokoju. Słyszał jak tamten pluł i charkał — i było mu wstyd, a jednocześnie cieszył się, że patriotyczna idea została trochę pomszczona. Niech nie biorą takich ohyd na jej nosicieli. Dużo by dał, aby dowiedzieć się teraz, jaki jest jego własny procent (%) narodowości. Nic — widział tylko żółte wyłogi swego munduru i czuł, że on, ten pogardzany dzieciak, dokonał jednak czegoś morowego. Miał dobrą intuicję — o, tu to słowo jest na miejscu — ale równie dobrze mogło to być fałszem. (Jak słusznie mówi Edmund Husserl: czemu tzw. „intuicyjne” (ulubiony obecnie termin zarozumiałych bab nie chcących myśleć i zbabiłych mężczyzn) odkrycia robią zawsze jednak specjaliści wyszkoleni w danym fachu — analogia pewnych form myślowych, zużytkowanie przyzwyczajęń badacza, przeskakiwanie szeregów myślowych, automatyzacja — ot co jest, moje panie. „Zwycięzycie kiedyś i to tym samym pogardzanym intelektem — to inna rzecz, ale racji nie macie” tak mawiał *à propos* tego problemu Sturfan Abnol). Nie wiedział jednak Zypcio, jakie będą tego „czynu” następstwa: mordobicie to przyspieszyło o całe 2 tygodnie wybuch pewnych wypadków. Bo Centrala Syndykatu Zbawienia przygotowywała na wszelki wypadek małe „powstańko wywiadowcze”, jak to się nazywało. Kraj był tajemnicą dla wszystkich patriotów prawie tak wielką, jak sam Kocmołuchowicz. Już nikt nic nie rozumiał i wszyscy dusili się wprost w tym cudzie ogólnego niezrozumiałstwa”. (termin Karola Irzykowskiego — niech będzie przeklęty za ten wynalazek, pozwalający każdemu durniowi odsądzić od wszelkiej wartości najwartościowszą rzecz). Trzeba było choćby paru kropel krwi, aby się dowiedzieć, co właściwie jest: „zanurzenie lakmusowego papirka w świżą krew” — jak mówił Piętalski. Że ktoś tam musiał przy tym zginąć, z tym nie liczono się zupełnie. Dopiero w razie inicjalnego powodzenia można by atak ten rozszerzyć i kto wie, czy nie utracić samego generał-kwatermistrza, który ku zgorzeniu Syndykatu wahał się na razie przynajmniej dość bezwstydnie z najbardziej radykalną częścią armii, znajdująca się pod wpływem pułkownika Niehyda-Ochlują. (Oczywiście „radykalność” ta była mocno zamaskowana i jako taka względna). Zresztą główni działacze Syndykatu Zbawienia nie angażowali się w ten „eksperyment” — podrzędnych można się było w wypadku klęski wyprzeć jako nieodpowiedzialnych.

Tamten pluł i charczał w przedpokoju. Genezyp błąd, drżący, zadyszany, zaciśniętymi pięściami wparty w poręcz fotelu, patrzył na bezwstydne nogi księżnej, które zdawały się być przepojone szatańską esencją niepojętej w swym natężeniu zmysłowości. Że też noga może mieć tyle wyrazu i to zamknięta w jedwab i twardy lśniący lakier. Gdyby tak taką nogę można było zgwałcić jako oddzielną istotę i wreszcie nasycić się jej (względnie ich) złowrogim czarem... Rozmyślania te przerwał huk. Zatrzasnęły się nareszcie drzwi wchodowe, nazbyt mocno dzwoniąc łańcuchami. Skazańcy spojrzeli się na siebie — zwarli się kłamliwymi zwykle gałkami ócz naprawdę, ich tajemnym fluidem (który jest tylko zwykłą konwencją podobnych między sobą istot), jak dwie bańki na mętnej kałuży rzeczywistości. Walka z Cylindriem rozpętała w Genezypie to coś ze dna, ten głód nieskończoności, który kusił go zawsze do nadzwyczajności — choćby potwornej — byle nie to, co jest i być ostatecznie może. Niestety, któż to potrafi — tylko obłęd lub zbrodnia przebić może tę ścianę popolitości — czasem twórczość — ale i to nie. Mniejsza z tym. Tak się tego bał — ale w tym tylko był urok życia. Nie był sobą — jedyna chwila odpoczynku ponad całym istnieniem. Psychiczny szaleń własnej produkcji, a stwarzający mimo to coś obcego, nie wiadomo gdzie istniejący (jak „byt idealny”) świat absolutnej zgody wszystkiego ze wszystkim. Tak: nie był sobą: (o rozkoszy!) tamten wewnętrzny drab patrzył przez jego oczy, jak przez szybki, jak zwierzę, czający się w ciemnościach.

A potem wszystko zmieniło się w to... Zwalili się na siebie, jakby z nieskończonej, bezkierunkowej w istocie wysokości obojętnej przestrzeni. To darcie na strzępy ucieleśnionej w miękkich zwalach rozkoszy, to bezwstydnego odarcie ze skóry nagiego mięsa pałającego się dziką żądzą, to nieludzkie *nasywanie* wydartego z trzewi prawie metafizycznego bólu... Nasywanie bólu? Tak. Znowu przekonał się, że to jest jednak coś, i w ten sposób rozwiązując problem natychmiastowego, na poczekaniu, zwariowania, zapadł jeszcze głębiej w nieprzewyżnione objęcia swych potworów z Krainy Dna. Ryjąc jak wieprz całym sobą w najstraszniejszym świństwie istnienia, wisiał nad całym światem, świdrując wzrokiem wściekłego jastrzębia tonące w bezgranicznej przepaści zła *tamte oczy*. W ich *spotęgowanej* rozkoszą ukośności zdawała się lśnić Tajemnica Bytu. A wszystko to kłamało zawzięcie, z bestialską, idiotyczną furią. Doszedł Genezyp do szczytu: usamotnił się w tej chwili okropnej, zamiast się omamić złączeniem dwóch ciał. Psychicznie dalej w tym kierunku pójść nie można. Bardziej był samotnym teraz, niż wtedy z Toldziem w dzieciństwie i nawet niż wtedy w łazience.

Ponuro oddała mu się księżna, czując, że mimo wszystko nie potrafiła zgębnić tego smarkacza, tak, jak chciała. O, jakież smak miał dla niej teraz, kiedy dostała go tak prawie z łaski bezecnego przypadku! To nie była dawna matematyka i w tym tkwił nowy, groźny urok. Niech sobie mówi, co kto chce, ale te ostatnie chwile mają też swoją wartość. „Z łaski, z łaski” — szeptała, podniecając się aż do szału tym uświadomieniem upadku, potęgując do niemożliwości tragizm, ponurość, beznadziejność pałającej się wszystkimi jesiennymi barwami młodości, rozkoszy. A młodzik rznął z potęgą również „na zło”. I tak syciły się ich dwie złości, tworząc nieomal jedno zło, bezpłciowe już, samo w sobie, jedyne. Wygnana z tych „zawrotnych” uścisków miłość (teraz jedna już, nie rozdzielona na dwie osoby) uśmiechała się smutno gdzieś na boku — wiedziała, że to, co robiło tych dwoje, zemścić się musi i czekała spokojnie.

Informacja: Ze zdwojoną siłą zabrał się do szykowania zamasku stanu pobity Cylindrion Piętalski. „Tak?” — mówił sobie — „Chcecie? To zobaczymy! Ha — teraz wyjaśni się wszystko”. Taki mały pozornie fakt skondensował tak energię „filaru” Syndykatu, że plan eksperymentu, zielony jeszcze w dzień ten, dojrzał i spęczniał w dni następne w żrały, złocisty owoc, gotów do zerwania przez byle kogo. Samo szło ku temu — „przebąkiwacze” podejrzewali, że akcją kierują agenci samego Kocmołuchowicza. „On też „potrzebuje” zobaczyć co jest na dnie” — przebąkiwali. Wypadki wydzierały się pojedynczym indywidualuom z rąk i „hasały” same — na razie w małym zakresie. Najtęższe względnie indywidualności zdawały się być tylko emanacjami pewnych ugrupowań — musiały tak, a nie inaczej postępować, traciły wolę osobistych czynów. Trzymał się jedynie w swej wewnętrznej twierdzy sam Kocmołuchowicz.

Technika tego wszystkiego nudna była jak rekolekcje nieszczerego księdza — ten tam coś szepnął, temu wręczył papirtek, z tym pogadał, tamtemu coś dał, tu pogroził, tam się podlizał, a tamten robił to samo z drugimi — co tu o tym pisać. Psychologie też były nieciekawe z wyjątkiem struktury wewnętrznej wodza, o której nikt nic nie wiedział: Melanż w różnych proporcjach ambicji, wielkich słów o małych znaczeniach, brudny spryt i czasem trochę ordynarnej siły. Poza tym wszyscy o wszystkich myśleli, że są świnię, czasem nawet włączając w to siebie samych.

Wszczęta przez Cylindriona sprawa honorowa doprowadziła z wiedzą Dowódcztwa Szkoły do honorowo zadawalniających, a jednak bezkrwawych rezultatów. Ze względów politycznych uznano za stosowne, aby Zypcio przeprosił Piętalskiego, a do aktów dołączono dokument lekarski, „endorsowany” na ślepo przez samego Bechmetiewa, a stwierdzający lekki sten nienormalny mordobijcy na tle przejść rodzinnych.

Genezyp opuścił pałac Ticonderoga, tak zwany „*fornication point*” z „pianą życia u pyska”. Dobra jest askeza, ale lepsza jeszcze jest dobra fornikacja. Kompromis na całej linii. W tajnych zakamarkach gromadził broń przeciw księżnej i miał zamiar użyć jej w odpowiedniej chwili. Na razie jednak pogrążył się z rozkoszą samowiedzy w zupełnym upadku.

Parskał i prychał, tarzając się po samym dnie rozpusty. Aby ujść szpiegom Syndykatu „*podozritielnaja paroczka*”, jak nazywała ich oboje księżna, urządziła schadzkę w małym plugawym domku, wynajętym i urządzonym wprost przepysznie w tym celu przez samą księżną instygatorkę tego świństwa, na dalekim od centrum miasta przedmieściu Jady. O zdradzie nie było mowy. Na długie tygodnie ten „*gieroj naszawo wremieni*” był unieszkodliwiony.

MYŚLI WODZA, A TEATRZYK KWINTOFRONA WIECZOROWICZA

W trzy dni po tym smutnym incydencie zamieszkał Zypcio przy rodzinie — miał już swobodne noce poza służbą — został „starszym junkrem”. Spędzał noce te na szaleńczej wprost miłości z księżną, która w przeczuciu niedalekiego końca troiła się po prostu czy dziesięć razy nawet w oczach i rękach rozwydrzonego programowym upadkiem szczeniaka. Poznał wreszcie Genezyp, czym jest przesyty. Dziwne to były chwile, gdy patrzył na te istności, które wczoraj jeszcze zdawały się być tajemnicami bez skazy, doprowadzającymi oczy do wysadzenia z orbit, a z rąk czyniącymi nienasycone polipy, jak na zwykłe przedmioty codziennego użytku. Ale krótkotrwałe były te stany. Zawsze coś nowego jeszcze umiała wymyślić ta stwora, wydobyć nowy „trick” z niewyczerpanego zapasu swych przebogatyh doświadczeń i to bez zbyt ordynarnego demonizmu. A jednak tamta chwila w łazience działała z oddali czasu, promieniejąc niewyczerpane niby radium — chroniła od miłości — ale za to była rezerwą dla zamierających czysto-plciowych rozdrażnień. W tym było zło i bezpieczeństwo dość podłego gatunku. Coś psuć się zaczęło pozornie bez żadnego powodu.

W tym to czasie poszedł Genezyp któregoś wieczoru do teatru Kwintofrona Wieczorowicza. Zaprowadził go prawie gwałtem Sturfan Abnol. Szła już jego druga sztuka pół-improvizacyjna, w której, dublując rolę jakiegoś zamierającego ze zmęczenia podlotka, miała po raz pierwszy wystąpić Lilian. Dotąd Genezyp nie chciał zgodzić się na zobaczenie siostry swej na scenie. Może była to podświadoma zazdrość, a może ukryty wstyd rodowy za aktorkę w rodzinie, pannę bądź co bądź Kapen de Vahaz. Za wolno płynęło życie i to odczuwał nie tylko Zypcio, ale cały naród, a najbardziej sam Kocmofuchowicz. On miał koncepcję, nie dającą się zawrzeć w słowach, nieuchwytną, jak pajęczynka, a mocną jak wiązania lin stalowych — czuł ją w swoich mięśniach, w błyskach woli, w tym wypiętrzaniu się ponad siebie samego, co było jego specjalnością: chciał, by ten naród jako całość był jedną osobowością, tak potężną jak on sam: machiną odrobioną najwyższą dokładnością do ostatniej śrubki i gwińcika, a jednocześnie swobodną jak pozornie swobodnym jest obłok beztroski na ciemnogłębnym szafirze przestrzeni. Takim był i chciał czuć ten cały blok surowca jako swoją własną rzeźbę: zakłętą w nieruchomość materii mięśniowe czucia, aż pękające w doskonałości idealnej jedni. Cóż z tego: wychodziły z tego rzeźbienia kulfony. Ale i z nich, jak z perwersyjnych elementów, zbijał jakąś pseudo-konstruktywną, improvizacyjną kupę. On, jeździec nad jeźdźcami, jechał na li-chej, leniwej, zapadłobokiej kobyle. Ale lubił nawet swoje błędy, kochał się w sobie *beźświadomie* — taki kawalerski hypernarcyz-byk. Na to uświadomienie brakło mu jeszcze jednej duchowej platformki wzwyż, którą, gdyby osiągnął, straciłby możliwość czynu, poczułby paraliżujący metafizyczny nonsens wszechrzeczy. Był pociskiem; naród cały czuł tak, jakby czuł za sobą pocisk (gdyby czuł) skłębioną w gilzie piroksylinę. I kondensował pod sobą eksplozywną miazgę, która go miała wypchnąć z gmachu kwatermistrzostwa na ulicy Bykoń, jak z armaty, w wyższe regiony przeznaczeń. Czytał tylko do łóżka i to tylko *Barcza*¹ i *Wyspę Skarbów* Stevensona. Po czym spał twardo do piątej na prawym brzuchu-boku i budził się z świeżymi ustami, pachnący świeżo skoszonym sianem. One to lubiły bardzo.

Dzień „premiery” Lilian podwójnie był (później oczywiście) pamiętny dla Zypka, bo przed południem odbył przegląd szkoły Sam Wódz. Z nudów oczekiwania (jego nudą mogłoby się zabawić jeszcze z pięćdziesięciu głównodowodzących ze wszystkich armii świata) rozpoczął objazd prowincjonalnych „wojennych” szkół. Była to jedna wielka orgia fetysyzmu. Ale Kocmofuchowicz miał jedną zaletę rzadką: uwielbienie innych spływało

¹*General Barcz* — powieść polityczna Juliusza Kadena-Bandrowskiego z 1923 r. [przypis edytorski]

z niego jak deszcz z oilskinu, a przy tym nie obowiązywało go do bycia nadal tym właśnie uwielbianym. Umiał nie dopuścić bałwochwalczej czci dookolnej, nawet najbliższego otoczenia, do tego rozkosznego wewnętrznego organu (tej „lehtaczki ambicijowej”, jak go nazywał), którego wtórne działanie stwarza potem wtórną osobowość (nie tą którą się być miało) jako sumę wszystkich drobnych popchnięć czcicieli, nowotwora, pożerającego często najtęjsze charaktery.

Wszelkie porozumienie z Chińczykami było wykluczone. Właśnie niedawno wrócił przecie starszy syn księżnej, ambasador z Hańkou, w zaplombowanym wagonie. Nikt dosłownie nic nie wiedział. Po wysłuchaniu raportu *kazano* młodemu księciu zamknąć w celkowym więzieniu kwatermistrzostwa i tyle o nim słyszano. Tajemnica stawała się coraz bardziej jątrząca w swej kurtyzaniej zalotności. Już, już miała się odsłonić i znowu oddalała się, tańcząc lekko i zwijając się w zwojach niewiarogodnych błag. Wszelkie starania księżnej zmierzające do uzyskania widzenia się z synem, nie odniosły żadnego skutku. Coraz bardziej była z tego powodu rozdrażniona, a całą rozpacz topiła w potężniejącej rozpuszcie z Zypkiem, który stawał się podobnym raczej do jakiegoś upiorka ze złowrogiego snu o utraconej młodości, niż przyszłego adiutanta Wodza. A piękny był jak młody diabeł. Dorosłość samcza wypełzała powoli na młodzieńczą gębusię, nadając jej wyraz ostry — okrutnej siły i bezwzględności, co połączone z władczą lubieżnością podbitych na *himmelblau* oczu działało na kobiety rozpierająco-mdlejącym chwytem od spodu. Na ulicy przepelzały przed nim nieznajome baby jak suki. Och, gdyby raczył... Ale na razie miał dosyć — wyższej marki nie znajdzie teraz — a „malinowe światło” pokrywało drobne usterki. Zbyczony lalusz, udrapieźniony, zjastrzębiały efeb, krew z mlekiem na sino od spęcznienia tęgich mięsnych łodyg — księżna oszalała kompletnie — pokryła ciągłą błyskawicą ekstazy straszliwą ranę swego ciała. A program Zypcia był taki: w dzień męczące ćwiczenia i nauka, a w nocy przygotowanie do lekcji i dzikie wyuzdanie. Nauczył się spać dwie do trzech godzin — trening był niezły. *Zaczął* trochę (troszeczkę) pić i chwile „pochmielja” dawały mu dziwne stany rozkosznego i męczącego odosobowienia z tym, co nazywał „wariacją na zimno” (na razie) — katatoniczne prawie zakrzepnięcie, w czasie którego intelekt pracował z precyzją niemal rachunkowej maszyny. Mroczny człowiek-duch-bydłę z dna dawał znać o sobie często, ale słabo — czał się do skoku jakby — czasem *myślał* — te to myśli zapisywał Genezyp w dzienniku. Razem później czytali go z tą... ale o tym później. Coraz częściej przypominała się i coraz większego uroku nabierała nawet pomaturyczna, niedawna przeszłość, nie mówiąc już o dalszym dzieciństwie. Dalekie to było jak góry, wylażące zza uciekającego widnokregu. Czuł się wtedy starcem. Obcością sobie samemu upajał się jak nieznanym narkotykiem. Zabawne są początki, ale potem...

„O jakże dziwnym jest świat, widziany przez oczy wariata,
W spojrzeniu ich, zdrowy człowieku, nie poznałbyś wcale świata”.

jak pisał ten „zły” kolega. Żałował Genezyp, że go stracił. Gdyby tak teraz mieć go tu pod ręką! Ileż rzeczy tajemnych wyjaśniłoby się bez reszty. Zachowywał całą świadomość niebezpieczeństwa, bez poczucia jego jakości. Skąd ono nadejść mogło? Czy od strony tego draba, którego gościł w podziemiach swoich psychicznych bebechów i w które on, ten obcy, zdawał się wrastać coraz dokładniej, przyjmując ich formę a nawet i wchłaniając zawartość. (Pseudomorfoza). Czy też z zewnątrz ze sfer splugawionej miłości, w których przebywał z księżną? Mimo głębokiego skrytego wstrętu do niej i do siebie poddawał się wrażeniu, że nikt nigdy tak jak ona podobać mu się nie będzie, a nade wszystko, że nikt takich sztuk wyprawiać i tak odgadywać jego najwstydlivszych życzeń nie potrafi. Nauczył się wreszcie walczyć z demonizmem, oczywiście nie na skalę największą. Takiego natężenia jak w Ludzimierzu nie osiągnęły te objawy już nigdy. Ale przecie, ale przecie. Nagle odmowy kończyły się dzikimi gwałtami (nawet jeśli ich podłożem były sfingowane ataki świętości). Wzbudzana kunsztownie zazdrość odgrywała rolę erotycznego motorku dodatkowego, gdy pomęczone gruczoły chciały spać, a dusze pragnęły jeszcze oszalamiającej, wytwarzającej złudzenie jakiegoś nowego gatunku poznania, ujednijającej ich oboje w jakieś hyperjestestwo rozkoszy.

Informacja: Nie wiadomo dlaczego w tym czasie wszystko przybrało zupełnie odmienny wygląd, a nawet charakter wewnętrzny. Jakiś prąd samouświadczenia przebiegł przez zankylizowane ciało biednego społeczeństwa. Poprzez potworne w swojej nudzie frazesy o organizacji pracy (która bokami wylażała już nawet najgorszym pedantom i niewolnikom czasu) i poprzez dawne śmietnisko patriotycznych fatalasek przegładnęło coś nieznanego. Ludzie uśmiechnęli się do siebie idiotycznie, nie wierząc sami, że w ogóle coś czują. Jak skała wynurzająca się wśród opadających wód odpływu, występowała jedyna prawda i wartość: społeczeństwo samo w sobie jako takie. Powiedzieć to jest głupstwem, ale naprawdę przeżyć to i ustosunkować się w tym wymiarze do codziennego dnia, ho, ho — to jedna z najistotniejszych przemian ludzkości. Ale jeszcze trajkotały różne gęby bezkoszta na usługach rozłazających się w zgniłym, ostrym sosie przeszłości mózgow i głuptasie z Em-es-zetu uczyły się po dawnemu jak cienkie patyczki i wiórki nawet kłaść między szprychy rozpędowych kół olbrzymich maszyn. I to było najciekawsze, że prąd ten przebiegł dosłownie wszystkie odcienie społeczne, nie wyłączając nawet wybitnych członków Syndykatu Zbawienia. Ale nie każdy może, nawet w chwilach objawień, tak łatwo rozstać się ze sobą w związku z praktyką życia. Widzimy często ludzi brnących do końców swych istnień w kierunkach, których wewnętrznie dawno się już wyrzekli. Bardzo wielcy starzy znawcy, czując w sobie również jakieś młodociane dreszczyki, stworzyli teorię, że to katalityczne działanie na dystans nagromadzonej w takich ilościach obcej masy żółtej pod wielkim ideowym ciśnieniem. Może było to i słuszne. [Jak wiadomo wojen skasować nie zdołano (W epoce tych tam różnych Lig i błag, i międzynarodowych flag, i realnych fig), ale unicestwiono lotnictwo wojenne i gazy — nie zdołano jedynie tych ostatnich w psychicznej odmianie zniszczyć w stosunkach prywatnych i publicznych, w polemice literackiej, naukowej i dotyczącej spraw społecznych i narodowych — trudno. Jakim cudem wszyscy się tego trzymali (nawet Chińczycy), nie wiadomo — podobno na tle zbyt silnego wojennego instynktu, odziedziczonego po przodkach. Bo przecie każda wojna byłaby w tych (poprzednich) warunkach niemożliwa, a widocznie chęć wojowania jako takiego silniejsza była od chęci zniszczenia wroga i sąsiada]. Okazało się później, że przyczyny tego stanu były bardziej skomplikowane, mimo że nikt (prócz może jednego Kocmołuchowicza) sprawy sobie z tego nie zdawał. Oto pozornie społecznie *explicite* obojętna wiara proroka Dżewaniego, którą zaopatrzeni w odpowiedni narkotyki emisariusze zaszczepiali, zaczynając początkowo od warstw najniższych, poczęła już zmieniać nieznacznie atmosferę uczuciową kierującej inteligencji. Najgorsze męty oddziaływały na trochę lepsze — potem robotnicy na majstrów, ci znów na dyrektorów, a ci na Radę Gospodarczą Centralną. Służące działały na „panie”, a niższa gawiedź urzędnicza na swoich zwierzchników. Do Kocmołuchowicza i jego najbliższego otoczenia nie doszła jeszcze ta fala (mimo rozmów zupełnie otwartych z samym Dżewaniem i jego agentami) — nie doszła bezpośrednio, uczuciowo, ale spodziewano się ważnych wypadków w związku z koniecznością zajęcia jakiegoś określonego stanowiska w tej sprawie przez ten centralny punkt przecięć sprzecznych (narodowej i czysto społecznej) sił, żądz i nadziei, jakim było generalne kwatermistrzostwo armii.

Ta chwila, w której Zypcio zobaczył Generał-Kwatermistrza, wchodzącego do sali jadalnej Szkoły, to była naprawdę chwila, a nie jakieś głupie orgazmy, wyduszane sztuczkami na tamtym zjełczałym, arystokratyczno-mongolskim cielsku. Ugięły się pod nim kolana, ale oczy, z jastrzębią żarłocznością, wpiły się w oczy tamtego. Czarne śliwy, zatopione w medium szklisto-spermatycznym, obrotowe maszynki dodatkowe spotworniałego w nieprzyzwoitych myślach o nieosiągalnym człowieczeństwie jakiegoś hypermotoru. To ruszało się, to żyło — ten wąs był z prawdziwej, żywej szczeciny, jak u foki w ogrodzie zoologicznym, jak u Michalskiego! Jeszcze sekunda upojenia rzeczywistością tej mordy

i ujrzał przeznaczenie swoje i całego kraju, wywalone na wierzch, jak flaki z martwego bydłęcia. Jakież to ono było! I przecie tak jasno to widział, a słowa by o tym pisać nie potrafił — nie tylko temu Cylindriowi bez czci, ale samemu nawet sobie w najgłębszym wewnętrznym zamyśleniu. Coś po prostu wielkiego czaiło się w tym pół-bogu dawnego autoramentu (ale nic z szlacheckiej swołoczy ubiegłych wieków), coś co przechodziło jego samego, jako jakość i potęgę. Otóż to: wielkość jako zjawisko, nie „stan psychiczny”, (podstawy tego są: natężenie woli, ilość i jakość implikowanych w danej awanturze osób, siła nie zwracania uwagi na jednostki [bez wykluczenia ludzkich uczuć], ogólna bezmyślność w wykonywaniu raz powziętego zamiaru; poczucie własnej nierzeczywistości, jako przecięcia sił; poczucie wyższości czegoś ponad sobą: od Boga do społeczeństwa, poprzez naukę, sztukę, filozofię; poczucie samotności metafizycznej; marne, życiowe właściwości każdego pospolitego drania, uniezależnione w swych funkcjach od tamtych elementów — dość) polega na tym, że podstawa jej w danym człowieku jest za mała w stosunku do rozrastających się wzwyż i wszczk kondygnacji... Nic — nic na ten temat *ogólnego* powiedzieć się nie da — dajmy temu spokój.

Ale on, Zypcio, był jednak jakimś elementem dynamicznym w bliskości punktu zdeklansowania — bez niego nic. Ale co? Intuicyjna bzdura — 5% sprawdza się przypadkiem (i potem gadają o tym te mistyfikiatka trzeciej klasy całymi latami) albo się zapomina o tych 95% i też jest dobrze. Znowu zapadł Genezypcio w ciemności: Ojciec, jako skrzydlaty bykołak w białym wirze gwiazd; Kocmołuchowicz — czarność całego wszechistnienia, oplatająca nawet Boga matki razem z Michalskim, oddech palącej nieskończonej nocy świata całego, i księżna, jak złota szpilka (falszywa), przebijająca „naskwoz” cały ten burdel życiowych, umetafizycznionych wielkości; a on sam jak ogonek merdający się z radości a należący do nieistniejącego kundelka.

Cała ceremonia: „bacznosc”, zerwanie się „junkrów” od stołów (programowa niespodzianka), „spocznij”, zasiadnięcie Wodza do podłej ryby z jarzynami (rzygać mu się tym chciało po dobrym śniadaniu w „Astorii”), jego „ćmiak” (umiał ćmiakać, kiedy chciał, dla zjednania sobie popularności — na pewnej już wysokości drobne błędy robią wcale niezłe wrażenie) — wszystko to przeżył Genezyp nie jako ten: jakieś katatonicze bydłę przeżyło to na martwo, na nie było. Ocknął się, gdy już junkrowie, i on sam, przechodzili „wolno”, nie w szyku, do szwadronowych lokali. Przechodził tuż mimo NIEGO ze ściśniętym sercem — wszystko mu opadało, było za luźne, podwiązki, gacie, spodnie, coś go swędziało, czuł się w rozkładzie, jakby nie był tym, który miał prawo kochać Wodza. Był szczytem wielorakiej roztrzęsionej niedoskonałości, a chciałby być kryształem, choćby w tryklicznym systemie.

— Nastąp się, durniu — burknął Kocmołuchowicz na adiutanta, młodziutkiego księcia Zbigniewa Oleśnickiego, cudnej rasy i urody bubka, takiego prawdziwego arystokraty z *Almanachu de Gotha*, a nie puszącego się, durnego, szlachetkowego „ziemiańskiego” smroda, bez manier i bez wewnętrznej wytworności. Tych nie cierpiał Wódz i kopał ich przy lada sposobności gdzie popadło. Rozplaszczony jak bura suka „eddekan” umknął się w tył, nieomal między nogami Wodza. Jakże kochał tę chwilę Genezyp! Gdyby ta chwila mogła być osobą! Cóż to byłoby za szczęście! Gdyby czas jako taki mógł być rozciągliwym, gdyby można go było napiąć, jak jakąś skórę na spęczniałej rzeczywistości, a? I potem dopiero... No — nic. Orkiestra zagrała piekielnego kawaleryjskiego marsza, kompozycji jeszcze starego, dobrego, klasycznego Karolka Szymanowskiego [którego pomnik, dłuta czy pięt Augusta Zamoyskiego, opluła niedawno grupa muzycznych bezkręgowców pochodzących od Schönberga, i który, po przed-ostatniej fazie religijnej, wpadł (na tle popularności *znowu* wojny w okresie „krucjaty”) w szal wojenny i w tym szale skończył.] i dusza Genezypa, porwana wirem wojennej, czysto-kondotierskiej wzniosłości uleciała w niedosiężne kręgi wymarzonej śmierci na tak zwanym „polu bitwy”. Tak umierać niech tylko będzie wolno, przy takiej muzyce, w oczach takiego hyperkomandora, a reszta to *furda* — właśnie furda, to niesmaczne, przykre, „ślachcickie” słowo.

— Baron Kapen de Vahaz, Genezyp — szepnął Oleśnicki między puszyste włoski na mięsistym, *czut' czut'* semickim uchu Wodza. Pytania Zypcio nie słyszał, ale widział ucho... Być *nawet* kobietą, aby móc się mu, mu, muuuu...

— Stój! — To on „sam” na niego krzyknął! Zwrot w lewo, trzask obcasów i brzęk ostróg i samo ucieleśnione wojenne wypięcie wyrosło przed czarnymi śliwami-smorodi-

nami Kocmołuchowicza. Między nimi dwoma była jakaś ciągła nieskończenie szybka błyskawica, w obie strony jednocześnie. Cement fluidu krzepi na niezniszczalny zaświatowy mur. W tym była przyszłość. Jako też była. I to jaka! — Ty nie rozplywaj się w empirejach! — Nie-do-uwierzenia! To on do niego mówił. Słowa, jak wyhodowane w zaświatach, nieistniejące rajskie ptaki, siadały Zypciowi na głowę, zdobiąc ją w pióropusz chwały już nie z tej planety. Tam to, w jego głowie, stawały się one naprawdę tym, czym były. A przy tym obaj mieli tyłki, dziś srali, tylko co obaj rybę żarli — jakie to dziwne. Nawet Kocmołuchowicz miał lekki atak hemoroidalny *à la* Roztopczyn. Nie — to piekielnie dziwne.

Zawisły nad Genezypem długie, kozackie wąsy i śmiejący się wzrok dzika, orła, byka i Węgra, i ujeżdżacza czy nawet koniokrada jednocześnie — i ten kocmołuchowaty, nieujęty, nieuchwytny, najistotniejszy wzrokowy chwyt pajęczo-tygrysi. (Fotografie były nieznanne, bo straszliwie karane — jak mit to mit tęgi — musi zginać wszelki ślad. — Nigdy nie powinien wzrok ten dać się zafiksować, złapać, utrwalić, stężyć). Spadła w tym piwnym, raczej czarno-porterowym, smolistym, a żywym jak ukrop i sam ogień wzroku Wodza maska erotycznego świństwa z niedoszłego, granicznego jeszcze adiutanta. Jak wszystko się uwzniośliło w tym wybuchniętym z samych psychicznych jąder zachwycie. I księżna jak anioł gdzieś pływała w nieznanym medium, jak chybki wiertnik-wymoczek w szklance zgnilej wody — ho, ho! — jak wysokawo, obłokawo, kadzidlawo, świętawo. I matka stała się jedyna i konieczna, ta, a nie inna, razem ze swoją nową manią kooperatyw i Michalskim. Ten wzrok organizował swą specyficzną, skupiającą i porządkującą potęgą, dowolnie rozłożoną miążgę flaków. Zdawało się, że jeśli spojrzeć na śmietnik jaki najgorszy, to wszystko się tam ruszy i ułoży w prześliczną promienistą gwiazdę symetrii i harmonii. Tako zbił w kupę rozkładającego się Zypcia i uczynił porządek we wątpiach jego i duchowych „rozpołożeniach”. Wszystko tak było cudne — cudne aż do bólu — przelewało się po brzegi świata (nie *poza* — to niemożliwe) pianą spienionego szczęściem duchowego pyska. Położył się pełny siebie na krawędziach wszystkości i trwał. I to on to sprawił, ten ciemny chuj morowy, w generalskim, zalepionym orderami mundurze. Muzyka rwała kiszki na niebiańskie flagi, sztandary i chorągwie ku czci tamtego, prawie Nienazwanego = „Kocmołuchowicz” to był znaczek dla ludzi — on sam nie mógł się nazywać, był jedyny. Jego Jedyność nie potrzebował nazwy — był — to dość. Czy tylko był? Boże! Oddał tę mękę... może go nie ma wcale...? Ale jest, jest — o! — śmieją się smoliste gały, błyszczą tęcza orderowych wstęg i nogi (jakie też on może mieć nogi?) wypychają wspaniałe, lakierowane ostrogowate buciska. [Cóż dopiero działo się z babami!! Strach pomyśleć. Po przejeździe Jego Jedynośći przez ulicę wszystkie musiały majtki zmieniać jak jedna. Aż chlupało im w międzykrocach z suchego uwielbienia. Lepiej chwyciło, niż najpiekielniejszy hałas ponurej dźwiękojebni samego Tengiera. Ano, ano]. Z wdzięczności za jedną taką chwilę można było umrzeć — byle prędko — byle zaraz.

— Ojciec — padło pierwsze bardziej osobiste słowo — rozlało się po arteriach słodką trucizną dającą siłę, męstwo, odwagę bez granic, prawdziwą żądzę śmierci. (Ach, ojciec! że też Zypcio o nim zapomniał! — przecież to on zgotował mu tę chwilę jedyną! — „tak, tak, ojciec — tak, ojciec, ojciec”, — powtarzał w myśli ze łzami początek zdania tamtego, mówionego do niego). — Ojciec polecił mi cię, Zypulka — a? Za 3 miesiące zgłosisz się młody wędrolaju w stolicy u mnie do raportu. Pamiętaj, że główna rzecz w życiu to się *nie przeczekać!* *A beau se raidir le cadavre* — (to było słynne jego, jedyne francuskie, ale koślawe, przysłowie). — Panowie: — zwrócił się do całej sali, stojąc na prawym skrzydle pierwszego szwadronu. (Zypcio był drugim w drugim — pierwszy jeszcze nie ruszył z za stołów). Był to jeden z tych jego szaleńczych historyczno-historycznych występów-wystąpień — jedna rzecz, której się bał, aby w niej nie przesolić. Historyczne ataki zupełnej bez wątpienia szczerości, nieobliczalnej, która, rozprasząc mrok w detalach, utajemniczała go jeszcze bardziej ogólnie w oczach tłumów, a nawet najmorszych inteligentów. Tam sięgał w chwilach tych, gdzie kryła się jeszcze morsza tajemnica, niż jego własna osobowość: stan społeczny obecnego przekroju. A potem zaraz do Zypka cicho szeptem metalicznym: Zypcio mało nie umarł ze szczęścia, po prostu mało nie zesrał się w portki. Po prostu zachodził w ciążę we łbie jakimś nieznanym płodem: nieugiętą w pojęcia myślą Wodza, jego marzeniem o ogólnej potędze. — Nie masz pojęcia, lizogonku, jak to świetnie się złożyło, żeś wtedy wyrznął Piętalskiego w mordę. — (Boże, Boże! Skąd

on wiedział o tym, ten kawalerski bóg? On zdawał się czymś tak ogólnym, że nie powinien wiedzieć „zda się” o żadnym „zasię” takim marnym fakcie). — Akurat mi trzeba przyspieszeń dla małej próby sił. — (Głośno). — Panowie! Musimy zrobić próbę. Wiem, co mówię i do kogo. Agenci moi prowokują Syndykat już od dwóch tygodni. Nikt nic nie wie i ja też. Dostyc tych ciuciuduszek. Ja nie mogę jechać na Centaurze — ja muszę mieć pod sobą konia sztandardowego. Naród w sumie może być normalnym durniem — byle by chciał siły. Zamiast naszej „*Wille zur Ohnmacht*” stawiam hasło: „wygiąć się aż do pęknięcia”, bo „lepiej pęknąć, niżli gnić”, nawet jeśli to pęknięcie znaczyć będzie międzyplanetarnie tyle, co by ktoś tam sobie pierdnął. Panowie: taki los parszywy każdego żywego stworzenia, że sobie samemu wystarczyć nie może. Spodziewam się, że wobec mojej notorycznej tajemniczości — mam odwagę o tym mówić — tym różnię się od wszystkich innych działaczy ziemskich — (każdy był szczęśliwy, że on się tak z nim spoufala — aż ze skóry własnej się rwał czort wie gdzie z bezwstydną „niegi”) i bliskości wojsk Niebieskiego Państwa, zdenerwowanie strony, która uwzięła się, aby być stroną wrogą wobec mnie i armii, jest wielkie i prowokacja się uda. Będziemy wiedzieli wtedy jasno, jakie procentowe rozłożenia w kraju. Parę trupków jest koniecznych. Ale każdy facet, który padnie tu, spomiędzy was, czy tam, to cyfra w moim notatniku tajemnym, o ile go w ogóle mam. Cha, cha, cha — „zalał się” weselnym, chamskim, radosnym jak ryk rozkoszy bydłęcia, śmiechem. — Ja papierków nie lubię, chyba klozetowe — *post factum* — niech mnie historia podetrze i dowie się *qu'est ce que j'avais dans le cul, czy dans le ventre même*. Mój notatnik to mit, panowie — ilu chińskich szpicli za nim goni, a żaden go nawet nie wachał z daleka. Każdy z was to jeszcze jeden parametr we wspólnym równaniu, które układa się tu! — Uderzył się bezczelnie w łeb — słychać było to uderzenie na całą salę. Ryk rozkielznanego zachwytu i cicha, gwałtowna chęć śmierci dla i za tego koniokradowego zgeneralonego dojeżdźacza, z domieszką osiemdziesięciu procent Aleksandra Macedońskiego i dziesięciu procent księcia de Lauzun, wypełniła salę. Gdzieś w drugim końcu oberwały się i poleciały zmurszałe po-pneumatycznie stuki na głowy rozpalone junkrów — dwudziestu było rannych — wyli jeszcze bardziej z zapалу (a nawet z animuszu) opatrywani na miejscu, na sali. Kocmołuch otrząsnął żółtawo-biały pył z lśniącego dekoracjami munduru i rzekł:

— A pamiętajcie chłopcy, że ja was kocham, was jednych — bo całą rodzinę moją, żonę i córeczkę, to ja mam w zadzie mego „Siwka”. — To były te okropne powiedzonka, które zjednywały mu najszaleńszą miłość i to wśród najwytworniejszych bubków. Oleśnicki płakał rzewnymi łzami, a komendant szkoły, generał Próchwa nie wytrzymał: złapał litrową butelkę czystej dzikowskiej i wychłnął całą do dna na oczach całej szkoły, po czym wciągnął, również przy wszystkich, w krwawy nochal, gram najlepszej lśniącej kokainy Merck'a. „Bo żebym ja miał sobie czego odmawiać, dlatego aby o pięć lat dłużej żyć? Niedoczekanie anielskie. Najwięcej energii kosztują człowieka te wszystkie abstenencje” — mawiał dziewięćdziesięcioletni starzec. Już go Kocmołuchowicz trzymał w swych kawalersko-kleszczowatych objęciach. Piła cała szkoła — jutro i tak dzień wolny. W przeczuciu wielkich wypadków, których ten czarny, młody jeszcze, chmyzowaty wąsał był żywym wcieleniem, ogarnął wszystkich śmiertelny szal pojmwania najwyższego uroku życia już prawie w samym tchnieniu nagłej śmierci. (Są naprawdę chwile, kiedy i gram kokainy nie zaszkodzi. Ale trzeba o nich dobrze wiedzieć — nie wziąć innej chwili za tę właśnie. A przy tym zasada ta stosuje się tylko do silnych: „*meine Wahrheiten sind nicht für die Anderen*”). Cyferblat przeznaczeń kręcił się jak szalony — dwie tarcze: jedna czarna, druga złota, zwały się w jedną szarą kulę. Czymże byłoby życie bez śmierci?! Świństwem — w doskonałości zakrzepł cały świat. Rozkosz bytu w śmiertelnym pół-cieniu dudniała we krwi wraz z alkoholem, mocnym, prawdziwym prądem. Połączyć, ach, choć na jedną setną sekundy te sprzeczności i trwać choć jedno mgnienie już po wszystkim. Niestety — cała rozkosz jest w tym wypinaniu się — nie ma w uczuciu tym orgazmu — najwyższy punkt jest aktualną nicością. Biada temu, co przetrzyma za długo. Ocknie się w nudzie, jakiej dotąd nie znała planeta (oczywiście dla niego). I w niej pojmie dopiero, czym jest śmierć naprawdę: niczym straszniejszym: nieznośną nudą nieistnienia, wobec której niczym jest najstraszniejszy ból i rozpacz. Ale teraz „pożywał” Genezyp pełną gębą słodko-trująco, dwoisty owoc śmierci za życia, czy pośmiertnego istnienia.

Za oknami gasło przepiękne wiosenne słońce, pomarańczowo błyszcząc w oknach domów i na mokrych od niedawnego pachnącego deszczu pniach puszystych od młodych listków, wiosennie sprężonych do życia drzew. Już prawie po ciemku, kiedy niebo konało w najcudniejszym seledyno-granacie przepikowanym mosiężno-żółtymi ognikami pierwszych gwiazd, rozpoczęły się pijane popisy uczniów, w których brał udział on, pierwszy jeździec kraju, dawny „bóg” ze szkoły w Saumurs. Dotąd w takich okazjach on jeden z całej armii (przebrał się bestia po obiedzie) nosił czarny i czarno-szamerowany mundur i złote ostrogi „somiurskiego boga”. Genezyp, dostawszy w pijanym zamieszaniu nie swojego konia (czy w to nie była zamieszana „długa ręka” Piętalskiego?) rozbił sobie ciężko głowę przy samym ciemieniu. Leżał w świeżej trawce półprzytomny od piekielnego wyrżnięcia się i wódki. Obok stał ON — o parę kroków. Widział go — on Zypka — ale nie podszedł do niego i nie spytał, jak się czuje. Rozmawiał wesoło z kursowymi oficerami, z których jeden właśnie zwichnął lewą rękę, a prawą palił nonszalancko (czekając na doktora) „*Mr. Rothman's own special*” papierosa, którego dostał od wodza.

— ...wielkie rzeczy na małą skalę. Nie, nie — ja wiem: jeśli chodzi o napięcie psychiczne osobiste, to bezsprzecznie wielkie, może ostatnie w swoim rodzaju, ale jeśli wziąć pod uwagę skutki, to może wszystko jest zbyt małe jak na to właśnie zbiorowe wypiętrzanie się miazgi ludzkiej. Ziemia jest kulą, w przybliżeniu, psia-krew! Ograniczone ścierwo! Dziwnie świat się zamaskował sam przed sobą... — (I to on mówił! — najdoskonalsze wcielenie tajemnicy, a może i wcielenie najlepiej wykonanej maski! O szczęście, niewypowiedziane szczęście; móc słyszeć coś takiego, choćby z rozbitą głową i nawet będąc świadomie zignorowanym (dobrze, że świadomie — to wiedział) przez tego wymarzonego „nadpłciowca”, to nad-człowiecze, a jednak antymetafizyczne bydlę!) — ...tę maskę trzeba zerwać, choćby razem z twarzą, a może i głową. W tym wypadku i z nami koniec. Ale czymże jest życie, nie przeżyte na ostrzu wbijającym się w nieznanne, na szczycie szaleństwa czy mądrości? „*Wszystko rawno! Trzebiona nac*” — (Wyrażenie zastępcze — jak „*parbleu*” — a lubił Kwaternistrz „*ruskie rugatilstwa*” — trudno — trzeba się było odzwyczaić). Och — żeby to wszyscy zrozumieli! Żeby każdy chciał, nawet ostatni drań, przeżyć siebie w swojej proporcji, psia-kość, w tej dymensji wielkości. Ale... — (i tu powiedział słynne swoje zdanie o kryształach. Teraz słyszał to Zypcio, o czym wtedy w salonie księżnej bełtano tak bezwstydnie naiwnie. Czuł całą dysproporcję tych słów z rzeczywistością i w tym poczuciu urosł mu Kocmołuch do potwornych wprost rozmiarów — zalał świat cały, zasiadł w nim swym wspaniałym kawaleryjskim zadem i roztał go na proszek. Łeb bolał niesamowicie i ten ból czuł Zypcio jako ból tamtego, ból dysproporcji i koniecznej przyszej jego hańby — prawdziwy wściekły orzeł na czele tłumu koników polnych i „śniętych rybek”. A bodaj to...!) I głos ten lejąc się jakby roztopionym metalem w bebeczy junkra mówił dalej:

— I czy nie czas to jest, aby te ostatnie szaleństwa popełnić — te wielkie — bo te, za które „*atprawljajut w żółtyj dom*”, to ja mam w zadzie „Siwka” za przeproszeniem pana, panie rotmistrzu. Hę? Jak pan się nazywa? Hrabia Ostromięcki? *Bon* — nie zapomnę. — To „hrabia” powiedziane było z lekkim odcieniem pogardy — ale w miarę. On umiał jeszcze w ten sposób oddziaływać na zatracone poczucie wielkości naszych lepszych „*aristos*” — mało takich już było. I ten tytan nie lenił się takich rzeczy mówić byle kursowemu oficerzynie z jednej ze stu czy dwiestu szkół. „*Il a de la poigne ce bougre-là*” — jak mówił Lebac.

Genezyp siłą woli pokonawszy rozbicie łba o pień (uderzył o niższą część prawie zakrytą trawą) wylizał się z tego, wzmocnionym widzeniem Wodza, psychicznym ozorem i o ósmej, napchany potęgą Kocmołuchowicza, jak akumulator (Wódz walił już o tej porze do szkoły artylerii konnej w Kocmyrzowie ładować dalej — niestrudzona jedna psychodynamo na cały kraj) olśniony urokiem życia od wewnątrz, którym promieniały wszystkie komórki jego ciała, jadł kolację w domu razem z „panem” Michalskim. Dziwnie małym wydał mu się ten niestrudzony człeczyna od kooperatyw, na tle szkolnej wizytacji. Niechże takiego „ręcznika wspólnoty” zmusi co do przeżycia życia „na szczytach” *à la „le Grand Kotzmołouk*”. Jak rozpętać pod wyższy diapazon tę zacietrzewioną w sobie uspołecznioną codzienność? Co dla tamtego było ciągłym świętem („*immer Sonntag*” jak mówił Buxenhayn), u tego „wycirusa łzawej społeczności” stawało się wcieloną popospolitością — szara miazga nie mogła czuć tego święta — dla niej to była katastrofa. Inne

jakościowo gatunki sił. Trzeba to skopać, zmiażdżyć, rozplaszczyc jak ciasto wałkiem, aby na tym móc dopiero zatańczyć ostatni swój taniec szaleństwa, upicia się względną w dodatku wielkością. (Widział Zypcio błędy Kocmołuchowicza, całą jego niewspółczesność, nieprzystosowalność i za to jeszcze bardziej go kochał. O ile trudniejsze miał zadanie on, niż „taki” Napoleon choćby, nie mówiąc już o dawniejszych bohaterach — on musiał tłamsić, deformować swą wielkość w gęstniejącej z minuty na minutę organizacji — tamci ruszali się w próżni prawie — on, w smolnej mazi.

Za chwilę miał Zypcio ujrzeć Lilian na scenie po raz pierwszy — i to w *taki* dzień. Poczul, że coś komponuje mu życie i że nic nie jest tu „bez kozery” — (okropne wyrażenie). Tak czuć zawsze byłoby już szczęściem, bez względu na ujemne zdarzenia. Przyszedł Sturfan Abnol i powitał go jak najrodzajszego z braci. Zaraz wypili na „ty”. Jeszcze nie wywietrzała mu uczta w szkole, a już zalewał mózg nowymi falami likworu. Trudno — ten dzień trzeba było spotęgować do ostatnich możliwych granic, choćby wszystko miało trzasnąć aż do wiązań mózgowych włącznie. Obręczą stalową na łeb była mu wizja Wodzka, zdeformowana już w kierunku nadzwyczajności do niewyraźnej potęgi. Czuł go całego razem z butami i ostrogami gdzieś pod sercem, jako czarną, metalową pigułkę nie do strawienia. Ale mimo pozytywnej wartości na razie wszystko to razem spotęgowało tylko, zafiksowało, obramiło i utwierdziło gościa z dna. — Stał się już czymś stałym, ekranem, na którym rysowały się niesamowite cienie chwil obecnych, ekranem, który z wolna z płaskości wizji wchodził w trzeci wymiar, urealniał się nieomal mięśniowo. Otóż to — pewne mięśnie należały już trochę do tamtego — tracił Genezyp nad nimi coraz bardziej władzę. Było to piekielnie niebezpieczne.

Tak — takiego dnia nie wolno było z rąk wypuścić, nie wyssawszy z niego całej utajonej rozkoszy, niezdobytej dla normalnych ludzi. Są dnie-kwiaty i dnie-plwociny i wypociny. Ale czy te pierwsze nie wyrastają względnie rzadko na odpowiednio przewyżczonych tamtych? Trzeba czasem miesięcy całych czarnej, pozornie jałowej pracy, aby zniecka „uszcżnąć sobie taki śliczny »dzionek«, lub choćby »smaczne« pół-godzinki” — przypomniło mu się niesmaczne zdanie Tengiera. Druga wątpliwość Sturfana: „czy kobiety nie są czasami wstrętnymi kapliczkami, w których pewni onanistyczni bałwochwalcy oddają cześć sobie samym, nawet pod pozorami zupełnie autentycznej miłości?” Księżna zmalala w tym wszystkim — ale ostatecznie dobrze, że była, *faute de mieux*. Wygodny był bądź co bądź ten „ujarzmiony demon”, którego można było dowolnie na dwie strony tłamać, robić z nim, przynajmniej wewnątrz, co się chciało. A przyjemność była wprost straszna. Czuł Zypcio, że takiej kobiety, o takiej proporcji elementów psychicznych i fizycznych już nie spotka, i to go właśnie do niej podniecało — ta ostatniość, końcowość. Ale nie dziś — dziś wszystko było oddane ostatnim promieniom młodego życia w obliczu [tak — obliczu — oblicze to nie twarz — to puste miejsce pod jakimiś wualami (a nie woalami — czort wie co) znad grobu] w obliczu najpiękniejszej ze śmierci, uosobionej we wspaniałym wodzu, śmierci, w której świat wyolbrzymia się w dzikim uroku aż do najdrobniejszej swej „pecyneczki” i staje się naprawdę aktualną nieskończonością, dającą się pożyć w jednym kawale, gdy osobowość pęka pod własnym ciśnieniem i rozlatuje się aż po najdalsze krańce wszystkości. W śmierci takiej nie ma miejsca na jakiś parszywy żal za życiem — on zostaje przetransformowany na odwrotność swą: *radosne* potwierdzenie niebytu, nasycenie żądz życia tak wściekle, jakiego w życiu niczym osiągnąć się nie da. Pojęcia: odwaga i strach stają się bezsensami, wyblakłymi widmami istności z innego, niższego wymiaru. Nadać nową wartość wyrazom — gdyby mógł to uczynić, mówiłby tak właśnie na granicy bezsensu — bo do czego się sprowadzają tak zwane „intuicyjne sformułowania”? : rezygnacja z logiki na rzecz bezpośredniego, *artystycznego* = działającego formą i niezwykłymi zestawieniami słów, wypowiedzenia. Intuicja (ta, o której plotą baby i umysłowe leniuchy) zawsze jest upadkiem, w stosunku do sensu. Ale poza pewnymi, ograniczonymi co do ilości sprzecznościami sens w znaczeniu pozytywnym jest bezsilny — trzeba bredzić, aby wyrazić bezpośrednio metafizyczną dziwność bytu i jej pochodne. Poza nią i sprzecznymi uczuciami nie ma rzeczy, które mogłyby pretendować do „intuicyjnych” (w powyższym znaczeniu) ujęć. Durnie mówią wtedy o „niezrozumialstwie”. Tak mawiał ten wieczny Sturfan Abnol. A potem pienieł się na tę „bandę pasożytów zamierającej sztuki”, jak nazywał krytyków całego świata: „...to stado tchórzliwych impotentów, bojących się walki ze mną w obawie kompromitacji i mego wywyższenia, ope-

Błądzenie

rujące przekręconą myślą, fałszem lub udaną nawet czasem głupotą, aby mnie zwyciężyć w mózgach skretyniałej publiczności...” itd. itd. Genezyta nudziły te zwierzenia. Dawniej może byłby się zapalił i chciał zostać „prawdziwym krytykiem” tak tamo jak stangretem czy maszynistą. Dziś miał w zadku swego „Eufanazego” całą literaturę, podobnie jak Kocmołuchowicz w zadku „Siwka” nieomal że świat cały, z wyjątkiem... Ale o tym później. (Naiwne zaciekawianie). Co to kogo może obchodzić w czasach, gdzie wszystko się wali i na żywo przewala *de fond en comble*. Może to i było czymś realnym kiedyś: ten cały niby związek literatury z życiem i wpływ jej na to życie właśnie. Ale teraz kultura, o ile jest w ogóle, fabrykuje się w innej kondygnacji wartości, świadomie czysto społeczno-ekonomicznych. Może nie jest już kulturą w dawnym, spenglerowskim znaczeniu, nie opiera się na mitach, choćby się tu stu Sorelów nawet zagadało na śmierć. Ta mania nie widzenia kardynalnych różnic w czasie to też jeden z atrybutów typowego „splyciarza”. „Wszystko jest to samo, dusza ludzka jest niezmienna, wszystko było i będzie, są tylko oscylacje” — ględzą psie-krwie, zamazując istotne przepaście, tropiąc problemy w celu zniszczenia ich gdzie mogą. A w sferze pojęć absolutnych i koniecznych są psychologami, empirystami i w ogóle „względniściami”. Och, wytruć to plemię! Ale mniejsza z tym. Trudno: słowo przestało być twórcze: wlecze się za życiem społecznym, jak tabor za zwycięskim wojskiem. Przeżuwa zaledwie materiał, ale nie stwarza nowego. Pewnie nie tylko dlatego, że ilość słów jest ograniczona, a nowych pojęć zasadniczych przybywać nie może, ale z powodu wygaśnięcia głębszych źródeł twórczości: zasychania i wędnięcia samej osobowości ludzkiej. Dawniej słowo było na froncie, a dziś? Co taki półartystyczny (bo już nawet nie pełny artysta słowa dawnych czasów — ci — wymarli) bałwan Sturfan Abnol wie o istocie takiego Kocmołuchowicza? Nie może już chwycić rozpiętości jego fali na swój sparszywiwały transformator. Życie wyprzedziło sztukę pod względem jej materiału, nie mogą nastarczyć już temu napięciu nawet sami główniarze z ich zdewergondowaną psychiką — chyba jeszcze w muzyce, bo tam jest tylko rzeczywistość uczuć, a nie świata, a sztuka, w chwili formalnego wyprzedzenia życia, o parę dziesiątków lat wstecz, wyczerpała wszystkie formy do dna. On jeden, Zypcio, może coś rozumiał, jako stojący na samej grani, czy na spęknięciu — jak kto chce — w punkcie przecięcia sprzecznych sił przeszłości i przyszłości, Zypcio i może paru takich samych rozdwojeńców. A zresztą całe życie społeczne poza świadomością rozdwojenia w takich mózgach jest, gdyby je tak dokładnie zanalizować, tak wstrętne i bezideowe, jak te literacko-artystyczne „stosuneczki”, zionące bezmyślnym mizeractwem walk cienko-osobistych, bezsilnych pseudo-ambicyjek. Tak przedstawiał to czasem Sturfan Abnol, twierdząc, że literatura to skondensowane życie — ale na pewno tak nie było — przynajmniej w tych strasznych czasach. Może jeden tylko Kocmołuchowicz maskował ostateczną nędzę wszystkiego, tę, w którą nie śmiele spojrzeć najlepsi z minionych epok. A czymże to było poza niezdolnością do pracy, niechlujstwem myśli, brakiem poczucia czasu (tego zegarkowego), jak nie pewnym historycznym zapóźnieniem, brakiem tresury wieków i *niezdolnością przystosowania*. „To, to ono jest”: co w indywidualach daje czasem nowe wartości, u narodów staje się głupotą i mizerią — narodowa odwaga na mały dystans — tchórzostwo na wielki. Ale w takim razie (jakim?), jaki czort dawał temu tytanowi kwatermistrzostwa („zakwateruje on po mistrzowsku cały ten swój naród w jakiejś chińskiej czerezwycząjce” — mówiły skeptyki), tę siłę, aby mógł on być takim ogólnym samoparawanem dla wszystkich, czy raczej taką wewnętrzną maską całego narodu? Jak w nim odbijała się ta ohyda, jak w nim to *wszystko wyglądało!*? Nie wiedział tego nikt i co najstraszniejsze, on sam — tylko za cenę tej nieświadomości był tym, czym był — wielkim żołądkiem, w którym trawił się i dotrawić się nie mógł cały naród — zgaga tej niestrawności, tu była jego prywatna świadomość. Wrogowie jego nawet czuli, że istnieją przez to tylko, że są jego wrogami — czysto negatywnie szwendali się po tej ziemi. Na tym polegała jego Nietykalność i na Tajemnicy. Tą tajemnicą i pieniędzmi Zachodu żyło wszystko. Cienka była to warstewka, oj cienka! Gięła się już czasem miejscami, ale nie pękała. I na nią to wpełzała powoli nowa wiara Dżewaniego, za którym piętrzył się jak wieża z żelaznej mgły tajemniczy do niewymierzalnej potęgi, *nikomu nieznanym* Murti Bing na dalekiej malajskiej wysepce. A tu pod nogami wstręt, wstręt, wstręt — niech przyjdzie zniszczenie, byle piękne — bo w tej idealnie zorganizowanej pracy zaczynały już śmierdzieć jakąś metalową zgnilizną nawet szczerzo-złote serca i stalowe umysły. Tak, tak — jeden Kocmołuchowicz —

Słowo, Sztuka

w nim była do tego jeszcze głupia młodość i wyzywająca niebezpieczeństwo siła, ale nie ta głupia dawna, albo ta krótkotrwała tak zwana dancinowo-sportowa, nie siła i młodość mądrych bydła z przedhistorycznych epok, takich bydła paleontologicznych, jakich dziś nie ma (bo dziś marne, biedne człowieczysko splugawiło nawet dzikiego zwierza swoją marną o nim świadomością), tylko *perwersyjna*, powstała jakby z wywróconej podszewką na wierzch starości i słabości — na złość wszystkim. [„Zbrudził człowiek świat, narobił świństwa pod siebie i w tym siedzi — za kark go jak szczeniaka, w mordę i rzucić potem na nowo na tło wszechświatowej przestrzeni” — to była jedyna „astronomiczna”, jak ją nazywał, filozofia Kwatermistrza — na Drodze Mlecznej kończyły się dla niego te problemy — czytał tylko *Zwei neue Welten* Fournier d’Albe’a, jako najwyższy już intelektualny luksus, i pękał sobie z tego ze śmiechu. Zhipostazowana Przechylenie była jego jedynym fetyszem — nie bóstwem. — Czas miał w zadzie „Siwka”. Ten zad biednego (skończył bardzo tragicznie) „Siwka” była to zaiste przedziwna rupieciarnia. Tam to znajdował się też obraz drugiego Kocmołuchowicza na elektronie w materii niższej jako na planecie (i to w jego własnym brzuchu), podczas gdy wszystko razem z Drogą Mleczną było w brzuchu trzeciego Kocmołuchowicza w materii rzędu wyższego. Jeden Kocmołuchowicz na świecie całym — — już nie śmiano go nazywać polskim Gutierrezem de Estradą — on był jedynym autentycznym unikatem].

A Zypcio myślał, pijąc na umór ze Sturfanem: „...Cóż to za rozkosz piekielna mieć Wodza: móc komuś zawierzyć ponad wszystko i ponad siebie samego! Ach — nieszczęsne te epoki, grupy i ci ludzie, którzy tego nie mieli! Jak już nie można wierzyć sobie samemu, ani swemu narodowi, ani jakiejś idei społecznej, niechże zostanie choć wiara w takiego szaleńca, który w to wszystko wierzy”. Nie być sobą, być w kimś, w NIM — być atomem jego potęgi, włókienkiem jego przedłużonych mięśni — a na dnie tego podle uczucie: zrzucić odpowiedzialność za siebie — tak myśleli też wrogowie Kwatermistrza: musieli być takimi, mając takiego wroga, i w ten sposób pozbywali się ciężaru własnych czynów wobec historii.

[A w salonowym wagonie kocmyrzowskiego ekspresu, samotny w swym przedziale Kocmołuchowicz, myślał. („Jak ty myślisz o tym wszystkim” — pytała go często jego żona. On się tylko uśmiechał na to po bestialsku, muskając straszną swą łapą zbrodniarza jedwabistą czerń swych wąsów, a potem... Były to chwile największego jej dla niego uwielbienia. Rzecz dziwna: były coraz częstsze, ale coraz bardziej krótkotrwałe. Wtedy tylko jej pożądał — mógł sobie na to pozwolić, aby być wobec niej sobą, to jest masochistą...) A więc myślał w przybliżeniu tak = »obraz granicy państwa: słupki w Zdołbunowie, Żmerynce, Rohatynie, na Psiorach, w Kropiwnicy... Tak — tylko brakuje jeszcze kaszubskich słów w naszym języku. To fatalne«. (Etnograficzna, aktualna Polska zdała mu się czymś małym, jak piąstka dziecka, może jego córeczki, jedynej Ileanki. On trzymał to w swojej garści. Spojrzał na swoją piękną męską, włochatą, zbrodniczą [tak mówiły kabalarki] rękę i zadrżał. *Widział obcą łapę, która nie wie, co myśli*). »Obraz Chińczyków — znał te toczone z kości gęby i ukośność draniowatą oczu, znał z Rosji — sam, gdy rękami skosił sobie oczy przed lustrem, czuł się potwornym wprost draniem, czuł obcą psychikę w sobie, całkiem kogoś innego, kogoś, którego znał z *widzenia*, nie osobiście. A może był to on, który kiedyś się objawi”. Nie ma czasu na takie myśli — to nie wchodzi w sztabacką nieomal grę, którą prowadzi z nieznanym przeciwnikiem. Jakże mógł wiedzieć, co mu jest przeciwne, nie wiedząc, kim był i jest sam. Kim będzie? Ha — niech inni to rozplączą potem. Po *czem?* Zimny pot na dolnych powiekach. Życie jest jedno. On jest tym jedynym „polaczyszką” prawdziwym na całym globie. Niska marka Polski jako narodu, ale znowu jedyność tego zjawiska... I on, prawie tak, jak król Hyrkani, Edyp IV — tylko nieskończenie wyżej, choć bez korony, bo tamten *au fond des fonds* jest błaznem. Chociaż...? Straszliwa wątpliwość wyblęśla ze „szklanych szkopolów”, zaplątanych w podmorskie algi znanych słów. Nowych brakło mu — tak lepiej. Gdyby na pewne rzeczy znalazł słowa, to rzeczy te ożyłyby, rzuciły się nań i zjadły. On płynął dalej jak rekin w bezrybnym oceanie, skazany na śmierć głodową. Nonsens — wizje prysnęły — był znowu sobą. Skondensował się w punkt. I to, że nikt nie wie tej jego ostatniej myśli... Strach potworny, jak w *tych* chwilach z NIA... Nie z żoną. I w tym cały urok, że jeszcze można się czegoś bać i że to się ma w sobie, a nie poza sobą. Taki strach nie

Przywódca

upadła. Och — tego, tej myśli nie wygadać histerycznie, samemu zapomnieć. Ścisnięcie wszystkich mięśni w jedną kulę żelazną z mózgiem — już nie ma nic. Skok w inny wymiar. I ten „biedny” Kocmołuchowicz, mimo piekielnych bohaterstw krucjatowych w Bolszewii, do niedawna nieprzyjmowany przez bardziej arystokratycznych członków Syndykatu, ten, który porwał sobie tę kochaną zresztą hrabiankę — teraz rodzina jej chciała się z nim pogodzić — on nie chciał, uśmiechnął się gorzko, choć z prawdziwą pogardą — to rzadka rzecz w takich kombinacjach. Wolałby jednak, aby tak nie było. Wolałby jednak być jakimś choćby parszywym, nędznym hrabią. Zapatrzył się na chwilę w wyobraźni w przepiękną, natchnioną twarz młodego Oleśnickiego, rzymskiego księcia od XVI wieku i zadrżał z dziwnej nienawiści, połączonej z nieprzyjemnie piekącą zazdrością. Czyż nienasycenie jego w tym kierunku nie jest motorem połowy jego działań? Tak, oczywiście: parszywym hrabią być, parszywym w swym hrabiostwie, byłoby lepiej. Ale siebie, jako takiego, nie oddałby nawet za króla czy cesarza. Chyba może jakie 5 tysięcy lat wstecz? Wtedy nawet z przyjemnością. Cóż — dziś trzeba być tylko Kocmołuchowiczem. I nagle poczuł nonsens metafizyczny, wyrosły z przemian życiowych człowieka, choćby od podoficera do generała, polegający na gadaniu, że ten mógłby być tym, a ten znów tamtym. Tylko tym właśnie, a nie innym może być to dane Istnienie Poszczególne raz na całą wieczność — tylko to może o sobie powiedzieć „ja” — nie „ja” jako abstrakcja przelatująca z ciała na ciało jak motyl z kwiatka na kwiatek, tylko to jedno, stanowiące z tym ciałem absolutną jedność. Poczul nieszczęsny Kocmołuch swoją własną „ponad-astronomiczną” konieczność. Jak mgnienie przeszła chwila metafizycznego zdumienia nad sobą i światem. Był znowu Kwatermistrzem, stąd dotąd — małym w swej wielkości, jak przed chwilą wielkim był w małości. Nie było czasu na takie bzdury. Zadrżała go pogarda dla siebie samego tak wielka, jak dla obcego człowieka, i to go ocuciło, ocaliło przed samym sobą. Gdyby raz się był na siebie porządnie rzucił, toby go nic już z własnych szponów nie wyrwało. Bechmetiew inaczej by to określił. Mógł Kwatermistrz zgnieść siebie w tej chwili jak stonogę, a wleciał ponad siebie, jak orzeł ponad śmierdzące bagnisko. Zdużona wątpliwość wylała się poza brzegi duszy, dusza nią ociekała po wierzchu. I zaraz: »cały kraj jak mapa i ta piekielna, męcząca, absolutna niewiadomość celu. Za małe to wszystko, za małe — cały świat zadusić by w uścisku, przetworzyć i przepotworzyć, i odrzucić omdlały z rozkoszy (że to on niby właśnie go ścisnął) jak Tę... Stop. Ha — żeby wiedzieli, jak to on jest tajemniczy sam dla siebie, toby się dopiero śmiali. Chociaż teraz, gdzieś popodświadomie może, gdyby się tak zacząć uczciwie grzebać, to można by się może domyślić. Już „szybował” nad swoją „bezdenną dziurą prywatną” („prewetną”, jak mówił jakiś chłop, bardzo inteligentny zresztą — czyż jest okropniejsze słowo?). Nie patrzeć tam w tę otchłań, („prawdziwą do pioruna, nie jakąś głupią poetycką jakiegoś Żydka czy mistyka w kawiarni” — własne słowa Jego Jedyności) — tam obłąd, a może przedtem jeszcze śmierć na przytomno z własnej ręki — z nienasycenia. Czegóż on jeszcze chciał, ten uosobiony maksymalny potencjał osobowości? Aktualnej Nieskończoności w życiu — a to się niestety nie zdarza. Praca, praca, praca — to jedynie ratuje. Nie dać się zatruć złogami nieużytych sił. A Bechmetiew znowu radził trochę odpocząć. „Tyle życia, co się człowiek zużyje i przemęczy do upadłego” — odpowiadał mu na to wesoło zabójczy dla wykonawców swej woli jak Napoleon Kwatermistrz. Słynny strażnik dusz na krawędziach przepaści potępienia za życia i opiekun już potępionych mawiał o nim: „*Erazm Wojciechowicz nie imięjeť daże uremieni cztob s umà sojtì. No eto dołżno byť konczitsa kakimnibud’ wzrywom*”. Jedno było pewne: ani naród, ani społeczeństwo nie obchodziły go jako takie: to jest zbiorowiska *czujących istot*, nie obchodziło go wcale. Nie miał rezonansu dla masowych stanów psychicznych. „Od środka” odczuwał parę osób: 1) córkę, 2) żonę, 3) „tę małpę” (jak mówiła generałowa o NIEJ), no i 4) suczkę „Bobcię”. Reszta to były cyfry. Ale widział tę „resztę” ludzi jak nikt, na zimno rozłożonych, jak na sekcji: od najbliższych wielbicieli, aż do ostatniego żołnierza, którego zawsze za najczulszy pępek uchwycić umiał. I prędzej by się rozleciał na drobne kawałki, niżby mógł sam się co do tego zanalizować, czy miał jakie narodowe uczucia, czy społeczne instynkty. Przeznaczenie zważyło go na szczyt tej piramidy i musiał wytrwać tam do końca. Ale temu przeznaczeniu godnie też pomagał. I teraz zawarzyć w tym wszystkim kaszy i potem jeszcze raz w tej kaszy sobą maksymalnie zaważyć i być zauważonym wreszcie przez cały świat — ale nie tak, jak teraz. Nie wystarczało mu, że jakieś tam zagwazdrane zagraniczne piśmidełka ledwo czasem co

o nim skrobną. (W ogóle milczano o nas wtedy publicznie, zużywając tajnie jako bufor — „butaforski bufor zbutwiałego, nabufionego a butnego i głupiego jak but bufoństwa” — jak mówił on sam. Coś tam było jeszcze o bufecie — że niby Rosja i Polska to bufet z zakąskami dla Mongołów, przed pożarciem całego świata. Lubił takie wyrazy w wolnych chwilach „Wielki Kocmołuch”). Tak — to jedyna jeszcze forma twórczości dzisiaj: potrafić według własnej woli i fantazji zakręcić porządnie kłębowiskiem ludzkim (choćby taką Polską), naruszyć zacieśniającą się jak obręcz na szyi organizację mas i układ ciśnień zewnętrznych. Ale był to raczej nowotwór intelektualny — bo we krwi nie miał kwatermistrz wladztwa — tego pierwotnego, rozlanego po całym ciele. Siedziało to w jakimś przerośniętym mózgowym gruczole — osobno gdzieś tkwiło, ale za to mocno. »Znowu plan — ta prawdziwa jego koncepcja: plan wielkiej bitwy z Chińczykami, polegający na takiej konfiguracji frontu, która by z początkiem boju zmusiła przeciwnika do takiej a nie innej „*pieregupirówki*” (ulubione wyrażenie Wodza), przy czym sztab chiński miał być nawet o pewnych rzeczach programowo prawdziwie i wiarogodnie poinformowany. W istocie kwatermistrz był urodzonym kondotierem — tu leżało jądro rzeczy, — a przy tym strategiem-artystą. To była istotna twórczość, którą on jako „mąż stanu” lekceważył. Działalność społeczna stanowiła tylko tło dla wielkich koncepcji bojowych — ale w świadomości swej uważał się za wielkiego proroka całej ludzkości, proroka bez idei. A może było coś takiego tam w tej „prywatnej otchłani” — ale o tym później. On sam nie wiedział, co tam siedzi, i wiedzieć w tej chwili nie chciał. Plan dojrzywał w szatańskiej wyobraźni Wielkiego Kocmołucha bez pomocy żadnych papierów — jedna goła, bez nijakich rysunekzków odręcznych mapa i pamięć, jak jedno kolosalne sztabowe biuro z milionem szufladek i siecią elektrycznych przewodów, łączących system sygnałowych lamp. Centralny guzik tego potwornego aparatu lokalizował sobie prywatnie kwatermistrz między brwiami, trochę na lewo, gdzie miał pewien nieregularny guz — „guz macedoński”, jak go nazywał wobec NIEJ. Osobno zdawał się on sterczeć (subiektywnie oczywiście) z dala od chamskich pokładów duszy (od barów i od lędźwi stalowych też), które nie były do pogardzenia też — w pewnych chwilach stanowiły doskonałą rezerwę. »Ha, ci strzelcy konni w Grudziądzu, to nie jest pewne. Wizytacja może popsuć, z powodu tego diabelskiego Wolframa — a sprzątnąć go niepodobna. A on przeziera — oczywiście zdaje mu się, ale to wystarczy. A to najgorsze, że on jest także „kawaleryjskim bogiem”. Nie ruszać — zresorbuj się samo, albo pęknie i ...,czik” — przyszczypnąć w odpowiednim momencie. Już tam Swędziagolski da sobie radę w razie wybuchu. Teraz nie można zawczasu „przyjąć miar” zbyt surowych, a potem... Ha — K, I i W — to trzy. Cyferblatowicz jest przekonany o tajnym zbliżeniu do Syndykatu — nie docenia jego siły. Niech będzie — tym go się później unieszkodliwi. Niech działa na własną rękę.« Poczul pogardę dla wrogów, zmuszających go do niegodnych sztuczek. »Puścić go wolno, a przeważaj tam, gdzie trzeba«. Boroeder — ta enigmatyczna twarz wschodnia to jedyna nieomal przeszkoda — prawie tak tajemniczy, jak on sam, tylko nie tak ogólnie interesujący. Lśniaca czarna broda, w której się kryją wszystkie jego zagadki. Nią się bestia maskuje — gdyby go tak związać i ogolić? Genialny pomysł: straciłby połowę potęgi. I ta żółta ręka z pierścieniami o czerwonych, tanich półszlachetnych kamieniach (Spinele?) (też się wybrał!), gdy gładzi tę brodę, jak wiernego psa. I to imię: Jacek — konglomerat usystematyzowanych sprzeczności. „Ogolę drania!” — krzyknął głośno wódz. „Z tymi cywilami jest najgorzej. On ma kogoś blisko mnie. Ale który?” Wpatrzył się w czerwony aksamit poduszki tak intensywnie, że mu aż pociemniało w oczach. Wypląnęła razem ze szczypiącymi łzami kamienno-poczcziwa twarz Uhrynowicza...

Informacja: W trzy dni i pół zmarł na piorunującą mózgową grypę.

Wódz był człowiekiem *nie-bez-pie-czym*. Umiał zapatrzyć się w cel choć nieokreślony i nie patrzeć na boki. Boczne — realne przepaście tylko się migały wzdłuż lśniącego jego toru — jak tarcza złota na wschodzie widniała straszliwa bitwa i pewne zwycięstwo — — — A potem? „Ha — Koldryk (Dyament) = poduszka: wyróżnę — wydmię się na nowo. Ha — nie warto gniesć. Lepiej powoli wypuszczać z niego dech, dając mu zbyt odpowiedzialne zadania. Najlepiej zniszczy go w ten sposób jego bezsenność.” „Ha — znowu Otchłani. Zamroczył się wkleśły jej horyzont i na tle skłębionych „pytyjskich” dymów Niewiadomego, zamajaczył budujący się dom na Żoliborzu i wizja spokojnej,

nasyconej po gardło czynami, starości. Wyrznął Wódz duchowym kułakiem przez łeb ten kuszący spokojną marnością obrazek i przeciął go jeszcze dla pewności na dwoje olbrzymim, rycerskim, bardziej już realnym koncerzem, którego prototyp nosili może jego przodkowie-pachołkowie za wielkimi panami dawnych wieków. Psychicznie zatarł ręce z zadowolenia, że jest finansowo czysty — to nie była etyka: to był tylko sport, ale lepszy jeszcze od konia. Ach, ten jego koń, ten koń: „Hindoo” — „Siwkiem” zwany, arab gdzieś aż znad Zatoki Perskiej. Razem z nim powinni się nazywać „Bucentaurem”, gdyby to całkiem czego innego nie oznaczało. Poczul go na chwilę pod sobą, potem żonę, potem jeszcze kogoś — ha, to najstraszniejsze (o tym później) — *le problème de détente*, *das Entspannungsproblem*. I znowu liczby i kolory pułków, i twarze oficerów, tych niewierzących mu, tych, których trzeba sprowokować teraz na tę pseudo-konserwatywną, prewentywną, prezerwatywną, prewetową pseudo-rewolucję, która będzie w istocie dla niego, bo przecież mówią w „dołach”, że się z „hrabiami” zwąchał i trzeba to odwrócić, póki Niehyd-Ochluj nie wyciągnie z tego swych flakowatych konsekwencji. Zakotłuje się to jego wstydlive nazwisko na wszystkich pyskach, a w każdym z nich w innym znaczeniu i wychynie z tego prawda, jemu tylko wiadoma teraz, a potem wszystkim. „Mimo braku świadomych uczuć w tym kierunku jestem emanacją tłumu, a oni, ci durnie, widzą we mnie niebezpiecznego indywidualistę” — (Ci durnie to byli: Cyferblatowicz, Kołdryk i Boroeder — M. S. W.; M. S. Z.; i Finanse — najtęższe łby w kraju, ludzie bez wątplenia inteligentniejsi od niego, a mimo to durnie — w tym też była mała tajemnica: piekielna wprost intuicja (ale ta zwykła, nie bergsonowska) kwatermistrza derutowała najmorrowszych spryciarzy. Jeden go niepokoił: Dzewani — z tym miał się rozprawić za powrotem z objazdu). Wszedł Oleśnicki z jakimś głupim meldunkiem i został zaproszony do pozostania w *coupé* wodza. — Zasnął natychmiast wyżyłowany doszczętnie. Kwatermistrz wpatrzył się w jego efebawatą twarz z rozchylonymi panieńskimi ustami i zaraz zaczął się wyobraźniowy kołowrót pysków na tle tej cudownej maski „śpiącego hermafrodyty” — pysków i odgadniętych „psych” — raczej psychoz. »A on sam?« — Nie myślmy o tym... Oblęd sterczał z każdej prawie wybitnej twarzy tego straszego zaczarowanego kraju, jak kość ze złamanego członka, świadcząca o jego bezsile. Maski wrosłe w pyski zdawały się tworzyć, czy symbolizować tylko, nową, nieznaną, nieprzeczuwaną, niedającą się przewidzieć, zbiorową duszę — raczej jakieś kolosalne „bydlisko”. Mordy i mordy — i on, sam, bez jednej choćby mordy *bratniej*, na równym z nim poziomie (pod sobą miał ich całe stopy, piramidy, ale na równi ni gugu). Chyba te maseczki rodzinne (rwące wnętrzości w wolnych chwilach-sekundach, żalem, bezgraniczną czułością i piekielnym *smrodem* zaprzepaszczonego w nieskończonych możliwościach życia — (bo i takie rzeczy były — a jakże) i także pseudo — i te, i tamte miały wyższość uczuć nad nim, uczuć, których odplacić nie umiał, a był uczciwy jak Robespierre — (co za męka!) — żona, córeczka i nawet ONA, ona też mimo wszystkich tych strasznych rzeczy... I Bobcia... Ale o tym później. I na tym tle najbliższym on, straszny samotnik w imię niezbadanej idei, w tym samotnictwie i podświadomym, ale już na samej granicy, nabieraniu i kpiarstwie ze wszystkich, ale *absolutnie* ze wszystkich — przynajmniej w kraju — znajdujący najistotniejszą radość swego życia, bez troskę i dziki artystyczny urok każdej chwili, nawet klęskawej — mało takich chwil zresztą było: atak na kawalerię Bezobrazowa pod Kotopem, zamach tego durnia Parszywienki, maniaka, który chciał go „stayloryzować” i — trochę przydługi moment obecnego czekania — to najgorsze. Wzdrygnął się i wpatrzył znowu w Oleśnickiego, który spał jak anioł, ale z lekka chrapał. „Książę, a chrapie jednak” — pomyślał Wódz. Takie myśli były mu odpoczynkiem. „Ale czy ja nie jestem czasem zwykły anarchista, przygotowujący wybuch bałaganu na wielką skalę? Ten wstręt do organizacji, który muszę pokonać, organizując to bydło? Ech — co tam moja skala — Chiny — to jest coś. Tyle mego, że mogę się z tym zmierzyć. A pluskwa rozduszana kirasjerskim (koniecznie) butem też się z nim w pewien sposób „mierzy”, a przecież po zwycięskiej bitwie i tak ulec musimy. I co wtedy? Znowu przyszło to fatalne poczucie własnej małości, — najbardziej paraliżująca wszelki czyn wątpliwość. Przeraził się, bo mu się zdawało, że Oleśnicki posłyszał tę myśl, udając dalej chrapanie. Nie wiedział już teraz, czy czasem przypadkiem nie powiedział tego głośno. Spało przekłete „bubio” — czuł się wobec niego Kwatermistrz jak Judym wobec Karbowskiego w *Ludziach bezdomnych* Żeromskiego — na to nie było rady. Kiedyż zniknie z tej ziemi ta przekłeta, nieprze-

zwycięzalna niczym „transcendentálna” arystokracja. I to on, wobec którego tamten płaszczyl się jak sama „Bobcia”. Tu był kres upadkowych myśli. Zamknął się ich beznadziejny krąg. Nie — jeszcze jedno najstraszniejsze: ktoś odszczekał w nim jak bezdomny pies, odczekanił, wystukał jak na maszynie takie zdanie: „Czy jestem zmienną niezależną, czy też tylko dość stosunkowo prostą funkcją: a) potwornej koncepcji chińskiej = wessania białej rasy i b) komunistyczno-faszystowskich sprzeczności Zachodu”. Hu — źle. Szlus. Znowu mapy, pułki, tzw. „realna praca” i zupełna beztraska. Rzadko pozwalał sobie na takie rzeczy. Ha — jeszcze po Kocmyrzowie, o drugiej, najpóźniejszej godzinie nocy, będzie ONA — wygładzi się wszystko. Dreszcz potwornej rozkoszy jak szpada przeniknął go od mózdzku do kości ogonowej i zasnął Wódz po napoleońsku na dziesięć minut jak kamień — on, mimo całej swej barwności, szary, przydrożny, zapyłony kamień na kończących się szlakach zamierającej ludzkości].

Gdyby Genezyp mógł „widzieć” te myśli, byłoby to dla niego katastrofą, ruiną moralną. Musiał szukać oparcia w kimś. Sam był za słaby, aby udźwignąć swoją własną komplikację — „karkasa” nie wytrzymała nieregularnych szargań się zbyt mocnego i nieskorygowanego motoru. Gdyby nie Kocmołuchowicz, który nastrzyknął go swoim „jadem życia”, czymże byłby wobec potęg takich jak księżna, Syndykat, matka, a nawet Michalski. To już się okazało. Teraz dopiero pojął, co zawdzięczał Wodzowi. „Cóż mi dał ojciec? Dał mi przypadkiem życie — ty wracasz mi wiarę w istnienie wierzchołków duchowych” — przypomniało mu się powiedzenie Jana Cymischesa do Nikefora w *Bazyliście* Micińskiego. Była w tym przesada, bo dotąd ojciec właśnie pchał go swą wolą, nawet zza grobu. Teraz dopiero oddał go w ręce dalekiego za życia przyjaciela. Nie przeczuwał Zypcio, co go czeka — że to, co widzi obecnie, to ostatnie odbłyśki normalnego życia: matki zapatrzonej w Michalskiego, potrawki cielejącej z beszamelem, dorożki i dżdżystego wieczoru — (już kiedy wracał ze szkoły, nadciągnęły ciężkie chmurzyska od Zachodu). Już nigdy nie miał używać przedmiotów świata tego w ich zwykłych związkach i stosunkach i, co najgorsze, zachować miał świadomość różności obecnego otoczenia w stosunku do dawnego układu. Gdyby miał czas, zamęczyłby się tym na śmierć przedwcześnie.

Pierwsza wiosenna burza przewalała się nad miastem, gdy jechali we troje dryndą w kierunku Chaizowego Przedmieścia, gdzie rozpanaszał się Kwintofronowy „Przybytek Szatana”. Tak przynajmniej nazywali tę budę członkowie Syndykatu Zbawienia. [Jednocześnie, przy dźwiękach hymnu Karola Szymanowskiego „Boże, zbaw Ojczyznę”, Kocmołuchowicz wjeżdżał na Kocmyrzowski dworzec, beztraski jak pies spuszczonej z łańcucha]. Gdzieś z pół dalekich za miastem przywiewał wiatr wiosenny zapach „ziem ojczystych”, znienawidzonych i trawy świeżej, pijącej łaknącymi listeczkami gaz węglowy. Rozkoszna wewnętrzna niechlujność zalała Genezypa aż po najdalsze krańce ducha. Pławił się w bagnie fałszywej zgody ze sobą samym. Całował cudownie piękną rękę matki, obnażając ją bezwstydnie z rękawiczki i (nie wiadomo po co) pocałował w czoło zdumionego Michalskiego, który zgnieciony absolutnym szczęściem przeważnie milczał. (Bał się przy swojej „hrabinie” — tak ją, ku jej zgorszeniu, nazywał — palnąć coś niestosownego. W łóżku co innego — tam, mając wszystkie atuty w ręku, dużo pewniejszym był siebie).

Uwaga: „Cóż można powiedzieć ciekawego o człowieku szczęśliwym, odproblemionym, któremu wszystko w życiu się udaje? Wstrętnym jest i w życiu, i w literaturze dla wszystkich. Pastwić się nad „nieudacznikami”, którzy „*pust’ płaczut*” potem — oto wdzięczne zadanie dla literatnika. A jak już człowiek tęgi, to taki jak u Londona: pełzać powinien nagi bezkarnie przez 36 godzin, przy -35°C , rozdrapać sześćsetmetrową górę w trzy dni bez odpoczynku gołymi rękami, zatrzymać trójśrubowy oceaniczny pakietbot, podstawiwszy mu nogę pod dziób, a potem „*keep smiling*”. Łatwe zadanie: robienie takich niekomplikowanych bohaterów” — Tak mawiał Sturfan Abnol, zacałowujący w tej chwili na śmierć Lilianę, w następnej dorożce.

Ostatni raz... O, gdyby można o tym wiedzieć w takich razach... Bezecne szczęście rozpierało wnętrzości Zypcia. Wstrętny pasożyt „złogów sił” Wodza poił się cudzą wartością najwyższą: poczuciem sensu Istnienia. Ogólna harmonia Bytu zdawała się nie

mieścić w sobie — świat pękał od doskonałości. W takich chwilach, lub równie natężonych momentach rozpaczy, stwarzają ludzie zwykli zaświaty, jako ujście dla nieznośnego ciśnienia ujemnej lub dodatniej doskonałości.

Powitały ich, u wejścia już, zwykle mechaniczne, fotomontażowe, wyrzygane z przekwaśnialej na wskroś pustki twórczej, purystyczno-infantylistyczno-sowiecko-staropikaso-
sowe, piurbłagistyczne nieomal „*biezobrazja*” i lampiony w kształcie wyłażących wszystkimi bokami skajskraperów i zamaskowanych (czarnymi maskami) fantastycznie zdeformowanych części ciała. To ostatnie, to była nowość. Pierwszy raz widział Zypcio podobne świństwa i zmarł ze zgrozy. Znał to z reprodukcji w dawnych historiach sztuki, ale nie wiedział, że może to być aż tak wstrętne w swej beznadziejnej degeneracji. A jednak było w tym *coś* = rozpaczliwa błaga, doprowadzona do ekshibicjonistycznego bezwstydu. „Biedna Lilian, nieszczęsna prostytuteczka najukochańsza! Jakże okropnie żyć musimy — ja: pseudo-oficer (bo przecież we krwi tego nie mam?) — ona: taka pseudo-artystyczna duchowa kurewka.” Szczęście zgasło: sterczał nagi, wśród zimnego, błotniste-
go deszczu, za jakimiś rozwalonymi budami z zapachem pralni i kapusty, w których miał życia dokonać. Przypomniała mu się rosyjska piosenka, którą znał ze szkoły, z refrenem, kończącym się na słowach: „*oficerow i bladiej*”...

I tu naraz świat faktycznie pękł. Coś nie coś słyszał Genezyp o słynnej Persy Zwierzontkowskiej od Lilian i Sturfana. Ale to, co zobaczył, przeszło pojęcie o wszelkich wysnionych, najbardziej wybdzycznych, wyindycznych wymiarach — „*and she has got him in his negative phase*”.

Uwaga: Działanie danego zjawiska na przestrzenie lat całych określa się tym, czy złapało nas w dodatniej czy ujemnej fazie, zupełnie pozornie nieistotnych, drobnostkowych, wewnętrznych oscylacji.

Trafiła na „dolinkę” — przepadło. Na chwilę nawet Kocmołuchowicz zbladł na całej linii tylko co stworzonego wewnętrznego frontu. Ale siła tego przeżycia była funkcją układu wypadków dziennych, w których główną rolę odegrywał jednak świeżo wymarzony, wysmarzony Wódz.

Przed kurtyną, stanowiącą bohomasz wyjący o pomstę do idei Czystej Formy, wyszło skromne, szaro ubrane, *panienkowate* stworzenie, lat może aż dwudziestu pięciu, może sześciu i głosem, który rozpyływał się po wszystkich mięśniach i zaułkach ciała, jak jakaś ciepła, lubieżno-dreszczykowa, dziwna *oliwa nienasyenia*, czy diabelski smar zmysłowości, rozluźniając wiązadła cielesne jak żar parafinę i wypiętrzając całą samczość samców w niedosiężną aferę wariackich pragnień, tym głosem powiedziała parę słów o mającym się odbyć przedstawieniu, przy czym wspomniała, że rolę Dzibdzi dublować będzie Liliana baronówna Kapen de Vaház, występująca po raz pierwszy. Powstał na sali nagły ryk żalu i tupot nóg zawiedzionych widzów.

Informacja: W ogóle grała małe role, a przeważnie pełniła funkcje reżyserki dla kobiet, chcących zagłębiać się w tajemniczy świat metafizycznych niedosytów Kwintofrona Wieczorowicza. [Ten bezpłodny osobiście impotent (są imponenci płodni, przynajmniej w dziedzinie ducha) z zapamiętaniem bez granic, z męką wysychania z nienasyconych pragnień twórczości, stwarzał przez innych, organizując ich w jedną wielką symfonię zimnego szaleństwa, swój świat złudy, w którym jedynie mógł jako tako istnienie swe wytrzymać. W dzień drzemał i czytał, a wieczorem, po kolosalnych dawach kokainy wypelzał ze swego czarnego pokoju i „organizował” ten piekielny teatr bezimiennej okropności („ostatnią placówkę szatana w doskonałym świecie”), napychał wszystkich beznadziejnym oblędem nienasyenia. Za kulisami działały się rzeczy straszliwe. Tam to znalazło wreszcie również kres swój nienasyenie życiem Putrycydesa Tengiera — znalazło, ku zgubie jego twórczości. O tym krótko, później]. Obecnie zajęta była Persy specjalnie preparowaniem Liliany, ku spełnieniu tajemniczych celów Kwintofrona, z których jednym, przynajmniej widocznym, była tak zwana „ucieczka od rzeczywistości”. I Lilian, której „dusza otwierała się przed słowami Persy jak

biały kwiat nocny na przyjęcie brutalnej, furczącej ćmy, nieświadomej rajfurki słupków i pręcików”, zaczęła, już podczas pierwszych rozmów, stwarzać mimo woli pewien, mówiąc popularnie, tajemniczy fluid między swą inicjatorką a bratem. Całą podświadomą, beznadziejną i niedosiężną miłość swoją dla brata (raczej niepodobnego do aktualnego Genezypa, „braciszka” znanego Persy tylko z dawnych fotografii) „przetchnęła” w tę niezrozumiałą dla nikogo, ani dla niej samej figurę. Zycio o Persy nie wiedział nic. Zazdrośnie ukrywała Lilian przed bratem realny obiekt tej dzikiej transformacji uczuć, wiedząc jednak na dnie duszy, że coś rzeczywistego kiedyś nastąpić musi. Czy to dobre było dla tamtych dwojga, nikt nie umiałby teraz powiedzieć. „Przeżyć życie najpełniej (choćby najstraszniej — jeśli takie już jest przeznaczenie), nie oszczędzając się; zużyć wszystko do końca w sobie i zużyć też innych, o ile oni również w tym istotniej siebie przeżyć będą mogli” — tak mówił ten cyklotymiczny bałwan Sturfan Abnol. Łatwo takiemu bykowi mówić.

Ujrzał Genezyp nad kostiumikiem szarym i dwiema (dobrze, że nie trzema) piekielnymi zgrabnymi nóżkami (nie nogami) twarz dzieciinną, niemal owczą, czy nawet baranią, a tak jednocześnie piękną i przejaśnioną łagodnością i słodyczą (ale nie mdłą) tak niesłychanie dostojnej marki, że trzewia zatrzęsły mu się od spodu, a serce połączyło siebie w nagłym kurczu. A oczy, wielkie jak koła młyńskie i chłonne jak jakieś gąby olbrzymie, zastygły nasycone po brzegi widokiem niezwykłym, w zachwycie, uniestwiającym byt osobowy, zżarłszy w jedno mgnienie tę owczą twarzyczkę, zabrały ją sobie, niezależnie od mózgu, na wieczną własność. Ale to było jeszcze wrażenie powierzchowne, jednostronne. Aż wreszcie przysły jak dwie złote (koniecznie złote) tarcze, chroniące mózg przed bezpośrednim szturmem materialnego obrazu w mięsiste jego, bolesne zwoje — one naprowadzały obraz ten potencjalnie nijaki w subtelnych drgnieniach przestrzeni, w mozaikę tajemniczych, niedocieczonych w swej istocie, barw. Wtedy spotkały się ich oczy i Zycio poczuł, że ona (co za zwycięstwo! — zadygotał cały z płciowego bólu, ze złego szczęścia i tryumfu tak smutnego, że aż przeweselonego na wylot, czy jak tam) — po prostu go widziała. Przypomniał mu się, nie wiadomo czemu, Jerzy z Podiebradu. Zapadł się pod siebie — raczej nie: po prostu zrobił całym sobą pod siebie — kwicząc ze sprzecznych uczuć. Rozrywały się kiszki i inne organa w spazmie powolnym beznadziejnego żalu za całym istnieniem, nigdy nie wcielonym, nie przeżyтым, którego nieskończoność wołała ze wszystkich stron naraz, biedne, „ogaluszone”, „opepione”, zdeorientowane, wystrychnięte na dudka istnienie indywidualne.

Zycio poczuł, że *musi ją mieć*, albo życie spotwornieje tu, w tej chwilce, do wymiarów zbrodniczych i to takiego natężenia, no że niby ja nie wiem, no że przypuścimy śmierć w torturach: matki, Iriny, Liliany i innych (nie pomyślał tylko o Kocmołuchowiczu — a szkoda) będzie niczym w porównaniu do rozpacznych pustko-otchłani, które trzeba będzie zapełnić, aby przeżyć tę stratę niepowetowaną — o „wetowaniu” mowy nawet być nie mogło wobec tego gatunku nieszczęścia, tego bydlakowatego, onanistycznego, *sinego* żalu, zmieszanego z wściekłością taką (na myśl o wydarciu jej jemu na przykład — a tu jeszcze jej nie miał), że choć gryźć ten oto pluszowy fotel. To nie była już kobieta — to całe życie rozděło się potwornie w sekundę jedną spojrzenia w te oczy, aż do nieskończonych granic wszechświata, do sensu ostatecznego, dotąd nawet nieprzeczuwalnego — („gdzie są granice duszy” — szeptał Zycio w podziwie nad gitarperkowatością swojej własnej istoty). Rozciągało się to i rozciągało i za nic pęknąć nie mogło. I oto teraz miało klapnąć to wszystko znowu w błotko codzienności i pospolitego sensiku z minuty na minutę, z godziny na godzinę (o męko!), z dnia na dzień (nie przelazę!), może z roku na rok (o niewytrzymanie twoje!). „To musi być samo dobro” — (błysk tamtych oczu w bok i dalej słowa niepojęte, a zwykle i zaraz straszne zwątpienie: może to samo zło najgorsze, o jakim dotąd pojęcia nie miał (jak o wielu rzeczach zresztą w ich żywej rzeczywistości), to zło, o którym się tylko w gazetach czyta, ale się go naprawdę nie rozumie, to zło śmierzzące i bolące, na zimno okrutne i przeważnie śmiertelne, o którym nie wiedzą „szanowne ludzie”, tonący w ich wątpliwej wartości „*respectability*”). A tak była ta twarz ponad wszystkim, że nic z tych pojęć dobra i zła nawet powierzchownie się jej nie cze-

pioło. I zaraz poczuł, że teraz dopiero całe dzieciństwo i matura, i cały dziecinny również romans z księżną, to wszystko zapadło się w bezdenną jeszcze, ale dziurę (nie otchłań już) przeszłości — oczywiście Kocmołuchowicz przygotował grunt do obciążenia się epoki, ale sam epoką nie był — nie dochodził tak głęboko, jak płciowe świństwa. Życie ruszyło się od swych szczytów, jak lawina. Nieomal czuł Genezyp świst przepływającego czasu wewnątrz samego siebie. Naokoło działo się wszystko jak w zwolnionym tempie w kinie — to znaczy na razie tylko spóźnieni widzowie, zajmujący miejsca i to odejście jej sprzed kurtyny, które było gorsze od wszelkich dotąd rozstań, zerwań i śmierci nawet.

Persy dawno przestała mówić — nie wiedział Genezyp co. Zobaczył tylko ostatnie podrygi ruchu ust, nie bardzo czerwonych, lecz jakże piekielnie nieprzyzwoicie i jednocześnie szatańsko niewinnie wykrojonych. Każde wymówione słowo było pocałunkiem w zbrodniczym stopniu bezwstydnym i lubieżnym, a jednocześnie świętym, jak dotknięcie jakichś najświętszych relikwii. Na czym to polegało, nie mógł nikt określić, nie tylko biedny Genezyp. Podobno dwaj malarze jacyś ohydni w swej istocie, „oddali” czy „uwiecznili” to na płótnach i papierach, ale mówiono o nich, że zaonanizowali się na śmierć obaj. Ale nienawdził osoby tej jedynie Sturfan Abnol. On też błąkał się już nad brzegiem tej przepaści (teraz po przyjeździe do miasta), ale znalazłszy od razu dość silny antydot w miłości swojej dla Liliany, odwrócił tamto nierozwinięte uczucie na niechęć i nieuznanie absolutne. Oboje mieli zresztą coś podobnie baraniego w twarzach — nawet zaczęto przebąkiwać, że są przyrodnim rodzeństwem. Może coś takiego i było, ale szybko stłumił Abnol tę wersję zręcznym i w porę wyczynionym mordobiciem, po czym „zasię” otworzył rozmyślnie niecelny ogień po sali (działo się to w „Euforialu”) i wystrzelał koło czterdziestu nabo. Puszczono go niebawem, bo udowodnił, że nawet po pijanemu strzelcem jest nieomylnym — odbyły się takie zabawne próby w więzieniu, ze współudziałem najlepszych szarfszycerów armii, korpusu oficerskiego artylerii, przedstawicieli kondekanalnego duchowieństwa i prasy. Trochę był Abnol zazdrosny o Lilian, z powodu jej koniecznego utarzania się w aktorskim sosie: melanżu psychofizycznego wypranych z uczciwości wszelkiej uczuciowych wycirusów obojga płci, wydzielin prześmierdłych gruczołów płciowych, szminki, pudru, wazeliny i codziennej restauracyjności, ale zbyt cenił jej zajęcie się sztuką (ale czy to była sztuka właśnie, to, co wyrabiała na swej „ostatniej barykadzie złego ducha” Kwintofron?), aby nie miał przewyciężyć przesądowych raczej fobii.

Zaczął się przedstawienie — raczej potworna msza szaro-zielona (koloru suchotniczej flegmy) do nieznanego bóstwa ni to złego, ni dobrego, ale za to nieskończenie wszawego, w swej pozornej, oszukańczej antytezie wszelkiej pospolitości. Widział ten koszmar i słuchał jego „treści”, godnej natychmiastowego zasypania torfem, Genezyp, zabity w samym centrum swej człowieczej godności, zaklinowany beznadziejnie w sam kil dna ostatecznej rozpacz. Realnie wypsnęło mu się wszystko, a jeszcze psnęły się dalej czy wypsniwały ostatnie rezerwy ludzkich pokładów, tych na czarną godzinę, „*couches d'émergence*” — system alarmowy nie działał. Piersi zdawało się miał w strzępach, a głowę w tumanie krwawej nudy, niższe zaś części w warze łaskocącego bólu. Coś po prostu nieznośnego — na stłumienie tego nie wystarczałoby dziesięciu pastylek allonalu. Swędziało wprost wszystko moralnie (a nawet fizycznie) do niemożliwości, a podrapanie tego kompleksu bolało do zwierzęcego ryku włącznie. Są takie wysypki zdaje się, a jeśli nie ma jeszcze, to przyjdą. Dusza uciekła wreszcie z rozszarpanego ciała — nie chciała cierpieć. Ale ciało trzymało ją swymi najwstrętniejszymi, bo płciowymi, miękkimi szponami i mackami i nie popuszczało w świat doskonałości: idealnego bytu pojęć i śmierci. Właściwie jedyną rzeczą do zrobienia była śmierć. Ale ciekawość tak paląca i piekąca (trzech-metrowa rozdziawiona gęba, wydająca szept, niosący na kilometry całe: „Co będzie? Co będzie?”), jak najbardziej nienasycona żądza, zasłoniła wszystko inne. Człł „wypełnianie się losów” w samych podziemiach Istnienia. „Czy to nie jest głupie, żeby z tego erotyzmu takie wielkie rzeczy robić?” — mówił w nim jakiś głos niby-to-starszego-pana. „Czemu to rozdwojenie procesu dzielenia się komórek ma być czymś tak strasznym i ważnym i to nie tylko w wymiarach samego problemu zachowania gatunku, tylko zupełnie jakby poza tym. Problem osobowości: oszukanie absolutnej samotności indywiduum we wszechświecie, tak samo jak zlanie się indywiduów w społeczeństwie”. Wytoczyły się myśli gołe, wypięte i nieprzyzwoite, w bezmiar niewiadomości męczącej,

suchej, a wstydlivej. Zrobiło im się zimno i pochowały się. Przypomnił sobie Zypcio, że księżna miała być w łoży nr 4 (koniecznie). Spytał z góry Sturfana Abnola, gdzie to niby jest ten ich czwarty numer, i spojrział we wskazanym kierunku, jakoś dziwnie dumnie (szukając jej właśnie, po tylko co odbytym zarmieladowaniu przez tamtą). Ujrzał kupę piór zbukieciałych (ta moda wróciła) między ceglastymi i malinowymi (nowość) frakami „panów” — tych prawdziwych, to znaczy, bezpiecznie głupich, napuszonych mniemaniem o sobie, niedobrze wytresowanych, wyfraczonych bydląt. Był tam też Cylindrion Piętalski, na czysto ogolony, w olbrzymich okularach o ciemnej oprawie. Ta twarz wżarła się w centr wzrokowy Genezypa jako symbol (nie wiadomo czemu w tej chwili?) najstraszniejszej straszności. Dreszcz zgrozy i wstrętu, połączonych z zachwytem „*osobawo obrazca*”, kiedy tamten ptasi profil odwrócił się zniewolony jego wzrokiem i wszechwiedzące turkusowe galki oblały go swoim nieprzyzwoitym fluidem. Zaszczepiony w nim „bratni” jad „bratał” się ohydnie z „braterskim” spojrzeniem. To „*rendez-vous*” trucizna, na nim, jak na trupie — o! — to nieprzyjemne. A jednak dobrze, że nauczył się miłości od tego pudła. Jest także takim bydlęcym „starszym panem”, który wszystko wie i umie. (Może nie pokazywać swojej umiejętności „tak od razu”, ale się nie zawstydzi w-razie-czego). Uczuł siłę zdobywczą i sprężył się — zaczął się w sobie na tamtą, skrytą teraz w tajemniczym środowisku „kulis i zmysłów” zjawę — księżna przestała dla niego istnieć zupełnie, — (no, to jest przesada — ale powiedzmy: prawie...) Nie wiedział: bydlątko głupie, ile jej zawdzięcza, nie oceniał: kanalik podła, jej uczuć wielkich, ostatnich (co on mógł o tym wiedzieć?) i właściwie zupełnie bezinteresownych — nie — różną na pysk przed siebie do tego baraniego profilku zza kulis — tam było jego przeznaczenie. „Ach, więc ona jest naprawdę tam gdzieś za sceną? Ten cud nie jest złudą?” Teraz przekonał się, że nie wierzył dotąd w jej realną egzystencję. Uwierzył i doznał *gwiazdzistego*, podpłciowego olśnienia. Połowa tamtej poprzedniej męki (no: ten tak zwany „wewnętrzny drab”; jad płciowy, demoniczny; cynizm w stosunku do własnych uczuć i tym podobne faramuchy) spadła z niego zaraz. Usta miał jeszcze zakryte maską, ale gały „babużyły się” już „na nowe panny, na nowy świat” — jak mówił podobno jakiś pan Emil, przechodząc pod oknem opuszczonej kucharki w niedzielę. Zakochał się „od pierwszego wejrzenia”, „*coup de foudre*”, „*kudiefudriennoje rozpalażenje ducha*” — tak by powiedzieli „spłyciarze” i może by mieli nawet rację. Czasem faktycznie mają rację nawet „spłyciarze”-kanalie — trudno. Ale podobno znowu schizofrenicy w czasie narzeczeństwa dochodzą do najlepszych swych wariackich rezultatów. „Po prostu w ogóle nic nie wiadomo — *polniejszjy bardak i untiergang*” — jak mówił pewien generał, podobny do foki. Ale zaraz nowa męka dźwignęła się ze śmierdzących czeluści wewnętrznych (zewnątrznie wyszorowany był i czysty jak aniołek) gorącego, głupiego, młodego ciała. Diabły palily na gwałt w płciowych piecach, fabryki jądów szły. Sam Belzebub, chłop w średnim wieku jak dąb, zły jak sam szerszeń, brodaty po pępek na czarno, nagi przemuskulisty atleta, zimnym spojrzeniem czystego, krystalicznego, zielonawego, najokrutniejszego zła badał manometr ciśnienia najplugawszego z szalbierstw. Czynił to ze wstrętem — on, wielki twórca i buntownik — do takiej parszywej roboty zaprzegli go za karę — tfy, „*Kein Posten für mich bier*” — mówił z goryczą, myśląc o ziemi, uspołecznionej, zamarłej w szarej doskonałości. — „Faszyzm, czy bolszewizm — *usio rawno* — i tak mnie zjedzą”. *Zaczęło się przedstawienie* — nigdy, nigdy, nigdy... „Zabraknie ci słów i tylko wyć będziesz do wnętrza twego o litość”. Ale ci i możliwości wycia poskapią katy wyrafinowane, piękne, szczęśliwe, rozłaskotane od rozkoszy do nieprzytomności — niby kto? Jakieś zabójcze hermafrodyty, gołe i gładkie jak hyperalabastry czy onyksy, jakieś nad-płciowe, kolosalne, beztroskie pół-bogi, jakieś tak zwane „mity wszechludzkie”, powcielane na poczekaniu, *à la fourchette* (na ohydne pośmiewisko [czyje, do cholery!]) w płaskie bombonierki, wysmukłe sosjerki i etażerki, kręcone galopierki, wykręcone trzęsawki z pianką bezzębnych starców i niemowląt i na tym on. KRÓL, Wielki Gnidon Flaczko, aktor, trzymający w swym plugawym, zakłamanym pysku gorące, śmierdzące flaki całej sali, pełnej świetnie ubranych, a *au fond* przynajmniej moralnie mocno nie-pachnących glist ludzkich. Huzia! Huzia! I nie to i nie to!! Spróbujmy opowiedzieć: nie było w tym żadnej Sztuki, tej przez Wielkie S. (nie ma innego określenia, chyba trzeba by napisać tomy całe). Nie — Czysta Forma w teatrze nie istniała już dawno, zdeptana brudnymi nogami paserów

Szatan

zachodniego towaru i zwykłych po prostu idiotów, w rodzaju Mistrza Roderyka i jego pomocnika z przeciwnej partii: Dezyderego Fląderko. Obaj w grobie — Cześć! Cześć! Może i lepiej, że się tak stało, czcigodne guniafrasy! A więc ten teatr był zaprzeczeniem wszelkiego arcyzmu: rzeczywistość stara, tłusta rozpuścicielka królowała w nim rozparta obrzydliwie, nieumyta, rozkraczona, śmierdząca surowym mięsem i śledziami, rokforem i krajową psychiczną bryndzą, landrynkami i taniusim „perfumem”, tak zwanym „kokotenduftem”. *Zbombonizowanie potworności*. A jednak, a jednak...? Nie można było się od tego oderwać. „Pozornie niby nic, a jednak zwił jej cyc” — tak śpiewały jakieś zakazane mordy gdzieś, w nieznanym osobiście Zypciowi, ogrodach bogini Asztoreth. Maksymalne, *nieomal* metafizyczne wyuzdanie wywróconej jak rękawiczka rzeczywistości, ale bynajmniej nie w celach artystycznych — dla niej samej.

Na scenie było już kilka osób i zdawało się, że nic już okropniejszego być nie może, że przecież do diabła starego wszystko musi mieć pewne granice, a tu, na przekór niemożliwości, z wejściem każdej nowej figury potęgowało się to przewalanie się kłębowiska Niewiadomego znowu, gdzieś aż w nieskończoność i to za każdym razem w sposób jakościowo różny od poprzedniego. Błaga? Sprobujcie sami. Nie możecie? Bóg z wami. Żal nam was... A szkoda!

Genezyp patrzył przed siebie jak ktoś leżący na pochyłej płycie nad przepaścią i trzymał się czerwonego pluszu, jakby wymykającego się ostatniego chwytu w skale. Za chwilę mógł *tam* spaść, tam na scenę, raczej w odmienny, nawet kolineacyjnie niepodobny do tego, byt, gdzie temperatura życiowa przechodziła w najmniej istotnych przejawach po stokroć, po tysiącokroć, ciepłotę najdzikszych aktów wszelkiego rodzaju: płciowych, nadpłciowych (= megalosplanchicznych, cyklotymicznych) i czysto „intencjonalnych”, oraz dziwność najrzadszych narkotycznych omamień i najwyuzdańszej dobrowolnej śmierci w sadystycznych torturach, zadawanych przez Nią, jakiegoś wysnionego kobiecego hyperbelzebuba. A przy tym „namacał” (w analogii do banału) całej tej sprawy był dość nikły.

To była rzeczywistość, to, co się *tam* działo. A reszta (niby ten świat) stało się jakąś podłą imitacją nawet nie tamtego, tylko czegoś niegodnego istnienia w ogóle, czegoś nie-do-przetrzymania w swej złowrogości, niczym nienasyconej nudzie i pospolitości. Istnienie w ogóle, nieprześwietlone głęboką metafizyką, jest czymś zasadniczo pospolitym, choćby je nawet wypełniały nadzwyczajności w wymiarach Londona, czy nawet, nawet Conan Doyle’a. Jakże tu żyć dalej „bywszy” już raz w *tamtym* świecie? Nienasycony (ale nie metafizycznie, tylko *nonsensowo*) Kwintofron stwarzał przez swój piekielny teatr, to samo nienasyconie u innych. Ceny miejsc były potworne i tolerowano tę budę w sferach rządowych (o których nikt nie wiedział, jakie *au fond* są), bo jakiś referent M. S. W. [zdaje się, że Picton-Grzymałowicz] dowiódł w swym referacie właśnie, że dla ludzi o pewnym cenzusie finansowym ten właśnie teatr dobry jest z punktu widzenia militaryzacji kraju, bo pobudza w nich tzw. „kawalerską fantazję”: *tryń trawà morie po koliena*. Tę manię bowiem posiadał zarówno kwatermistrz, jak i Syndykat Zbawienia. To, że pewnym bydlętom dobrze jest bez metafizyki, nie dowodzi jej bezwartościowości. Wszystko zależy od skali wartościowań. Ale czyż mamy opierać się właśnie na standardzie bydlęcości? Najgorszy jest pół-nonsens życia osobistego i społecznego, najgorsza jest połowiczność w ogóle, ta zasadnicza cecha naszej epoki. Albo absolutyzm, albo organizacja mrówcza, faszyzm, czy bolszewizm — *wszystko równo*; albo szal religijny, albo przeświecony na wskroś intelekt; albo Wielka Sztuka, albo nic, ale nie tandetny pseudo-artystyczny „produkt”, ale nie ten szary sos we wszystkim, upstrzony jak „maggim” paskudną esencją demokratycznego kłamstwa. Brrrr... Teatr Kwintofrona był przynajmniej paskudztwem skończonym w sobie — czymś wśród tego ogólnego szaro-żółtego gwazdru wielkim. Nigdy nie odwiedzał go Kocmołuchowicz — miał w sobie inne kryteria wielkości, jego psychofizyczny „miuratyzm” nie potrzebował tej przyprawy, on był sam w sobie jak dawny Bóg. [Idea wielka z I czy z XVIII wieku może być mała w wieku XXI. Tego nigdy nie mogli zrozumieć księża i dlatego musieli wymrzeć]. Czarna kurtyna spadła. Wszystko zbladło, zszarzało, zwszało, jak pejzaż po zgaśnięciu słońca, jak wygasły nagle kominek w późno-jesienny, słotny wieczór. Nie można było uwierzyć, że przed chwilą widziało się to właśnie na własne oczy. Mózg skończonego fiksata, oglądany przez jakiś hyperultramikroskop, mózg Boga (gdyby go miał i gdyby zwiariował), oglądany przez zwykłą

Szaleństwo, Otchłań

tekturową rurę bez szkieł, mózg diabła w chwili pogodzenia się z Bogiem, widziany *gołym* okiem, mózg zakokainowanego szczura, gdyby ten nagle zrozumiał cały idealizm pojęciowy Husserla — *biezobrazje*. Dlatego to krytyka była bezsilna w opisie tych rzeczy. Są sny takie, co to wie się dokładnie, że coś się działo i jak się działo, a w żadne obrazy ani słowa znane wtłoczyć tego niepodobna — czuje się to gdzieś w brzuchu czy sercu, czy w jakichś gruczołach, czy co u cholery. Nikt nie mógł tego pojąć, jak to się dziać mogło, a jednak „*biezobrazilo*” się oto w pełnym świetle na oczach wszystkich i to wszystkich ze wszystkich partii i samych mogółów policji. Nie było się o co przyczepić, a jednak były to straszne historie. Mówiono, że to w celu ostatecznego wygładzenia, wypoliturowania dusz inteligencji przed przyjęciem nowej wiary, teatr ten subwencjonuje w imię Murti Binga sam Dżewani. Były to niby te same nonsensy, co u anty- i a-formistycznych futurystów czy dadaistów, albo psychowomito-żonglerów hiszpańskich i afrykańskich, tych autokoprofagów duchowych, lecz w jakiejże dziwnej odmianie. To, co tam było dzieciadą, fanfaronadą, błazenadą, tu zmieniło się w prawdziwą, duszącą za gardło, życiową tragedię. Było to też oczywiście zaszugą reżyserii i gry, doprowadzanych do zenitu subtelności w najdrobniejszych, najohydniejszych szczegółach. Ale co się pod wpływem tego działo w sferach zakulisowych, to lepiej o tym nie pisać. Jedno kłębowisko zwyrodnienia na samej granicy zbrodni. Dawniej banda taka siedziałaby w kryminale — w tych czasach stanowiła samoistną wyspę, czy łódź podwodną, opierającą się ciśnieniu mętnych wód całej *przemierzonej* do kości społeczności. Tam to znalazł swe ostateczne nasycenie niešťczęsny Putrycydes. O tym parę słów później. Cóż było robić — naturalistyczny teatr zdechł już dawno dzięki szalonym wprost w tym kierunku wysiłkom pierwszych mężów pióra. Oczywiście znać było wpływ niezapomnianych, a jednak tak prędko faktycznie zapomnianych, tzw. „eksperymentów” Teofila Trzcińskiego i Leona Schillera, lecz w jakiejże piekielnej transformacji. Ochłapy tej „twórczości” reżyserskiej zużytkowane tu zostały dla najzacieklejszego *naturalistycznego* zrealizowania samego nieprawdopodobieństwa — potęgowały tylko nieznośnie niewiarygodną rzeczywistość, zamiast przenosić widzów w inny wymiar — metafizyczny, mocą bezpośredniego pojmowania Czystej Formy. Nieprawy prawnuk Trzcińskiego i ktoś mocno podejrzany, który podawał się za prawego wnuka Witkacego, tego gówniarza z Zakopanego, grali tu pomniejsze role jakichś tzw. „obskurentów”, czy czegoś podobnego. Dla wyżej wymienionych powodów rzecz ta w istocie swej jest nie-do-opisania. Trzeba było widzieć to na scenie. Wyliczenie sytuacji i cytaty wypowiedzeń nic tu nie pomogą. „*Quelque chose de vraiment ineffable*” — mówił sam Lebac, a jego adiutant, książę de Troufières powtarzał za nim to samo. Kto nie widział, niech wyje z żalu. Nic innego poradzić mu nie można. Same sytuacje można by jeszcze wytrzymać, gdyby stanowiły one pretekst do czysto-artystycznych kombinacji. Nie dla celów sztuki (o nie!) spiętrzano tu wszystkie środki najmodniejszej psychoekwilibrystyki. W tej nad-realistycznej (ale nie w znaczeniu potwornej bandy błagierów paryskich, przeczutych przez naszych piur-blagistów w wydawnictwie „Papierek Lakmowski” już w roku 1921) interpretacji i grze (dekoracje robił wnuk Rafała, syn Krzysztofa, Rajmund Malczewski — wcielony diabeł hyperrealizmu w malarstwie) najdrobniejsze nawet drobiazgi urastały do rozmiarów haniebnych klęsk i ran jakichś po prostu okropnych, rozjątrzonych i ropiejących. Każdy odczuwał te „ichnie” szpryncy i szpryngle w sobie, w *spłciowiałych* na wywrót pocziwych zwykle stosunkowo flakach (takich jak serce, żołądek, dwunastnica i tym podobne, nie mówiąc już o innych jelitaliach. Co się działo z prawdziwymi *tymi* w cenzuralnych słowach opisać się nie da — a żałujcie, bo to by było dopiero cudowne!) i to jako swoje najintymniejsze przeżycie, wywalone bezwstydnie przed wszystkimi na wierzch, na pośmiewisko podobnej mu wyfraczonej i zgolosionej hołoty obojga płci, złanej w jedną masę świńskiej, płynnej zgnilizny. Putrescyna i Kadaweryna (duchowe!) — te piękne „córy” wielkiego pana: Jadu Trupiego rozpadającej się za żywa (przed ostatnim wskrzeszeniem) ludzkości, królowały w tej sali niepodzielnie i bezczelnie. Kawaly tej nad-rzeczywistości odarte ze skóry wały się w prochu, kurzu i pyle dawnych pocziwych scenicznych desek — one jedne pozostały tylko z dawnej sceny. Stargana za trzewia publiczność opadła jak jeden flak po pierwszym akcie w fotele. Każdy zdawał się sobie jakimś fantastycznym klozetem, w który tamta banda bezczelnie srała i targała potem gorączkowo i bezlitośnie za rączkę z łańcuszkiem — ostatni wentyl bezpieczeństwa. „Całe społeczeństwo zapadło na ostrą śmierdziączkę” — tak pisały o tym

mamuty formizmu. Jakąś wspólną kloaką wyciekały te brudy hen (tak: hen) na miasto i niewinne ciche pola, aż pod strzechy przerażonych kmiotków. „Nie zabrną me twory popod żadne strzechy, bo wtedy na szczęście żadnych strzech nie będzie. W ogóle z tego żadnej nie będzie uciechy i tylko świństwo równomiernie rozpełźnie się wszędzie” — tak napisał w sztambuchu Liliany nieśmiertelny Sturfan, ale się mylił. I tylko dziwiono się, że rząd... ale niesłusznie. Okazało się, że teatr ten to chyba jedyna klapa odchodowa nieznośnych ciśnień psychicznych (tak zwany później „duchowy pierdometer, panie”) dla niedających się wciągnąć w organizację pracy indywidualów dawnego typu, co żyły jak pasożyty na resztkach narodowości i religii, koniecznych jeszcze wtedy jako kompromisowe idee-motorki dla puszczenia w ruch faszyzmu — oczywiście na tle ekonomicznego niedoksztalcenia społeczeństwa. Tam przeżywali oni siebie do dna i unieszkodliwiali się po takim wieczorku na długie tygodnie. Świństwa wypalały się w nich jak rudy w hutach i na życie nie pozostawało już nic. A zresztą, wobec tego, co widzieli nieszczęśnicy ci na scenie, wszelkie możliwe do wykonania świństwo bladło jak pluskwa, która dwa lata krwi ludzkiej nie widziała.

Genezyp był tu po kryjomu i „w cywilu” — groziło za to do dwóch lat twierdzy, ale to także potęgowało urok sytuacji. Teraz uświadomił sobie z wyrazistością cięcia noża w żywe mięso, że *ona jest*. Pozornie proste zdanie to zawierało w sobie nieomal tajemnicę całego bytu, znaczenie jego nie mieściło się w nim, wylewało się poza brzegi wszelkich możliwości — było coś w tym z bydlęcej metafizyki pierwotnego człowieka, prawie religijny zachwyty pierwszego totemisty. Nigdy nie doznał jeszcze Genezyp takiego przerażenia wobec nagiego faktu istnienia innej jaźni obok niego. Tamte stwory: matka, księżna, Lilian, ojciec nawet, zdały się teraz wyblakły, płaskimi widmami w stosunku do żywości tej niepojętej egzystencji. „Ona jest” — powtarzał szeptem zeschniętymi wargami, a w przełyku czuł jakby twardy kółek. Genitalia, ściśnięte w bolesny węzełek, zdawały się być zredukowanymi do matematycznego punktu o ciśnieniu miliardów atmosfer płciowych. Teraz poczuł drań, że żyje. W tym wirze przewartościowań ostał się jedynie sam Kocmołuchowicz, jak blok nietopliwej skały w okalającym ją potoku lawy — ale daleko, jakby czysta idea poza krańcami realnego bytu. Przychodziło pierwsze prawdziwe uczucie, zapługawione jeszcze wydzielinami wszystkich nowotworów wytworzonych w nim przez „książęcy jad” Iriny Wsiewołodowny. Cała przeszłość zatarła się, straciła swoją bezpośrednią tajemniczość, jadowitość, ostrą namacalność — jak u wszystkich w ogóle w życiu — inaczej egzystencja byłaby w ogóle niemożliwa. Ale szczęśliwi ci, co mogą jeszcze po pierwszym czy n-tym chłaiściu życia odczuć na nowo pierwotny fakt bytu bez podłych spływających przyzwyczajaj codziennego dnia. Jakże potworną krzywdę bezpośrednim ujęciom wyrządziły tu pojęcia, też ostatecznie rodzaj pewien elementów pewnych z tychże ujęć, tylko inaczej zużyty — artystycznie raczej niż logicznie. [Bo pojęcia są elementami sztuki w poezji i teatrze — tego nikt z tych zakutych łbów nie chciał nigdy zrozumieć i to irytowało głównie nieszczęsnego Sturfana, ale teraz było to już prawie obojętnym].

W związku z tym, że znikł półrzeczywisty obraz tego dziewczynkowatego stworu (nie mógł bowiem Zypcio mimo wszystko uwierzyć w istnienie tej kobiety *jako takiej* — w ogóle nie wchodziła ona w żadne znane kategorie, była bezpłciowo-bezosobowa, właśnie jako ta pierwsza i jedyna jaźń poza nim ponad wszystko wyniesiona), znikł tam na tej scenie, zdającej się majakiem z innego świata, mimo całego realizmu, wśród tej niemożliwej bachanalii zdeformowanej rzeczywistości, jej tej osoby właśnie rzeczywistość *zakulisowa* (to słowo miało jeszcze dla Genezypa ten posmak ostry kłamstwa, zakazanego świństwa, tajemnicy, brudu i czysto ludzkiego (bez bydlęcej przymieszki) zła wysublimowanego, ale skobieconego na jadowito [mężczyźni nie liczą się za kulisami zupełnie]) nabrała siły tak straszliwej, że zaraz prawie po uświadomieniu sobie tego wszystkiego, obraz pamięciowy tylko co odbytych na scenie potworności wytarł się, zrudział, spluskwał, znikł prawie, a na jego tle *urojona rzeczywistość wyższego rzędu* zawałiła się nieznośnym ciężarem na całą dotychczasową „zawartość psychiczną” gówniarza, zgmiotła ją jak pociąg kurierski biednego żuczka (omomilka np.) siedzącego sobie niewinnie na szynie w piękny dzień sierpniowy. A stanowiły ją: 1) mokre, poziomkowo-czerwone usta, 2) gołe, lśniące nogi i 3) gładko zaczesane popielate włosy. To wystarczy — chodzi o to *jak*, jaką atmos-

ferę stwarzały dookoła siebie te banalne elementy seksualnego wciągu. To wszystko jej, tej, która przed chwilą patrzyła na niego, mówiła: z tych ust wychodziły słowa, które on polykał jak anakonda króliki, to wszystko było gdzieś naprawdę w tym gmachu, w tajemniczych jego, tylnych zakamarkach — nie do uwierzenia!! A do tego poczucie, że tam, między jakimiś (ach, nie jakimiś tylko tymi!) włosami, naprawdę tak jak u wszystkich... i ten zapach skrytych otchłani ciała... o zgrozo...! — nie, nie — dosyć — nie teraz — to nie-do-uwierzenia! Tak — to była nareszcie ta wielka miłość, oczekiwana, „wyśniona”, rzecz można wyonanizowana, w przybliżeniu jedyna i ostatnia. To były w każdym razie symptomy — jedno z nich — po których się ją poznaje. Ale wielka miłość tylko niespełniona, nieskonsumowana pozostaje najpiękniejszą. W każdym razie *ona* była tu — świadomość tego jest jak ostrze w brzuchu, jak czarna błyskawica we łbie jasnym od metafizycznego, podpuszczonego płciowym sosem, straszku. Raz na zawsze: metafizyczne jest coś, co ma związek z poczuciem dziwności Istnienia i bezpośrednim pojmowaniem jego niedocieczonej Tajemnicy. I żeby mi się tu nie czepiały jakieś dychempki — won, jeden z drugim, do własnych, zatęchłych nor.

Ryk nieludzki na scenie. Dwie kobiety półnagie walczą w otoczeniu obojętnych, wyfraczonych i umundurowanych mężczyzn. Trzecia, stara baba, całkiem goła, matka jednej z nich, wpada i zabija (dusi rękoma) córkę, aby ta została niezwykczona. Ktoś starą po łbie, tego ten, reszta rzuca się na tamtą. Wchodzi jakiś kapłan i okazuje się, że to, co się przed chwilą działo, to programowe nabożeństwo na cześć Absolutnej Nędzy Istnienia i jego definitywnej niewyduchalności dla celu rozpędzenia Wielkiej Nudy. Co mówiono — któż wie? Pewno jakieś bezecne nonsensy — w tych czasach generalnego skielbaszenia się pojęć, tej mizerery, przeciętny krytyk, a nawet zwykły „obywatel” (jakże śmiesznie brzmiało to słowo-przeżytek z dawnych, rozkosznych czasów *uczciwego* demokratycznego kłamstwa, dziś, w żółtawym, złowrogim cieniu ruchomego muru) nie był już zupełnie w stanie odróżnić prawdziwej mądrości od najdzikszego z baliwernów. Jeszcze do czegoś tam dodłubywały się czasami pewne „*précieuse’y*”, ale mężczyźni! — pozał się Boże, jeśli masz komu. Ale za to jak to było zrobione, jak zrobione!! To się opisać nie da. Palce od brudnych nóg lizać. To trudno — to trzeba było widzieć. Dość, że wyli wszyscy, zmietoszeni w jedną metafizyczno-bydlęcą, krwawą miazgę — (o, gdyby to można tak napychać to zaraz w puszkę i rozsyłać na właściwe, a nawet niewłaściwe miejsca — ludzkość byłaby zaraz, natychmiast szczęśliwa). Kiedy nareszcie zapadła na to piekło kurtyna (nikt by nie wytrzymał ani sekundy więcej) cała sala, jak jedno ciało, wypinała się, wylupiała (aż załupiała się?) w tym wychyleniu się nagłym i beznadziejnym w inną psychiczną przestrzeń, w świat nieeuklidesowych uczuć i stanów na jawie (i złudzeń, już tego drugiego świata — o szczęście!), na jawie, bez żadnego narkotyku. Ogólnie można by powiedzieć tak: zanik zupełny świadomości swego indywidualnego bytu i towarzyszących mu realnych okoliczności: (domu, zajęć, upodobań, osób — te ostatnie transformowały się w wyobraźni w wymarzone cudne monstra, z którymi dopiero można by zacząć psia-krew naprawdę żyć. Ten żal, że tak nie jest, nie da się niczym wyrazić — cały żal, całego życia wspaniałego psa na łańcuchu, skondensowany w jednej sekundzie) — nic. Żyło się tylko tam na scenie. I to stwarzało tę piekielną atmosferę dla aktorów, w której oni spalali się w nieznośnie intensywnym, nad-życiowym kabotyństwie najwyższej, aż wzniosłej klasy, nie mającym jednak ze sztuką nic wspólnego, chyba dla normalnych i specjalnie „wnikliwych” krytyków, którzy nosorożca od lokomotywy rozróżnić mimo szalonych wysiłków nie mogą.

Genezyp, ciągnąc za sobą Sturfana, rzucił się za kulisy szukać garderoby Lilian. Grała dopiero w trzecim akcie rolę duszka na tak zwanych „zmysłowych zaduszkach” — co to było — lepiej nie mówić. Tylko jej niedorozwój płciowy, pomieszany z szaloną rzeczywistością jak na nią miłością do Abnola, utrzymywał ją w jakiejś takiej równowadze. Wpadł nieprzytomny w wąską, rażąco oświetloną „klitkę”. Lilian siedziała na wysokim taburcie, a dwie starsze damy-krawcowe ubierały ją w jakiś *sfeterek* pomarańczowy, ubrany znowu wualami czarnymi i białymi, spod których szarzały nietopozie skrzydła. Biedna wydała mu się siostrzyczka bardzo i pokochałby ją bocznym serduszkim w tej chwili wprost niezmiernie, gdyby nie brak czasu. Główne bycze serce zajęte było i wypełnione czymś niepojętym, sprzecznym i złowrogim, jak burza w dzieciństwie, skombinowana z rozdzierającym nieporozumieniem z matką.

— Lilian: błagam cię...

— Już wiem wszystko. To takie dziwne. Bo to ona właściwie wie wszystko. Mówiła, że cię widziała. Zaraz będzie tu. Miała przyjść między pierwszym a drugim aktem. Tylko jedną chwilę, bo przez cały drugi akt musimy przerobić jeszcze rolę. Boję się, boję się — mówiła, szcękając drobniutkimi „siostrzanymi” ząbkami. Jednolite jak blok serce Sturfana wydymało się do pęknięcia miłością i litością (najgorsza przyprawa), a przy tym rozum myślał błyskawicznie: „taka mała, kochana, a już rajfurzy. Boże, cóż to będzie z niej, gdy się rozkręci”. Zamroczyło go z podniecenia. Liliana robiła na niego wrażenie małego, nieznanego (może astralnego?) gryzonia w klatce.

— Jak się w tym czujesz — spytał czuły brat, a połączenie widoku siostry na tym tle z oczekiwaniem na tamtą, na tle tylko co słyszanych słów, przechodziło wszystkie znane mu dotąd ingrediencje sprzecznych uczuć, w których tak „gustował”, bojąc się ich i cierpiąc jednocześnie.

— Wiesz, że trochę lepiej, niż w prawdziwym życiu. — Sturfan zwinął się z bólu, ale to tylko podniosło urok życia o parę kresk dalej ku czerwonej linijce na jego prywatnym manometrze od tych właśnie rzeczy. — Przy tym coś dziwnego zaczyna się we mnie budzić. Wychodzę jakby z siebie — raczej wiesz: wynurzam się. Już Sturfan nie wydaje mi się obcym żuczkiem na trawie widzianym z pociągu, tylko jest tym jedynym samcem, o którym mówiliśmy jako dzieci, kiedy to pamiętasz: ta rodzina lisów w starym atlasie zoologicznym Domaniewskiego... — Genezyp nagle zgasł. Piwowarskie dzieciństwo przemknęło mu w pamięci złoto-czerwoną luną niepowrotności: smak cierpki jakichś gruszek, wieczorne bójki i matka, ta *inna*, święta męczennica ze swoją cichą wiarą w nieznanego katolickim dostojnikom Boga. (Wzrok Chrystusa zwiedzającego mennicę, gdzie się biją monety Państwa Kościelnego, lub patrzącego na ostrze halabardy (!) gwardzisty, strzegącego tronu Jego Namiestnika — nie wiadomo czemu teraz przyszedł mu ten grubo spóźniony i banalny obraz — aha — przecie doniosły dziś dzienniki, że nareszcie papież opuścił boso zbiedniały Watykan i wyszedł na ulicę. Ale dziś nie zrobiło to na nikim już wrażenia. Tyle poświęcono temu miejsca, co wiadomości, że Ryfka Zweinos ugryzła boleśnie swego narzeczonego z powodu ukradzenia zardzewiałej agrafki. Spóźnił się biedaczek). Straszliwe, bezpowrotne zmarnowanie tych chwil — tak jakby miały one być wieczne — ta rozrzutność, z jaką się rozprzestrzeniało koło siebie blaski wewnętrzne, jeszcze bydlęce, jeszcze niedoczułwieczone, a pełne aż bolesnego w swej niepochwytności uroku. Gdzież się to wszystko podziało. I naraz nowy błysk, twardy i ostry, taki nieprzyjemnie męski i wstrętawy. Kocmołuchowicz i wielkie zadania (mające na celu, w razie spełnienia, umożliwienie życia takim samym jak on, Zypcio, a może gorszym obwiesiom) majające niewyraźnie za dławiającym horyzontem narastających wypadków. Stłumiony grzmot przebudzał w oddali — nie w nim, tylko w samej bezimiennej, obcej już teraz i dalekiej, w każdym razie nie-ludzimskiej naturze. Tu byli tylko ludzie, oblepieni, ociekający wstrętnością nazbyt ludzkich spraw. I poczuł obrzydzenie do wszystkiego, do siebie i nawet do tej Nieznanej, co miała wejść tu lada chwila. Ona była też „nieczysta”, jak wszystko ludzkie, na tle niedosiężnej piękności wiosennej burzy.

Dzwonek rozświetnił się po korytarzach. Drugi akt, jeden z „aktów” samozgwałdzenia i samoskierdaszenia się samego gnijącego wierzchołka zapadającej się w śmierdzące bagno społecznej doskonałości ludzkości. Weszła ONA. To samo zapadnięcie się pod siebie (zrobienie pod siebie całym sobą) co przy ujrzeniu pierwszy raz. Dotknięcie ręki przekonało go o tym, że to właśnie *to*. Aż po krańce wieczności dotykać choćby jednego kwadratowego centymetra tej skóry, nawet gdyby twarz była jedną ropiejącą raną — i więcej niech nie będzie nic. Pocałowałby ją w gnijącego nowotwora, ale nowotwora jej, z jej ciała wybujalego w anarchicznej żądzy wyrwania się spod praw normalnie funkcjonującego organizmu. Organizm — orgazm, wytryśnięty na jego pogniębienie z czeluści niebytu — orgiastyczna organizacja organów i komórek — ta nie inna — po co, psia-kość, po co? Można było żyć bez tego nie wiedząc, a teraz przepadło już na wieki. Zapadł się jeszcze głębiej pod dotychczasowe swoje ruiny (bo wszystko poszło w „drebieżgi”), a tam, nad nimi, w ciemnościach burych *psychicznej wietrznej trąby* wylaniał się i konsolidował nowy gmach, ale złożony z samych tortur, jak z dziecinnych klocek, rogaty, kanciasty, najeżony tetraedrami z nieznanymi męczarni aż do siódmego potu. Przypomniała mu się poranna „śpiewka” kursowego oficera, Wojdałowicza, gdy już w butach mył zimną wodą

(jak większość wojskowych niestety) czerwoną, górną połowę ciała. (Na nutę *Alhaverdy*: „życie ach się składa z małych przyjemności i do potworności natężonych mąk — ledwie ach coś komuś dogryzie do kości, już się ach zaczyna nowej męki krąg”. Krąg nowej męki zaczął się. Od razu z punktu nie było w tym żadnej nadziei. Coś rozpaczliwie nieugiętego rozprężyło się we wszystkim, mimo iż wiedział, że się podobał i to nawet bardzo. A może właśnie dlatego. Tego nie mógł wiedzieć. Cóż mógł wiedzieć o dzikich psycho-erotycznych perwersjach wyrzeczeń, którymi oplaca się po tysiącokroć marną swędzeniową przyjemnostką. „Zabić, zabić” — zasyczało w nim coś i popęzło, a potem pomknęło dalej, jak przestraszony wąż niesłychanie jadowity. A potem zaczęło się w duchowych gąszczach i *krzakach*. Mignął w zatłoczonej pamięci roześmiany, rozchelstany potęgą pysk Kocmołuchowicza. Co to takiego? Boże! — Boże! — jeszcze coś przydusić, a będzie, tu, tu, na patelni przed nosem — jasnowidzenie. Ciśnienie w mózgu straszne — jak nigdy przedtem (i potem). Jak to kiedy dzieci się bawią: „ciepło, ciepło, gorąco, bardzo gorąco, parzy, ciepło chłodno, chłodniej, zimno”. Rozwiał się i nigdy już. Jedyna chwila minęła bezpowrotnie. Intuicja szallonego (przez trzy *l*) uczucia już miała dotrzeć do metalowej (z irydu) pestki prawdy w tym owocu, który kąsał bezzębną paszczą mózgu, owocu *calego* życia, ale się cofnęła. Nie w tym, kochanku (jakim przez Boga?! — Kto tu mówił o tym. Zdawało się, że *wszystko* krzyczy, że wszyscy o tym wiedzą, pokazują palcami, pękają ze śmiechu. Taka gnida, gorsza od samego Gnidona Flaczko), było zło (o tym — same okropności do końca życia — ach, ale później) — *ono było w niej samej*. Nie jako wielość — piramida „demonizmów” nieszczęsnych, tylko jako absolutna jedność, ta metalowa pestka nie-do-zgryzienia, zło niepodzielne, jedyne, chemiczny pierwiastek: „*malum purum elementarium*”, nawet gdyby była pielęgniarzką i całe życie poświęciła lizaniu czyichś ran. Zło takie zatruwa najlepsze uczynki, odwraca je na wywrót, czyni z nich zbrodnie. Taka mogłaby być kochanka duchowa samego Belzebuba. Zupełnie inaczej niż w tamtej, księżnej — tamta była biedna, zbląkana owieczka wobec tej, choćby nawet całe jej życie usiane było trupami okrutnie zamęczonych. Takie to są, panie dobrodzieju tego, owe jakościowe różnice. Jakże pogardzał teraz sobą, że mógł tamto, co było, za zło uważać. Taż to, panie, były barankowe przeżycia młodego solitera godne jakiegoś klasztornego braciszka. Nie można tak zła obrażać. I chciał się przecie ratować, wybrnąć z tego, a tu nowe okropieństwo tysiącokroć wyższego rzędu wyszło naprzeciw niego z uśmiechniętą twarzą najwyższego szczęścia. A może nie było to wszystko takie już bardzo straszne? Może inne kryteria — — — ach, dosyć. W każdym razie był w tym wyrok bezwzględny na niego, wydany przez przypadkowe sprzężenie wrogich mu sił. Ale jakich sił? Jasnowidzenie nie wróciło. Był pokonany zawczasu przez coś od niego „akurat” o głowę wyższego. Ale co, u cholery?! Nie była to przecież jej inteligencja. Sama hipoteza taka jest śmieszna. Po perspekacji księżnej mało kto mu tym właśnie mógł zaimponować. Nie — coś absolutnego na całej linii: zasadniczy sprzeciw i to (z góry wiedział, choć uwierzyć nie chciał) nie-do-pokonania. Ale w czym to było, na Boga, bo przecież wiedział, że się podoba jako ten zadatek na mężczyznę, którym jeszcze właściwie nie był. Powinien był od razu teraz wyjść i nigdy jej więcej nie zobaczyć. Mówił to wyraźnie jak nigdy dajmonion. Iluż nieszczęść uniknęliby ludzie, gdyby słuchali takich tajemniczych głosów, które zawsze na pewno prawdę mówią. To jest podstawa katolickiej teorii łaski: każdy na tyle zna siebie, że mógłby zawsze uniknąć pewnych rzeczy, w których *w ogóle* wola jego coś do gadania by miała. Ale został na swoją, a może i jej zgubę. (Straciła przez to część swej bestialskiej siły, którą mogła być w pewnej krytycznej chwili inaczej zużytkować — ale o tym później). „A może właśnie wyjdzie z tego coś dobrego?” — kłamał jak mały chłopczyk, naiwnie, bezpretensjonalnie. Łzy miał w gardle od kłamstwa, takiego dobrego, pocziwego. „Tak wszystko będzie jeszcze dobrze”. Ponury cień padł na roześmianą przed chwilą dolinę życia. Beztwarzowe postacie nienarodzonych złowróźbnych myśli czały się ze wszystkich stron. Na pewno wiedział, że tego czegoś nie pokona i z całą podwójną świadomością został.

— Zypcio tak strasznie się panią zachwycił — rzekła, zdlawionym przez tremę głosem, Lilian. Miał wrażenie, że nie mówił nic, a mówił. Potem mu cytowano jego słowa: „...jest w niej „*rozpacz szczęścia*” tak straszna, że chyba ten, który ją kocha, żyć nie może ani chwili...” (Ach, prawda: Lilian występowała pod pseudonimem Mańki Bydlanej). „...Spalić się w jednej sekundzie z całą przyszłością, od razu, teraz — pęknąć w prawie-

-nieskończoności tej chwili, wyrzekając się w zamian za to całego dalszego życia. Ale śmierć za nic. Tym by się uczyniła ją jeszcze straszniejszą..." (ją — tę Zwierzontkowską).

— Nie powiedziałem ani słowa. Głupie gadanie. Nie cierpię teatru. Świństwo jest to wszystko — Słowa te padały jak granaty w bagno — nie wybuchały, tylko pluskały bezsilnie świńsko. Persy uśmiechnęła się daleko, na ukos, gdzieś, gdzieś do innych światów, które miała, ha — w międzyczosie. Był w tym tak zwany „upór-międzynóz”, w analogii do narciarskiej terminologii Mariusza Zaruskiego. Weszła matka z Michalskim. Mieli łożę oddzielnie. Zypcio ze Sturfanem siedzieli przecie na parterze. — Czy mogę pani złożyć wizytę. — (Słowa te brzmiały tak śmiesznie nieprzyzwoicie, jakby mówił np. „chciałbym pani oficjalnie wpakować to w tamto”). — Chciałbym pomówić o Lilian —

— A nade wszystko o sobie, prawda? I o mnie, zbyt wiele o mnie. — (wciągała go z uśmiechem na dno nędzy). — Może się pan nie trudzić. Inni zrobili to za pana. Nudzi mnie to. Ale niech pan uważa: ja jestem złe ziele: mnie się nie zapomina. — (Gdyby wiedział, na jakiej podstawie opiera się jej pewność siebie i jak nikłe są jej doświadczenia, pękłby Genezyp tu w tej klitce, roznosząc cały teatr w drobniutkie kawałki. Posiniał tylko ze złości płciowej, purpurowej, plantowanej, glansowanej, glanspenisowej, wspaniałej. A potem na ponuro bardzo, już jakby rozkosz w nim „szła” bez żadnego onanizmu, podał się fiołkowej mgłę tych dziewczęco-belzebubicznych oczu. Był „gotów”). — Chociaż jestem bardzo niewinna — może za bardzo. — (w tym było rozkraczenie się nie do zniesienia dopingujące. Mówiła to przy tamtych zupełnie otwarcie. A na Sturfana nie miała żadnego „gryfu”). M-me Kapenowa wytrzeszczała oczy ze zdumienia. „Cóż to za poufałość?” Zypcio aż pozieleniał ze złości, wstydu i niesmaku. Nie wiedział, że ona właśnie była dobra w tej chwili = chciała go zniechęcić do siebie naprawdę i obrazić. Obraził się oczywiście bardzo, ale aż flaki stanęły w nim dęba z chęci walki: nareszcie znalazł coś godnego siebie. I momentalnie pokonał obrazę. Zaśmiał się rozkosznie, nieomal tryumfująco. Persy zmarszczyła brwi i zawzięła się troszeczkę w sobie. A on pod spodem nie miał już nic = zimno, pusto, wygnańczo czuł się razem z kupą niepotrzebnych już flaków, które ściągnęły się w bolesny, wstydlivy, aż nazbyt zbyteczny woreczek. „Co u diabła — będzie wojna, zginę i koniec”. Z sali doleciała fala nieprzyzwoitej, wstrętnej (koprofagicznej?) muzyki (to Tengier płciowił się instrumentalnie spuszczonej z łańcucha, w spuszczonej psychoportkach) i zaraz trzask oklasków. A przez dziwną perwersję, na kpiny z upadającego Kościoła, tytuły tych muzycznych interlubryków, drukowane w programach, były religijne, łacińskie nawet. Lecz co tam tytuł dzieła muzycznego ma wspólnego z jego istotną *muzyczną* treścią? Albo jest wybebeszaniem prywatnych przeżyć twórcy, które nikogo nie obchodzą, albo ma cel uboczny. Potem zagrano tegoż autora tak zwaną „wślinkę”, (coś w rodzaju uwertury ze śpiewami sprośnych podlotków i alfonsowatych dryblasów) już z nowego okresu kompromisowego upadku. Straszne spustoszenie czyniło w tym samotniku ze świata czystych dźwięków powodzenie w małym stylu. A do tego nowe dziewczynki, też nie bardzo wysokiej klasy. Stał się modnym jako erotyczny łup wśród potworków-*assorties* specjalnego chóru i baletu teatrzyku, prowadzonym przez straszliwą, podmamusiąłą rajfurę, Manię Kozdroniową. Doszczętnie znużone pospolitymi bubkami „dziwki”, jak je po prostu nazywał, wyrzywały sobie wzajemnie niedosycony ochłap obrzydłego, rozszalałego nagle kaliki — bądź co bądź przez niego płynęły te potworne kombinacje dźwięków, którymi wstrząsał i rozedrgiwał ich ciała w niewiarogodnych figurach tańców, kompozycji lalusiowatego płasmistrza, wytartego, zgwałdanego brudem całego świata, Anestezego Klamke. Pod wpływem łaskocącej, budzącej *bezmierne* pragnienie *nieokreślonych* rzeczy muzyki (ale nie metafizycznie — artystycznie — wprost bebechowo) rozprężyły się w Genezypie wnętrza i mięśnie skuły się w rozkoszny, pełen żalu i życiowej oddali kłęb. Nie wiadomo nawet, czy była to przeszłość, czy przyszłość: aktualna dalekość wszystkiego, rozdzierająca nieznośnym cierpieniem niedościgłości samej w sobie. Nie odnosiło się to do żadnego określonego przedmiotu. Teraz Persy była w tym jako malutka pecynka. I tak ciągle — przekleństwo schizotymików. (Czytajcie Kretschmera, psie-krwie: *Körperbau und Charakter* — niech wreszcie ktoś przetłumaczy tę konieczną dla wszystkich [z wyjątkiem dla muzyków] książkę). Naprzód czy w tył — przeszłość czy przyszłość? I nikt nie wiedział już, kto kogo żałował. Nieuchwytnie trwało gdzieś jak tęcza wśród chmur i Bóg uśmiechał się łaskawie do wierzących, rozpylonym

promieniem słońca przez dziurę w groźnych obłokach. Ktoś mówił za Genezypa: słyszał swój głos obcy w wydrążonej, tykwiwej pustce:

— Będę jutro po dwunastej. Będziemy mówić o Lilian. O mnie ani słowa — pod tym warunkiem. Jestem tylko nędznym kandydatem na adiutanta generalnego kwatermistrza. — (Skąd znowu ten się tu zjawil? Na chwilę Kocmołuchowicz przestał być dla niego posągiem Wodza na placu, jakby już z przeszłości, a stał się żywym człowiekiem, mającym brzuch, kiszki, genitalia, pełnym drobnostkowych wstrętnych pożądań — zmateriałizował się pierwszy raz w czysto-mało-życiowych, nie kwatermistrzowskich wymiarach). *Krwawy cień przemknął przez twarz Persy* — nie rumieniec, tylko właśnie *krwawy cień*. Ani przez głowę, ani przez jądra nie przeszło Zypciowi, że to właśnie może być jego rywal. W ogóle była to jedyna rzecz naprawdę tajemnicza, prócz „idei” kwatermistrza („*Idée fixe*”, w tym wypadku „*Fide X*”) rzecz, o której wiedziało tylko paru ludzi, pewnych jak sama zasada sprzeczności. O tamtej nie wiedział nikt w ogóle, ani sam jej posiadacz. To ona była właśnie, „ONA” Wodza, ta jedyna, która i tak dalej.

Informacja: Sam Kocmołuchowicz nie chciał, żeby ona mieszkała w stolicy. Normalnie widywali się w celach erotycznych raz na miesiąc, wtedy kiedy ona itd. tzn. kiedy miała urlop czterodniowy w teatrze. Takie to były te okropne, te beztroskie, te diabelskie na wywrót zabawy kwatermistrza: zjadanie, to jest koprofagia, bicie rajtpajczą w goły — to jest — flagelacja, nieprawdopodobnie rozkoszne poddanie się władzy kobiecej (i to tej właśnie niewinnej dziewczynki) spiętrzające urok jej do zawrotnych wielkości — autoprosternacja. Ryk wścieklej bestii w liliowych szponkach spłciowiałego, delikatnego jak malutka muszka okrucieństwa. Szaleństwo takie, jak picie ze szklanki gotującej się lawy małymi lyczkami, malutkimi hauscikami. W tym było jedyne nasycenie i jedyne odprężenie tej strasznej w rękę Boga sprężyny, jaką był przeklęty Kocmołuch. Tym utrzymywał w sobie tę dziką, *istinno* ruską *biezzabotnost'*, której nie mogli się nadziwić militarni przedstawiciele dawno nie istniejących już reżimów i narodów. Niestety filia teatru Kwintofrona niemożliwa byłaby w stolicy, gdzie jednak dawalo się więcej odczuwać ciśnienie komunistycznej mgławicy w zarodku. (Ciekawe było zwalczanie tej mglistej „jacejki” [pajęczynki pełnej jajeczek] przez komunistów całego świata. Mimo to coś tam puchło i chwilami bolało nawet, ale słabo). Może to było i lepiej ze względów osobistych („zużywania sił nasiennych na lepsze cele” jak mówi w *Nietocie* Micińskiego de Mangro — „rzadko, ale dobrze” było zasadą kwatermistrza — „szara materia jest jedna”), ale tam w stolicy odciążenie ogólne indywidualnych wybryków było stanowczo mniejsze. — Więcej fantastyki życiowej wchodziło jako takiej w samą Przenajświętszą Politykę. I tak za dużo szeptano o tym teatrze w sferach pułkownika Niehyda, brodatego mściciela wiecznie łakomych warstw najniższych. A zresztą gdyby ONA ciągle była z NIM, też to, panie, życie zmieniloby się w nieustający koszmar i cierpialaby żona — Ida i córeczka — Illeanka. A on kochał je wszystkie trzy i wszystkie trzy potrzebne mu były jako podpory dla jego straszliwej fabryki sił do walki, raczej zmagania się z niewiadomym losem własnym i uosobionym w nim przeznaczeniem całego kraju. „Ach, znam was wszystkie trzy, jak stare suki, i ciebie też, *ma belle Zuzuki*” — śpiewał pięknym barytonem kwatermistrz w chwilach radości. Ta czwarta, to była ta wyśniona, nieznana: księżniczka Thurn und Taxis, jak ją inaczej nazywał „*Gafährlich ist zu trennen die Theorie und Praxis, doch schwer ist auch zu finden Princessin von Thurn und auch zu Taxis*” — śpiewał w towarzystwie sztabu Buxenhayna, rząc z uciechy nieposkromionej. Mimo wszystko jasnym zdawało się dla wszystkich, że on jeden musi wiedzieć coś nareszcie, bo jakże inaczej po prostu, panie tego, więc co to ja chciałem powiedzieć — i dalej nic, tylko wybałuszone oczy, takie jakie widuje się u ludzi, pijących gorącą herbatę na stacji, gdy pociąg już ma odjechać. I to, właśnie to było nieprawdą. Gdyby wszyscy nagle dowiedzieli się, że tak

jest, cały kraj zmienilby się w sekundę w jedną masę płynnej zgnilizny, jak pan Valdemar w nowelce Poe'go.

Drugi i trzeci akt jeszcze gorszego „*biezobrazja*” i zgnębiony do samego zbolalego dna rozpalonych duchowych trzewiów Genezyp powlókł się z rodziną na kolację do pierwszorzędnej odżywalni „Ripaille”. Odchodząc, Persy powiedziała, że *może* przyjdzie. W tym „może” był już zadatek wszystkich tortur. Czemu może, czemu nie na pewno — psia-kość zatracona. Ze też nic nie może być takim, jak powinno! Wszystko spospolicało tak, że na nic wprost nie można było patrzeć: kelnerzy, wódeczki, zakąski, radość Liliany, uśmiech pół-zbolały a pół-radosny matki i egzuberantna radość Michalskiego. Na dobitkę księżna przywlokła swoich adiutantów ze sfer najwyższych — patrzyli na Genezypa jak na dziurę w serze i walili na czczo *szampanskoje*. Potworny „żał za beznadziejnie uciekającym życiem”, jak w walczyku Tengiera, wywrócił Genezypa (moralnie) twarzą do ziemi w ohydny, bydlęcym szłochu. Zaczął pić i na chwilę żal stał się pięknym i wszystko zdało się takim, jakim być powinno — jak plamy w idealnej kompozycji malarskiej. Ale zaraz potem zdławiła tę harmonię brutalniejąca łapa alkoholu. Zalewany wodą drab ze dna wstał, budząc się ze snu, i krwawymi oczami rozglądął się po sali. Życie szalało, tonąc w ponurej beżmyślności. Jeszcze chwilka, jeszcze chwilka, a potem niech choć 15 lat ciężkich robót. Płazie oko plugawej finansowej kombinacji zdawało się mrugać chytrze *całą salą* w gwiazdzistą po burzy noc. Pochłaniała nowe ofiary w swych brudnych objęciach zbiorowa świnia interesu, nowa obok-społeczna nad-osobowość, nie bacząc na cierpienia indywidualne swych elementów. Jej było dobrze — pasła się w kotłowisku brudów, żrąc plugawie drogie potrawy, zmieszane z drogimi materiałami, kamieniami i rozkoszą. Miękkie, chwytające za niezróżniczkowany kłęb najwyższej nieuświadomionej metafizyki i najbydłęcjszej żądzy użycia, tony skrzypiec włóczyły brudnymi, cierpiącymi flakami po wypolerowanej posadzce pełnej zawrotnych esów-floresów wyuzdanych lśniących tydek i pantofelków i wstrętnych męskich najelegantszych buciorów i portasów. Świnia żarła. Tak było wtedy w „przedmurzu”, ale już tylko w pewnych najlepszej marki lokalach. Na Zachodzie nie było już tego wcale. O ile tam narodowość i religia zużytkowane zostały kiedyś jako kompromisowe tymczasowe motorki dla rozpędzenia maszyny faszystowskiej, z całą świadomością heurystyczności tych zamierających istności, o tyle tu, w „przedmurzu” były one tylko maską przedśmiertnego zażerania się Wielkiej Świni — pod ich pokrywką mogła jeszcze użyć w ostatnich drgawkach sprośnej agonii, zdechnąć z niedogryzionym ochłapem sterczącym z ryja. Używanie życia to dobra rzecz, ale jeszcze zależy od tego, kto i jak. Jeszcze w tej epoce mogło to być nawet czymś twórczym — (u pewnych wyjątkowych osobników oczywiście) — ale były to ostatki. Brr, brrr — dosyć, dosyć! Zdawało się że nie ma siły, która by to życie z marazmu wyciągnąć mogła. Zdawało się, że o tych kilku kelnerów i wyznawców życia samego w sobie rozbije się nawet sam mur chiński.

Zapomniał Genezyp zupełnie o istnieniu Tengiera: że to on był przecie twórcą tej muzyki, którą „okraszano” tak „hojnie” (tak pisane w afiszach) przedstawienia u Kwintofrona [Sam Kwintofron, chudzielec o blond-wąsach i cudownych błękitnych oczach, pił teraz szampusia z panią de Kapen i Michalskim, tłumacząc im istotę realistycznego deformizmu w teatrze.] i która dodała tak piekielnego uroku znikomości i niepowrotności, i tego charakterystycznego „darcia się w nieskończoność”, chwili poznania się z Persy. Był to przeciwny biegun życiowego działania muzyki w stosunku do tego momentu w szkole (Boże — jak dawno to było!), kiedy szczepił się Zypcio po raz pierwszy z duchem Wodzka. Gdy na salę wpadł wreszcie spóźniony Putrycydes (teraz naprawdę już zgniły), cała przeszłość buchnęła jak nieprzeźroczystry kłęb dymu z dna genezypiej istoty i rozwiązała się w ohydzie wykasetowanego stropu dancینگlokalu. Za tym dymem, z przerażającą jasnością, jak pejzaż na wojnie: skądinąd łagodny, a w chwili takiej na okropno dziwnie odmieniony, ukazało się tło dawnych zdarzeń, a na nim ONA, prawie tak okropna, jak wojenna rzeczywistość, narzucona na zwykły podkład planetarny codziennych spraw ludzkich. Z natężaniem zdolnym mur przewiercić patrzył, czy między wchodzącymi za Tengierem monstrami z teatru nie ujrzy tej, w której istnienie teraz prawie nie wierzył. Nic z tego — zatrzymały ją obowiązki wobec całego kraju, może nawet ludzkości całej, obowiązki nieomal kosmiczne. Tengier oświadczył, że Persy nie przyjdzie — migrena.

Interes, Oko, Bogactwo,
Uczta, Carpe diem, Zwierzę

„Nie mogła to zrobić tego dla mnie mimo migreny” — myślał w kółko na wpół zbaraniały Zypcio. O, gdyby mógł wiedzieć, co działo się w tej chwili (ten urok jednoczesności), w jaki sposób „*der geniale Kotzmolukovitch*” podtrzymuje w sobie właśnie teraz beztróską i szalą życia, toby spalił się w jednym wściekłym, bolesnym, onanistycznym orgazmie raz na życie całe. Zaczął słuchać rozmów poprzez przeźrocyste ściany żalu i rozpacznej ostatecznej.

Informacja: Mówiono rzeczy straszne. Śmierdzące ploty, wydobyte z najciemniejszych, najzatechlejszych łbów i zgniłych flaków, mających zastąpić zawędlę tzw. „serca”, ucieleśniały się, pęczniały i obleśniały w nieprzebitą realność wśród wódeczek, zakąseczek, w atmosferze beznadziejnego, samobójczego obżarstwa, opilstwa i objebdztwa, na tle omamiających, rozkładających wszystko w bezmyślną kaszę dźwięków śmiertelno-kloacznej, już nie normalno-bajzlowej muzyczki. „Wielka pizda” i „mały podchujek” wyły otwarcie w hypersaksofonach, tremblach, przytyngach, gargantuowypierdach i cymbalocinglach, skombinowanych z potrójnym organo-fortepianem, tzw. ekscytatorem Williama. Nieznacznie, podstępnie ciemne potęgi, gnilne bakterie społeczne, rozgnilały życie pod pozorami tężyzny, dobrego płytkiego chestertonowskiego humorku i radości z życia. A więc: podobno Adam Ticonderoga, starszy brat Scampiego, zginął z więzienia w stolicy. Uwolniło go trzech brodatych panów w cylindrach ze sfalszowanym rozkazem. Papier jednak zdawał się pochodzić z biur kwatermistrzostwa armii. Tu, jak zwykle (tak bajtlowały niemyte pyski), śledztwo odpadło, jak wilk od szyi psa z kolczastą obrozą — z kwikiem bólu. Kogoś potem bito w jakimś wychodku, na tyłach pewnego domu, w którym pewni ludzie odbywali sadystyczne orgie, przy pomocy pewnej specjalnej, pewno z Berlina, sprowadzonej maszyny. Ktoś z kimś miał pojedynek tajny (mówiono między najodważniejszymi, że sam kwatermistrz), wskutek czego podpułkownik Habdank Abdykiewicz-Abdykowski otruił się phymbiną w towarzystwie kochanki swej Nymfy Bydlacek z kabaretu „Eufornikon”. Te wiadomości przywiozła dziś właśnie oszalała z bólu i niepokoju księżna. Jedyne ratunek było pić, kokainować się, a potem kochać tego szczeniaczka jedyne, co teraz obcy, pijany, dumny i ponury siedział wwalony w jakieś niepojęte myśli, gdy ona była tuż przy nim taka bliska, dobra, kochająca i nieszczęśliwa. Biedny Adzio, jej ukochany „*little chink*”, jak go nazywano w domu. Nawet do niej nie mógł zajechać przed raportem, a zaraz potem zrobili z nim koniec „ci drianie” — (bo to było prawie pewnym) — ale kto — nikt nie wiedział. „Ho, ho, ho — żyjemy w niebezpiecznych czasach: tajnej polityki, „*lettres de cachet*”, bezprawnych więzień, czapek „niewidek” i dywanów „samolotów” — mówiły podejrzone figury. — „Zbyt pochlebne wiadomości musiał przywieść Ticonderoga o Chińczykach. Jakim cudem na tle takiego nastroju Dzewani, ten po Kocmołuchowiczu najtajemniczejszy człowiek na świecie, chodził swobodnie — co prawda to jeździł oficjalnie w lektyce, otoczonej pięćdziesięciu najwierniejszymi (ale komu?) lansjerami, nie „możono” (...gono?) się dość nadziwić. Niektórzy skrajni optymiści cieszyli się i zapowiadali cuda: — „zobaczycie — przychodzi nowy renesans obyczajowy — *les moeurs, vous savez*, zmienią się radykalnie. Przed wszystkimi wielkimi przemianami ludzkość zawsze cofała się do skoku” — gadali durnie, psia-krew. A tu — mówili zatruci jadem paszkwilarze i plotkarze — nikt nie był pewny dnia ani godziny. Najlepszy przyjaciel mógł dać cyjankali w paszteciku już przy zupie, a tu jeszcze tyle dań do końca obiadu i tyle możliwości przeniesienia się na „kosmate łono Abrumka”. Proszone objadania się stały się moralną torturą jak u Borgiów, bo parę jakichś politycznych śmierci zanotowano faktycznie po jakichś oficjalnych wyżerkach. Pewnie były to najzwyczajniejsze objawy przeżarcia się, przepicia lub też najprawdopodobniej zatrucia narkotykami wyższej marki, których z Niemiec dostarczano wprost wagonami, ale w tej atmosferze absolutnej niewiadomości tłumaczono sobie wszystko w jak

najokropniejszy w świecie sposób, powiększając tym panikę do *blado-zielonych rozmiarów*. Panikę, ale przed czym? Przed NIEZNANYM u władzy — pierwszy raz w historii, poza *oficjalną* ostentacyjną tajemniczością dawnych władców, od bóstw wprost pochodzących. Tutaj tych panów można było oglądać nieomal co dzień w najzwyczajniejszych okolicznościach, przy „pracy”, przy krewetkach czy karczochach, a nawet przy zwykłej marchewce, ubranych w standardowe marynarki czy fraki, można było z nimi pogadać o tym i o owym, o „kobietkach”, jak pisać lubił Stefan Kiedrzyński, można się było z nimi upić, wypić „na ty”, pocałować w dupę, zwymyślać i nic — i nic, i NIC. Nie wiadomo tylko, kim są *au fond*. „Kim są *au fond*, sami nie wiedzą” — (akcent na *q*) — śpiewano blednąc. Cień tajemniczości kwatermistrza padał też na nich. Jego to tajemnicą świecili fosforycznie jak widma, niby to należąc do Syndykatu Narodowego Zbawienia. Sami w sobie byli zdaje się normalnymi „państwowymi pionkami”, doskonale skonstruowanymi maszynkami. Ale ten demon (dla tłumu) wypełniał ich nadmiarem swego farszu, nadziewał jak paszteciki i puszczał w makabryczny taniec przed oszalałą ze sprzecznych uczuć gawiedzią. „*Kto był rząd*”? — takie pytanie słychać było zewsząd — niegramatyczne, a logiczne jednak. Mówiono o tajnych konferencjach Kocmołuchowicza z Dżewanim, o czwartej nad ranem, w czarnym gabinecie; mówiono (ale to już pod kanapą, pod kokainą, na ucho), że Dżewani jest rzeczywistym tajnym ambasadorem Zjednoczonego Wschodu i że o ile młody Ticonderoga cuda opowiadał o doskonałości wewnętrznej organizacji Kraju Czinków, o tyle odradzał stanowczo naśladowanie systemu tego w kraju, jako dla rasy białej nieodpowiedniego i stanowczo również błagał o niedopuszczanie do poufalości nieoficjalnych wysłanników (czyli macek) Wschodu, w postaci rozpowszechniciele usypiającej rozum religii Murti Binga. Był za bohaterką polityką „przedmurza” (za tzw. „przedmurzymem”) i przepadł jak kula w bagnie. Ale przecież za tą polityką byli wszyscy, cały rząd — więc o co chodziło właściwie? Ale kto to byli ci panowie: ten Cyferblatowicz, ten Boroeder, ten Koldryk wreszcie? Mityczne postacie — a ktoś za tym stał jak mur — „ale w jakim celu, w jakim celu?” — szeptała z przerażeniem cała Rzeczosobliwa Polska. [Cel był sam w sobie — historyczne konsekwencje sprzeciwiania się zawsze najlepszej w danej chwili idei, skumulowane w człowieku duszącym się od nadmiaru siły, których zaprząć nie mógł do szarej, codziennej pracy — a reszta to przypadek, że właśnie wszędzie był komunizm, że Chińczycy następowali, że wreszcie ludzkość zechciała przestać żyć w demokratycznym kłamstwie, i tak dalej i dalej]. Zdawało się, że natężenie czyjejs widmowatości jest wprost proporcjonalne do wysokości zajmowanego przez niego stanowiska. Ale nawet przeciwnicy obecnego kursu rozumieli, że ten „przedmurzym”, oparty na fantomach w rządzie, był jedynym kierunkiem, za cenę panowania którego egzystowało się w ogóle w tym spóźnionym stadium społecznym na tej planecie. Rządził nominalnie Syndykat, ale niektórzy twierdzili, że słuszność miał psychiatra Bechmetiew, według słów którego „*proischodit procies psiewdomorfozy*” i że właściwie stanowiska zajęte były nie przez rzeczywistych członków Syndykatu, tylko przez postacie podstawione. W biały dzień na zwykłej wstrętnej stołecznej ulicy miało się wrażenie dziwnego snu: zachwiane poczucie czasu i sprzeczności na każdym kroku, było przyczyną, że najnormalniejsi ludzie wyzbywali się co prędzej swojej rzeczywistości, jak pozbywające się wszystkich stałych elementów życia osobniki przed jakąś wielką katastrofą. Tylko tu uchodziła przez wentyle strachu sama najistotniejsza treść duchowa, „wypśniwały się” jak migdały z lupinek same pępki osobowości, niektórych nawet do niedawna wspaniałych. Za to życie wewnętrzne bezwzględnie bardziej było urozmaicone nawet, niż w pierwszej połowie XX wieku. Ten proces zaczął się niedawno, ale potęgował się z szaloną szybkością. A kto był tego wszystkiego sprężyną, nie wiedział nikt. Bo kwatermistrz przecie, zajęty tylko armią, nie mógł mieć czasu na takie zabawki jak tworzenie nastroju

— od niego oczekiwano czegoś, ale nie wierzono, żeby on już coś zaczynał. Miało się wkrótce okazać zupełnie co innego. Tworzył się powoli nowy tajny rząd pod maską obecnego, a prasa Syndykatu (zresztą prawie jedyna w ogóle, jaka istniała) wmawiała wszystkim, że o zmianie gabinetu nie może być mowy, że wszystko jest w największym porządku. Nigdy nie było jeszcze takiej zgody między Sejmem a Rządem jak obecnie, ponieważ, na skutek kolosalnych sum zagranicznych, zużytych na wybory, sejm składał się prawie wyłącznie ze zwolenników Syndykatu, a zresztą stale znajdował się (na wszelki wypadek, dla wszelkiego bezpieczeństwa) na wakacjach, z czym się sam zupełnie zgadzał. Cała walka kwatermistrza z Syndykatem odbywała się tylko w jego mózgu i w paru mózgach najwybitniejszych zaślepieńców Narodowego Zbawienia. Dla ogółu była absolutną tajemnicą. Organizowano siły po obu stronach, nie objaśniając niżej postawionych osób co do głębszych celów i zamiarów. Dziwiono się później, jak to w ogóle było możliwe. Na tle ogólnego oglupienia było to zupełnie wykonalne, czego dowodziły fakty. Fakt to wielki pan. Bądź co bądź paru wybitnych zagranicznych uczonych (socjologów, nie mających nic wspólnego z polityką) zaznaczało nieśmiało w jakichś notach i przypisach do innych tematów, że tak dziwnej sytuacji, jak obecnie w Polsce, nie było od czasu ekspansji pierwszych chrześcijan. Cała np. dyplomatyczna „kanitiel” z ościennymi i dalszymi nawet państwami odbywała się w sposób tajny, bo oficjalnych przedstawicieli nikt u nas nie posiadał. Ostatni węzeł z komunizmem, i to żółtym, Ticonderoga, był rozwiązany. Ambasador chiński odjechał już pół roku temu, tajemniczy jak 40000 bóstw Kantońskiej świątyni.

W nastroju pod psem i z takimi wiadomościami przyszła na kolację księżna, spląwwszy gdzieś po drodze Piętańskiego. Obecność jej była torturą dla Genezypa. Wiedział, że cokolwiek by nie uczynił, nie ominie go dzisiaj ta „*notte di voluttà*” à la *d'Annunzio*, której wcale nie pragnął, przed którą, na tle ostatniego kudefudru, odczuwał nieomalże zgrozę. I właśnie dziś będzie musiał ścisnąć i miętosić to biedne, wstrętne dla niego, rozpustne cielsko, będzie musiał i koniec — to dziwne — a co dziwniejsze, że pożądał tego: nie jej samej, tylko faktu jej posiadania. To różnica, to gruba, piekielna różnica — działał jad przyzwyczajenia. I tak się też stało. Takie rzeczy wcale nie działają dobrze na początkującego bzika.

Tengier, dziwnie nieprzyjemnie podniecony, przywitał Zypcia z roztargnieniem. Pierwszy raz w ogóle miał posadę, pierwszy raz był „czymś” (o nędzo!) i kosztował małymi łyżkami lurę marnego powodzenia. Pierwszy raz również, poza dziecinnymi próbami w konserwatorium (które skończył jako przyszły organista w Brzozowie), próbami, zatłamszonymi przez zawistnych, pozbawionych inwencji i świeżości rywali, słyszał sam siebie w orkiestrze — nędznej, ale zawsze. Tylko, że nie była to prawdziwa premiera poważnej twórczości, raczej ochłapki wypocone z „tricków”, zdobytych w tamtej, istotnej sferze, produkowane dla zabawy „muzycznej hołoty”, której nienawidził. Była to właśnie ta do głębi wstrętna mu klasa „wyjącego psa”. Ale o ile dawniej pies wyl do sentymentalnego księżycy, o tyle teraz, aby go do wycia pobudzić, trzeba było mu w nos dmuchać, deptać go po ogonie, a nawet nadpruć trzewia. Mimo że było to bądź co bądź (nawet przy pewnej swobodzie podpuszczania muzycznych wytworów najdzikszym oryginalnym sosem) miejsce kompromisowe, upadkowe, Tengier puszył się tym bardzo wbrew sobie i cierpiał nad tym puszeniem się potajemnie. Dotąd strzegł się wszelkich uzgodnień z wymaganiami chwili i zmiennym gustem „wyjącego psa” nawet w tytułach swoich kompozycji. (Pojmowanie bowiem danej rzeczy przez to bydlę zależne jest w $\frac{9}{10}$ -tych od tego, co „stoi” w programie i co o danym artyście piszą jakieś nic nie rozumiejące powagi). Niósł wśród gęstniejących zwalów wyższego rzędu potworności życiowej (wynikającej z konfliktu artysty ze społeczeństwem) swoją własną artystyczną niezależność w tryumfie przed sobą. To dawało mu ciągle poczucie własnej wartości, którym urzynał się jak podłą wodą. Nie był to jednak narkotyk szlachetny — co innego, gdyby nie był kaleką, — wtedy byłoby to wszystko czystym, bezzużytecznym i idealnym — tak stało się tylko pokrywką, przykrywającą wewnętrzne wstrętności — owrzodziły zadek pokryty

brabanckimi (koniecznie) koronkami. Była to jedna z tych tajnych plugawostek, o których prócz niego nie wiedział nikt. Nawet posążeń swych co do takich rzeczy u innych nie zdradzają normalni ludzie, aby na tym tle ktoś inny ich samych o coś podobnego nie podejrzwał. Bo skądże by mógł znać tak ukryte i wstydlive mechanizmy, jak nie z własnej psychologii? To są najbardziej tajemnicze z życiowych tajemnic, będące czasem istotnymi sprężynami nawet wielkich czynów wielkich ludzi. Bądź co bądź chałupę i grunt miał. Ale co by było, gdyby nie było nic? Tego nie starał się nigdy zanalizować. Do jak głębokich upadków z wyżyny czystej sztuki byłby zdolnym wtedy? I teraz, na zaświnione obszary płatnego „muzykanctwa”, tamte myśli wypełzły jak głodne gady czy robaki. I na całą twórczość dotychczasową padł złowrogi retrospektywny cień. Spręzał się w nagłych buntach przeciw tym myślom, w obronie ostatniej możliwej formy istnienia — bo teraz nie mógłby już powrócić na ludzimiarskie „pielesze” i wyrzec się tego „tarzania się” wśród dziewczęcych psycho-fizycznych pokurczów chóru Kwintofrona. Za to teraz właśnie stworzył to wszystko, na co nie miał dotąd siły i odwagi: ten kompromis stanie mu się odskocznią do tego ostatecznego skoku w głębowyż Czystej Formy, tym usprawiedliwi życiowe świństwo, w które zabrnąć musiał. Niebezpieczna teoria artystycznego usprawiedliwiania życiowych upadków czepiła się jego mózgu jak polip. Przypomniało mu się zdanie Schumanna: „*Ein Künstler, der wahnsinnig wird ist immer im Kampfe mit seiner eigener Natur...*” coś tam *niederge* — a, mniejsza o to. Ale nie — jemu nie groził obłęd. Pogardzał tymi flakami, którzy śmieli mówić o jakichś „*rançons du génie*”. A może nie był geniuszem? Nie analizował nigdy istoty tych głupich, sztubackich klasyfikacji, ale czuł swoją wartość nieomal obiektywną, kosmiczną ważność (czy co u licha), kiedy czytał nocami swoje partytury, wiedział o tym na zimno, nieosobowo, jak gdyby chodziło tu o drugiego człowieka, a nawet rywala. Zazdrościł sam sobie, że drugi raz nie można już tak samo; doznawał tego charakterystycznego nieomylnego piknięcia pod sercem, od którego nawet najbardziej niezazdrosne natury wolne nie są. „Hej!” (właśnie w tym miejscu musi być to nienawistne „hej”) — „gdyby to tak usłyszeć w wielkiej orkiestrze newyorskiego Music-Palace’u i widzieć wydrukowane czarno na białym (a nie w „pośmiertnych” własnych gryzmołach) w Cosmic-Edition Havemeyera! „Niech sobie te „ślachcice” wariują — ja nie. Mogę, ale nie koniecznie — jak będzie trzeba”. Jakkolwiek matka była szlachcianka, (tak „jednak drobna”, że praktycznie chamom równa), mówił to z prawdziwym humorem. Jedną zaletę miał Tengier rzadką niezmiernie: zupełnie wyzbyty był arystokratycznego snobizmu. Teraz, na tle marnych powodzeń, poczuł się mimo wszystko na wstępującej części życiowej sinusoidy.

— Jakże moja muzyczka? Co? — spytał księżnej, zabierając się bez ceremonii do gór całych ulubionego od niedawna majonezu z niezmiernie prawie drogich, niebieskich fląder. Irina Wsiewołodowna, wciągnąwszy w lekko spuchnięty nos kilka decygramów coco, na tle widoku ponurego swego medium, niezawodnego dotąd Zypulki, odzyskała znów dawną beztroskę — „*tryń trawa, morie pa kalienda*”. Zdecydowała się, że ginie i odtąd wszystko przestało ją obchodzić. A przy tym po rozmowie z pewnym adiutantem Dżewaniego, który obiecał jej dawkę dawamesku i szereg rozmów dalszych, poczuła w sobie coś nowego: mały świetlisty punkcik, który jednak blaskiem swym rozjaśniać zaczął trochę ponure zwały nadchodzącej starości. Ten punkcik świecił wtedy, kiedy było najgorzej, i (o dziwo!) stawało się wtedy trochę lepiej, w innym wymiarze, ale lepiej. Łzy podchodziły pod gardło i wszystko zdawało się nabierać jakiegoś bliżej niewytłomaczonego sensu. Wielka gnęba lżała.

— Cudowne! — odpowiedziała łpiąc niespokojnie turkusowymi gałkami, które coraz bardziej wypełniały czarne otchłanie rozszerzających się źrenic. — Muszę ci powiedzieć, Putrysiu, że pierwszy raz właściwie byłam zachwycona. Tylko zanadto wybija się pan na pierwszy plan. Musi pan więcej ilustrować to, co się dzieje. Pana muzyka rozprasza akcję na scenie.

— To tylko pierwszy raz. Nigdy jeszcze nie popełniałem takich świństw. Ale chciałem pokazać tym jelopom — bo widzieliście, że cała krytyka i szlachetni koledzy byli w komplecie. — Otóż chciałem im pokazać, co umiem, a na to musiałem się trochę wybić, bo w powietrzu tej mojej wiedzy pokazać nie mogłem. Oni nie lubięją — (tak mówiono w Brzozowie) — mnie słuchać, ale jak już nie mogą wytrzymać i muszą, bo ich ciekawość zła rozpiera, to potem dużo uczą się biedactwa. Za ½ roku zobaczycie wpływ mojej

pracy w tej norze na całej oficjalnej muzyce kraju. Już dziś było paru panów ze stolicy; Prepudrech młodszy i dyrektor Najwyższej Akademii Muzycznej, sam Artur Demonstein — no ten może najmniej jest niebezpieczny, ale nade wszystko Szpyrkiewicz i Bombas. Ha, muszę się przyznać, że się cieszę. I cała ta hołota, z wyjątkiem Arturka, pękała niby ze śmiechu, a wewnątrz była bardzo niespokojna i skrzętnie notowała pewne rzeczy, o których ja jeden wiem tylko. Pozornie to detale — ornamentacja, jak oni lubią to nazywać. A mówią tak, aby zlekceważyć tę właśnie dziwność całości formy, która jest zastygniętą materią samego jądra rzeczy i której oni wymyślić nie mogą. Ha, ha! Bomhasa złapałem w drugim antrakcie w pisuarze z nutowym notesem w ręku. Zmieszał się i bąkał coś o prostopadłych kwintach. Mam drania w pierdofonie... —

— Niech pan nie pije za dużo, mój Putrysiu. Pan chce połknąć życie z kopytami na surowo jednym łykiem. Udławi się pan, albo zerzyga, mówiąc pańskim stylem jak Alfred de Musset lub Fiodor Jewłapin. Trzeba trochę przebierać, będąc nawet tak wygłodniałym jak pan. Panu by trzeba najprzód jakąś psychiczną lewatywę ze słonecznikowego duchowego oleju zrobić, jak tym głodomorom spod Bieguna. Pan jest pełen życiowych koprolitów, ha, ha, ha! — śmiała się nienaturalnym kokainowym śmiechem. Hamulce przestały działać.

— To pani jest jednym z nich — niech Irenka będzie spokojna i nie kropi za dużo koko, a nade wszystko nie nadużywa samej siebie — bo potem będzie można wjechać karetą w sześć koni i frajdy żadnej. — (Genezyp poczuł się po prostu przyrzędem — chciał wstać — zatrzymała go straszliwa w swej miękkości łapka: „będzie obłapka, będzie” — mówił w nim jakiś głos niezbyt nawet tajemny. Nie pomogą wielkie miłości. A zresztą tamto i tak jest beznadziejne — poddał się). — Mam śliczną dziewczynkę upatrzoną. Prawie gotowa — na gotową kobitę pojechał do K. — jak to pani mówiła — i to wielbicielka. Oddała się moim dźwiękom — jak i tamte — podnieca to je właśnie, że takie dźwięki przepuszczone są przez taką pokrakę jak ja — daje im to nowy wymiar tajemniczości erotyzmu. Ha, gdybyście wiedzieli, co ja myślę wtedy. Co za amalgamy ja robię — *ekskrementale Inhalte mit Edelsteinen zu neuen Elementen verbunden* — wśrubowuję się całym sobą w same genitalia tajemnicy. Żona pozwoliła oficjalnie — ja jej też — robimy próbę małżeństwa w nowym stylu.

— Jest pan zawsze naiwny, jak małe dziecko, Putrysiu. Połowa kraju, jeśli nie $\frac{3}{4}$, żyje w ten sposób. Nareszcie dotarł do nas naprawdę wpływ francuskiej literatury sprzed lat stu. Ale głównie chodzi o to, czy pan też żonie swej daje zupełną swobodę? Bo tego byle kto nie potrafi. Mój Diapanazy jest prawdziwym wyjątkiem pod tym względem. — Przez twarz Tengiera przeszedł zakrwawiony półcień, ale szybko znikł wchłonięty, jak przez gąbkę, przez bezczelniejące gwałtownie „oblicze”.

— Oczywiście — zagadał szybko z fałszywą radością. — Ja jestem konsekwentny. Za miesiąc będzie to „pierwsza granda w R. S. K. — że to, mówię wam, hrabiowie nie hrabiowie —” — jak mówił brat doktora Judyma. Mijam się z kochankami w przedpokoju i nic sobie z tego nie robię. Swoboda to wielka rzecz — za nią można zapłacić nawet tym głupim fikcyjnym męzowskim honorem. Śmieszne jest tylko, jeśli się jest okłamanym — ja wiem i mam to w pierdofonie — zakończył swym ulubionym powiedzeniem.

— Ale nie będziesz miał wszystkiego tam, jak nie będziesz wiedział, kiedy ci żona pójdzie na utrzymanie tych frantów, a z nią i ty, genialna kukło — powiedziała księżna z nagłą powagą.

— Ja, ksiąginia, jestem prowincyjał — no cóż? — pierwszy raz jestem od dwudziestu lat w mieście naprawdę nie przejazdem — ale na tyle głowy mam, żeby wiedzieć, gdzie się zacznie ta granica.

— A gdzie to się zacznie — to ciekawe — od kwiatów, cukierków, pończoch czy bucików... — Tengier huknął pięścią w stół — ponosiła go już świadoma genialność, zmieszana z świetną dzikowską wódą i uratowanym od niedawna honorem samca.

— Milcz książęca kurwenalio — (adiutanci księżnej śmieli się „do rozpuku”. obrażać się na artystę? — nonsens.) — workowata samico elementala — taki elementaler zrobiłbym z twego mleka i popijał go słynnym piwem Kapenów. A pani — zaczął z nagłym olśnieniem jasnowidztwa w oczach — trafiła na swój numer. Ten Zypcio da pani prażonego bobu. Tym bardziej, że tu jest dla niego kąsek — ta mała reżyserka, co mu sio-

strzyżkę na potwora wykieruje. Dla mnie to za wysoka marka, ale on da radę. Bo wicie, że tu muszą wszyscy spotwornieć — zagadywał, zobaczywszy u Genezypa odruch dość wiele stosunkowo mówiący. Ni mniej ni więcej schwycił Zypcio ciężką butelkę komunistycznego burgunda i zakręcił nią w powietrzu, oblewając sobie kark i perłową suknię księżnej. — A ty, Zypek, odstań — wiesz, że ci dobrze życzę. Czyż nie trafiłem? — księżna obezwładniła kochanka metodą dżdżitsu.

— Pan zapomina, że ja za trzy miesiące będę oficerem i o tym też, że pan jest kaleka. Wiele wybacza się kalekim geniuszom, ale lepiej stop. Nieprawdaż? — Zypcio wytrzeźwiał zupełnie wskutek gniewu i zdawało mu się, że unosi się ponad stołem zawalonym drogim żarciem i ponad światem całym. Trzymał w ręku sam centr przecinających się sprzecznych sił — miał złudzenie, że wołą swą mógłby planety puścić w odwrotnym kierunku i każdego żywego stwora przekształcić na obraz i podobieństwo swoje. Rzeczywistość wzdymała się ku niemu, płaszcząc się jednocześnie i pokornie wijąc — czuł jej oddech, gorący i cuchnący (trochę) chuch i słyszał mlask niepojętych jej organów. „Kiedy bo z tym nasycaniem się rzeczywistością to jak z kobietami: nie można utrzymać się ciągle na tym samym miejscu: trach i wszystko się kończy. Niedoścężność nawet najpiekielniejszych orgazmów: psychicznych i fizycznych. Nakręcana sprężyna przekręca się i trzeba zaczynać na nowo i tak bez końca, aż się całkiem odechce. Prawo to jest metafizyczne”.

Księżna z podziwem patrzyła na kochanka. Nigdy nie był jeszcze w tym stopniu dorosłym. (Piła coraz więcej, na przemian z kolosalnymi dawkami „coco” i piękność Zypcia rozrywała jej wnętrzności okropnym bólem niedoścężności wszystkiego). Pod wpływem tej kombinacji podobał się jej coraz straszliwiej, niepojęciał i jedyniał z każdą chwilą coraz potężniej. Rozlazła, rozplaskana, jak jedna wielka rana wywalala się przed nim, obwijając go spuchniętymi, obolałymi od wypięcia tele-mackami. Tengier z Zypciem wypili „na ty”. Atmosfera na sali stała się naprawdę orgiastyczna. Wiew rozpalonej nieskończoności ogarnął nawet zwykle bydlęta ludzkie. Wszyscy zdawali się tworzyć jedno dobrze znające się towarzystwo, przepojone podświadomym poczuciem dziwności bytu. Zaczęło się przelażenie pojedynczych orgiastów do obcych stolików — osmoza wściekłych bebeczków, poprzez błony towarzyskich przesądów i klasowych zastawek. (Faktycznie są podobno takie chwile na dancinгах nad ranem). Sturfan upojony tryumfem swojej sztuki (którą programowo na obstalunek dla tej świni Kwintofrona napisał) puścił się z Lilianą w tak zwane „tany”.

— Zatańczymy, Zypulka? Co? — Tak powiedziała księżna, głosem tak ssąco-tloczącym, jak pompa transoceanicznego parowca. Nie wytrzymała stara, gdy malajska muzyka (złożona z najwierniejszych wyznawców Murti Binga) urzęnęła potwornego „wooden-stomacha”. Zypcio nie wytrzymał też. Tańczył, zgrzytając zębami i mimo wszystko pożądał jej, tej właśnie klempy, a właściwie wcielonego w nią wyższej marki płciowego jadu, obalwianiającego narkotyku, w który to monstrum erotyzmu zmieniało każdą najbardziej nawet niewinną pieszczotę. I gdyby wiedział, co się działo w tym samym gmachu, w pewnym specjalnym gabinecie od tyłu... I ONA z kwatermistrzem... (Zaiste był Kocmołuchowicz mistrzem w tej kwaterze, mistrzem najbardziej upadającej perwersji, która dopiero dawała mu wymiar prawdziwej wielkości w tej drugiej, historycznej części życia. Specjalne „menu”, a potem jalapam... ona... jądra małp Dżoko w makaronie z jajowodów kapibary, posypane tartymi koproliatami marabutów, karmionych specjalnie turkietańskimi migdałami. Kto za to płacił? ONA SAMA — ze swej pensji u Kwintofrona. W tym był szczyt upokorzenia. A czymże są najpiekielniejsze nawet wymysły ciała bez tej diabelskiej przymieszki specyficznych stanów ducha, które tylko pewne osoby wzbudzić umieją. Najdziksze sztuczki byle kurwa potrafi, ale to nie to). Ach, gdyby to wiedział Zypcio, toby może naprawdę poszedł tam i roztrzaskał butelką burgunda beztroski łeb swego najwyższego idola, a potem zniszczył i ją, i siebie w jakimś hypergwalcie, jakiego nie znała dotąd ziemia. [„I czy nie szkoda, że takie rzeczy, przynajmniej w tak wczesnych stadiach rozwoju danych indywiduów, nie przytrafiają się częściej? Czyż ogólny „tonus” całego społecznego organizmu nie byłby więcej natężony? Może *wszędzie indziej*, ale nie u nas. A czemu? Bo jesteśmy rasą kompromisarzy we wszystkim. I może Chińczycy po nas przejdą tak jak niegdyś przewalały się przez inne narody hordy Kublaja (?) czy Dżyngischana, a my odegniemy się (ale nie odgięciem siły, tylko miernoty) i wrócimy znowu do naszej mdłej, pocziwej, kłamliwej demokracji” — tak mawiał nieśmiertelny

Sturfan Abnol, jedno z najbardziej trujących bydląt naszych czasów. Że żył dotąd wśród tak natężonej ogólnej nienawiści, było jednym z cudów tej niezapomnianej epoki, który jednak mało kto należycie doceniał. Potem za to po jego śmierci już w tzw. „okresie złotym” piśmiennictwa polskiego, dawno po tresurze chińskiej, pisano o tym całe tomy — całe tabuny gnilnych pasożytów i hien literackich żywiły się jego duchowym ścięciem aż do zupełnego przesytu]. O, gdyby to można jednocześnie w jakimś telekinie oglądać: tu nocne ćwiczenia oszalałych z uwielbienia konnych artylerzystów, zdeklanszowane tylko co przez Wodza; tam posiedzenie rady trzech (trójwidmia, które niejedną zjawę na porządnym seansie zdystansować by mogły); tu szwargotowe konszachty finansowych przedstawicieli Zachodu z Jackiem Boroedrem, a tam wielkie X tego różniczkowego równania z pochodnymi wszystkich rządów, nurzające się w najszałemym, najświętszym prusko-francuskim wyuzdaniu z jedną z najczystszych kobiet w kraju, która uważała się już chwilami za jakąś nową Joannę d’Arc, tak jej przewrócono w małym babskim mózdzku ciągłymi adoracjami i to w najściślejszym kółku najwierniejszych tak zwanych „druhów” kwatermistrza. A tak wmówiła jej pewna klika to poświęcenie dla dobra „ojczyzny”, że nie było innej rady, jak oddać ciało na pastwę temu straszliwemu skrzydlatemu bykowi, którego samo zbliżenie się napawało ją bezdennym przerażeniem. Ale móc się *tak* bać było też szczęściem swojego rodzaju. A tu wszystko działo się na odwrót, całkiem inaczej niż wszędzie, tam, po szkołach, ministeriach, zawodowych radach i tym podobnych nudnych instytucjach. To on się tytał przed nią — o, rozkoszy...! W okresie wahań kwatermistrz szalał i czasem ośmnastu adiutantów musiało go gwałtem trzymać w czarnym gabinecie i szły bez końca całe kubły wody z lodem, znoszone przez przerażonych ordynansów. (Wypuszczony wtedy dopiero by narobił bigosu!) „Chce pani, żeby największy mózg obecnego świata zgnął w słoju jakiegoś komunistycznego psychiatry?” — (mówił pułkownik Kuźma Huśtański). „Chce pani, żeby na pani sumieniu był nie tylko los tego geniusza, ale całego kraju, a może i świata?” — (mówił sam Robert Ochłuj-Niehyd w chwilach nawróceń — a może całkiem inne myśli miał — czort go wie...). „Jak jego zabraknie, moja Persiu — (mówiła znana z niezłomnej dyskrecji ciotka Frągorzewska) — to co się stanie z bezświadomym ciśnieniem ciemnych potęg. Ty jedna możesz rozplątać ten bolesny splot zbuczonych sił i dać mu jedność w wielości bezpośrednio — w twoich wiotkich objęciach tylko może spocząć bezpiecznie ta piekielna sprężyna — ty ją możesz naoliwić i zmniejszyć ból spieczonej żarem niedosytu duszy. Ty jedna możesz go po prostu wypatroszyć twymi ślicznymi paznokietkami”. To wszystko sprawiło, że dziewczeczka ta, czysta w istocie swej jak lilijka, robiła już od paru miesięcy rzeczy coraz niewymierniej potworne i to z coraz większą przyjemnością. I teraz właśnie stawiała się ta „rzeczywistość” z najwyuzdańszego snu naprawdę, o parę pięter i korytarzy stąd, tu, w tym gmachu. Owiewała ICH dwoje ta sama (tylko trochę stłumiona) rozkładająca muzyka, co ten kłęb wcieleń Wielkiej Świni i biednego Zypulkę. Oni też byli jednym z nich — może największym. Tylko że proporcja „produktów drugorzędnych” (bitew, reform wojskowych, czynów społecznych, bohaterskich „wystąpień”, politycznych „tricków”, np.) (bo czymże innym są te rzeczy dla kobiet?) była inna. Wszystko usprawiedliwić można wymiarem, prócz głupoty i tchórzostwa.

Zypulka dusił się ze sprzeczności, przechodzących wszelką miarę: ta matka, z lekka na dystyngowano podpita, prowadząca subtelne rozmówki z dawnych czasów z Michalskim, i Lilian podniecona występem aż do bzika i wyraźnie świadomie doprowadzająca Sturfana Abnola do szału, to wszystko razem w atmosferze dancinowego płciowego bigosu, i strach przed spotkaniem któregoś ze szkolnych oficerów, na tle widoku tego cielska, w którym utopił jak w bagnie wszelką możliwość czystej pierwszej miłości — ha, Zypulkę diabli już powoli brali — „byli za mali, by duszę moją brać, a brali” — przypomniał sobie dziecinny wierszyk Liliany. „Wyrwać się stąd — z dala od tych babskich problemów, rozwiązać siebie” — ale gdzie? — poczuł się więźniem. „A może właśnie ta bestia da mi siłę do zdobycia tamtej?” — tak brzydtko myślał ten wstrętny dzieciak, zakochawszy się dziś po raz pierwszy. Teraz wiedział już na pewno, że nic wyższego ponad to nie będzie, że właśnie stoi na najwyższym punkcie paraboli życia, na szczycie swego istnienia. A szczyt ten tonął w śmierdzącej mgłę przyziemnego brudu życiowych nizin, a daleko wwyż, w niewymierzalnej wysokości nad nim, piętrzyły się prawdziwe wierz-

chołki ducha: Kocmołuchowicz, Boroeder, Kołdryk i *prawdziwi* oficerowie chińskiego sztabu na ruinach carskiego po raz drugi Kremla. Gdzie jemu do nich! Nawet gdyby 300 lat żyć mógł na tej galce. A apetyt i ambicję miał na miarę prawdziwego tytana. Teraz się w nim to rozpalilo — tu, w tym bajzlu. Młaskanie żrącej świni boleśnie odbijało mu się brudnym echem w spalonych żądzą użycia wątpiach. Dla niego też były to tylko „*produits secondaires*”, te wszystkie wielkości. Użyć — po gardło, aż do przesytnego rzygu. Oto gdzie się znalazł — pierwsza miłość — — — Jak wytworzyć tę prywatną głębię, (którą stwarza sztuka, nauka i filozofia), czy jakąś izolowaną niedowyz, w której mógłby, zadowolony z siebie, przeżyć to jedyne swoje życie do końca? Nie było żadnej nadziei. Jakże piekielnie pożądał lekkiego choćby otarcia się o prawdziwą wielkość, raczej o zanikający jej ostatni koniuszek! O, gdyby tak już siedzieć, w jakimś biurze wojskowym stolicy (na końcu JEGO macki), lub jechać gdzieś autem z jakimś papierkiem, podpisanym jego ręką, jakże inaczej przedstawiałyby się takie chwilki jak ta teraz. Wszystko można by zżuć, strawić, być ponad tym, a nie brnąć w to z poczuciem nicości swojej i bezsily. Tak mu się zdawało. Wszystko się kielbasiło coraz bardziej i nie było tym, czym by być mogło na tym właśnie aktualnym, falującym i zdeformowanym tle społecznym. Różnica taktu i tempa czyniła niemożliwym przeżycie siebie w sposób istotny. Bo przecież Zypcio, mimo wad, był bądź co bądź wyjątkiem.

Ogólnie (jak twierdził Abnol) powojenne, dancingowo-sportowe pokolenie przeszło szybko (jako takie — to znaczy ustąpiło szybko miejsca następnemu nie co do wieku, oczywiście, tylko co do opanowania stanowisk czołowych. Odstępy pokoleń zwały się w tych czasach do śmieszności prawie — ludzie o parę lat młodszy od innych mówili o tamtych jako o „starcach”) — część zagłupila się beznadziejnie (rekordowy sport, radio jako tzw. „kręcicielstwo”, taniec i marniejące kino — gdzie był czas, żeby o czymkolwiek móc pomyśleć? Grubejaca z roku na rok gazetka codzienna i tandeta książkowa dokonały reszty), część przez nagłą reakcję wpadła w fałszywą żądę pracy i zapracowała się bezmyślnie i bezproduktywnie do zdechu — tylko cząstka pogłębiła się, ale były to duchowe pokraki, niezdolne do życia i twórczości. Następne pokolenie (różniące się od tamtego o lat 10) było głębsze, ale bezsilne. Nie mięśniowo — odrodzenie fizyczne było wyraźne — ale wola, panie tego, coś nie ta i duch, duch, panie dobrodzieju, mimo że tyle o nim mówiono — nie był pierwszej jakości jako rusztowanie — szczególnie oczywiście u nas. Nie było w atmosferze społecznej dość optymistycznych teorii do wdychania, prócz srogo zabronionego komunizmu. Czym miały żyć te rachityczne mózgi? Umiarkowanie jest śmiercią dla młodzieży, oczywiście w dawnym znaczeniu, a nie dla bezmyślnych, ordynarnych sportowych dryblasów. Hodowanie tej warstwy przy pomocy straszliwych błag krajowych i zagranicznych, na podstawie teorii reprezentacji kraju przez skok o tyczce czy rzucenie kulą, mściło się teraz fatalnie. Cóż będzie w trzydziestym roku z bubków, którzy już w osiemnastym nie mogą sobie pozwolić na radykalizm. Ten trzeci narybek, do którego należał Zypcio, wychowany przez Syndykat Zbawienia, nie różnił się wiele od średnich warstw młodzieńczych przedwojennych. Nareszcie! Była to podstawa, na której można byłoby coś zacząć, gdyby był czas. Ale gdzie tam. Tę właśnie warstwę militaryzował na gwałt Kwatermistrz Generalny — raczej *oficeryzował* — marzeniem jego była armia z samych oficerów, ze stopniami jakichś ultrahyperfeldcajgmajstrów na stanowiskach najwyższych. Ha — zobaczymy, co będzie.

Zypcio tańczył, czując w rękach okropną galaretę z echinokoków, a nie symbol życia. Widział tylko twarz tamtej przed sobą, ale musiał... Czemu musiał? Zastanowił się ponuro nad mechanizmem tej pułapki, w którą wpadł. Poza dziecinny onanizm był to jego pierwszy brzydki nałóg — nie tylko fizycznych rafinad przyjemnościowych, ale stanów zrzucenia z siebie odpowiedzialności, zatulenia się w wygodny kącik beztroski, ale tej słabościowej, nie awanturniczej. O — trzeba z tym skończyć. I to on, oficer prawie, waha się! A potem pojechali razem na przedmieście Jady i przeżył Zypulka straszliwe wprost rozkosze. (Księżna po kryjomu dosypała mu kokainy do wina). Gorzej: poznał rozkosz bezczeszczenia rzeczy najświętszych i co gorsze zasmakował w tym. Od tej chwili żył w nim nowy człowiek (oprócz podziemnego, ponurego gościa, który sycony wypadkami przycichł jakoś w ostatnich czasach, ale w głębi pracował dalej). Ten nowy stworzył sobie transformator dla odwracania wartości: obrzydliwe? — właśnie zrobić to na złość (tzw. „perwersja”); trudne? — właśnie dokonać; nic nie warte? — podnieść do godności istoty

życia. Transformator taki w rękach takiego Kocmołuchowicza był czymś wspaniałym, nawet w jego szaleństwie. Ale wsadzony w mózg „przyszłego wariata z Ludzimierza” mógł się stać czymś strasznym.

TORTURY I PIERWSZY WYSTĘP „GOŚCIA Z DNA”

Zupełnie niewyspany, w strasliwym nieświadomym co do istoty swej kokainowym katzenjammerze (działy się wprost otchłanne cuda i objawienia. Skąd?), po całodziennych ćwiczeniach za miastem, wśród nudnego jak matura pejzażu (był szary, ciepły, słodkawy, pachnący trawą dzień wiosenny) popędził Genezyp koło szóstej na ulicę Św. Retoryka do Persy. Miał piekielną treść, nie wiedział, co i jak ma jej powiedzieć, pocił się w ciasnym mundurze i miał niesmak w ustach.

Mieszkała ta drętwa sama z jakąś kucharo-duenią, panią Golankową (Izabellą). Takiego jeszcze trzeba było nazwiska, aby dopełnić okropności miejsca samczych mąk, jakim było „mieszkanie” (tak mówiła Golankowa, a przy tym „kwandransik”, „dyszcz”, „syr”, „nierychło”, „wnet”) słynnej panny Zwierzontkowskiej. Już w przedpokoju, nie wiadomo jakim zmysłem, poczuł niezdrawą (uch, jak niezdrawą, to strach!) atmosferę wyrzeczenia. Wszystko pachniało przewlekłą, nieuleczalną torturą, jak mówiła księżna. I to takie wrażenia na tle takich dosytów wczorajszych. U — niebezpieczne — ho, ho! Widział to, ale jakiś demon pchał go w to wszystko dalej, dzierżąc za kark bezlitosną łapą. On dobrze wiedział, kto to taki — oj, wiedział, biedactwo. Przyjęła go w łóżku wśród jakichś piór *à la* Wróbel (ten malarz, nie ptaszek), hyperbrabanckich przezroczystości i poduszek, których poduszkowatość przechodziła sen o lenistwach najwschodniejszego z książąt ziemi. (Wszystko to było bardzo tanie, tylko skonstruowane z niesłychanym sadystycznym smaczkiem. Chodziło o maksymalne rozluźnienie samczej siły. Jakoż się i tak faktycznie działo). Biedny Zypcio ołsniony był wprost jej tzw. nieziemską pięknoscią. Zauważył pewne detale, które wczoraj mu się wypsnęły. Piękniejsza była „w naturze”, niż na scenie — to było strasne odkrycie. Żadnej wady, którą by się można *en cas de quoi* pocieszyć. Mur. Nos miała „tak prosty, że aż prawie orli”, jak mówił Rajmund Malczewski; usta nieduże, ale to wycięcie to była wprost rozpacz; i cudowny poziomkowy rumieniec na jakichś niebiańsko-migdałowych nadzamszach. I oczy fiołkowe z ciemną rzęsą, która ugięła się lekko w kąciakach, nadając spojrzeniu podługowatość falistą, ciągnącą się gdzieś aż w nieskończoność nienasyconej żadną rozkoszą żądz. Zdawało się, że cokolwiek by dowolnie piekielny samiec z nią „wyczynił”, na nic się to nie zda, w niczym nie pomoże, niczego nie zaspokoi, w ogóle będzie niczym. Była niezniszczalna. Jedynie śmierć: albo „jego”, albo jej. Poza tym ściana nie-do-przebycia. Ha! W tym to wymiarze beznadziejności znajdował Kocmołuchowicz najistotniejsze elementy swego szału. Poniżej tego to były te zwykłe, prześliczne nawet dziełatki, których napsuł już tyle — jak brutalny chłopiec zabawek. Tu mógł walić swym wszechpotężnym łbem całą parą, na całego jechać, a nigdy nie dojeżdżać — bestwić się i rozbuchiwać dowoli, rozbuchanym obuchem oburącz rżnąć z całej mocy i wyprychiwać, jak wulkan lawę, swoją złoto-czarną chuć, czyli po prostu mieć tę „*détente*” dla swojej metafizycznej potrzeby pożarcia samej wszystkości. Ona mu była tego symbolem. A cóż taki Zypcio? Śmieszne!

Zaledwie niemila duenia postawiła przybory do herbaty i wyszła (uśmiechając się przy tym tak, jakby chciała powiedzieć: „o, wiem dobrze, co tu będzie za chwilę”), Persy odkryła koldrę koloru róży herbacianej i zawinęła koszulę pod szyję. Genezyp zmartwił się z przerażenia (aż żądze wszystkie uciekły mu w sam czubek intelektu, tak się przeraził) ujrzał wcielenie doskonałości kobiecej ponęty i piękności, od popielatej blondynowości włosów (i tych, i tamtych) do paznokci palców od nóg. Stężał. Niedostępność, niezdo-bytość widoku graniczyła z absolutem. — Czymże była wobec tego ściana Mount-óverestu od strony lodowca Rongbuk. Głupią farsą. To, co jeszcze wczoraj zdawało mu się czymś niepojętym (że ona może mieć w ogóle to), stało się. Ale niepojętość realnego obrazu była o nieskończoność potworniejsza od tamtych marzeń w teatrze, kiedy to nie mógł biedactwo wyobrazić sobie pewnych rzeczy, jako należących do JEJ osoby... O, zgrozo! I w mrocznej kamerze tortur wewnątrz siebie posłyszał te słowa, mówione tym zabójczym głosikiem („o gdyby przy tym jej głosik...”) ze sceny, przez tą, która teraz leżała przed nim w bezwstydnym przepychu gołości (nie nagości), będąc jednocześnie takim

aniołkiem! Jakże piękną musiała być w chwili rozkoszy...?! To chyba był zły sen. Ale nie — słowa włożyły mu w uszy, jak mrówki w majtki, i kasały boleśnie już i tak obolały cielesno-duchowy węzeł płciowych zawikłań.

— Niech pan wreszcie siądzie. A zresztą będę panu mówić „ty”. Tak będzie lepiej. — (Dla kogo, na Boga?! — Tylko w kłamstwie i nienasyceńcu jest istota wszystkich uczuć. Nasycony samiec nie kłamie, a ja chcę kłamstwa zawsze. — (Tylko jeden Kocmohuchowicz wystarczał jej i w „prawdzie nasycenia” — no, taki byk i władca...) — Kocham cię, ale nigdy nie będziesz mnie miał — możesz tylko patrzeć — i to czasami jedynie. Ale będziesz kłamliwie myślał i mówił mi to i ja w tym będę żyć i tworzyć sama moje kłamstwo własne. To mi jest też potrzebne dla teatru. A potem znienawidzisz mnie od nadmiaru męki i będziesz mnie chciał zabić, ale nie będziesz miał siły i wtedy będę cię kochać najwięcej. To *będzie* rozkosz... — Wypreżyła się z lekka, rozchyłając usta i nieznacznie rozchyłając nogi, a oczy jej zaszyły mgłą. Zypcio wil się. Ach — wydrzeć z niej młodą i brutalną łapą wnętrzości i żreć je, cuchnące nią, pełną gębą... — I ty będziesz już tylko jedną myślą o mnie, jednym orgazmem męki, jednym pęknięciem z niewysłowionej żądz i wtedy może... Ale to bardzo nieprawdopodobne, bym ci pozwoliła dotknąć się do siebie, bo wolę śmierć, niż ohydny prawdę nasycenia i nudy. Sama też męczę się do szaleństwa... Kocham cię, kocham... — Skręciła się cała z bólu jakby żgnięta rozpalonym żelazem w sam centr cielesnej rozkoszy i zakryła się kołdrą po szyję. Mignęły mu tuż przed nosem różowe jej pięty i zaleciał go jakiś zapaszek nie z tego świata samicy. (Zawsze tak było po tamtych historiach). Persy doznała tego prawie psychicznego dreszczu, który tamten mistrz masochistycznego zbyczenia nazywał *sobie* „po żołniersku” (panie tego) „zmajtczeniem się w międzygwiazdną pustkę” i co było wstępem do bardziej realnych rozkoszy. Ach, ten jego ozór piekielny, umiejający napinać rozkosz do niewytrzymania, a przy tym ta świadomość, że to ON sam, tam... A, nie. Zypulka dobry był jako dekoracja: dziecinna kalkomania na metafizycznym urynale, w którym pływało w podejrzanym wydzielinach serce tamtego tytana. Bo to, że poza wszystkimi „detantami” kwatermistrz kochał ją — wiedziała. Cudownie ułożyło się życie — pełne było, że szpilki by nikt nie wścibił. Miała rację ciocia Frągorzewska: trzymać w ręku taką bombę przeznaczeń i bawić się jej lontem z tą świadomością, że wszystko może trachnąć lada chwila — „taż to, panie, jest pirsza klasa” i koniec.

Przez chwilę Persy lkała głucho histerycznym, suchym lkanieniem właśnie, a potem, patrząc na Genezypa, znajdującego się w stanie ostatecznego, tak cielesnego, jak moralnego płciowego rozkładu, z najgłębszą miłością siostrzaną, powiedziała troszczącym się, zabiegliwym, gospodarskim w najlepszym stylu tonem:

— Może herbatki, Zypciu. Świetne ptifurki zrobiła dziś Golankowa. Jedz, jedz — taki jesteś mizerny. — A potem dodała z drapieżną namiętnością: — Teraz jesteś mój, mój. — (Inne jeszcze słowo podobne cisnęło się jej na usta, ulubione słowo kwatermistrza — nie wytrzymała i szepnęła je po cichutku, spuszczając przy tym oczy, które w tym rzęsowym omdleniu, zdawały się mówić tylko jedno: „wiesz, co mam, takie śliczne, pachnące, przyjemne, ale nie dla ciebie, głuptaku, dla prawdziwych siłaczy świata tego”. Bo czyż jest coś bardziej nieprzyzwoitego jak spuszczone niby to ze wstydu, orzęsione powieki kobiece. Genezyp myślał, że się przesłyszał. To już byłoby niepodobieństwem). — Nigdy mnie nie zapomnisz. W grobie jeszcze wieko trumny się podniesie, gdy o mnie pomyślisz. — Nie wahała się powiedzieć tak ordynarnego banalnego dowcipu trzeciej klasy! I ten to dowcip zabrzmiał jak groźna, ponura, rozdzierająca bólem niedosytu prawda — w jej ustach niedosiężnych. I wpijała się *mademoiselle* Zwierzontkowska w jego pobladał, cudownie piękną w nadludzkiej męce twarz, chłoneła chłopczykowaty, nieznosny płciowy ból w jego rozpalonych oczach, wdzierała się kawowo obwiedzionymi, niewinnymi, fiołkowymi oczkami w rozdarte torturą jego usta i drżące szczęki, miażdżące w bezsilnej pasji świetne zaiste *petits-fours*y. I miała rację. Bo czyż to właśnie nie było najpiękniejsze? Oczywiście nie z punktu widzenia sprawności korpusu oficerskiego armii kwatermistrza. O — o — o — ale co by było, gdyby Zypcio dowiedział się nagle o tym, co było wczoraj. Jakby się wtedy spotęgowała jego wewnętrzna furia! Ach, to by było „słodkie”! Ale na to nie można było sobie jeszcze pozwolić. To przyjdzie, to będzie na pewno — taka

chwilka jak drogocenny kamień cudownie oszlifowany i on się wtedy rozplynie cały w ten torturowy sosik — po prostu przy niej zrobi z sobą coś... Już byli tacy.

Właściwie to oczywiste było, że ona kłamała o tym całym nienasyceniu: była przecież przepelniona rozkoszą, którą dał jej tamten: pół-bóg, wąż, brutal, dziki władca, zaświ-niony wyżej głowy w jej ciele. I jak to on po tych swoich programowych upokorzeniach skopał, zbił, sprął, zmiażdżył...! Aa! [Nie darmo taki turbogenerator jak Kocmołuchowicz miał taką właśnie kobietę. Poznał się na niej wśród milionów pudów babskiego mięsa i uczynił z niej to, czym była teraz: władczynią krainy prawie metafizycznego kłamstwa (takiego co to zaprzecza *wszystkiemu*) i królestwa męczarni naprawdę pierwszej klasy. A mając za sobą (psychicznie) Kocmołuchowicza, Persy nie bała się nikogo. Każdego mogła sparaliżować i zjeść na zimno (nawet kochając naprawdę — w jej kategoriach oczywiście) — jak gąsienicznik swoje ulubione liszki. Tylko tu działało się to jednoosobowo].

Genezyp zmartwiał przywalony górą bezgranicznej męki. Zasnuły się świńską męczarnią wszystkie rozkoszne dolinki, do których można by w ostatniej chwili uciec. Wybełkotal przepalonym głosem nieswoje słowa, wykwitłe bezwolnie na tylko co rozwianym pamięciowym obrazie jej cudownie smukłych, długich, a jednak pełnych nóg — *przecież całe pokryte były sińcami*. (Teraz dopiero to sobie uświadomił). A sińce działały na Zypcia jak piorunian rtęci na piroksylinę.

— Czy nikt...? Dlaczego te; te plamy? — Nie miał odwagi powiedzieć po prostu: „sińce”. I zrobił kolisty ruch ręką ponad kołdrą.

— Spadłam wczoraj ze schodów po trzecim akcie — odpowiedziała Persy z min-ką bolesną i uśmiechem pełnym niewysłowionej słodyczy. A w uśmiechu tym przesunął się przed intuicyjnym pępkiem młodego męczennika fatalny, niezartykułowany obraz jakichś dzikich, niepojętych gwałtów. I mimo że *wiedział* coś nieprawdopodobnie potwornego, wiedział na pewno, mocą przedziwnej hipnozy, to coś, zamiast go do niej zniechęcić, całkowicie bez reszty przetransformowało się na jeszcze straszniejsze jej pożądanie. Spalał się jak papierek w gruszcze Bessemiera, wyjął głucho na bezwodnych pustyniach ducha. Nie było ucieczki z tych mąk, a także i z wyżyn oficersko-męsko-natchnionego poglądu, którego symbolem był kwatermistrz — było to właściwie czyste kondotierstwo, idee narodowe w tym wymiarze nie grały już najmniejszej roli — to jest w tym stopniu „zoficerzenia”. Sam Kocmołuchowicz nie wierzył już we wskrzeszenie spróchniałych narodowych uczuć. W szkołach mówiono na ten temat parę prostych dogmatów na początku kursu, a potem obnoszono tylko w tryumfie jak sakramenty abstrakcyjne pojęcia: honoru i obowiązku na równi z pojęciami: słowności, odwagi, punktualności, dokładności w rysunkach, jasności wysławiania się i czysto fizycznej sprawności. Kierunek automatyczny panował wszędzie wszechwładnie. (Podobno Murti Bing zgadzał się z tym w zupełności). W ideowym mroku poruszały się wylękle manekiny. Każdy, co miał głębszego, skrywał i chował starannie przed ogółem — te rzeczy (właściwie co?) niski miały kurs, szczególnie jeśli związane były z dawną metafizyką lub religią. Panowała jedna psychoza niepodzielnie: strach przed obłędem. Genezyp był naprawdę wyjątkiem.

Ale w tej złej chwili rzuciło go nagle o ziemię i on, asymptotyczny oficer, przyszedł „eddekan” Wodza i obecny pegiekwak, gryźć zaczął dywan, dławiąc się włóczką i prychając pianą w perskie wzorki. Czarny wał nieprzebitego, a miękkiego oporu, oddzielił go od szczęścia. Za tym dopiero było do zdobycia wszystko — bez tego — nic. Wiedział, że gwałt nic tu nie pomoże, że wejdzie duenia i nastąpi kompromitacja definitywna. Żaden z „*truć'ów*”, które wystudiował na księżnej, nie działał. Wszystkie antydota na demonizm klapnęły. To nie był zresztą żaden demonizm — dla niego, który wierzył mimo zeznań jej w jej prawdę. W istocie był to demonizm najwyższego gatunku, bo pozornie ona była dobra, tkliwa (a nawet ckliwa) i rozmazana w urojonym cierpieniu. Nie było z czym walczyć, wobec tego, że i ona była nieszczęśliwa. Ale to potęgowało tylko jej urok, jak w dzieciństwie żaloba urok jakichś tam panienek — potęgowało tajemne, ukryte zło do dzikości zasmrodzonej sytuacji. Tak — tylko słowo „smród” (*smrood* — po angielsku dla tych, co nie lubią ordynarnych wyrażań) jest w stanie oddać okropność tego, co się działo. Regularny atak furii — po raz pierwszy i to *pod pozorami normalnej nieprzytomności, bynajmniej nie wariackiej*. Ona wyskoczyła bosymi „stópkami” z łóżka (w długiej, prawie

przeźroczyściej koszuli) i zaczęła gładzić go po głowie, przemawiając doń najczulszymi wyrazami:

— Ty mój najslodszy chłopaczku, złotko moje, koteczku najmilszy, duszku przeczysty, pszczołko najpracowitsza — (A to co znowu?) — moje ty nieszczęście kochane, uspokój się, ulituj się nade mną — (to dla wywołania uczuć sprzecznych) — pożałuj mnie. — (Ona mogła go dotykać — on jej nie). Przycisnęła jego głowę do niższej części brzucha i Genezyp poczuł na swej twarzy gorąco, buchające *stamtąd* i delikatny, niesamowity zapach... A nie!!! A głos miała taki, że zdawała się dotykać nim najskrytszych płciowych ośrodków jego ciała. („A, ścierwo — najbardziej urocza kobieta, jaką wyobrazić sobie można, tylko „driań” — jak mówił kwatermistrz. Ale dla niego to właśnie było szczęściem). Ten głos wydrążył Zypciowi szpik kostny, wybaranił mu mózgi obolałe i wydał go całego w pusty pęcherz bez żadnej absolutnie treści. I to tak szybko się działo! Przecież nie było jeszcze trzech minut, jak tu wszedł. Nie wiadomo jakim cudem ocknął się. Ten stan omdlenia furii był już rozkoszą. Zobaczył jej nogi bose i gołe, gdy stała tuż przy nim (te palce długie przesłizne, do dziwnych pieszczoł stworzone. — Znał to dobrze general-quartermaster) i jakby go kto kłonicą w łeb trzasnął i dźgnął przy tym rozżarzoną sztangą w same jądra istoty. Znowu zaczął bić głową o ziemię, rykojąc głucho. Tak — to była miłość, ta prawdziwa, bestialska — nie żadne tam idealne fintifluszki.

Persy, szczęśliwa aż do zachłyśnięcia się sama sobą (tak dziwnie świat olbrzymiał, piękniał i nią jedną cały się wypełniał), gładziła dalej tę męskawą, taką obcą i przez to tak „uroczą” główkę, w której *takie* rzeczy się działy! „Sperma rzuciła się na mózg” — jak mawiał jej Kocmołuch. Nazywał to też „byczym skurczem”. Och — wdrzeć się tam i zobaczyć, jak się to męczy, mieć to w sobie, na granicy tej niemożliwości, gdzie dwie sprzeczne koncepcje mózgu — jedna, mózgu jako organu nieistniejącej jako takiej realnie myśli, organizacji żywych komórek, w granicy sprowadzalnych do chemizmu — otóż chodzi o przecięcie tej koncepcji z tą, którą każdy ma w swej głowie *od środka*, bezpośrednio prawie, gdzie lokalizuje nieświadomie pewne kompleksy i następstwa mniej uchwytnych jakości, stanowiących sam psychologiczny proces myślenia — o, to, to: to *widzieć razem* jako mózg nagi, krwawy, wytopiony z czaszki = koncepcja trzecia, ale dotycząca zawsze niestety mózgu cudzego. Straszne zachcianki miała ta Persy, obca wszelkiej filozofii, a nawet naukom ścisłym. Dla niej już metafizyka (pożałuj się, Boże!) Kocmołuchowicza była czymś zbyt ryzykownym. Ona wierzyła w Boga katolickiego, bezmyślnie jak automat, i nawet chodziła do spowiedzi i komunii — ten potwór! A czymże to jest wobec Aleksandra VI, który modlił się do Matki Boskiej o śmierć kardynałów, których dla celów pekuniarnych otruł, czymże wobec sprzeczności dzisiejszego katolicyzmu z prawdziwą nauką Chrystusa. Głupstwo, detal.

— Och, ty, moja główko słodka! Jakie to jedwabiste, cudne ma włoski, jakie oczka złe, jak u wściekłego zwierzaka w klatce, gdy obok za ścianą jest samiczka, do której dostać się nie może. Jakie usta spragnione i niezadowolone, jakie ciało spalone gorączką! — (Wsunęła mu rękę pod mundur). — Ach — ty cudzie mój — jakież to wszystko śliczne jest! — *I klaszcząc w dłonie z zachwytu zaczęła tańczyć na dywanie, fikając nogami wyżej głowy i odsłaniając przepaście rozkoszy i pierworodnego grzechu.* Genezyp klęczał i patrzył. Świat jak potwór peyotlowej wizji przepoczwarzał mu się w nadpotworne monstrum, kolczate, zębate, rogate, ohydne i złe nie-do-pojęcia. Cierpienie już prawie moralne, tak fizyczne, a bezbolesne i pieścizotliwie miękkie, rozkwasilo go na ohydny, śmierzący plaster. Zamknął oczy i zdawało mu się, że umarł. Uplynęły wieki. Persy nastawiła gramofon na rozpaczliwego „wooden-stomacha” i tańczyła dalej nieprzytomna. A głos w niej, obcy jej i całemu światu (uważała go za głos Szatana), mówił obok, mijając całe to zdarzenie: „cierp, ścierwo męskie, zakalcowaty embrionie, chłopczykowate gówienko, — zameczę, psia-krew, zabiczyć cię własną żądzą, zasmagam na śmierć zaświnioną wyobraźnią. Tarzaj się we mnie myślą, rycząc z wściekłości, ale mnie nie dotkniesz nigdy. Właśnie w tym »nigdy« jest cała rozkosz. Wyj z bólu i błagaj, żebym cię choć jednym włoskiem musnęła po tych twoich rozdrażnionych do obłędu bebechach”. Itp. Itp. I w tym była też miłość najwyższa, ale wyklamana na odwrotną stronę jaźni. Cała była już jak wywrócony brudny worek i to było jeszcze mało, mało. Teraz ciągnęła oscylacją między dotykalaną już prawie prawdą (w postaci kwatermistrza i jego szalów) i wewnątrz-

nym kłamstwem w całości, które się przez doskonałość swą prawie prawdą stawało, miała służyć dla nowego rozjątrzenia w sobie woli do życia. Bo biedna Persy cierpiała na straszne bezprzyczynowe depresje i słabą była w gruncie rzeczy „istotką” i „dzieweczką”, jak lubiła nazywać siebie w chwilach rozczulenia nad sobą, nawet wtedy, gdy z samców kiszki na zimno wywlekała, budząc w nich *jednocześnie* litość skowyczącą i ryczącą bestialsko wściekłość. Psychiczny sadyzm i dobroć niezmierna dla wszystkich pokurczów, kalek i ubogich duchem sietniaków i karapetniaków „prostaczków” i „maluczki” (brrrr — co za świństwo!) były w niej złączone w jedną obrzydliwą kupę. Kobiety, albo uwielbiały ją bez granic (miała kilka świetnych lesbijskich propozycji, ale je odrzuciła z pogardą), albo nienawidziły, bez powodu nawet, tak, jakby kochanki swoich ukochanych, mimo że win istotnych w tym kierunku Persy na swoim sumieniu nie miała. Chyba wobec jednej jedynej generałowej Kocmołuchowiczowej (kwatermistrz więcej *prawdziwych* kochanek po ślubie nie miał. Persy była pierwsza (i ostatnią), z którą zdradził naprawdę ukochaną zresztą żonę. Bo cóż tam te dzierlatki — to się nie liczyło wcale...).

Nagle Zypcio zerwał się i wyleciał, zaledwie zdążywszy porwać czapkę. „Herbatka” i ptifurki pozostały niedokończone jako symbol tego wyrwania się z kleszczów demona. Czatująca pod drzwiami duenia zemdląla prawie na widok tego pędu tej twarzy. Straszna miała zaiste głębię młody „pegiekwak” — szerniała od męczarni i rozpuchła czymś w ogóle nieznanym. Ach, gdyby go ktoś w tej chwili narysował, albo przynajmniej zdjął! Szkoda.

A Persy, cichutko, z obrzydliwym lubieżnym uśmiechem, weszła z gracją do łóżka (miała zwyczaj zawsze, nawet na bidecie, zachowywać się tak, jak gdyby ktoś na nią patrzył) (spojrzawszy przedtem w lustro) i zatuliła się rozkosznie w poduszki, zwiłając się przy tym w kłębuszek. Teraz dopiero mogła pomarzyć trochę o sobie *naprawdę*: samoosobowo, samobytowo, samosamowo, mogła się samić i rozsamiać do woli, zagłębiać się w siebie samą, jak w doskonały futerał. Czula, że jest naprawdę — wypadki tylko co przeszłe zbladły, stały się abstrakcyjnym nieomal, ale koniecznym tłem dla rozkwitającej czystej jaźni, która wychylała się z mgieł codzienności, paląc się na czarnej Nicości jak szczyt olbrzymi w zachodzącym słońcu na tle nocnego prawie nieba, nad ciemnymi dolinami pospolitości. Była w tej chwili pępkiem świata, jak szach perski bywał nim podobno codziennie, stale — była szczęśliwa. A potem jaźń rozwiała się w jakimś rozkosznym oparze (nie było nic więcej prócz tego oparu, jak w eterycznej narkozie, tuż przed ostateczną utratą zmysłów) i nastąpiło „złanie się z wszechbytem”: zupełny zanik ciała (kiedy jeszcze iskierka ostatnia świadomości trwała gdzieś na samej krawędzi pustej Przestrzeni) i potem cudowny sen, z którego budząc się, wstawała świeża, zdrowa jak krowa i pogodna. To wystarczyło na tydzień — no, powiedzmy na dwa. I nie żałujmy jej tych chwil, bo właściwie z wyjątkiem takich przeżyć (i tych *innych*, z tamtym jedynym siłaczem ducha i ciała) biedniutka i szarawa była (sama dla siebie *jako taka*) ta cała osławiona Persy Zwierzontkowskaja.

A Zypcio gnał autem do szkoły. (Nie mógł ratować się tak jak wtedy w łazience księżnej — wiedział, czym to pachnie. Pachniało wszystko w dziwnie nieprzyzwoity sposób. Wszystko zdawało się powoli i systematycznie na to tylko sprzysięgać, aby go rozdrażnić do najwyższego stopnia. I tamten niezapomniany zapach... Nigdy, nigdy. Łupił łbem o czarną ścianę „na zabój”, zwiłając się w straszliwych „ciągotkach”). A w świecie zjawisk siekł drobny, wiosenny, ciepły deszczyk. I wszystko było takie pospolite i zwykłe — choć do rany przyłożyć: i latarnie, i rzadcy przechodnie, i zaczynające się ożywiać właśnie o tej porze lokale, a jego targała za trzewia dziwność tego właśnie wszystkiego, tak potworna i plugawa, że mało nie wył. Miał uczucie, że jego zbezczeszczone wnętrzości ciągną się za autem zagnojonymi, brudnymi ulicami. Ryk nienawiści podnosił się z dna istoty, stamtąd gdzie siedział tamten ciemny gość, On — ten tamten, był spokojny, chociaż fala nieszczęścia dochodziła już do jego celi. Trzy godziny maneżu wieczornego, przy czym kary koń jego ociekał białą-żółtawą pianą — i mógł trochę zasnąć. Ale to spał raczej storturowany trup, nie on sam.

Jak przeżyć dalsze dni aż do wypadków, w których można by nareszcie zginąć? A nazajutrz o szóstej był już w księżnej i kochał ją, jak mamę-wampiryzę wprost potwornie. Wieczorem znowu to samo przedstawienie u Kwintofrona, a o dwunastej u Persy. Ale już był potulny. Zdołała go ujarzmić i wplątać w koło najgorszych tortur — chronicznych. Ostry stan przeszedł. Persy doprowadziła go do głębokiego przeświadczenia, że ona

jest aniołem, a on niegodnym jej muśnięcia nawet grzesznikiem. Mówiła tylko o swoich cierpieniach, pozornie zapominając o jego egzystencji, a w istocie bacząc na każdy jego ruszek, każde drgnięcie powiek, obciążonych ołowianym bólem niedosytu, na każdą przelotną deformację jego stortuowanego ciała i syciła się jak mątwą, jak żarłoczny kleszcz, jak wesz. Sublimowała się ta miłość w jej piekielnym tyglu w niedosiężne wyżyny oddania i poświęcenia — teoretycznie oczywiście, bo żadnych prób nie było i nie wiadomo, jak by wtedy wypadły, bo miłość ta przypominała, poza zewnętrznymi formami, raczej nienawiść dzięki do *martwego przedmiotu*, niż przejęcie się „od środka” cudzą duszą. Problem był: jak zużyć to wszystko we właściwym celu, i co główniejsze: czym był cel właściwy. Gdyby nie duch kwatermistrza w niedalekiej stolicy, nie wytrzymałby tego Zypcio nigdy. Kocioł wrzał dalej w prychających roztopioną smołą czeluściach cielesnych pegiekwaka prawie że z siłą pierwszego wybuchu. Tylko „wyciąganie kiszek” było teraz o wiele subtelniejsze, głębsze, istotniejsze. Kawalkami (jak jakiś śluz czy ropne ciała) wydzielala się w tym roztworze i dusza. Nią to żyła, odżywiła się jak fosfatyną biedna „Persiczka” (jak ją nazywał kwatermistrz), aby w czas oznaczony oddać się całkowicie, raz (czy dziesięć razy, ale „pod rząd”), ale dobrze, w purpurowo-ochrowej mszy swemu bożkowi.

Tak trwało to wszystko przez czas dłuższy. Piekielny przekładaniec sprzecznych uczuć stworzony rzeczywistym przeżywaniem miłości dla Persy z księżną windował duszę Zypcia na coraz to wyższe kondygnacje poznania siebie i niedościgłej istoty życia, a z każdej nowo zdobytej wyżyny niższe piętra, niedawno ostateczne, szczytowe, zdawały się dziecinnymi poglądzikami, niewartymi nawet dziesięcioletniego oficerka. Bardzo by mu trudno było powiedzieć, na czym polegała wyższość tych ciągle nowych „wejrzeń” nad poprzednimi, tych „*Einsichtów*” tak mało podobnych do nieśmiertelnych husserlowskich, tych „intuicji”, w niczym nie przypominających błag Henryka Bergsona. Było to raczej uczuciowe dowiercanie się do niezgłębialności samego faktu istnienia, niż jakieś pojęciowe ujmowanie aktualnej rzeczywistości, która pozostawała płynna, gotująca się, drgająca, nieuchwytna. Wtedy to doszedł Genezyp do tego twierdzenia, że jedyną jasną, precyzyjną rzeczą na świecie jest cierpienie — jedyną pozytywną — wszystko inne to były tylko „wkłknięcia” — ból był czymś wypukłym. Dodać trzeba, że Zypcio nie czytał Schopenhauera. Nie ma nic banalniejszego jak pesymistyczny światopogląd — oczywiście chodzi tylko o to, jak głęboko metafizycznie sięga ten pesymizm. Wtedy to powstała u niego teoria „*pessimum*”, w przeciwstawieniu do pojęcia „*optimum*”. „Moje optimum jest właśnie moje „*pessimum*” — mawiał nieszczerze. Jakoś trzeba było przekręcać cierpienia na pozytywne wartości, bo same-przez-się zaczęły stawać się złowrogo-nudne. Czasem myślał Zypcio o samobójstwie, ale żył dalej z prostej ciekawości, co też dalej będzie, co też nieogarniony w swych pomysłach doczesnych tortur Bóg (bo wiadomo, że piekło jest tylko wieczną nudą) jeszcze dla niego wykoncypuje. („*Il a de la combine ce bougre-là*” — jak mawiał bezbożny Lebac). A przy tym nie można było się wyrzec nawet tak paskudnego życia, nie skosztowawszy przed śmiercią bodaj jednego łyku prawdziwego adiutantstwa Wodza. Wiedział nieszczęśnik, że teraz, gdyby nawet Persy ustąpiła jego żądzy, nic by się w istocie nie zmieniło. Była to miłość niedosiężna sama w sobie, a ona była uosobieniem niepoznawalności. Ale na myśl, żeby z tą właśnie panienczką, godną najwściekleszych młodzieńczych idealizacji, móc sobie na to pozwolić, co z tamtym pudłem, młody pegiekwak zamieniał się moralnie w zdysocjowaną od żaru mgłą gazów. Na razie jednak trzymano go dobrze na wędzidłach i hamulcach, preparowano na niesłychanego smaku pasztecik. Wskutek przestawienia normalnego (względnie) porządku w czasie: panienkowatej miłości z romansem z doświadczoną damą, nastąpiło to przekręcenie i niedopasowanie uczuć do obiektów, które później tak fatalne rezultaty wydać miało. Księżna zesłała do roli jakiegoś powiedzmy no... kubła, połączonego dziwnym sposobem z tresowaną małpą. Używana była w rachunku niecnego młodzieniaszka jedynie jako siła odciągająca na odcinku życiowego frontu z ulicy Retoryka. Nie wiedziała o tym biedaczka — tylko Zypcio stawał się dla niej coraz bardziej psychicznie tajemniczy i niepojęty. Rzecz dziwna: tak była jednak pewna siebie, że nie podejrzewała go o nic: był bestialsko namiętny i coraz wymyślniejszy w swoich wymaganiach. Rozkoszą była dla niej już nie tyle własna przyjemność, co zadawalnianie szatańskich fantazji młodego „paszy”, pławiącego się w coraz bardziej zabójczych wyrafinowaniach.

A jak się odbywało *tamto istotne*, jak funkcjonował ten alembik, przepuszczający psychofizyczny pokarm z tego byczka do szarej, ćmawej, czy ćmowatej duszyczki Persy i co było tego esencją, to trudno jest powiedzieć. On zapięty w mundur jak w pancerz, ona rozmamana, rozbeblana, rozfajtana w najnieprzyzwoitszy sposób, z tym jej specjalnym wdziękiem, którego nikt zimitować nie mógł. Widział (na przykład) jej lewą pierś z poziomkowym („*fraise vomie*”) pępuszkiem (tzw. brzydki brodawką — fuj), kawałek prawego biodra z leciutkimi sinawymi (*bleu-gendarmerie*) żyłkami, i różowe (*laque de garance rose de Blocxs*) paluszki lewej podgiętej nogi (miała sandaalki koloru cynamonu z mlekiem, na wzór tej damy z powieści Struga). Siedział nisko na pufie koloru *orange* Witkacy — (to była jej metoda to sadzanie nisko — czemu? — nie wiadomo, piekielna intuicja zepsucia tej dziewczynki) wypięty, a zgięty w kabłąk, zmieniony w jedną jakąś zbitą na sino masę płciowego cierpienia. Kochał ją przy tym idealnie jak szaleniec — dosłownie: były chwile, że dla niej mógłby zdradzić samego nawet Kocmołuchowicza, gdyby tego zechciała. Ale ona skromne miała wymagańka: trochę „pomęczkać”, „potorturkować” i „pomarzać o sobkie samkim” jak mówiła, rozkosznie pieszcząc się sama ze sobą, niby kocica „murłykająca” w ciepłe pieca. I mówili:

— Zypulka najdroższy: to są jedyne chwile, te z tobą, w których nie cierpię, ty moja morfinko najśladza. Tak mi dobrze jest, jak wiem, że jesteś taki mój, jak tak się przężysz cały do skoku, o którym wiesz, że nigdy nie nastąpi. Jesteś napięty jak łuk, z którego nigdy strzała w przestrzeń wolną nie wyleci. Chcesz wiedzieć, co jest w tamtym pokoju? Chodź. — Wzięła go za rękę (ha! ten najwyższy gatunek skóry, na który nie ma rady, chyba rżnąć nożem, maczanym w witriolu), zawijając się drugą niezrównanie wabiącym ruchem w *dziwny* (czemu? bo jej) biały zatulnik. Wstał zdrętwiały od męki. Wyjęła klucz z jakiejś chińskiej szkatułki i otworzyła drzwi na lewo od łóżka. Sąsiedni pokój był prawie pusty. Genezyp oczami zgłodniałego sępa rozglądał się po tym miejscu, które tyle go kosztowało niezdrówiej ciekawości. Czemu właśnie dziś? Stało tam oficerskie polowe łóżko, dwa krzesła, na nich książki (jakieś lotnicze konstrukcje Mokrzyckiego, mechanika Love’a, *Evolution créatrice* Bergsona i pierwszy tom skonfiskowanej przed siedemdziesięciu laty powieści zgrzybiałego Kaden-Bandrowskiego: *Cham czy automat* — a, jeszcze na łóżku leżała logika Sigwarta i *Corydon* Gide’a. — Dziwny melanż.) i okropny metalowy tzw. tutaj „nakaślik”, na którym leżała pęknięta ikona z Bożą Matierą Poczajowską. Umywalni nie było — trudno. Czuć było tylko dym papierosowy i coś nieuchwytnie, plugawie męskiego. Zypcio zadrżał. Ona mówiła, drażniąc go do potworności przeciąganiem głosu i pewnymi dobrze odmierzonymi pauzami w odpowiednio dobranych miejscach, wywołując skurcze brwi, powiek i ust i przepływanie buro-krwawego cienia przez umęczony pysk. Każdy objaw taki łykała jak głodny pies kawał mięsa. Znane i piekielnie nudne metody. Trzeba być tylko wstrętnym, młodym durniem, żeby się dać na to nabierać. Czemu ten bałwan nie zaczął żyć normalnie, nie zerwał z tymi obiema babami, nie puścił się po prostu z jakimiś łatwymi, ładnymi, pospolitymi panienkami? No czemu? A — rzucąj groch o ścianę — nie ma co gadać. Więc mówiło to ścierwiątko tak:

— To nic, nie bój się. Tu czasami nocuje jeden... mój stary wuj — (dobrze i tak, że nie powiedziała: „jeden mój znajomy” (?)) — Kiedy pije i nie śmie wrócić do domu. To polowe łóżko po moim... bracie. Poszedł jako ochotnik do niemieckiej armii w czasie tej przekłętej krucjaty i zginął — wbili go na pal jak Azję Tuchajbeja. Nasza matka jest Niemka: baronówna von Trendelendelendelendelenburg. Takie dziwne nazwisko, ale bardzo stare. Po niej mam to spokojne usposobienie, które cię tak drażni. — (przez ż naumyślnie) — Ja nie przeczę, ja lubię cię drażnić, tak strasznie, tak bez litości, żebyś swoich nie poznawał, jak wracasz do domu. — (Łysnęła mu przed zamorusaną płciowym brudem twarzą swymi cudnymi fioletowymi gwiazdami i w jego oczach powlokła je mgłą szaleństwa, która pachniała tamtym...) — Wtedy jesteś mój, kiedy o niczym nie myślisz, tylko o tym biedny potworku, którego mam między nogami. — Drgnął, jakby się chciał rzucić, ale wstrzymała go jednym dotknięciem okrutnego palca w pierś. — Nie — dziś chcę, żebyś trochę odpoczął przed nową głębszą męczarnią. Nie będę więcej. Przysięgam — dodała ze strachem, widząc błysk prawdziwego bzika w jego krwawych ślepiach. Ochłonął, ale zapadł się znowu o kilka piętér niżej w smrodliwą przepaść bólu. Świat zakolęsał się dookoła i mało nie pękł, ale wytrzymał jeszcze trochę.

Czy wiedziała, co robi? Do jakiego stopnia męczy tego chłystka, tego duchowego oberwańca, który na niczym się już oprzeć nie mógł. Zapytana, sama nie umiałaby odpowiedzieć: nie zdawała sobie z tego sprawy. Mogła żyć naprawdę jedynie na wyciągniętej do ostateczności, o włos od pęknięcia, strunie czyjśgo pożądania. Robiła biedactwo wszystko, aby sobie jako tako umożliwić egzystencję — tylko tyle. Nie sądźmy jej zbyt surowo — wina jest zawsze po stronie mężczyzny.

„Ach, wiedzieć o niej wszystko, wszystko, wszystko...! Wedrzeć się do tej wspaniałej, małej, kształtnej blond-główki, rozerwać komórki tego dziwnego (ach, — jakże w istocie pospolitego!) mózdzku, rozdrapać wszystko, wylizać, wywachać, wchłonać”. Ale Persy skąpa była w wyjaśnieniach. Nawet gdyby dać je chciała, nie miała na nie odpowiednio zróżniczkowanych pojęć. Mogła to *przedstawić jako takie* w tym wstrętym lupanarze Kwintofrona, ale mówić o tym — ani rusz. Udawały się jej tylko te sadystyczne gędzienia — to umieć robić *musiała* — aby żyć. — Ale to nie usta jej mówiły, tylko szeptały swym obmierzłym specjalnym „narzeczem” jej, tak zwane naukowo i obrzydliwie: „wargi sromne”. Genezyp czuł dotąd taką prawdę we wszystkim, mimo jej tych gadań o wszechkłamstwie, nadfalszu i hyperbladze. Czemu ona go nabiera teraz z tym całym pokojem i jego tajemnicą?! Tak wierzył jej dotychczas bezgranicznie! Każde słowo jej — samo słowo bez odpowiednika — było rzeczywistością stokroć głębszą od istnienia jakiegokolwiek realnego przedmiotu, a ona naumyślnie chce w nim wzbudzić podejrzenia! Po co? Na Boga, po co?! O, kretynie...!

Nagle, szybko, a nawet pośpiesznie wyprowadziła go stąd za rękę i zmusiła do wysłuchania jakiegoś nowego teatralnego „kawalka” Tengiera. Grała na fortepianie bardzo nierytmicznie, spazmatycznie, uczuciowo, w ogóle podle. Muzyki używała jedynie jako środka potęgującego dookólną płciową atmosferę. Czy ten hałas potrzebny jej był dla zamaskowania czyjśgo wejścia do tamtego pokoju? Jeszcze nigdy przy nim nie grała. Okropna niepewność szarpnęła nim — ale na krótko. Niech lepiej trwa ta męka nieokreślona, niż żeby miało zajść coś, co mogłoby ich rozdzielić.

Był gorący, duszny, mokry wieczór czerwcowy. Deszcz nie padał, ale ciepła woda wisiała kublami całymi w czarnej przestrzeni, parnej jak w łaźni. Ćmy i komary „hasały” w powietrzu całymi tabunami, rozbijając się o szkła elektrycznych lamp. Turkot i nieustający brzęk dopełniały miary nieprzyjemnego już i tak nastroju. Wszystko zdawało się opadać jak pończochy bez podwiązek, wszystko się lepilo i swędziało, wszystko wszystkiemu przeszkadzało. Na tym tle dzika burdeleska Tengiera w spazmatycznym wykonaniu panny Persy była już czymś nie-do-zniesienia. Szczęście, że się już skończyła. Jedynym wyjściem było skazać się na dobrowolną nudę: krystaliczny, bezbarwny gmach wznosić czort wie jak długo na gorącym, zatrutym bagnie. Otwarte na czarność nocy okno i zapach czerwca, ten sam, który w dzieciństwie był symbolem czegoś szczytowego w niewiadomej przyszłości. Więc tak miało się skończyć to życie? Więc to miała być ta ostatnia, największa „rzecz”? Nie — za tym cuchnącym moczarem poświęcenia siebie dla zadowolenia niezdrowych fantazji jakiejś klempki wyrósł nagle szkicowy obraz politycznej sytuacji wszechświatowej, tej naszej pigułki-ziemi. „Boże, jeśli tam gdzie indziej takiego samego nawarzyłeś mętu, to czy w ogóle istnieć warto” — rzekł w nim jeden sobowtór do drugiego. — „Ale czemu ja mam za to cierpieć, za Twoje nieudane plany?”. Dostyc — to było nieszczerze: nic go nie obchodził żaden „Pambóg” dzieciństwa — nigdy w Niego nie wierzył. A jednak w takich chwilach właśnie wołałby mieć kogoś życzliwego z zaświatów pod ręką... Zastępował mu go Kocmołuchowicz. Ale znowu nadchodziły chwilami takie chwile, że i to nie wystarczało. I wtedy przypominał sobie rozmowy w pustelni kniazia Bazylego i brał go strach: czy czasem z powodu spotkania tych trzech panów w nieodpowiedniej chwili nie rozminął się z jakimś najistotniejszym swoim przeznaczeniem, z prawdą dziką i samotną, którą należało upolować jak zwierzę w puszczy, zdobyć jak trudny łup, kobietę może... Oto jest tu gwiazda jego przeznaczeń, o krok od niego z całym tym piekielnym międzykroczem, a on osłepiony jakimś cudzołożnym (w znaczeniu, którego sam nie rozumiał) bałwochwalstwem, bezsilny i drżący przed tajemnicą (czyją? — tylko swojego bytu — w tym mieściły się wszystkie inne) nie śmiał wykonać jednego małego, głupiego ruchu (tyle razy powtarzanego tam: w *palazzo* Ticonderoga i na przedmieściu Jady) tego ruchu, który mógł mu dać w posiadanie nie

tylko ten łup, ale i samego siebie. Może o to właśnie chodzi? Może ta beznadziejność jest pozorna, może ona właśnie tego gwałtu potrzebuje. Otóż właśnie zrobi to na przekór wszystkiemu. I rzucił się na nią nagle: zwierzę metafizyczne, zaświatowe bydlę — juszyła go, juszyła, aż wreszcie rozjuszyła. Ta chwilka *trwała* — to było najdziwniejsze: chwilka-symbol przeznaczenia jego i tych wielu w nim: czarnego gościa i zabitego chłopczyka i plugawych (czemu?) spermatozoidów, z których każdy chciał być jego synem, zrodzonym z tego a nie innego babska. Bo gdyby był już kimś! — ale działo się to w tym wieku, w którym staje się właśnie tym, a nie innym, w wieku niebezpiecznym mężczyzny. *Ta* głupia czerwcową chwilka w tych pokojach tej strasznej kobiety (precz z tymi pseudo-problemami itd.) była właśnie przełączną jego życia, na której zdobyć mógł sam siebie, albo też utracić na zawsze. Być zwycięzcą lub niewolnikiem tchórzostwa wobec kłęski. Wielkość nie jest tylko w zwycięstwie samym, jest tak samo w wewnętrznie odwróconej na zwycięstwo kłęsce — tylko ta kłęska, którą na zwycięstwo odwrócić trzeba, musi być kłęską wielką. A więc „do dzieła” — za kark, za włosy ją, tę cierpiącą świętą, tę metafizyczną włań i drań — *datoj!* O tak, o tak!! O... I *coż* zobaczył. Bo zamiast dokonać do końca, patrzył wielkimi oczami (w samo dno swej istoty też) na tego niepojętego stworza przed nim. Znowu tajemnica cudzej jaźni zamagnała się ku niemu z nieskończonej dali i zamiast uderzenia maczugą dostał w pysk miękką kupą bawełny. Pod nim, gdzieś na piętnastej kondygnacji wniź, wiła się wstrętne pokraka, a nie żaden łup. Nie było co zdobywać. Przebił się na wylot przez zupełną pustkę. *Ona nie miała dla niego ciała*. Pijane bólem i skrytą rozkoszą („nareszcie pękł, nie wytrzymał, *nie mógł wytrzymać*” — powtarzała w sobie szeptem i przyszedł ten dreszczyk specjalny, którego nie mógł jej dać Kocmołuchowicz — ten też nie wytrzymał, ale inaczej pękał — z nią razem, a ten sam, *sam!* — o cudzie!) oczy Persy wywróciły się dnem do góry w ekstazie najwyższej (była tak niesamowicie piękna w tej chwili, że aż zanadto, że aż nie można było więcej — żaden gwałt, ani nawet lustmord nie dałby rady teraz tej piękności) a w niego piorun od środka trzasł (regularny schizofreniczny szub = uskok) i spopielił się cały ten Zypcio w jednym wybuchu litości, graniczącej z unicestwieniem. I za chwilę leżał u jej bosych nóg i całował brzeg sandałka z lubieżną tkliwością, nie śmiejąc dotknąć ustami prześlicznych palców — całował jak kiedyś matkę w głowę, albo księżnę Irinę w „czółko”, w chwilach „upadłości” matkowato-synkowatych. Zwyciężyła raz jeszcze.

Znowu powlokły się dni pełne koszmaru, pochmurne, parne, parszywe czerwcowe dnie, stworzone do małych zdarzeń małych ludzi. A wielkości czerpać nie było skąd — (i donikąd się zwrócić, o dopokąd, dopokąd...). Przyjęty był stały rytuał: on leżał koło niej na dywanie, spalany żarem bezimiennej, już nie płciowej żądzy, a ona szeptała mu w ucho słowa, zdolne wałacha zmienić w parowego ogiera, wołu w nieskończoną ilość bezosobowych byków (samą ideę bykowatości), skogucić całe stada kapłonów, ujaić dowolnego eunucha, choćby Wielkiego Bazylego, ministra cesarzowej Teofanu. A on chował ten nabój lubieży dla tamtej flondry starej, pijąc u samego źródła, a nie z dalekich, zabrudzonych życiem rzek, nieznośną mękę zatrutej miłości. Bo kochał ją teraz zupełnie po prostu na serio i cierpiał z nią razem jej fałszywym, przewrotnym cierpieniem. Aż wreszcie trzasł, rozdarł się i leżał przed nią jak bydlę za życia patroszone w jakiejś potwornej fabryce konserw męczarni, jak owad zdeptany na letniej, pyłnej drodze [właśnie był taki ohydnie czerwcowo-prawie-lipcowy dzień, pełen obietnic i żarów, i marzenia o innym (byłe nie tym, byłe nie tym) życiu]. O, życie, kiedyż zaczniesz się wreszcie! Modlił się o śmierć do bezimiennych potęg w sobie, ale daleka była jeszcze do niej droga.

A dziś właśnie ona jechać miała do stolicy, wiadomo nam grzesznym, którzy wszystko wiemy, w jakich sprośnych celach. (Kocmołuchowicz, przeciążony nadludzką pracą, tuż przed wybuchem decydujących wypadków, gwałtownie domagał się detanty. Szyfrowane depesze już od dwóch dni szły od Huśtańskiego (Kuźmy) aż tu i odczytywane były przez kogoś w sąsiednim pokoju (tam gdzie nocował pijany wuj, cha, cha!), a potem Persy dziwne miała z kimś rozmówki, które napelniały słodkim żarem jej przepiękne uda i wywoływały rozkoszne dreszcze w okolicach kości ogonowej. Jej skrzydlaty byk czekał napięty jak stalowa lina, gotów na wszystko. W czarnej nocy widziała przed sobą jego smoliste gały, zawrócone żarem upadającej żądzy i usta drgające od niewysłowionej mękojebni, tuż, tuż przed samą chwilą nasycenia, straszną chwilą posiadania mężczyzny przez kobietę, jego unicestwienia za życia). Ona wyjeżdżała, a on, Zypcio, który najniesłuszniej

w świecie uważał siebie za główną figurę tej bezecnej tragedii, zostawał w tej przeklętej dziurze K., w dyscyplinie szkoły i dyscyplinie strasliwego nałogu czystej rozkoszy płciowej z tamtą. Ale znowu gdyby tej Iriny Wsiewołodowny nie było wcale, „taż to, panie, byłby po prostu skandal” — — gdyby nie ta kłapa bezpieczeństwa — ten powiedzmy otwarcie kubeł na spermę — to co by było? Może by dawno już dokonał tych swoich niespełnionych zbrodni i odpadł od Wielkich Cyc Istnienia syt życia po wieki wieków. A tak musiał trwać i trwał sam w męce, ohydny i przeklęty. I to on, ten młody Zypcio, „dziecko szczęścia”, dla szczęścia chowany i pielęgnowany, jak rzadka roślina jakaś, to „Luxusthierchen”, jak go nazywała ciotka, księżna Blińska-Gloupescu. A ona, na wyjeździe (we wspaniałej walizce od Pictona zapakowana była złota miseczka i dyscyplina z ołowianymi gałeczkami), lekkimi pół-słówkami i muśnięciami, stwarzała w nim stany obce mu i straszliwe w ich zahamowanej zbrodnicości. Chciał mordować jak nigdy — tylko nie wiedział kogo. Dobroć i poświęcenie, odwrócone, wypatroszone na wywrót („*Transformationsgleichungen von Gut und Böse mit dem unendlichen Genitalkoeffizient des Fräulein v. Zwierzontkowskaja*”) przybierały powoli postać mglistej, niewiarogodnie bezsensownej zbrodni: „*quite a disinterested murder*”. Knuł się spisek w nim samym, przeciwko niemu samemu. Przewodniczył ten ciemny gość z piwnic duszy, poczęty z samego zła, bezosobowego, obojętnego, nieprawdopodobnie plugawego.

Aż wreszcie któreś (trzeciej czy czwartej — to obojętne) nocy po powrocie Persy ze stolicy (niemożliwie święta była i po prostu roztkliwiona), nagle wszystko się Zypciowi przewróciło we łbie, jakby mu ktoś ten nieszczęsny łeb potrząsnął z całej siły i zakręcił w wirze o szybkości co najmniej cząsteczek α . Pozamieniały się komórki w mózgu jedne za drugie i kasza powstała niesłychana. Trzymał, trzymał, trzymał siebie, aż nie wytrzymał i pękł wreszcie z okropnym, bezgłośnym wewnętrznym hałasem. Rozpadła się jaźń w kupę nietrzymających się ze sobą, luźnie bełtających się stanów czegoś niewiadomego. Były to „akty intencjonalne”, wiszące w próżni, bezosobowo, jak w koncepcji pewnych fenomenologów. Okropny ból zawiedzionego życia i niewypełnienia tego, co właśnie zdawało się wypełnionym być *musiało*, był jedynym medium, sklejącym zdysocjowane elementy ducha.

Po zwykłym dniu szkolnym [już do promocji i podobno do przyśpieszonego buntu (ale przeciw komu) Syndykatu Zbawienia zostawał tylko tydzień] Zypek, pozornie chłodny i psychicznie zapięty i wyświeżony — to najgorsze właśnie — a wewnętrznie przedstawiający potworne zwalisko i rumowisko pełne niewybuchniętych jeszcze bomb, min i kamufletów, w chronicznej o zwolnionym tempie erupcji nieludzkiej i już prawie nie bydlęcej żądzy życia, szedł na ulicę Św. Retoryka do Persy. Szedł jak żywy pocisk — powinna była być na nim wyrysowana trupia czaszka, czerwone zygzakowate strzałki i wypisane odpowiednie napisy. Bechmetiew, gdyby tylko na niego był spojrzął, mógłby był opisać przebieg zdarzeń z błędem nieomal astronomicznym. Ona, ta słodka i smutna dziewczeczka, wcale nie lubiła śmierci, tylko lubiła się o nią „ocierać”. A gadali całkiem co innego (najbardziej wtajemniczeni oczywiście), że właśnie ona czeka śmierci z rąk rozwścieżonego Kocmołuchowicza, nie mając odwagi na samobójstwo, że czyha na moment zupełnego nieopanowania kwatermistrza (były istotnie chwilkę niebezpieczne), aby „rozwiąć się w nicłość”, „połączyć się z pępkiem bytu”, „przejechać się w krainę prawdziwego zaprzeczenia istocie istnienia” — cytowano takie głupie zdańka, szeptem za szafami, w kłozetach i komórkach, po opuszczonych po-reformackich spichrzach i świronkach. To ocieranie się o śmierć dodawało piekielnego uroku różnym chwilkom płciowych... niedociągnięć — tak. Łowienie chwilek tych było specjalnością Persy, a główną wędką teraz Zypcio, a dodatkową siatką naokoło, podglądający i podsłuchujący ich prawie stale z drugiego pokoju (specjalne tuby akustyczne i peryskopy) pułkownik Michał Wębobek, grubas, siłacz, brodac, w ogóle partacz i notoryczny homoseksualista, ale zaufany urzędnik do najbardziej zawyłych poruczeń natury prywatnej (gdy jakaś tam np. hrabina bardzo chciała, albo jakaś tam dziewczynka bardzo się bała itp.) generała-kwatermistrza. Zasada: wolno było wszystko — nawet najgorsze tortury gości były dozwolone. [Relacje Wyborka z tych posiedzeń specjalnie podniecały Wodza i dawały mu możliwość niesłychanego nagromadzenia sił wybuchowych niesłychanego napięcia. Czasem w razie kilkodniowej zwłoki od oznaczonego terminu: teatr lub spóźnienia natury fizjologicznej (jak teraz), siły

te dochodziły do szaleńczych rozmiarów: otoczenie nieraz obawiało się regularnego ataku szału. Ale ostatecznie Persy umiała zawsze szal ten skanalizować i skanaliować w sposób nieszkodliwy, a dla spraw społecznych twórczy]. — Wolno było wszystko, ale bez najmniejszych nawet dotyków. A to właśnie było jej specjalnością, to najbardziej nasycalo jej poczucie rzeczywistości. Mówił Zypcio sykiem genitalnym a życie dookoła, w postaci piętrzących się czarnych widm, pochylało się nad nim coraz bliżej, zakrywało go, otulało. Ginął jak mały robaczek pożerany przez niewiadomego, niewidzialnego potwora. Persy słuchała go, rozwalona bezczelnie w najbezwstydniejszy sposób (ubrana *zresztą* w czarny kostium, taki, wie pani, obcisły, trochę męskawy, z takimi pętelkami, wkładkami, mereżkami w gipiurkach i dżetach i jasnołososiową bluzkę krepdeszynową, podrabianą żorzetkami plisowanymi w walensjenki pikowane i obszyte bardzo starannie), ukazując bez żadnego „ścieńnienia” (jak mówiła) tylko co „zbeszczeszczone” przez kochanka tamte miejsca, zmęczone i obolałe. Mówił: (nie on tylko to, a raczej przez to mówił gość ze dna):

— Musisz dziś. — (śmiała się rozkosznie) — Albo, albo — a jeśli nie, to śmierć. — (Nie zdjął nawet palta i rękawiczek. Gorąco było nieznośne, pochmurno-lipcowe). — Ja mam dosyć, ja nie wiem, kim jestem — ja ciebie już nie chcę, nie wiem, kim ty jesteś — wszystko mi się przekreśliło na drugą stronę — nie wiem, czego chcę, ale coś musi się stać, bo inaczej pęknę — ja nie-wy-trzy-mam. — Twarz jego zrobiła się straszna: jakieś nieludzkie uduchowanie połączone z takiej marki zahamowanym bydlęcstwem i jeszcze coś — coś, z czego Persy nie mogła zdać sobie sprawy, coś, co widziała po raz pierwszy. Oblediał ją straszek, ale jeszcze stosunkowo dość miły, a jednocześnie piekielna ciekawość, co też będzie dalej, oblepiła jej ciało: czuła dreszcz tej ciekawości w udach, a nawet w łydkach. Chwila była dobra, ale czy troszeczkę nie przeciągnięta? Dalej, dalej... Ten mówił: wymiotował słowa z trudem, kawałami, niestrawione, okropne. Właściwie słowa były zwykłe, bo cóż, poza poezją, słowami niezwykłego wyrazić można — ale ton, ton i „dykcja”, i to gardłowe duszenie się: zdawało się że wszystkie bebechy podchodzą mu pod samo gardło jak kłęb robaków, że za chwilę wyrzynie całego siebie na perski dywanik („persicki kawioerek” jak mówiła Persy) i zostanie z niego (Zypcia) tylko cienka skórka, wywrócona jak pończocha. — Ty musisz, albo ja... Nie... Trzymajcie mnie Wszyscy Święci, bo za chwilę nie wiem, co zrobię. Nie wiem — to jest najgorsze. Ja cię nie potrafię nawet zgwałcić, bo cię kocham. — A co było najstraszniejsze, to zupełny bezwład płciowy: złowroga cisza przed wybuchem orkanu. Zdawało mu się, że nie ma i nigdy nie miał genitalii. To się odbywało w tych hypergenitalnych sferach płciowości: coś najgorszego, co może być, *coś nieoduracalnego*, jak trzeciorzędne zmiany kilowe. — Musisz, musisz, ale nie wiem, co musisz! — krzyknął prawie i przebił jej oczy na wyłot spojrzeniem morderczym, zbrodniczym — w spojrzeniu tym wystrzelił ostatni nabój świadomości — za tym czał się tylko jakiś nieznan, rozpętany, bezimienny żywioł, a tuż obok ohydna, pospolita, głupia jak but śmierć: imię tego po polsku „*lustmord*”, ale nie jakiegoś tam idioty pod krzaczkiem, dokonany na babie, wracającej, czy idącej na jarmark (medycyna sądowa Wachholca: pejzaż letni z białym krzyżykiem pod krzaczkiem właśnie, obok fotografia jakiegoś matola, a dalej zdjęcie potwornie zmasakrowanego trupa jej, tej biednej baby: jakieś serki zmieszane z mózgiem, wątroba owinięta w podartą spódnice, posiniaczone nogi, posypane suszonymi grzybkami — „wizja lokalna” — coś piekielnego! Wieczór zapada za lasami, a w gliniankach kumkają żaby). (Taki obraz przemknął przez wyobraźnię Persy i nagle przestraszyła się: tak naprawdę po ludzku, bez żadnej już perwersji) o nie — to był (w jego oczach) potencjalny *lustmord* tak wyrafinowany, że aż niepojęty. Najdziksza fantazja nie mogłaby odtworzyć sposobu i warunków, w jakich mógłby się odbyć — o tym mógł wiedzieć tylko gość ze dna. Ale on stracił połączenie z istotą Zypcia — stawał sam do walki z tajemną grozą istnienia, na własną odpowiedzialność.

— Siadaj, Zypulka — pomów ze mną — — ja ci wszystko wyjaśnię. Uspokoję — wytłumaczę. Na co ci to? Zapomnij o tym, nie myśl — — Siedziała już w zupełnie przyzwoitej pozie, tylko ząbki jej szczękały cienko, prędko, niespokojnie, jakby jakie obce, niezależne od niej gryzoniowate stworzonka. — No — Zypulka. Biedny chłopczyk, kochany. Nie patrz tak na mnie. — Straciła nagle siły i zakryła twarz rękami. Nie było już

w tym żadnej przyjemności. Przesoliła. Stał wypięły, stężały. Wszystko cofnęło się w głąb i tam, w podświadomych jaskiniach odbywała się cała awantura, której wynik miał się okazać za chwilę. Twarz miał spokojną, tylko bezmiernie zmęczoną i ogłupiałą. Czasem przelatywał dreszcz przez wszystkie mięśnie tej biednej mordy i drgała, jak mięśnie bydlęcia odartego prawie że żywcem ze skóry w jakiejś maszynowej jatce fabryki konserw. Przez czarną czeluść otwartego okna dolatywał mokry zapach świeżo skoszonych łąk. (W tej dziurze K. wszystko było blisko, co chwila utykało się nosem w przedmieściach, a właśnie ulica Retoryka była na samej „opuszce” miasta, jak mówiła Persy). Gdzieś daleko szczekał pies i na tle tego szczekania, tu blisko, bzykała raz po raz mucha — na jednej nodze w pajęczynie uwięziona — — ja wiem. (Tajemnica jednoczesności dalekich zdarzeń — jedynie teoria Whiteheada zdaje z tego sprawę, w przybliżeniu, granicznie). Zamarła cisza promieniała dyszącym oczekiwaniem. Genezyp był zupełnie bezwładny (w znaczeniu erotycznym), ale mięśnie ściągnięte miał w jeden węzeł nieznośnego bólu, rozsadzającego wszystko „na potęgę”, bezlitośnie. A tam, w tych miększych głębiach ciała nie ruszało się nic. Persy odkryła oczy i ławo spojrzała na swój preparat. Uśmiech rozjaśnił jej piękną twarzyczkę — pewna już była przewagi. Ale czegoś było żal — taka dziwna chwila uciekła bezpowrotnie. Żałowała niebezpieczeństw tylko co niewyraźnych antycypowanych, a tak uroczych, bezkresnych obszarów niedokonanych zbrodni, całego uroku życia, który tak czuła biedactwo przed chwilą, tak czuła — a tu nic. Nuda. Smutek. I tylko tyle...?

Zypcio na próżno trudził się, starając się wywołać w wyobraźni obraz kwatermistrza — ten stale dotąd działający symbol siły woli i wszelakich przewyciężeń — na próżno! Pęczniało coś obcego, strasznego, w psychicznych zwojach, niezależnych jakby od ciała. Jeszcze kontakty nie były pozakładane (pracował nad tym w podziemiach „tamten” — ciemny robociarz-elektropsychotechnik), ale strzałki zegara latały niespokojnie poza liniami niebezpieczeństw. Maszyna szła wolna jak szalona — trzeba ją było włączyć. Już się robi. Samotne, bezduszne mięśnie, zdysocjowane ruchowo, niezorganizowane, czekały tylko rozkazu jak żagle przed podniesieniem, jak żołnierze zamarli na „bacność”, spuchnięte z żądz czynu, przepojone krwią, zdrową, bydlęcą, gdy dusza była tak bardzo chora, czekały tylko rozkazu wyższych centrów, opanowanych przez posępnego pracownika głębin — *przymotnego wariata*. On sam w sobie był przecie przytomny (*jako taki*). Tylko w połączeniu z tym Bykozypkiem (kochankiem księżnej, przyszłym adiutantem, tu w zagwazdranym mieście K., na ulicy Retoryka) *dawał* dopiero wariata. Był wariatem kierując tamtym — sam był po prostu *innym* człowiekiem, logicznym w swoich pomyślach a nawet mądrym. Ale dwie jaźnie nie mogą żyć w jednym ciele — zdarza się to wyjątkowo i to na bardzo krótko, ale ogólnego równania na to nie ma. Dlatego nazywa się to (słusznie) obłądem. I ta biedna dzierlatka mówiła do tej zdeformowanej do-nie-poznania psychologicznej kupy czegoś (w normalnych wymiarach ludzkich nie dającej się jako to i to rozpoznać) złudzona tej kupy ogłupiała miną. (Najwięksi myśliciele, wbrew przesądom tłumy, mają *w samej chwili wynajdywania czegoś* (w chwili przeskakiwania szeregów logicznych = racjonalnie zdefiniowana intuicja) właśnie najgłupsze miny — chyba że pozują jeszcze dodatkowo przed jakąś widownią). A mówiła tak, z przyzwyczajenia kokietując go (mówiąc delikatnie) dalej bez miłosierdzia:

— Ja wiem. Ty już nie możesz. A jednak musisz, *musisz*. W tym jest wszystko: cała niewysłowiona tajemnica i piękno naszej miłości. Niespełniony sen, piękny jak nic na ziemi. Czyż jest coś wznioślejszego...? — Głos jej załamał się i ugrzął w gąszczu łez. Coś było w tym tak piekielnie zmysłowego, nieskończenie ciągnącego się, wlokącego na dno, okrutnego i świadomie złego, że Zypcio zagotował się od nagłej, piorunującej żądz, jak garnek pełen ścierek. Był niczym, jednym tym i koniec. Nie miał nic do stracenia. Był pusty jak skorupka od raka, wypatroszony, wyjedzony, wyspany — *ausgepumpt und ausgezuzelt*. Żył tylko tym wyciągnięciem wszystkiego w nieskończoną dal pustki, żalu i złowrogiej nudy. Mięśnie sprężyły się i „poszedł zew” po bebeczach do wszystkich rezerw płciowej siły. Ogień rozlał się jak gęsta, oleista ciecz po żyłach — ale szybko, pod szalonym ciśnieniem. Stało się. Wyszedł z niego głos ekskrementalny, zatwardzeniowy, paskudny, głos nie jego: przemówił jeszcze dusząc się ten ze dna. Nie umiał mówić — to był przecie jego pierwszy prawdziwy występ.

— Nie — dosyć tych bezecnych gadań. Ja nie pozwolę. Tu uduszę cię jak wiewiórkę — (czemu to właśnie zwierzątko przyszło mu na myśl, mimo że nigdy jak żył wiewiórki nie dusił?). — Ona zaśmiała się. Był śmieszny — panowała nad nim niepodzielnie. Ale mimo śmieszności czuła całą grozę napięcia jego „*biezumnych żelanji*” — tak to nazywała. Była w nim, w samym centrum jego płciowego ośrodka, wewnątrz jego opuchłych gruczołów, kierowała tą całą szajką wewnętrznych jego bydlątek jak chciała, a przez to nim samym także, ale nie tak zupełnie. „O zupełności, kiedyż cię doścignę!” Nagle tajemna kraina rozkoszy najwyższej otwarła się w niej na nowo, stokroć piękniejsza niż kiedykolwiek bądź. Jeszcze nigdy *tak* nie było. Czymże wobec tego jest cała muzyka Tengiera: przedsmakiem metafizycznej rzeczywistości. A tu sama metafizyka wpleciona w koło najcudowniejszych tortur drugiego człowieka i to samca, i to tortur bez bólu: miękkich, łaskotliwych... Ach, jakże dokładnie wiedziała teraz wszystko, wszystko to i wszystko inne. Rozpromienił się i wyrósł w nieskończoność cały świat. Nareszcie przyszła ta ekstaza najdziwniejsza. Czymże była wobec tego nawet kokaina Kwintofrona. (Częstował ją przecie także jak wszystkich, ale jej nie wciągnął). Czymże wreszcie, w porównaniu z tym, były teorie międzynarodowego „wizytatora dziwnych teatrów”, Ganglioniego, który twierdził, opierając się na teoriach Chwistka, że tylko to jest, czego nie ma, i w co się wierzyło, gdy się go uważnie słuchało. Ale wiedziała, że odmówić musi, *mu-si*, bo inaczej ten za ścianą zobaczy to, czego nie powinien, a tamtego byka na tę wiadomość szlag gdzieś trafi w środku jakiejś niezmiernie ważnej konferencji, a ona w ogóle (tak: *w ogóle*) zginie jakąś fatalną — plugawą śmiercią — może będą tortury... te prawdziwe... brrr... A zresztą gdyby nawet teraz poddała się temu „cudnemu” chłopczykowi (czego nawet chwilami pragnęła, nawet po *tamtym z tamtym*...) to momentalnie straciłby on właśnie dla niej całą wartość. Widziała już przed sobą to przyszłe morze nudy beznadziejnej, w którą zawsze wtrącało ją zaspokojenie normalnych pragnień. (Bo próbowała w szalllonej tajemnicy — ale to się nie liczyło). A tu śmierć błyskała w orzechowych oczach valentinowatego niedooficerka, już krzywiła w ponurym szale te kochane, nigdy nie całowane śliczne, młodziutkie usta.

Uwaga: Księżna jako antydot przestała działać na Genezypa zupełnie.

— Poczekaj. Zaraz przyjdę — szepnęła z doskonale udanym poddaniem się i obietnicą czegoś takiego, że Zypulka zmienił się po prostu w jeden buro-krwawy, twardy, śmierzdzący płomień, o temperaturze płonącego helium. Zatrząśł się, spojrzął na nią psim, a jednocześnie miażdżącym wzrokiem i zaczął się przez tę sekundę prawie na śmierć. Z zaciśniętymi pięściami w białych rękawiczkach stał jak zwierzę gotowe do skoku, w prawie katatonicznym zastygnięciu, zankylozowany przez rozpierające go pragnienie.

Wyszła tym swoim najbardziej lubieżnym krokiem, chwiejąc półkulami derieru jak arabska tancerka, uśmiechnąwszy się przedtem programowo, długo, przeciągle, mokrymi, poziomkowymi ustami. I to o ten fłaczek mięsa szło to wszystko! Czyż to nie potworne po prostu!

Nieodwołalne piętrzyło się gdzieś tuż obok, wzdymało i pęczniało — może w przyległym pokoju tego nieboszczyka-brata, o ile taki w ogóle istniał — cha, cha! Jakaś odrętwiająca fala przeczcucia czegoś straszego, jakiejś niewiarogodnej klęski uderzyła go w plecy. Ona mu się nie odda — oszukała go! Wściekłość rzuciła się w nim jak pies na łańcuchu i zaraz opadła. To jeszcze była jego wściekłość *normalna*, ale za chwilę...? (Czas ciągnął się, jak gdyby był z gutaperki). Zypcio nagle odwrócił się, mimo że nie dobiegł go żaden najlżejszy nawet szmer z tej strony i stał dalej, wpatrzony w olbrzymią fotografię Persy w roli „Mątwy”, zrobioną przez Tadeusza Langiera (wnuka), wiszącą na prawo od wejścia do tamtego pokoju. Jednak kochał ją, tę dręczycielkę metafizyczną — na to nie było rady. I taka miłość, połączona z taką diabelską żądzą (czegóż więcej trzeba, u samego Belzebuba!?) idzie na marne! Poczucie tego „pecha” (znowu nie ma polskiego słowa — wgniot, klapzder, niechód, wyspnęk, wygwizd, nieud, chlust, gwajdlak, kierdas, rypcio, gwajdluk, potknianka, wyspnianka, spelzek(zka), wyślizg, niedochwyty, przedznak, lośnik, fatalik, spędk, zwiej(ka), chlupniak, zwichniak, chwist, zgnojek — dosyć — wszystko brzmi jak ze złodziejskiego słownika wyjęte — co u diabła? Czyż u nas nie można mieć dystygowanego pecha?) wgniotło go znowu w gęstą, lepłą, błotnistą, maziowatą rozpacz. Już nigdy z niej nie wybrnie...!

Wtem trzask otwieranych drzwi i w ich obramieniu stanął nagle drab: brodaty blondyn może pięćdziesięcioletni, z barami jak u niedźwiedzia, z gałami jasnymi, poczciwymi, ale z wciągiem dużym i kłopotliwym do wytrzymania — w cywilu, ale wojskiem niosło od niego na miłą. Był to ten właśnie zaufany generała, Węborek, Michał, pułkownik. Zdecydował się interweniować — wyjście Persy było mu sygnałem. Zrobił trzy kroki ku Zypkowi i powiedział wymuszonym na swobodno tonem, tak, jakby mu to wszystko przychodziło z wielką trudnością:

— A ty, chłopysiu, chodź tu do mnie. Ja cię uspokoję. I ostrzegam: wara od tej kobiety, jeśli ci życie miłe. — I zaraz innym tonem, w którym brzmiały jakby jakieś dziecinne błagania, zduszone łzy, wstyd i niecierpliwość. Już od dłuższego czasu piekielnie podobał się pułkownikowi ten mały i biedny straszne męki przeżywał przy swoich peryskopach, widząc, jak się marnuje ta śliczna, godna Sokratesa „dusza”, na takie podle, heteroseksualne bezskuteczne porywy. Teraz mógł działać z czystym sumieniem, zgodnie z instrukcjami kwatermistrza. — Jestem pułkownik Michał Węborek. Ja cię nauczę przyjemności daleko wyższej: związku dwóch czystych duchów męskich, po przejściu pewnych prób, które wskażą ci — ale mniejsza o to na razie — to głupstwo, jakkolwiek bez tego — ale dosyć... Będę twoim przyjacielem i zastąpię ci tymczasem ojca, zanim dostąpisz prawdziwego zbliżenia z naszym wodzem, w którym, jak w Bogu, jedno jesteście tu na ziemi. Czy wierzysz w Boga? — (Genezyp milczał. Skurczony wewnątrz, w niewyraźnym stanie pozornej kompletnej nicości (w podziemiach działały się całe światy!) stał dalej, patrząc martwymi oczami w porozumiewawczo uśmiechnięte jasno-zielone, uprzejme, zażawione, focze, najwyraźniej zaplcone (skąd?) gały Węborka. Ani jednego drgnięcia. Stał nad straszliwą przepaścią, której nie widział — jak lunatyk, trzymał się cudem, na jednym palcu wsparty o chorągiewkę wiatrową olbrzymiej wieży). — Czy słyszałeś kiedy *Stabat Mater* Szymanowskiego i tą piekielną parodię *Stabat Vater*, którą dla nędznych samic napisał ten wściekły Tengier? To dwa niewspółmierne światy. Ja byłem lotnikiem, przysięgam ci, że robiłem akrobatykę, ale teraz nie mogę. Wyprzytykałem się na krucjacie — ale ja nie jestem tchórzem — zakończył prawie ze łzami. „Co ten plecie” — pomyślał w Zypciu dawny Zypek. „Przecież on mówi bez sensu do trupa”. I nagle skoczył w nim, jemu samemu i całemu światu do gardła ten drab, schowany w gąszczach wielorakiej duszy. I od razu ta rozkoszna pewność, że tak właśnie, a broń Boże nie inaczej postąpić powinien. Jak — jeszcze nie wiedział, ale poczuł się równym nieomal Tengierowi, nieomal samemu Kocmołuchowiczowi. Jakby zerwały się wszystkie związki między tą chwilą, która teraz „stała” (jak „*stojąca kagdato diwnajaja osiennajaja pogoda*”, jak „*stojali czudnyje dni*” — dni stały bez czasu — pogoda też — co za cud!) zupełnie izolowana, a tym, co było, i co najważniejsze: tym, co będzie. Otwierały się nieznane groty, nieznane „strony”, obłoczne krainy, podobne tym na wschodniej stronie nieba, pełnego burzowych kumulusów o zachodzie. Tam on był teraz, już nie marzył o tym, ale był. Było to swojego rodzaju szczęście: jak po dwóch pierwszych kieliszkach wódki na czczo lub po pierwszej dawce kokainy po kieliszkach czterdziestu. Cudownie poczuł się Genezyp, jak nigdy — raczej nie on, tylko to straszne stworzenie w nim, którego tak się panicznie dotąd bał i którym tak się brzydził. Ono (on) było nim, stanowili jedność — tego normalnego Zypka nie było wcale. I sens, sens cudowny (ten którego poczucie mają ci, co *kochają Boga (!)* — w to jedno nie wierzył nigdy Sturfan Abnol, chyba u kobiet) wszystkiego, nawet najdzikszego z najniemożliwszych przypadków. Och — gdyby taki stan mógł trwać wiecznie! — (podobno trwa u tych, co 20 lat umieją patrzeć we własne pępki mało jedząc i nie pijąc — ale to wątpliwe bardzo). Ale niestety działanie jakieś, jeszcze nieznane, było nieuniknione. Zypcio był *tout de même* człowiekiem Zachodu. To będzie też rozkosz, tylko inna — może jeszcze mocniejsza, ale inna, psia-krew? Może nareszcie szczęście stanie się zupełne, czyste, bez chmurki, bez skazy! Ten drab nieznan, brodaty i jakiś niezmiernie wypukły, jak w stereoskopie widziany, który stał tam na tle czarnej czeluści tajemniczego pokoju, to był, to był, to był *pies na łańcuchu* — *trzeba go spuścić* — innego wyjścia nie ma. Znowu żałośnie zaszczekał daleko na przedmieściu pies obcy, ale rzeczywisty, kochany — z prawdziwego świata zwykłej nocy ziemskiej przyszedł teraz ten szczek, jakby z zaświatów. Na tym tle, tuż koło Zypcia (czy koło tego draba w nim?) bzyknęła mucha. Jednoczesność dalekich zjawisk. Tak — niech się stanie. Ale co? Już wiedział — właściwie nic nie wiedział, więc jakim sposobem wiedział, co

się stanie? Jasnowidząca czarność doskonałości załała duszę. Nadchodził moment *twórczy* (uśmiełby się z tej twórczości Tengier, a nawet Wielki Kocmołuch, mimo że temu ostatniemu mogły być bliskie nawet takie stany — ten miał w sobie wszystko, razem z rogami i kopytami) — nieznanne, nieprawdopodobne miało się wychynąć z nicości i stać się ruchem elektronów, przemieszczeniem grawitacyjnych pól, czy też zazębaniem się na bardzo stosunkowo wielką skalę bardzo małych żyjątek — nikt, nawet sam diabeł nie wie, czym to jest i będzie po wieki wieków. W każdym razie to, że są żyjące: czujące i myślące stwory, jest pewne, a istnienie materii martwej, takiej, jaką ją chce mieć fizyka, na podstawie danych ordynarnej wizji świata tych właśnie stworów, jest wysoce problematyczne. Chyba że się przyjmie ordynarny dualizm, ordynarną „harmonię przedustawną” i całkiem ordynarnie przestanie się myśleć — ot co.

A drab tamten stał i czekał — brodaty, uprzejmy a straszny — zdawało się wieki całe, a mimo to wszystko to razem nie trwało może i trzech minut, a jednak „wypchanie czasu” było nie-do-zniesienia, a upływał przy tym po prostu jak strzała. Życie wahało się po obu stronach grani, jak na huśtawce. Raz widać było słoneczne doliny normalności i całe masy rozkosznych kącików wymarzonych dla zatulenia się, to znowu z drugiej strony ukazywały się mroczne „*zachołuscia*” i rozpadliny obłądu, dymiące odurzającymi ciężkimi gazami i błyskające roztopioną lawą — *Vale inferno* — królestwo wiecznych tortur i nieznośnych wyrzutów sumienia: przecież można było tego wszystkiego uniknąć! Nieokreślona, mała a silna jak czort pokraka wżerała się coraz głębiej w ciało, drążąc sobie drogę do nietkniętych jeszcze centrów motorycznych. Persy nie istniała dla Genezypa w tej chwili zupełnie. Nie było w ogóle nic, tylko ten czyn do spełnienia. Świat skurczył się do małego wycinka pola widzenia i w tym bełtała się, luźna jeszcze, kupka czuć mięśniowych. Wierzcie mi — nie było nic prócz tego: sam Mach byłby kontent, a może i Chwistek. Na stoliku leżał tapicerski młotek, długi, z żelazną, wpuszczoną w obłe drzewo rączką — ach, jak kusząca to rzecz w pewnych chwilach — intruz niepojęty w tym państwie bibelotów i fatalasek. Uśmiechał się nad nim czarny, chiński Budda. Zapomniany młotek — (coś pomagał jej nim przybijając wczoraj jeszcze — jakieś przesunięcie perskiej miniatury o 3 cm na lewo — bo Persy była wielką estetką, *bardzo* wielką) — zdawał się czekać. Było w nim napięcie żywego stworzenia zamkniętego w klatce. On też chciał się od czegoś uwolnić, coś zdziałać wreszcie naprawdę morowego, a nie gnić tu na przybijaniu jakichś nędznych gwoździaków, nie marnować się. Otóż to. Zypcio nie chciał się marnować też, a jeszcze mniej chciał czarny, beztwarzowy dotąd, podziemny drab. (Później on wylazł Zypciowi na twarz, włożył mu na mordę, wrósł mu w pysk i wszyscy dziwili się dziwnemu wyrazowi oczu młodego junkra — nie wiedzieli, że *to nie był już on* — to była właśnie ta „*postpsychotische Personalität*”, z dawną osobowością nic wspólnego nie mająca). Cały system mięśniów drgnął jak doskonała maszyna, puszczone w ruch przekręceniem jakiejś tam maniwelki i Genezyp twardą ręką złapał młotek za długą, powtarzam: oprawną w drzewo, ale z obejmującym je metalem, rękojeść. Waga tej rzeczy była cudowna, wymarzona... I ujrzał jeszcze raczej zdziwione niż przerażone oczy tamtego, bałuszące się już jakby nie w tym naszym świecie i rznął go z całej siły w nie wiadomo czemu nienawistny teraz, a bydlęcy blond-brodato-włosisty łeb. Miękki trzask, mokry, *żywy*, i olbrzymie ciało zważyło się z głuchym hukiem na dywan. Tego deseni nie zapomniał już nigdy. Młotek został w tym łbie, powyżej guza czołowego lewego. Zypcio wyszedł jak automat, bez cienia cienia jakiegokolwiek myśli i uczucia. Po prostu uprościł się tym sposobem do niemożliwości. Gdzie to były, gdzie się podziały te wszystkie komplikacje dawne i przedchwilowe? Nie. „Dobrze jest żyć” — powiedział w nim obcy głos i głos ten był jego własnym, rodzonym głosem. Ciało było lekkie, jak puszek — zdawało się unosić ponad tym bezsensowym światem oficerstwa, Kocmołuchowicza, Chińczyków, całej politycznej sytuacji i tych dziwnych stworzeń, tak brzydko kobietami zwanych. Nie było duenii, nie było Persy — nikogo. Nie zdziwiło go to wcale. Teraz dopiero uczuł swobodę i beztroskę niebywałą. „Boże! Kim ja jestem” — pomyślał idąc po schodach. (Drzwi zatrzasnęła za sobą. Klucz od bramy miał swój darowany mu przez Persy).

Była godzina druga, ta najpóźniejsza godzina nocy. Niewiadoma siła skierowała go najprzód w stronę szkoły, tak jakby tam był jakiś ratunek. Ale przecie ratunku nie po-

trzebował — było tak dobrze, tak cudownie się wszystko układało — więc po co — po co, u diabła starego...?! Mógł drobny letni deszczyk. To, co mogłoby być w taką noc do utraty zmysłów pospolite i przykre (cisza wymarłego miasta, mokre ulice, duszne powietrze i ten ciepło-wilgotny, małomiasteczkowy zapaszek, nawozowo-cebulkowato-słodkawy), zdawało się właśnie najcudowniejszym, koniecznym, doskonałym, tym właśnie, a nie innym. Ta „tość” a nie inność — ach cóż to za cud móc czuć konieczność absolutną w tym niesamowitym państwie przypadku i bezsensu, jakim jest *nagie istnienie*, poza fikcjami społecznych praw, pokrywającymi bezczelne wprost kontyngencje. Gdyby Zypcio zażył kiedy świadomie dużą dawkę kokainy (do czego w chwilach rozpaczki namawiała go księżna), to mógłby porównać stan ten z lekkim zatruciem tym pozornie szlachetnym, a wymagającym takich ofiar jadem.

Nagle błysk potworny zimnej świadomości; „jestem zbrodniarzem — zabiłem nie wiem kogo i nie wiem po co? Ach — przecież nie o nią. Ona, ona...” — obce słowo bełtało się wśród innych, równie luźnych, martwych, pozbawionych znaczenia. „Czyż nigdy tego nie zrozumieć? Tak — może zrozumieć, jak mnie wsadzą na 12 lat. Ale przecież Chińczycy... nikt się im nie oprze...” Tak mógł myśleć „bezstraszno” w tej okropnej chwili, której okropności nie był w stanie pojąć. To nie był on — to był tamten, tylko dziwnie jakoś i wstrętnie złagodniały, wcielony w zewnętrzne formy tego dawnego, dawno zmarłego chłopczyka. Ze zgrozą pojął straszność samego faktu istnienia, nawet najłagodniejszego — w tej koncepcji nawet Święci stawali się potworami bez nazwy. „Wszystko, co istnieje, zaprzecza tej zasadzie, według której istnieje — wszystko opiera się na metafizycznej, nie-do-wynagrodzenia krzywdzie. Nawet gdybym był najlepszym w świecie, jestem i będę tylko kłębowiskiem walczących ze sobą drobnych istnień aż w nieskończoność. Taki sam okrutny jest świat wewnątrz indywiduum, jak i poza nim” — tak mówił kiedyś pijany Sturfan. Dziś pojął to Genezyp — nie pojęciowo, tylko żywą swą krwią — zdawało mu się, że przelewa się mu w arteriach-kłokach jakaś ohydna, trująca i cuchnąca ciecz. Nie było na świecie nic, prócz jednej wielkiej, paskudnej nieczystości, a jednak było dobrze. Machnął ręką z lekceważeniem. A więc i on też, skoro cały świat jest taki. Przemknęła w pamięci jakby *innej jaźni* widmowa, blada twarz Elizy i zgasła jak fosforescencja w głębi czarno-zielonawej wody. Zostało samo poczucie związku jednej zbrodni z jakimś czymś równie zbrodniczym, a nieokreślonym. *W jaki sposób był dany ten związek i to drugie coś, czort jeden wie.* Niech się męczą nad tym psychologowie. Wszystko jednak da się zdaje się sprowadzić do pojęć: pewnego *zabarwienia* jakości będącej jako takiej w trwaniu i „tła zmieszanego” (niezauważonego) Corneliusa. Wszystko jedno, ważnym było to, że Zypcio nasycił się w jakiś dziwny sposób tą zbrodnią i to tak, że Persy, ta rozzuchwalona powodzeniem u takiego Kocmołuchowicza mątewka, przestała dla niego istnieć. A przy tym nie miał żadnych, ale to najmniejszych nawet wyrzutów. Etyka? Furda, panie tego. Dla schizofreników pewnego typu to są puste słowa — jest tylko on jeden i nic poza tym. „Cudowne lekarstwo na nieszczęśliwą miłość: zabić kogoś zupełnie nie mającego związku z tą miłością — jakiegoś obcego pana — pierwszego lepszego przechodnia”. Przypomniał mu się wiersz jakiegoś zagwazdranego pseudo-futurysty z dawnych czasów, jeszcze za życia Boya:

„...I pierwszego z brzegu przechodnia
Bęc przez łeb pałą — drugiego? także bęc!
To nie jest żadna zbrodnia
A więc cóż to jest więc.
Nic — tak sobie bęc:
Usuwanie niepotrzebnych gratów
Bez pomocy katów...”

Co było dalej, nie wiedział. Tamten błysk nad-świadomości, unoszącej się ponad schizofrenicznymi sobowótami, zgasł, ale automatycznie zjawiały się *obok* osobowości normalne myśli, takie jakie by miał każdy zwykły człowiek w podobnej chwili. Ale one już nie zająłoby się (ho, ho — nic z tego) o motoryczne centry. Te były we władaniu draba z dna — on zdobył sobie tę władzę tym uderzeniem — wykonał coś absolutnie nowego, nieuczynionego — zasłużył sobie na nagrodę. A jak się ma w rękę czyjeś motoryczne centry,

to jest się tym właśnie panem i koniec: umarł Zypcio — narodził się postpsychotyczny Zypon. Sam atak — ten tak zwany, „Schub” trwał sekundę. A więc te myśli boczne (ale co kogo to obchodzi?) = ależ Boże mój: przecie ten człowiek musiał mieć jakiś związek z życiem Persy, z tym tajnym życiem, o którym on, Genezyp, nie wiedział nic. Może nie związek erotyczny, ale coś do diabła było w tym niesamowitego, nawet dla tak skretyniałego osobnika, jak Zypcio w ten pamiętny wieczór. Nie darmo kłamała bestia, że to stał pusty pokój nieboszczyka brata — ten drab mieszkał tam najwidoczniej. Ale instynktem (który zresztą tak często myli [ale w tym wypadku mówił prawdę na pewno — to wiedział Genezyp]) czuł, że ten brodacz był dla niej płciowo obojętny. Coś bardziej istotnego, a pośredniego ukrywało się poza tym. Nie dowie się pewno nigdy. Uczuł się zawieszonym w zupełnej próżni społecznej. Społecznie był zbrodniarzem (dobre i to, jeśli już moralnie nie można) kimś, na którego dybią absolutnie wszyscy, z wyjątkiem może kilku tysięcy (w kraju oczywiście) typów jemu podobnych. Uczucie życiowego osamotnienia przeszło dalej w stan samotności metafizycznej: jednego, jedyne istnienia, mówiącego „ja” o sobie, w nieskończonym w czasie i przestrzeni wszechświecie. (Bo niech sobie co chcą mówią matematycy i dla wygody niech słusznie wykrzywiają świat, a nasza aktualna przestrzeń „taki” jest euklidesowa i linia prosta, mimo wszelkich *tricków*, różni się zasadniczo od wszystkich innych). Intuicyjnie, to znaczy: nie znając odpowiednich terminów i teorii, w swoich własnych rodzących się pojęciach-obrazach, pojął bezpośrednio, po bydlęcemu, aktualną nieskończoność Bytu i jej *niepojętość* dla ograniczonej poszczególniej egzystencji. I na tym koniec — ściana — i zupełna obojętność. Nagle — nie wiedząc o tym prawie — zawrócił w kierunku domu. Jedyna osoba na świecie to Lilian. Problem „alibi” zarysował się nagle z całą wyrazistością, zupełnie jak w tym niedawnym, a tak dawnym śnie. Może nikt go nie zobaczy, a Lilian powie, że był cały czas u niej — powie na pewno — kochana siostrzyczka! Jak dobrze jest czasem mieć rodzinę! Pierwszy raz zobaczył to teraz tak jasno — kanalia! Jedyna istota, której mógł teraz wierzyć, to ona, ta pogardzana Lilusia — matka nie, a księżna po stokroć tym bardziej. Wálmy więc, „*vallons*” *alors* — trzeba cudu, żeby go ktoś znajomy spotkał i rozpoznał w nikłym oświetleniu tego wiecznie martwego miasta. Jakkolwiek w pierwszych chwilach miał jednak na dnie wrażenie, że życie skończyło się bezpowrotnie — (jakaś bezimienna, praistnie-niowa, niezróżniczkowana kasza, w której tkwiła dawna, tylko spotęgowana w trójnasób i wydłużona w nieskończoność męczarnia, otwierała się w kierunku przyszłości) to teraz, również zupełnie nie wierząc w dalsze możliwości istnienia, nie widząc przed sobą nic prócz aktualnej beztroski (to mało, psia-krew!), koniecznie, tak na wszelki wypadek, zapragnął upewnić się co do swego „alibi”. To wszystko robił ten drab, broń Boże nie on. Ginący Zypcio zwał całą odpowiedzialność na tamtego. Czuł go już w sobie wyraźnie z kopytami i pazurami (ta beztroska to była jego, tego drugiego) jak mościł się i umaszczał i rozpierał się w nim wygodnie — już na zawsze — wytłaczając dawnego Zypulkę z jego formy niby miękką marmoladę czy ciasto przez wszystkie psychiczne otwory. A tu jak na złość ukazały się na rogu Studziennej i Filtrowej dwie postacie, zataczające się, lepiące się sflaczałymi nogami do mokrych płyt trotuaru, czepiające się podobnymi do macek rękami siebie wzajemnie, ścian, słupów i kiosków. Rozległa się wstrętna piosenka, śpiewana chrypliwym barytonem, z marsylskim, twardym akcentem:

„*Quel sale pays, que la Pologne,
Cette triste patrie des gouwegnages.
Pour faire voir un peu de vergogne
Ils n'ont pas même du courage*”.

Zbliżali się. Cywile. Jeden tłusty, mały i okrągły; drugi mały i chudy. Ten wtórował okrągłemu jakimś zachrapanym sykiem, zdającym się wychodzić z jadowitych gruczołów wewnątrz ciała. Zionęło od nich jak z tylko co zgaszonych, ciepłych jeszcze, spirytusowych maszynek. W Zypciu obudził się po prostu Polak. (*Vous autres, polonais...*) Ach! To takie proste — nic o tym ciekawego napisać się nie da. Może to ten automatyczny drab ze dna był więcej Polakiem, niż on sam. Zawrzała w nim, panie tego, krew i rznął w mordę grubego i w samym zamachnięciu się już zobaczył w mroku bezczelnie filuterną i wesołą twarz Lebaka, którego znał z jakiejś rewii szkolnej. (W tej samej chwili po raz pierwszy

pomyślał, że przecież sama Persy i duenia... „Nie — te nie zdradzą” — rzekł w nim jakiś głos i miał rację — Więcej *nigdy* o tym nie pomyślał. Ten nowy w nim miał jakieś inne klapki i sposoby). Drugi, to jego przyboczny adiutant, duc de Tronfières. Poprawił tamtego pięścią w sam dołek i wywalił go w kałużę, która mlasnęła z rozkoszą, przyjmując w sam środek chudy zadek Francuza. Na zewnątrz w palcie (w tym znaczeniu na zewnątrz, a nie duchowo) mało co różnił się junkier od zwykłego żołnierza kawalerii. Ciemności były prawie nieprzeniknione w tym zaułku — nie mogli go poznać. Poszedł dalej z tym samym automatyzmem, który nie opuszczał go od chwili zbrodni. Lebac poprobował go gonić — na próżno. Zakręcił się na zwiotczalej ręce naokoło słupa zgasłej latarni i padł na kolana krzycząc, z akcentem na ostatniej sylabie: „Policjà, policjà!”. (Czas był przesunięty (naukowa organizacja pracy) o dwie godziny — za godzinę dopiero mogło zacząć świtać). Zypcio nie czuł nic, nawet najłżejszego niepokoju. Jako Polak był zadowolony. „Ładne alibi” — mruknął. — „Właściwie niepotrzebnie to zrobiłem, a jednak było to konieczne dla dokończenia tego dnia. Co za lekkość! Co za lekkość! Że też ja tego wcześniej nie znałem!” I w tej samej chwili przeraziło go to właśnie, że nic prócz tej lekkości nie czuł. „Cóż robić? — nie można się przecież zmusić do czucia tego, czego się nie czuje”. Zawinął się w tę myśl, jak w ciepły płaszcz i poszedł dalej zagwazdranymi ulicami do domu.

Obudził Lilian. Była prze-ra-žo-na. Słuchała opowiadania drżąc i ściskając go za rękę, z przerwami oczywiście — prawie szczypała go z podniecenia. Mimo że Sturfan Abnol nie przestał ani na chwilę być jej jedynym ukochanym mężczyzną, w tej chwili dopiero poczuła, co to jest to wszystko. Ten jej brat, dotąd obcy — (ileż razy myślała, że go kocha — teraz przekonała się, że tamto było niczym) — zbliżył się ku niej nagle jakby z zaświatów z niepomiarłą szybkością meteoru i tym pędem, który był w gwałtowności samych opowiadanych wypadków, przebił jej nieczule dotąd ciało. Biedny Sturfan, mimo dzikich wprost zabiegów, zdołał jej rozwydrzyć tylko główkę. Poczuła coś takiego, że no niby jakby w tej chwili właśnie straciła to słynne dziewictwo, o którym legendy całe słyszała od mlaszczących się lesbijsko koleżanek i od samej baronowej. I to z nim, z tym czystym duchem w mundurze, takim bratowatym naprawdę, którego nie potrzebowała mieć w sobie, aby go *tak* kochać. Oczywiście nie wiedziała, co to znaczy naprawdę, ale tak jakoś to sobie wyobrażała i koniec. Była to chwila prawdziwego szczęścia: obietnicy prawdziwej, pełnej rozkoszy z tamtym ukochanym, rumuńsko-bojarskim, artystycznym bykiem. Służyć jemu będzie za tę chwilę do końca życia. Najgorszych dla siebie rzeczy dokona, byle tylko on mógł tak prosto iść w swym rozwoju jak mu nakazuje ukryta w nim siła. Ujrzała, wewnątrz siebie jakby odbite — cała była ze zwierciadeł w tej chwili — nieskończone jego możliwości i pochłonęła go całego, jak armata polykająca pocisk. Ale nie miała już siły wyrzucić go z siebie. On tylko sam, jeden-jedyny, mógł cisnąć sobą w mroczną, burzliwą przestrzeń życia. Widziała „tarczę tajemną jego przeznaczeń”, (co to było, nikt by się nie dowiedział): jasny, promienny dysk na „czarnym wzgórzu śmierci” z jakiegoś obrazka, tarczę, w którą on musiał trafić sobą, jak kulą. Ale ta chwila to już była właśnie sama śmierć. W tym trafieniu jest sens ostateczny. Przypomniała sobie zdanie ojca: „...stawić cele poza rogatekami życia...” Sturfan też o tym bredził. Ale czymże są te jego artystyczne „*pierzeżywanja*” wobec takiej oto historii. Niech spróbuje dokonać czegoś takiego. To przecie pęknać można. I ona jedna, która wiedzieć będzie wszystko: prawdę motywów, lub raczej ich braku, tej przedziwnej zbrodni, której nie zrozumiałby nikt — nikt prócz niej. Bo zrozumiała go tak do głębi, jakby była nim samym, tej okropnej, a jednak pięknej, może najpiękniejszej nocy. Musi sobie to przypomnieć (i przypomni na pewno) w noc poślubną i wtedy tajemnica ta połączy się jej z tamtym wszystkim i to będzie jej szczyt życia. Tylko nie zleźć już z tego szczytu niżej za nic na świecie! Prędkiej umrzeć w mękach, niż spełznąć na płaską nudną dolinę pospolitości, na powierzchni której wszystko jest takim, jakim jest. I czemu Sturfan, mimo wszystkich tych swoich szprynców i nawet „Kronszprynców” (jak nazywano jego sztuki) nigdy jej *tego* nie ukazał. Dopiero trzeba było ofiary ukochanego braciszka, aby się stało *to*: ostateczne zrozumienie tajemnego uroku odwróconej rzeczywistości i sensu wszystkiego poza wszystkim. Pomodliła się cicho do dawnego Boga Matki, bo jej bóstwa rodzone, które miała jeszcze w sobie wytworzyć, spały dotąd lekkim snem, na samej granicy przebudzenia. I tak doskonale rozumiała, że on nie mógł inaczej postąpić, że się uszczęśliwiła, jakby dostała jakiś wspaniały prezent. Tak cudowne było to dla niej w swej doskonałej prostocie! A!

I nic nie żałowała tego niewinnego (pewno) brodacza. (Pułkownik — nazwiska Zypcio zapomniał). On nie mógł lepiej skończyć, jak tak właśnie. Wszystko to było dziwaczne, jak w jakiejś sztuce z teatru Kwintofrona, choćby w jednej ze sztuk Abnola: bezsensowne, a jednak konieczne. I to się działo naprawdę! Stał się rzeczywiście cud. Ale już pierwsza ekstaza minęła i wszystko zaczęło zjeżdżać powoli w czysto życiową rozmówkę, w czasie której oboje nabierali coraz gorszego wstrętu do siebie wzajemnie i do siebie samych. Coś się psuło, gnęło i rozkładało się z niepojętą szybkością, jakkolwiek konsekwencje poprzednich stanów trzymały ich formalnie na pewnej niby-wysokości. Przypominało to trochę wygasanie kokainowej ekstazy, kiedy wszystko, *nie zmieniając się*, staje się w „dziesięcionasób” co najmniej straszne i jednocześnie pospolite, w odwrotnej proporcji do poprzedniego wyniesienia i dziwności.

LILIAN: Czemu nie mówiłeś mi nic o tym przedtem, że ją *tak* właśnie kochasz? Myślałam, że to twoja pierwsza idealna miłość, jako reakcja po romansie z Iriną Wsiewołodową. Ona jest zupełnie pozbawiona uczuć erotycznych — nikt, przynajmniej z teatru, nie był jej kochankiem, a o innych też nic nie mówią. Albo byłabym ci odradziła wszystko i wyperswadowała, albo bym może nawet na nią wpłynęła, aby ciebie przynajmniej nie ludziła daremnie. Zdaje się, że w ostatnich czasach mogłam mieć wpływ na nią. — (Kłamała radośnie i wstrętnie, wyolbrzymiając [choć troszkę przynajmniej] siebie przed sobą i przed nim).

ZYPCIO: Mówisz jak starsza pani, ale mylisz się. Na nią nikt wpływu mieć nie może, bo to jest wcielenie samej pustki — wampir. Jeśli moja miłość nie zrobiła z niej czegoś, to znaczy, że jej w ogóle wcale nie ma. Przychodzę teraz do przekonania — nie w porę oczywiście — że w niej jest coś potwornego, jakaś niedocieczona, ohydna tajemnica i to mnie właśnie do niej ciągnęło. Poznałem w sobie nieprzeczuwane nigdy pokłady zła, świństwa i słabości. Wmawiałem w siebie, że to była miłość prawdziwa, ta, której dotąd nie znałem. Czy poznam to jeszcze?! — („Ach, ty drogi!” — pomyślała z rozczuleniem Liliana. — „Zakatrupił niewinnego człowieka, a teraz biada nad tym, że nie pozna prawdziwej miłości. To jest jednak cudowne.”) — Byłem jak sparaliżowany. Ona miała w sobie jakiś jad obezwładniający i tym pozbawiła mnie woli. Teraz myślę, że to ona przeze mnie zabiła tego pułkownika. Mówię ci, że działałem jak automat. Wydaje mi się, że to był jakiś okropny koszmar, a nie rzeczywistość. A jednak jestem teraz innym — zupełnie *kimś* innym. Nie umiem ci tego wytłumaczyć. Może on się we mnie wcielił. Przekroczyłem w sobie jakąś granicę i nigdy już tam nie wrócę, gdzie byłem. — (Liliana „zawiła się” znowu z podziwu i zazdrości. O, gdybyż to można tak się ciągle transformować, ciągle być kimś innym, nie tracąc ciągłości swego „ja”! I tu siedział, tuż przy niej, ten jej codzienny brat, będąc jakby w innym świecie! „*Il a une autre vision du monde, ce bougre-là, a deux pas de moi — e mua kua?*” — dokończyła „po polsku”). — Ale wyzwoliłem się przez ten czyn okropny — od niej i od siebie. Jeśli mnie nie zamkną, to życie moje może być wspaniałe... — Urwał, wpatrzony w absolutną nicość: swoją i otaczającego świata. Diabły spuściły kurtynę — widowisko skończyło się. Ale nie wiadomo było, jak długo mógł trwać ten antrakt — może do końca życia? Wzdrygnął się. Ogarnęła go gorączka czynu. Robić, robić, cokolwiek bądź, choćby „pod siebie robić” byle jaki czyn. Ha — nie tak to łatwo. Ale i tu wypadki miały pomóc temu nieszczęsnemu „szczęściarzowi”. — (ohydne). Byle dotrwał do rana. — Najgorsze jest to, że nie wiem, kim był on. — Mówił już po prostu drab ze dna, zamalgamowany z resztkami, z pozorami raczej dawnego Zypka, w jedną nierozdzieloną, twardniejącą już miazgę. A tak był zamaskowany, że gdyby nie oczy, przez które czasem z Zypciowego ciała na świat wyglądał, nikt (nawet sam Bechmetiew) nie poznałby, że to już nie dawny Zypek, tylko całkiem ktoś inny, straszny i niepojęty — niepojęty dla nikogo, nawet dla siebie samego. Na tym właśnie polega obłąd. — Ale najgorsze jest to, że nie wiem, kim był on — dodał Zypcio po chwili. Nie było to *najgorszym*, ale tak mu się w tej chwili zdawało.

LILIAN: Dowiemy się z gazet — „odparła” natychmiast Lilian z tą przytomnością umysłu i żywością, cechującą panienki tego pokolenia. O, rybki zwinne, mądre myszki i jaszczureczki przemysłne, w jednych i tych samych osobach — czemuż was nie poznamy nigdy, my, starcy czterdziestoletni już w 1929 roku, skazani na oglądanie straszego narybku bezmyślnych „grzmotów” sportowych! Ale mniejsza z tym. — Ja dla ciebie zrobię wszystko. Od dziesiątej byłeś u mnie i nie wychodziłeś. Mama z panem Józefem o dzie-

więtej już byli u siebie. Wierz mi bezwzględnie. To jest dla mnie szczęście. Ale czy ona nie zdradzi? Zależec to będzie od tego, kim był ten brodaty człowiek dla niej. Nikt z moich znajomych nigdy jej z nim nie widział. Może to ktoś przejezdny?

ZYPCIO: Nie — on mieszkał dawno w tym pokoju. Teraz wiem to. Rzecz dziwna: teraz mam takie wrażenie, jak gdyby on mnie doskonale znał już przedtem. Musiał mnie podglądać, kanalia, co wieczór, kiedy tam siedziałem, i naśmiewał się z mojej bezsilności. Ach — na pewno słyszał te wszystkie głupstwa, które mówiłem! Boże — co za wstyd! A przysiąc mógłbym, że kochankiem jej nie był.

LILIAN: Skąd możesz twierdzić to na pewno? Nie chcesz w to uwierzyć — a ja ci radzę nie staraj się sztucznie zmniejszyć twego cierpienia. Od razu połknij wszystko najgorsze. — (Zapomniała zupełnie, co mówiła przed chwilą. Czy nie zapomniała, ale gadała głupia byle gadać (śpiąc prawie), sama nie wiedziała co).

ZYPCIO: Jestem kompletnie poza tym problemem. To wiem na pewno. Ale to co się pod tym kryje i wewnątrz, we mnie, i w samej sytuacji, może być jeszcze gorsze. To nie był zwykły lokator, a ja nie jestem już tym, którym byłem. — („Znowu zaczyna” — pomyślała śpiąca już prawie Lilian).

LILIAN. No, teraz idź i bądź mężny. Ja muszę się wypaść przed jutrzejszą próbą.

Genezyp uczuł się zranionym do głębi, ale nie dał nic po sobie poznać. Wszystko zdawało mu się znowu takie nadzwyczajne, tak jakoś na milutko przepojone płomienną esencją dziwności życia — właśnie tej nie pojęciowej, tylko bezpośrednio danej. W jaki sposób? Chyba w samym przeciwstawieniu się indywidualnemu temu, co nie jest nim samym. Mroczny, bezsensowny świat, palący się metafizyczną grozą, jak górski krajobraz w zachodzącym słońcu, i zabłąkane istnienie samotne, przesycone tą samą tajemnicą, która wypełnia wszystko. Właściwie powinno by się złąć z tym wszystkim, powinno by nie być nic, a jednak odgraniczone w niewiadomy sposób „ja” trwa oddzielnie ku zgrozie własnej i innych podobnych mu nędzot. To był szczyt metafizyki Zypcia. Tak — to wszystko *jest* takie, a ona...? Głupia kurka! Byle tylko „alibi” i niech ją... Patrzył na szafkę z toaletowymi przyborami, jak na rzecz najdziwniejszą na świecie całym. Przynależność tych przedmiocików — (należących do tamtego, metafizycznie obcego świata) — do tego właśnie istnienia oddzielnego, no, tej siostry, wydała mu się czymś potwornym aż do śmieszności. Rzadko ten, który ma siostrę, jest w stanie odczuć dziwaczność tego faktu. To stało się teraz. Wyróżnienie tej osoby właśnie spośród milionów innych i to wyróżnienie nie podlegające jego woli zdawało mu się ciężarem nie do zniesienia i przymusem gorszym od siły ciężkości i równań Maxwella czy Einsteina. (Jak raz się zrozumie, że fizyka nic nie może pomóc na niezrozumienie istoty Bytu, to tak mało już obchodzi to, z jakim przybliżeniem opisany jest świat. Między Heraklitem a Planckiem są już tylko różnice ilościowe. Co innego filozofia — ale o tym gdzie indziej). Ciągłe ocieranie się o tajemnicę w każdej chwili życia, w najtrywialniejszych nawet sytuacjach. Na szczęście świadomość tego nie trwa ciągle. Gdyby tak było, czyż można by czegokolwiek bądź na tym mizernym światku dokonać?

— Idź — powtórzyła Lilian zmęczonym, dziecinnym głosem. Już nie miał do niej pretensji, że nie mówiła do niego językiem jego własnej dziwności. Poczul, że był niesprawiedliwym i zrozumiał ją nie jako element obcego i groźnego świata, tylko jako cząstkę samego siebie w tamtym wewnętrznym morzu pustki i nonsensu. Znowu odwracał się od siebie ze zgrozą.

— Przebac mi, Lilciu. — rzekł czule zbrodniarz do siostrzyczki. — Byłem tak strasznie względem ciebie niesprawiedliwy. Życie rzeczywiste zanadto mną o władnęło. Wiesz, że właśnie teraz, po spełnieniu czegoś najbardziej i jednocześnie — z powodu bezprzyczynowości — najmniej rzeczywistego, poczułem może najbardziej moją egzystencję, jako tego, a nie innego kółeczka w całej tej maszynie naszego perwersyjnego społeczeństwa. A — podła rasa ci Polacy, a jednak... — i tu dopiero opowiedział jej całą historię z Lebakiem. Na chwileczkę rozbudziła się. A ten gadał dalej, czując, że tylko tym gadaniem trzyma się w ogóle przy życiu. Był tylko w tym — gdyby mu kto teraz przerwał, przestałby istnieć — niektórzy twierdziliby, że umarł. Po czym mówił znowu ogólnie, nie zwracając najmniejszej uwagi na męki Liliany: — Jak nic właściwie nowego nie ma do powiedzenia, nawet w takiej piekielnej chwili! Wszystko jest już powiedziane dawno. Stany nasze wzbogaciły się, ale nie język, który ma granice swego zróżniczkowania się w praktyczno-

ści. Już wszystkie permutacje i wariacje są wyczerpane. To ta bestia Tuwim i jego szkoła dokastrowała język nasz do końca. I tak jest wszędzie. Powiedzieć już nikt nic nie może — może jedynie powtarzać, z pewnymi zmianami, rzeczy dawno sformułowane. Zjadanie własnych rzygów. Może artyści mogliby coś opowiedzieć o stanach różnych i podać ich różnice, mimo że dwa normalne przyzwoite indywidua, do których by te stany należały, powiedziałyby identycznie to samo. — Nie wiedział, z jakim strasznym bólem nudy słuchała go siostra. On też cierpiał: wysiłał się na te słowa z obowiązku zakończenia tej sceny, w której za mało było uświadomionych głębi. Oto byli ludzie przełomu ostatecznego — przełom chroniczny, połowiczny trwa od Rewolucji Francuskiej. Już następne pokolenie nie będzie mówić wcale w naszym znaczeniu — tj. będzie mówić jedynie o rzeczach konkretnych, ale nie będzie babrać się w „duszy”, zohydzonej przez wszystkich parszywych literatników. Wiadomym stanie się powszechnie, że nic już nowego stamtąd się nie wybąrze. Na razie zmienne do pewnych granic zewnętrzne warunki, deformując z lekka psychikę, dają złudne poczucie nieskończonych możliwości. Ale już nawet literatura rosyjska kończy się, możliwości się zwężają: wszyscy drepną na coraz mniejszym kawałku, jak ci, co się schronili na topniejący kawał kry. A potem i proza pójdzie za Czystymi Sztukami w otchłań zapomnienia i pogardy. Bo czyż nie słusznie pogardzamy dziś sztuką? Dobry narkotyk jeszcze znieść można, ale narkotyk sfalszowany, podrobiony, nie działający tak, jak powinien, przy zachowaniu ujemnych skutków, jest rzeczą wstrętną, a jego producenci oszustami. A niestety proza dla prozy, bez *czysto* artystycznego usprawiedliwienia (jak usprawiedliwiają się odstępstwa od sensu w poezji), proza bez treści okazała się fikcją językowo zdolnych kretynów i grafomanów tzw. pełnych.

Straszna, zaświatowa (w tym znaczeniu, że *znikąd* na nią ratunku być nie może) nuda zawisła nagle nad tym nieszczęsnym dwojgiem. Poprzez jadalnię (skromną, ciemną, z ceratą na stole, z zapaszkami cykorii i cykaniem zegara) słycać było głośny chrap Michalskiego, w ciszy nocnej małego miasta. Kapala woda w rynnie od podwórza, padając z obsychającego po niedawnym deszczu dachu. Tak byłoby dobrze, aby móc zostać w tej pospolitości, zanurzyć się w niej po uszy, a nawet dać w nią nurka na wieki — doprowadzić nudę aż do stopnia jakiegoś strasznego szału. Niestety próżne to były marzenia. Poszukiwanie dziwności w pospolitości nikogo już dziś zadowolnić nie mogło. W literaturze nawet Norwegowie wyprztykali się na ten temat, nie mówiąc o krajowych landszturmistach normalnej beletrystyki. Czasy stały naładowane aż do pęknięcia pospolitością społeczną wyższego rzędu, która miała zalać świat w najbardziej niepospolitym wybuchu. Zypcio ucałował Lilian gwałtownie w same usta i doznał wstrząsu okropnego żalu: czemuż to ona jest jego siostrą, a nie tamta? Czemu wszystko na świecie jest jakby umyślnie poprzewracane, poprzesławiane, poprzekręcane? — pozamieniane role, dusze, fryzury, maście i inteligencje.

Zanurzył się znowu w mokre, przesiane bladym świtem ulice. O paręset kroków od domu przysunął się ku niemu jakiś cień. Z początku myślał Zypcio, że to tajny agent. Skulił się w sobie jak do skoku, ale nie pomyślał już biedactwo o nowej zbrodni. Widział przed sobą jeden ze znanych domów. Właśnie zapaliło się tam na piętrze światło. Dom ten był *inny*: nie był tu w tym sennym mieście, w tym kraju, na tej planecie. Tam byli zwykli, obcy, normalni i może porządni ludzie — stwory nie z *tego* (jego) świata. Był wyrzutkiem, który nigdy już tu spokoju nie zazna. Spuszczony wreszcie z łańcucha, ale bezdomny pies. Zachciało mu się popłakać nad sobą w jakimś kąciaku i umrzeć. A tu rzeczywistość, w postaci tego strasznego podłażącego doń człowieka, zmuszała go do jakichś wstrętnych działań. Odtąd wszystko będzie negatywnym, choćby nie wiadomo czego dokonał — będzie tylko wymigiwaniem się z płataniny, którą sam wytworzył. Nieznany trup płynący byle jaką rzeką, w tym świecie bardziej był u siebie, bardziej na miejscu, niż on. A żyć musiał. Mimo że w tej chwili byłoby to łatwym jak splunięcie, wiedział, że samobójstwa nie popełni. Nie bał się niczego, ale otwierająca się teraz właśnie przyszłość podobna była do czyjś olbrzymiego rozprutego brzucha. Musiał wkręcać się w bolące do nieprzytomności czyjeś bebechy, sam będąc znieczulonym w nadludzkiej męce pojmowania oderwanego od wszystkich związków faktu istnienia.

W błysku gasnącej latarni zobaczył pod czarnym kapeluszem ciemną twarz i płomienne, naprawdę, bez ładnych żartów, natchnione oczy młodego Hindusa.

— Od pana Dżewaniego. Wiesz kto to? — szepnął nieznajomy, po polsku, z dziwnym akcentem. Zaśmierdziało z tej gęby jakby nieświeżym mięsem i mokrym mchem. Genezyp cofnął się ze wstrętem, macając automatycznie rewolwer w tylnej kieszeni od portek. — Niech sahib nie boi się — mówił dalej tamten spokojnie. — My wiemy wszystko i na wszystko mamy ratunek. Pigułki są w tym. — Wcisnął Genezypowi w rękę pudełeczko i karteczkę, na której ten odcyfrował w migającym świetle tej samej latarni (to wydało mu się dziwnym — ta obojętna tożsamość) (tamto schował do kieszeni jak automat) te słowa, napisane okrągłym, angielskim, kobiecym charakterem.

„Grzeszyć w pokorze, znaczy grzeszyć o połowę mniej. Nie przyznajesz się sam przed sobą do Twego obłędu, jakkolwiek on to jest istotą Twoich postępów. Naszą rzeczą jest zużytkować Twój obłęd i obłęd całego naszego nieszczęsnego świata dla wyższych celów. Chciej *wiedzieć*.”

Genezyp podniósł głowę. Hindus znikł. W uliczce na lewo słychać było spieszne, oddalające się, *miękkie* kroki — ale trochę wyglądało to jakby pełznął tam jakiś gad. Dreszcz mistycznej już teraz (nie metafizycznej — to wielką różnicą: strach przed całością bytu, a strach przed nieprawidłowością pewnej jego części) przeszedł całe ciało Zypcia. Więc ktoś (kto, na litosierdzie!?) wiedział o każdym jego kroku?! Dawano mu poznać, że może i tamto... O, Boże! Poczul się wymoczkciem w kropli wody na szkiełku, pod jarzącym światłem jakiegoś olbrzymiego ultramikroskopu i diabli wzięli wszelką beztróskę i swobodę. Tym niby wewnętrznie wyswabadzającym „czynem”, na zewnątrz zaplątał się w jakąś straszliwą niewidzialną sieć, wpadł w dawno przygotowany wilczy dół. On, który przecie Piętalskiego wyróżnił wtedy w mordę, on, przyszły adiutant, mamin-syn i drań! On, którego metresa była pierwsza w kraju wlań! Zupełnie zimno mu się zrobiło. Teraz nie będzie już mógł być sobą i cieszyć się absolutnością oderwanego życia, w którym najdzikszy przypadek stawał się nieodpartą koniecznością, a najnieubłaższa konieczność cudem skończonego „dowolu” — (banał — od „banalny”; dowól — od „dowolny”). Poczul się ostatnim psem, ale na jakże dziwnym łańcuchu! Rozpaczliwie targnął głową, ale niewidzialny łańcuch nie puścił. „Chciej wiedzieć” — co za ironia! To baba jakaś pisała. „Czyż jest ktoś, co by więcej chciał wiedzieć ode mnie? Ale jak? Dajcie mi ten sposób! Nie opuszczajcie mnie teraz!” — krzyczał niemy głośm, a zimne przerażenie potęgowało się w nim, aż do zawrotnych rozmiarów. Zjeżył się cały, skolczał i nastroszył przeciw niewidzialnym wrogom, czy wybawcom — nie wiedział. Namacał w kieszeni pudełeczko z pigułkami i nagle uspokoił się, jak furiat po zastrzyku morfiny. To była ostatnia stawka: dawamesk, Bz. Wszystko, co tak niby realnie działo się tu przed nim, wydało mu się teraz drobinką, odpadkiem Wielkiej Tajemnicy, większej od wszystkiego, co dotąd kiedykolwiek odczuwał. Ale tajemnica ta miała realne macki, którymi wciągała brutalnie w obręb swego działania. Ten śmierzący Hindus to było jedno z tych jej wciągadeł — zapewne najniższej klasy.

Słyszał już dawniej Zypcio o tajemniczej wierze Dżewaniego, prześladowanej podobno przez zaciekłych czystych buddystów, po tamtej stronie żółtego muru. Czemu podobno? Bo oto niektórzy twierdzili, że Dżewani jest wysłannikiem bynajmniej nie — (może fikcyjnego) Murti Binga z wyspy Balampang — tylko tychże samych żółtych małąp, które rżnęły teraz na Europę, że od wiary jego do buddyzmu jest tylko jeden mały kroczyk w tył, który zrobiono specjalnie dla zamydlenia oczu Wielkim Białym Durniom z Zachodu i że wszystko to służyć miało jako ogłupiający podkład dla łatwiejszego opanowania tychże Wielkich Białych Durniów i uczynienia z nich nawozu i „odświeżki” dla żółtych mas Dalekiej Azji. Drażniła Zypcia kiedyś naiwność gadań tego gatunku na temat polityki i społecznych przemian. To niemożliwe, żeby jeszcze w naszych czasach tego rzędu koncepcje mogły być siłami przetwarzającymi ludzkość i tworzącymi historię. A jednak miał na sobie sprawdzić ich potęgę. Przyczyniał się do tego piekielny narkotyk, którego wizyjne działanie przechodziło po stokroć najoczywistszą rzeczywistość. W całości, historia ludzkości zdawała się Zypciowi czymś wielkim, strukturalnie pięknym i koniecznym. Ale jeśli wejrzeć było bliżej w ten cały bałagan, to głównymi siłami były: a) ordynarny brzuch (pański czy chamski — wszystko jedno) i b) bzdura, zwykła w tysiącnych postaciach, bzdura, osłaniająca ostrożnie wyliniałą dziś intelektualnie Tajemnicę Bytu. Na przykład cała ta wiara Dżewaniego, którą protegowali obecnie podobno nawet sami:

minister oświaty, pułkownik Ludomir Swędziogolski i kanclerz skarbu, Jacek Boroeder, będący w tej sekcji również podobno trzecim wcieleniem Granicznej Istności, czyli jednym z trzecich z rzędu po Murti Bingu. A wiadomo było, że to gruby rozpustnik i cynik pierwszej klasy, podejrzany o grube świństwa w wojennych dostawach za czasów Krucjaty. Ha, może oni mają... Ta, ta, ta, ta... itd. Nagła salwa kulomiotów, dość bliska, na tle zupełnej ciszy, była dla Zypcia jeszcze większą niespodzianką, niż spotkanie ze śmierdzącym Hindusem. Drgnął, ale nie ze strachu, raczej jak koń cyrkowy na dźwięk kawaleryjskiego marsza. Nareszcie! Był to bądź co bądź pierwszy wypadek w jego życiu, że coś podobnego naprawdę, a nie na ćwiczeniach posłyszał. Bunt — Syndykat — Kocmołuchowicz — Piętalski — mama — trup z młotkiem w głowie — Persy — Lilian — pigułki — oto był szereg asocjacji. „Aha — znowu jestem, jestem naprawdę” — krzyczał w nim ustami ohydneho draba z dna dawny Zypcio. — „Jestem i nie dam się. No — ja im pokażę.” Pędem puścił się w kierunku niedalekiej szkoły. Za dwie i pół minuty zobaczył między domami piętrzący się na wapiennych skałach ponury gmach. Ani jedno światło nie „błyskało” w tej części od strony miasta. Biegł bez tchu schodami kutymi w skałę. Jednak ten wstrząs był wyższej marki. Nic nie mogło być bardziej w porę. Teraz na tle tej salwy tamto wszystko zdawało się nędznym snem. Ojciec razem z wodzem schwycili go w swoje szpony, nie bacząc czy trzymają dawnego chłopczyka, czy gościa z dna. W tym był istotny sens tego huku czy trzasku, raczej czegoś pośredniego. Zbity w jedną kupę bezimiennego junkra dopadł do niższej bramy. Była otwarta — strzegło jej sześciu drabów z piętnastego ułanów. Nowość. Przepuścili.

Tak — rzeczywistość przemówiła niezaprzeczalnym, jednoznacznym językiem międzyludzkiej śmierci na wielką skałę, wdarła się, po raz ostatni może, w zaczarowany krąg schizofrenicznej samotności. Trudno np. znaleźć abstrakcyjny metafizyczny pierwiastek w ryczącej baterii jedenastocalowych haubic (tu wystarczyły kulomioty) — chyba w dalekim wspomnieniu tego zjawiska, lub w wypadku zupełnego zblazowania. Realne jego przeżycie wywołuje raczej (u wielu, nie u wszystkich) pierwotniejsze stany religijne, w związku z wiarą w osobowe bóstwo i prowadzi do znanych powszechnie modlitw ludzi niewierzących w chwilach niebezpieczeństwa.

BITWA I JEJ KONSEKWENCJE

Genezyp zaszedł za ciemny węgiel i ujrzał, że cały tył gmachu płonął wszystkimi oknami, oświetlony „*a giorno*” (jak lubiła mówić hrabina-babcia), mimo że faktycznie robił się już dzień. (Wskutek zakrycia skrzydłami bocznymi, ustawionymi pod kątem do głównego trzonu, nie widać tego było od frontu — ważny szczegół!) Pełen dzikiego bojowego ognia (był w tej chwili zupełnym automatycznym bydlakiem, tylko *nad* „czołkiem” płonęła mu gwiazdka *bezimiennych* ideałów, jak nad tą damą na rysunkach Grottgera) młody junkier (a nie człowiek bynajmniej) wpadł na schody i popędził do swego szwadronu. Twarze przeważnie były blade, szczególnie u starszych panów, a oczy mętne i zniechęcone. Jedynie na paru młodszych pyskach widać było ten sam głupi zapal, co u Zypcia. Co innego byłoby, gdyby grała orkiestra i sam Wielki Kocmołuchowicz był obecny. Trudno — nie może być przecie wszędzie. O ileż łatwiejsze pod względem osobistego działania były dawniejsze bitwy.

Gdy zameldował się dyżurnemu oficerowi, ten rzekł spokojnie:

— Gdybyście się spóźnili o pół godziny, poszlibyście pod sąd wojenny. Tak skończy się na areszcie.

— Nie dostałem rozkazu. Siostra zachorowała na bardzo ciężką anginę. Byłem u niej całą noc. — Te słowa pierwszego nieomal w życiu oficjalnego kłamstwa, wykwitły jak blade storczyki na potwornej (pożal się Boże) kupie świństwa całej przeszłości. Na wierzchu tego śmietnika leżał trup z młotkiem we łbie. Szybko odegnał Zypcio ten obraz. Głos z innego świata, tego niby-rzeczywistego, mówił dalej:

— Nie tłumaczyć się. W rozkazie wieczornym, któryście samowolnie opuścili odalając się przed dziewiątą, stało jak byk, że dziś wszyscy junkrowie nocują w gmachu szkoły.

— Czy pan sądzi, panie poruczniku... —

— Ja nic nie sądzę. Proszę na miejsce — rzekł młody człowiek (Wasiukiewicz) tak zimno (ale zimno-jadowicie — po chamsku), że Genezyp, rozgorzały cały od wewnątrz, a nawet i na policzkach „świętym” ogniem młodzieńczej awantury i chęci *polowania raczej jako takiego*, a nie mordowania (tego na razie miał dosyć), zmienił się w kupę zastygłego *wojennego* żelastwa, takiego prawie że na szmelc, dobrego do trenu, szpitala lub kuchni ale nie na front! Tak zmarnowano mu tę chwilę, przez głupie formalności. Ale mimo wszystko rad był wprost piekielnie z całej tej „przygody”. Ideowa strona walki nie obchodziła go w tej chwili nic — zajmowały go tylko konsekwencje osobiste, a śmierć zdawała się nie istnieć wcale. Najgłupszy stan w świecie, który tak sprzyja wszelkim „wojennym dziełom” na niższych szczeblach wojskowej hierarchii. Zdawało mu się, że kadaver nieznanego brodacza wsiąknie w tę krwawą burdę bez śladu, zresorbuje się, wetrze się w skórę nadchodzących wydarzeń, których sensu, mimo wszystkich poprzednich rozmyślań, obecnie nie pojmował wcale.

Z daleka znowu zaklekotał kulomiot, a potem odezwały się bliższe pojedyncze karabinowe strzały i coś jakby daleki, daleki wrzask tłumu. Po cichu mówiono w szeregu, że akcja nastąpi w szyku pieszym. Dotąd nie było mowy o koniach. Wszyscy, z wyjątkiem zajadłych konnych cyrkowców, byli temu radzi — jazda po mokrych „kocich łbach” i asfalcie! — żadnemu normalnemu kawalerzyście nie uśmiechała się ta perspektywa.

— Baczość! — podwójny szereg zamarł. — W prawo zwrot! Dwójkami, równy krok, marsz! — rozległa się komenda. Genezyp poznał głos Wołodyjowicza — (nie widział go spoza filarów). Więc to on będzie dowodzić szwadronem — ten jego główny „wróg” szkolny, między oficerami. Co za pech! Ale mimo to wypiął się przed siebie z taką siłą, że przez chwilę zdawało mu się, że już jest tam, gdzie rzną się ogłupiałe bydłeta ludzkie, aby innym bydłatom kiedyś było troszkę lepiej. Idee! Boże — cóż to za szczęśliwe były czasy, kiedy idee naprawdę unosiły się nad podobnymi jatkami — teraz nikt nie wiedział nic. Oberwały się wszelkie wątpliwości jak napięte szelki — coś opadło w środku i wola osobista ustąpiła miejsca poczuciu zupełnego bezwładu jaźni — tylko system mięśniowy, któremu przewodził morderczy drab wewnętrzny, naprężył się jak transmisja maszyny puszczanej w ruch przez dalekie centrum sił. W lekkiej pustej głowie unosiły się obrazki: wolne, bezprzyczynowe, zdematerializowane. Poczul Genezyp głowę swoją jako coś wklęsłego, jako przepaść, a nad nią te fantazmaty, jak motyle jasne w słońcu. Ale czym było to słońce, które je oświetlało? „Środek Bytu” — tajemnica nieskończonej przestrzeni i zanikająca jedność osobowości jak czarny ekran, na którym rysują się pojedyncze obrazki, *ale która zastania niepojętą wszystkość. Inaczej nie byłoby nic.* „A ja żyć będę, psiakrew, bo jeszcze nie wypełniły się losy i jeszcze pokażę...!” — mówiły mięśnie. I na tle tej dziwności czerwona ściana stajni po drugiej stronie, a nad nią ołowiane niebo letniego, chmurnego poranka. „Więc dopiero tu jesteśmy?” — zdawało się, że upłynęły lata. „Nigdy nie poznam już rzeczywistości” — szklanna gruba szyba zapadła między Genezypem a światem. Nie przebiją jej nawet kule żołnierzy Syndykatu Zbawienia. Pryśnie razem ze śmiercią chyba. To, co dawniej było motorem wielkiej twórczości (tajemnica jaźni), bohaterską walką indywidualium o miejsce we wszechświecie, — miejsce w znaczeniu metafizycznym, nie społecznym — dziś jest tylko gnijącym ogonkiem obłędowych zagmatwań zdegenerowanej rasy schizoidów. Pyknicy i baby zaleją ich wkrótce, zatłamszą zupełnie — wtedy nikomu już nie będzie źle w świetnie zorganizowanym mrowisku.

Głos nienawistnego rotmistrza, obciążony teraz groźnymi, *prawdziwymi* komendami, przypomniał Zypciowi pierwszą wizytę księżnej w szkole. Jakże dawne to były czasy! Prawie nie poznał siebie w tamtym zahukanym chłopczynie z przeszłości — on, junkier idący w prawdziwą bitwę, prawdziwy morderca i wariat. Pierwszy raz sobie to uświadomił, że może to już... Nie było czasu... Ostatni obrazek: Drab zraszał się z nim: jeszcze w niektórych częściach (duszy) widać było dawnego chłopca, pożeranego przez ciemną beztwarzową postać tamtego. Zobaczył to Zypcio prawie plastycznie, jakby z boku. I zdawało mu się (oczywiście) przez chwilę, że ten niedawny więzień, a teraz pan, ma brodę, taką samą jak tamten zamordowany pułkownik, tylko czarną.

Wyszli na miasto i ulicami spadającymi w dół brnęli w lepkiem błotku ku przypuszczalnemu ognisku całej awantury. Znowu zionęło z wewnętrznych rezerw ducha zupełną dezynwolturą i lekkomyślnością wprost piekielną. Takie okrzyki jak: „Hajzaha! O hej!

Hajda!” itp. (gdyby nie były zbyt wstrętne oczywiście jako takie) mogłyby teraz być na porządku dziennym. A jednak, mimo że „oczyszczający płomień zaczynał już *oto* pożerać powoli od brzegów światno ogólnego marazmu”, Genezyp czuł, że gdyby nie spotkanie z wysłannikiem Dzewaniego, wszystko to nie byłoby takim właśnie lekkim i beztróskim jak w tej chwili. Był to jedyny punkt tajemniczy, posiadający jaki taki urok we wstrętnej jasnej pospolitości obecnego przekroju rzeczywistości i to nie tylko tu, zdawało się, ale we wszechświecie całym. Cały świat dawny, z tajemnicami i cudami, przedstawiał się teraz jako niebezpieczny i męczący chaos, pełen rozkosznych schowków, ale również i plugawych zasadzek; nieznanymi możliwościami, ale i mąk rozdwojenia i wynikających stąd bardziej realnych inkomodacji. Przykład: historia z pułkownikiem — na więcej takich „przeżyć” nie miał Zypcio ochoty, a jak zapanować nad czymś, co dzieje się samo, bez żadnego udziału kontrolnych aparatów? (Pigułki miał przy sobie — to jedno było pewne). Cała obecność (może z wyjątkiem np. takiej *oto* wewnętrznej ruchawki lub chińskiego muru w oddali — tajemnic drugiego stopnia) była jaskrawo-jasna, prosta, z wewnętrznego punktu widzenia przynajmniej zupełnie bezpieczna — bez kryjówek, w których czailiby się wrogowie-sobowtóry, ale też i bez tzw. „uroczych zakamarków”, do których można by uciec w każdej chwili, mając dość rzeczywistości. Ale przede wszystkim było to nudne — nudne jak cholera, jak chroniczna gonorrhoea, jak klasyczna sztuka, jak materialistyczna filozofia, jak ogólna dobroć wszystkich względem wszystkich. I gdyby nie ta bitwa na ten ranek jakby obstalowana, to nie wiadomo jakby jeszcze było — może by doszło i do samobójstwa. Jedyną iskierką tajemnicy wyższego rzędu była ta nowa religia. Jej, jak „ostatniej brzytwy”, chwytali się wszyscy prawie, czując, że poza tym nie ma już absolutnie nic, prócz naukowej organizacji pracy. A dla niektórych było to bardzo mało. Szczególniej cierpieli ci, którym od dzieciństwa pompowano do mózgow wzniosłe a blade ideały, a potem kazano być bezmyślnymi maszynkami w imię tychże ideałów. Jakże tak można — a fe!

Postanowił Genezyp, że jeśli przeżyje ten „mętlik” (jak w sferach zbliżonych do Kocmołuchowicza nazywano projektowaną rewolucję Syndykatu Zbawienia), to musi zapoznać się bliżej z doktryną nowej religii w całej jej rozciągłości. Zwykle bywało tak, że taki osobnik zażywał pigułki, a potem już szło jak po maśle. Zypcio postanowił na odwrót: najpierw poznać, a potem zażyć. Ale w praktyce okazywały się zwykle postanowienia takie niewykonalnymi. Problem, czy Kocmołuchowicz już zażywał, czy nie, roztrząsany był przez wszystkich bezskutecznie. Nikt nic nie wiedział na pewno.

Przed placem Dziemborowskiego (nikt nie wiedział na pewno, kto to był ten Dziemborowski) rozsypano ich w tyralierę w szerokiej kasztanowej alei. Tam gdzieś łupiono coraz silniej. Zaczynał się dzień szary, splakany, ohydny. Jakże daleka była ta chwila niebyłej jeszcze, a już potencjalnie zcodzienniałej walki, od tego wiosennego popołudnia, kiedy to przy dźwiękach bebecznych orkiestry szkolnej „natychała”, „*der geniale Kotzmlukovitch*” wiarą swoje przyboczne automaty. Czemu nie można ginąć (teoretycznie — w istocie nie było o tym mowy) w takim właśnie układzie, jak wtedy. Rozdźwięk między przedwojennymi akcesoriami, a samą wojenną robotą — nudną jak każda praca dla niespecjalisty, stawał się coraz bardziej przykry. Ogarnął Genezypa głuchy gniew na jego „nieud” (pech) życiowy — wszystko nie to, psia-krew, jak gdyby ktoś się zawziął na niego. I złość ta momentalnie przeszła w tzw. „dziki szal bojowy” — gryzłyby teraz na strzępy członków Syndykatu, gdyby ich miał pod ręką — ale same główne figury, a nie biednych, omamionych oficerów i żołnierzy, „przelewających swą krew”, aby taki Piętalski na przykład mógł żreć codziennie swoje poranne (!) ostrzygi z szampanem (!).

A tu nagle gruchnęły z pustej pozornie ulicy pierwsze bliskie karabinowe wystrzały. Potworny był hałas między domami — jak gdyby strzelała artyleria. Cała piękna wściekłość zmieniła się znowu w obrzydliwe niezadowolenie, że właśnie w takiej nędznej miejskiej ruchaweczce, a nie w „prawdziwej” bitwie... A — niech to...! I znowu wściekłość. I tak ciągle. Nic nie mógł pomóc tu nawet sam Kocmołuchowicz, siedzący gdzieś w dalekiej stolicy — działał dobrze na dawnego chłopca, na „draba z dna” nie miał jeszcze gryfu, mimo że (ale to szeptem) były gdzieś pod kanapami czy w wychodkach bezosobowe wątpliwości, że no, no, że czy i on sam (o Boże! — skąd tyle odwagi?) nie był czasem takim samym „drabem z dna” — swego własnego wyrobu oczywiście, a nie sobą, tym prawdziwym. Uf — kamień spadł z serca.

Zbuntowany 48 pułk piechoty, w którym nie dało się (z tajemniczych powodów) przeprowadzić rozproszkowania idei narodowych syndykalistów — [mówiono po prostu, że to „wrodzony patriotyzm” — furda! panie tego — w dzisiejszych czasach! Kpiny. Czemu właśnie w czterdziestym ósmym a nie dziewiątym? Przecież różnice zaborowe należały dawno do mitów. Cudne czasy — prawda? A tu Chińczycy. Buxenhayn mawiał często po pijanemu do Lebaca: „niepunktualnością tylko Polska stoi — gdyby była punktualna, powinno by jej już dawno nie być”. A gdyby można tak po mordzie tych draniów. Ale nie — „druhowie ostatniej demokracji” byli nietykalni — chyba ich tak urządzić jak Zypcio, pijanych, w cywilu, w ciemnej uliczce.], a więc pułk ten łupił nieregularnym ogniem po półokrągłym placu graniczącym z aleją, z dwóch narożnych domów, pospolitych jak wszystkie domy w nowych dzielnicach, a jakże w chwili tej niezwykłych i dziwacznych. Zdawały się domami z innego wymiaru, domami nieeuklidesowymi, hyperdomami, domami po prostu z bajki. Były to piekielne jakieś pałace, w których mieszkała sama śmierć ucieleśniona w kilku durniach ze starymi niemieckimi karabinami w rękach, nastawionych na bezecne, wprost nieprzyzwoite czynności, przez paru jeszcze gorszych durniów, bo przekonanych mimo dureństwa, że w nich się wcielił duch narodu, a w gruncie rzeczy chcących dobrze zjeść, wypić i poobląpić.

Gdzieś daleko za miastem bęcnął ciężko wystrzał armatni. Była w tym groza podobna jak w nadchodzącej z oddali burzy — ale tam było to rozproszone w naturze, tu skondensowane po ludzku, w określonym punkcie, którym mógłby być brzuch słuchającego — inaczej nie da się to wyrazić — ucłowieczony żywiol. Genezyp zamienił się cały w słuch — zdawało mu się, że ma uszy jak nietoperz. Bądź co bądź to *była* prawdziwa bitwa, jakkolwiek w parszywych warunkach się odbywała. Trzeba było przeżyć ją możliwie świadomie, choćby dlatego, aby móc mieć potem o tym swoje zdanie i odpowiednio to opowiadać. Przede wszystkim należało zapamiętać dobrze wszystkie odgłosy. Mimo długiej tresury nie mógł przyszyły oficer zdobyć się na najmniejsze techniczne zainteresowanie — jako problem taktyczny nie obchodziło go to nic. Gdyby tak mógł w tej chwili dowodzić dywizją, byłoby całkiem co innego. Ale mimo tytanicznych wysiłków, tak wielkie wytworzyło się pomieszanie materii, że nigdy potem nie zdołał Zypcio zrekonstruować wszystkich wrażeń w ich pierwotnych wzajemnych stosunkach. Przeszła noc, zarówno jak i ten nieubłagany zaczynający się dzień, były w stosunku do przepływania czasu wielowymiarowe — nie dawały się w całości wtłoczyć w sposób adekwatny w normalne formy ujmowania byłych zjawisk. Jedno było pewne, że noc ta wsiąkała w aktualnie przeżywany ranek jak jakaś wstrętna wydzielina w dobroczynną gąbkę — bladła i nikła coraz bardziej.

Mimo wszystkich „niedokładności wykonania” wypadków, pierwsze bzyki kul powitał jednak Genezyp z rozkoszą wprost nieludzką. Nareszcie! (Być „ostrzelanym” było marzeniem wszystkich młodych junkrów. Oczywiście lepsza byłaby rzeźnia *en règle* z okopami, tankami i huraganowym ogniem artylerii. Ale dobra psu i mucha). Za to stuk tychże kul o ściany kamienic z tyłu był już o wiele mniej przyjemny. Zbyt krótko trwał zapal. Gdyby jeszcze tak zaraz można było pójść do ataku na noże, byłoby cudownie. Ale nie — zatrzymano ich tu pod ogniem bez żadnego sensu (wszystko przeważnie, co robią dowódcy, wydaje się żołnierzom bezsensownym), kiedy, zza niezbyt wspaniałych kamienic Dziemborowskiego placu, wyłaził ponury, powszedni jak mycie się i golenie, letni dzień, odziany w poszarpane, znoszone jakby płachty szarych, upiornie pospolitych chmur. „Wszystko idzie za szybko, wszystko kończy się w jakimś krótkim spięciu i na nic naprawdę nie ma czasu” — myślał z żalem Genezyp w przerwie od ognia. Ach — gdyby można to tak z „góry na dół” przemyśleć, unieść się ponad to i już z tym, jako swoją własnością w bebeczach rznąć dalej gdziekolwiek bądź. Niecne złudzenie. Bitwa rozlaźliła się w rękach jako coś tak nieuchwytnego, jak dzikie harmonie muzyczne w jakimś utworze Tengiera. Szereg bezsensownych sytuacji i czynów bez żadnej kompozycji i co gorsze bez żadnego wdzięku. Czasami tylko tryskało wewnętrzne światło i na chwilę maleńką świat płonął jak w błyskawicy, w pięknie ostatecznego zrozumienia i gasł znowu, pogrążając się w sam ekstrakt pospolitości, spotęgowany tym, że pospolitość ta była z pewnego punktu widzenia (porannej kawy, spokojnych ćwiczeń, erotycznych przeżyć np.) niesłychanie niezwykła, nie tracąc nic z szarżyny i nudy, z którą można by porównać garnizonowy regulamin. Leżał teraz Zypcio za jednym ze słupów balustrady, otaczającej mały skwerek pośrodku placu. Miejsce to, gładkie, zwykle aż do bólu, nieinteresujące w swych detalach

ani trochę, zdawało się być terenem pełnym wzgórz i dolin, tajemniczym na tle nieznanego z sekundy na sekundę losu i ważnym niezmiernie w niewytłomaczony sposób — był to przykład jaskrawy z lekcji taktyki żołnierza w tyralierze. Wszystko to jednak było potencjalne — nie było rozkazu ognia — bezczynność wydłużała czas zdawało się aż poza krańce wieczności. Robiło się coraz jaśniej, coraz parszywiej. Znowu „głupiość” tej bitwy odebrała życiu cały urok. Sytuacja obecna i wizyta Kocmołuchowicza w szkole zdawały się być dwoma światami bez żadnego związku, bez żadnej transformacyjnej formuły. Nie wiedział Zypcio, że każda bitwa wydaje się w ten sam sposób głupia nie tylko prostym żołnierzom, ale i dowódcom kompanii i szwadronów, a nawet batalionów i pułków, chyba że mają oni określone i bardzo absorbujące zadania do wypełnienia. Co innego jest z oficerami dowodzącymi wyższymi jednostkami bojowymi. „*Réfléchir et puis exécuter — voilà la guerre*” — przypomniało mu się zdanie Lebaka, podczas jednej ze szkolnych wizytacji. Ani na jedno, ani na drugie nie było tu miejsca. Cóż można było wymyślić w stanie „spieszenia”, leżąc na brzuchu za słupkiem na ponurym, głupim (koniecznie) miejskim skwerku i co można było w tych warunkach wykonać? Nie było w co i w kogo strzelać. A tamci zaczęli „grzać” znowu i znowu „piukały” kule i stukwały tępo o ściany domów i pnie drzew z tyłu. Bezsens stawał się coraz straszliwszym i z wolna, dookoła twardego trzonu „bohaterstwa” zaczynała krążyć zwinna jak łątka myśl, że za chwilę może tego wszystkiego nie być (albo może być gdzieś w ciele jakaś wściekle boląca dziura), bo przecież, według rachunku prawdopodobieństwa, któryś z tych durniów trafić musi.

Nagle wypadł zza budki gazetowej zastępca dowódcy korpusu, major Węborek i ryknął: ale nim ryknął teraz właśnie (w porę zaiste), przypomniał sobie Genezyp, że ten jego trup też się tak właśnie, a nie inaczej nazywał. Ta koincydencja zastanowiła go i poczuł, że bezkarnie z tej awantury się nie wywinie — jeśli go nie odkryją jako mordercy, to tu nastąpi zaświatowy wymiar kary — „*ili raniat, ili ubijut*” — jak mawiał jeden z agentów Cara Kiryła, książę Rozbuchanskij. Że też mógł nie połączyć tych kompleksów: oczywiście stryj tego, były (przelatany) lotnik. I tu właśnie ryknął rozbestwiony major:

— Za mną, dzieci Wielkiego Kocmołucha! — i popędził jak nieprzytomny z szablą w rękę, w kierunku różowiejących w pochmurnej poświacie ranka domów naprzeciwko. Cała tyraliera pomknęła za nim. Ujrzał Genezyp cztery ogieńki w oknach kawiarni narożnej i rozległ się znowu nieznośny (już teraz otwarcie) klekot maszynowego karabinu i trwał od tej chwili bez przerwy czort wie jak długo. „I po co właśnie w tej chwili? — Za godzinę, za kwadrans, byłbym zdolny do wszystkiego. Tak — ale może nie *tu* — w jakimś jarze, na jakichś szkarpach (?) fortu, na jakimś przyczółku mostowym, psia-noga, ale nie tu, na tym zagwazdranym placu Dziemborowskiego” (bodaj przeklęty był do stu pokoleń ten ogólnie nieznan, wielki człowiek tego miasta i okolicznych przysiółków). Zupełnie już bezrozumna wściekłość ogarnęła Genezypa. Rwał jak opętany i wszyscy inni też. Pewno myśleli identycznie to samo co on i różni teraz na pysk za pędzącym *zdawało się* wśród gradu kul Węborkiem. Ale kulomioty wzięły za wysoko i junkry nie straciwszy ani jednego człowieka, wpadły na terasę kawiarni. Rozpoczął się bój ręczny — przeciwnicy, nieszczęśliwi durnie z braterskiego czterdziestego ósmego, ze strachu wypadli naprzód z drzwi kawiarni kupą i werznięli się w podwójną tyralierę junkrów, która zaginała się właśnie i skupiała od skrzydeł. Straszne to było łupienie. Ktoś (może i „swoj”) wyrznął Genezypa kolbą w goleń. Na tle piekielnego bólu bezsensowność tego, co się działo, doszła do niewiarogodnego natężenia, a z nią spotęgowało się zezwierzęcenie do granic płciowej nieomal rozkoszy — (bo mówiąc otwarcie, bez fałszywych manigansów, czyż jest wyższa marka wstrząsu, niż właśnie to?). W ogóle już nikt nie wiedział co, gdzie, jak i po co — nade wszystko po co? Ale zdeklanszowane raz rozbestwienie i strach — jednych przed drugimi i przed szarym widmem dyscypliny wojskowej — pchały ich dalej w ohydłą jatkę z beznadziejnym uporem. O „ideach” nie było mowy — dobre są w sztabach i tajnych komitetach, ale nie tu, a i tam nawet były czasem wątpliwe w tych okropnych odbarwionych ze wszystkich kolorów czasach. Przeważnie przeżuвано tylko mdłą, przeżytą już dawno i wypluniętą przez przodków papkę: białą, trociniastą, bez smaku i zapachu. Ale niektórzy w tym widzieli ostatni ratunek dla ich ostatnich życiowych „używek”. I po to ci durnie różni się właśnie w ten paskudny dzień po ulicach ospałego, skisłego we własnym sosie miasta.

Walka, Wojna

Junkrowie mieli kolosalną przewagę nad świeżo pobranymi rekrutami. W dwie minuty już uciekała bezładna kupa ulicą idącą od placu w zamiejskie pustacie, a za nią pędziły opijani łatwym tryumfem „dzieci Kocmołucha”. Genezyp kulejąc potężnie rwał nieco z tyłu, ale mężnie. Widział przed chwilą jak jakiś podoficer rozwalił kolbą łeb nieszczęsnego Węborka. Słyszał jeszcze w pamięci na tle hałasu bitwy mokry (podobny do tamtego...) trzask tak oddanej generalnemu kwatermistrzowi czaszki. Tej doby dwóch Węborków zginęło prawie w ten sam sposób a w okolicznościach tak różnych. Zastanowił się nad tym z dziką jakąś satysfakcją, mającą związek tajemny z płciowymi podziemiami ciała — zdawało się to tkwić dalej nawet — w ziemi, w samym pępku wszechbytu. „Potworność metafizyczna istnienia” — Abnol — Lilian — Persy. Koziolkujące asocjacje żywych potworków już, a nie wyobrażeń, wplątywały się w tę zwierzęcą pogon za nieszczęśliwymi piechurami. Upojenie świadomym bydlęctwem i złem — byle tylko przeżyć ten dzień do końca. Teraz dopiero, jak już zaczęło być aż tak dobrze, zaniepokoił się Genezyp o swój los. Nareszcie, nareszcie połączył się definitywnie ten ohydny ranek z tamtym szkolnym popołudniem. Szkoda tylko, że nie było wódki i muzyki — ale i tak było nadspodziewanie niezłe. W jakimś odpadku sekundy uświadomił sobie Genezyp, że Kocmołuchowicz, jako „wódz-bożyszczę”, przestał dla niego istnieć. Oto jak wyglądała ta jego robota z bliska. Już nie wróci nigdy, jako nadludzki posąg-maszyna — dziwne bydlę, na roztrzaskany piedestałek. Tu zostały jego okruchy na tym przeklętym Dziemborowskim placu. „Za plecyma” wodza odbyło się, na koszt jego uroku, połączenie tych niewspółmiernych chwil. Ten ciemny drab, którego się Zypcio kiedyś w sobie tak obawiał, nie był wcale taki zły: — był to przemyślny sprzymierzeniec, a nie żaden wróg — a przy tym był bestia odważny — to grunt. Ha — dużo był odważniejszy od byłego junkra — to był prawdziwy oficer. On to objął komendę nad wzburzonym ciałem, zorganizował i wypiął wszystkie flaczki w jednolity system sił i rozwydrzał teraz cały ten aparat do dalszej pogoni za tamtym nieszczęsnym bydelkiem. Bo przecież to nie byli ludzie, słudzy Syndykatu — to był pewnik nad pewnikami: omamione zwierzęta nieszczęsne. Aż nagle z jakiejś szparki, jak skorek, wypetłł dawny Zypcio (ten, co spuszczał psy z łańcucha) i coś szeptał zawzięcie o „mordowaniu swoich”, o miłości, o „kwiatkach” i wiośnie niepowrotnej, i snach dziwnych z okresu „przed przebudzeniem”. Ale już nikt go nie słuchał i tak zamarł stratowany bezosobowym bydlęctwem tłumu, tym całym gnającym junkierstwem, którego sam był bezwolną cząstką. Ktoś (czy nie Wołodyjowicz?) krzychał z tamtej strony byczym, grzmiącym głosem — „voix tonnante” — jak ten generał u Zoli.

— Pod ściany, pod ściany, kurdypielki!! — Zniknęła masa uciekających piechurów a z głębi długiej ulicy, ginącej w porannej, burej mgle buchnęły krwawo-czerwone błyski i cztery, prawie jednoczesne, straszliwe huknięcia się z szaloną szybkością ku nim. I jednocześnie jakby ktoś darł olbrzymie płótna w powietrzu i jakby olbrzymie, kilkumetrowe usta krzykogwidzały nazwisko filozofa Hume’a: „Hium, Hiiuuuum”. I znowu huknięcia pękających szrapneli, ale inne: metaliczne, płaskie, krótkie, i grad kul (tym razem prawdziwy) po ścianach i szybach. Z tyłu zajeżdżały już na plac „nasze” armaty. Rozpoczął się pojedynek lekkiej artylerii, a piechury obu stron waliły spod ścian, leżąc na brzuchach po rynsztokach i na trotuarach. Teraz to było chyba coś w rodzaju bitwy. Ale uczucie nonsensu trwało gdzieś, nie wiadomo w którym kompartmentie ducha, ciągle. Na tle piekielnych łoskotów, wizgów, wyc, brzęków, łomotu i trzasku darte powietrza słychać było jęki i ryki. Z dwóch stron łupią dwie baterie bez wytchnienia. Również bez wytchnienia strzelał leżący Zypcio, nie czując dwóch kul szrapnelowych w prawej łydce. Dzień był zupełny — wszystko naokoło bolało od niesamowitej aż w swej jasności zwykłości. Jeszcze trzy salwy armatnie „nasze” i tam cisza. A potem dudnienie dział po bruku — „nieprzyjacielska” artyleria cofała się w boczne ulice. I właśnie wtedy, zdawało się tuż nad głową, równocześnie prawie z westchnieniem ulgi: że „wszystko już dobrze”, pękł z nieznośnym trzaskohukiem daleki, zamiejski, ciężki szrapnel, wypluwszy całą swą zawartość gdzieś w tylne szeregi „nadciągających na czworakach” rezerw. Gorący gaz buchnął ołowianym ciężarem na głowę. Teraz poczuł Genezyp ból w nodze i dziwne zdrętwienie w całym ciele, a głowa była lekka, jakby pusta. W tej pustce zaświegotał nagle niepokój jak głupi, nieznośny, a przy tym kochany ptaszek. Teraz dopiero widać było, z jakich ciśnięć i napięć wracał junkier do zwykłej rzeczywistości. Któż to zmierzy i kto wynagrodzi. Nikt — jeszcze mu „naplują za jakiś detal na brode”. Coraz gorszy niepokój.

Coś się jednak stało i to dość złego. Chciał wstać, ale prawa noga zdawała się być nie jego i olbrzymia przy tym do niemożliwości, dostosowana rozmiarami do uświadomionej wreszcie wielkości: 1) hukowi, 2) działającym siłom i 3) samej chwili historycznej jako takiej. Dopiero jak dostał, zrozumiał, że jednak dzieje się jakaś rzecz ważna nie tylko tu i dla jego kraiku, ale dla całej ludzkości, może i dla wszechświata. Zwierzęcy okres bitwy przebrzmiał — zaczynała się sublimacja — oczywiście tylko subiektywnie, dla Zypcia — dla innych nie było tej drugiej fazy do samego końca. [Na przykład Kocmołuchowicz przeżył ten czas w łóżku z Persy. Od czasu do czasu tylko brał z niechęcią słuchawkę telefonu. Tylko on mógł dzwonić — do niego nikt. Za małe to były wypadki na takiego tytana. On oszczędzał sobie gangliony dla prawdziwie wielkiej rozprawy: z ruchomym żółtym murem]. „A jednak żyję i jestem ranny” — pomyślał z szatańską rozkoszą Zypcio, już zupełnie jednolity, odproblemiony z dwoistości, dla nikogo, ani dla siebie w swej obecności i inności niepoznawalny, ten, a nie inny, może trochę „zmężniały” pod wpływem przeżyć, może trochę „dojrzały moralnie” (?), może wreszcie „poważniejszy życiowo” — cha, cha — nikt nie widział ani widzieć nie mógł (ani on sam), że tu leżał zupełnie ktoś inny, tylko w zewnętrznościach ciągly z dawnym zypciowym cielesnym raczej niż duchowym „ja”, a w ogóle *jakiś* dorosły oficer, powalony w ataku na ulicę Figlasów Michalika. Wywalił się znowu w rynsztok (ścieknik?) z rozkosznym poczuciem dokonania swego, spełnienia wreszcie jakiegoś pozytywnego czynu. Dotąd życie było usprawiedliwione i zbrodnie zmazane, raczej zamazane. Ale odtąd każda chwila wymagać będzie takich usprawiedliwień. Kto raz na tę drogę wejdzie albo: A) musi się doskonalić, albo B) bardzo intensywnie upadać i staczać się, albo C) zwariować dla wyrównania napiętych potencjałów między marzeniem a rzeczywistością. Śmierć nieznanego brodacza znikła ze świadomości jako jego, Zypcia, „dzieło” i odtąd miało trwać tak już zawsze. Po prostu stała się ona czymś zbyt małym i niedostrzegalnym w nowej skali przeżyć. Gdyby mord tego dokonał dawny Zypulka, byłoby to czymś strasznym — jako czyn tego drugiego, wzięte bezpośrednio stało się czymś takim jak rozduszenie karalucha. „Pigułki, och, pigułki — teraz nadchodzi pora”. — „Nie zdechnąć tylko z tych ran, a otworzy się życie wspaniałe, jedyne w swoim rodzaju, to a nie inne — takie, w którym w cząstkowatości przeżywa się aktualną nieskończoność świata, bez poczucia krzywdy ograniczenia”. To dają czasami narkotyki.

Powoli zatracano się poczucie własnej jaźni. Jasne już szaro-żółtawe, pochmurno-popolite niebo miejskie zakolysało się szerokim ruchem i stało się *tak dalekie, że aż nieskończone*, jak bywa tylko czasem w chwilach wyjątkowego astronomicznego natchnienia gwiazdzisty firmament. Domy na odwrót wywrócone zdały się na krótkie mgniénko brzegami otworu jakiejś potwornie wielkiej pieczary, zwróconego na tę ochrowo-mleczną pustą nieskończoność, zaktualizowaną jakby w swej metafizycznej monotonii i nudzie, ponad wszelkimi różnicami ziemskich „interesującości”. On leżał teraz przyklepiony do asfaltu jakimś ledwo trzymającym kłajsterkiem nad wiekuiącą otchłanią nieskończoności. Trotuar był podłogo-powałą tej wiszącej nad samym niebytem grotty. Czarne, miękkie płaty wśród oślepiających kręgów zawirowały cicho, złowieszczo-dyskretnie = mogło być przecie coś więcej w tej ostatniej chwili. Zasunęła wszystko ciemna mdłość i nieznośne cierpienie, zupełnie nieokreślone — w nim zaprzepaściły się tamte bóle bez śladu. Wypełniło ono zdawało się wszystko aż po brzegi, a nie tylko jego ciało, i wyparło gdzieś na zimne, ciemne krańce duszy wszystką poprzednią rozkosz. Nie można było tego wytrzymać. Świadomość zgasła na ostatniej kondygnacji poznania, gdzie już, już, już wszystko miało stać się raz na zawsze jasnym, pewnym i zrozumiałym, jak ten nieznośny „niedoból” (*malaise*), rozsiany po ostatnich zakamarkach wszystkości. „Może to śmierć — ale przecie dostałem tylko w tę przeklętą nogę” — ostatnia myśl zarysowała się w nieznanym, a mimo to w *prawie* niezrozumiałych znakach na absolutnej pustce bez nazwy, pustce, w której duszącym jak dym siarkowy wnętrzu nie było już miejsca na osobowość. Przekłuta szpilką ostatniego błysku: „że to może ostatni raz...”, pustka pękła i Genezyp wśród szalonych nudności (metafizyczno-psycho-fizycznych) chwilowo przestał istnieć (sam dla siebie, *jako taki*).

OSTATNIA PRZEMIANA

Gdy się ocknął, leżał w białej sali szpitalnego szpitala, a jednocześnie leciał w dół z niepojętą szybkością i te dwa sprzeczne stany zmieniły się szybko w realną chęć niepowstrzymanego rzygania. Wychylił się. Ktoś podtrzymywał mu głowę. Jeszcze przed rzygnięciem zobaczył Elizę, tę z pierwszego rautu u księżnej. To ona właśnie trzymała mu to olbrzymie, obolałe coś, które niegdyś nazywał swoją głową. Była w stroju pielęgniarce — ogromny krzyż krwawił się na jej albatroszących się piersiach i brzuchu. Straszliwy wstyd zahamował nagle wszelką chęć rzygnięcia. Ale ręce jej pochylały mu głowę nad kubłem i dokonał swego, purpurowy i spocony — pękający od nieznośnego upokorzenia. Tu go doznało przeznaczenie (nie czuł nogi wielkiej jak piec, nienależącej do niego i bolącej tak, jakby to kogoś gdzieś bolało, a jemu ktoś inny o tym kiedyś opowiadał, a jednak okropnie, okropnie...), aby w ten sposób ohydnie go skompromitować przed tą jedyną możliwą miłością, przed tą trzecią kobietą, o której zapomniał zupełnie, tą, która jedynie mogłaby być jego żoną. Bo momentalnie i nieodwołalnie postanowił się z nią ożenić, a jednocześnie wiedział przecie, że po takim spotkaniu: on: nieogolony, czerwony, rzygający i spocony — ona: anielsko piękna i uduchowiona na niedościgłych pinaklach doskonałości — jest to wykluczone na wieki. A jednak już w tej chwili, razem z rzygnięciem wypuścił tu przed nią, jako przedślubny podarek i swoją ohydą nieszczęśliwą miłość i dziecinną bezinteresowną zbrodnię — ofiarował jej to potencjalnie, bo mówić jeszcze nie mógł. To wszystko robił oczywiście drab ze dna, o czym ani on, ani nikt nie wiedział. Ostatni raz niech będzie wspomniane bezimienne imię tamtego, który odtąd jedynie bytował w tym już leciutko skatatonizowanym cielesnym wspaniałego byczka.

Opadł znowu na poduszki — czuł tylko głowę nieznośnie wirującą — zanieiony sponad w nieskończoności gdzieś stojącego kubła przez te dobrotliwe, jedyne ręce. „Ach, gdyby tak ciała nie było wcale, gdyby się tylko duchy mogły roztopić w sobie, bez tego przekłętą zamięszania się brudnych bebechów” — pomyślał Zypcio. Nareszcie przyszła prawdziwa miłość i to w takiej fatalnej chwili. Jest to coś prostego i absolutnie niewyraźnego, a ci, co lubią o tym mówić i pisać, dowodzą jasno, że nic ciekawszego do powiedzenia nie mają i gładzą, gładzą, gromadząc i kombinując bezsilne słowa, kiedy to, co na ten temat powiedzieć można, dawno już powiedzianym zostało. Tak twierdził Sturfan Abnol. (On też brał udział w walkach tej nocy, ale jako sanitariusz bezpartyjnego szpitala, zorganizowanego przez Dżewaniego we wszystkich ważniejszych miastach. Skąd ten czarniawy demon wiedział, że to akurat dziś ma być i w jaki sposób zdążył swój szpital zorganizować, pozostało tajemnicą na wieki).

Teraz dopiero naprawdę poczuł ból w łydce i goleniu i przypomniał sobie *naprawdę* bitwę. Dotąd to nie były jeszcze *jego* przeżycia. A jednak zachował się dobrze: prał i nie uciekł — choć się trochę bał, strach ten opanować umiał — mógł być oficerem. To go pocieszyło i utwierdziło w sobie na tyle, że mógł wybelkotać:

— Niech pani odejdzie. Dziękuję. Nie chcę, żeby pani mnie doglądała. Skąd te torsje? Proszę mi przysłać jakąś starszą damę. Jestem wstrętny, ale będę innym. — Ręka jej, niewinna i płciowo-czysta (tak inna od tamtych i „tych tamtej” nawet) przesunęła się po jego lepkiem, spoconym czole; a potem po nieogolonych (ledwo znać było ten „zarost”) policzkach.

— W imię Murti Binga i granicznej jedności w dwoistości, niech się pan uspokoi. Wiem, że pan jest na drodze do poznania. Straszne musiał pan przejść rzeczy, aby poznać to. Ja wiem wszystko. Ale będzie lepiej, będzie zupełnie dobrze. Jest pan podobno kontuzjowany, ale to przejdzie. Dziś ma być Bechmetiew na konsylium z tutejszymi lekarzami.

Nagły rozkoszny spokój spłynął z jakichś jakby „zaświatowych stron” na ten rozdarty kłęb wstydu, obrzydzenia, rozpacz, zawodu i lekkiej, lotnej jak puszek nadzieji (to było najgorsze — lepsza już byłaby zupełna beznadziejność) jakim było jego ciało. Duch uciekł gdzieś do ostatnich zakamarków, zaklinował się w najciemniejszy kąt i czekał. [Ani na chwilę nie dało mu spocząć przekłętą przeznaczenie. Pchało go w sam środek coraz szybszego wiru wydarzeń, nie dając mu się nad niczym zastanowić, nic przetrwać — tak zwane „bezpłodne intensywne życie”, do którego tak tęskni tyłu z tej miazgi, na której dopiero rosną sobie takie kwiatki. Jakże tu nie zwariować w podobnych warunkach?] Ale czyż to drugie spotkanie się z nową wiarą, wcieloną teraz w Elizę, nie jest znakiem,

że na tej drodze właśnie czeka go wybawienie z tego całego splotu potworności, w który zabrnął? Może jest to dowód istotności tamtego pierwszego nocnego zetknięcia się z tajemnicą Murti Binga i „granicznej jedności”? Tak myślał, a obok takich idiotycznych myśli, którymi wszyscy prawie staramy się ugłębić i upiększyć w niższym wymiarze dziwności najpospolitsze koincydencje lub skutki działań istot, obliczających partię życia na kilkanaście posunięć naprzód, wrzało w jakimś małym, ocalałym z ostatniej katastrofy kociołku, od rodzącego się piekielnego wprost przywiązania do Elizy — właśnie przywiązania, a nie czego innego. Był to wybuch, ale w zwolnionym tempie. Już teraz wpijał się w nią duchowo jak krab, czując, że tylko z mięsem mógłby być od niej oderwany. W atmosferze tego napięcia, wywołującej zdawało się zginanie się samej dookolnej przestrzeni, biedna dziewczynka, mimo wszelkich metafizyk *à la* Murti Bing, słała się od ogarniającej ją nieznanej żądz oddania się. Nie wiedziała jeszcze, jak to trzeba zrobić. Zdawało się, że rozpiera ją sama aktualna nieskończoność, a to takie było proste i właśnie ograniczone.

Czy tylko to nie wstyd zakochiwać się po raz trzeci, mając takie (!) doświadczenia? Nawet potworna, zmarnowana pierwsza miłość do księżnej nie była tu tak wielką przeszkodą (jad zresorbował się w tamtym „obsrywaniu się”), jak ta druga, nieszczęśliwa i zawiedziona — mówiąc delikatnie. To było najgorsze. Mimo że niby całą przeszłość diabli wzięli, nie mógł Zypcio znaleźć żadnego punktu oporu przeciw tej klęsce, już teraz abstrakcyjnej raczej, niż rzeczywistej. A siły przecie miał dosyć. Tylko że w miarę tworzenia się wyciekała ona z niego, jak ciecz z dziurawego garnka, a tą dziurą było tamto obrzydliwe, oszukańcze, zapieczętowane zbrodnią uczucie — nawet nie uczucie, a czort wie co — „*gadost*”. A gdy leżał tak spokojnie z zamkniętymi oczami, trzymając niedoszorowaną jeszcze żołnierską łapę w „niebiańskiej” dłoni Elizy, nikt by nie powiedział, że w tym wzniosłym chłopczyku mieści się aż tak potworne wężowisko sprzeczności. Całe zło spływało z niego przez tę rękę prosto w serce tamtej dziwotwory, która potem rozproszadzała je po jakichś chłonących jad gruczołach, zbierając zapas antydotów, czyli antyciał, na czarną godzinę. Nie wiedziała biedactwo, co ją czeka. Bo rzecz dziwna, że wiara i pigułki Dżewaniego, dając wiele doraźnie, na każdą chwilę z osobna dostarczając środków do walki z osobowością (a cóż jest zło, jak nie trochę zanadto wybujała osobowość?), zabijały w wyznawcach i zjadaczach wszelką intuicję przyszłości, wszelką możliwość całkowania chwil w konstrukcję życia na dalszy dystans. Następowало zupełne rozproszkowanie jaźni na szeregi bezzwiązkowych momentów; na tle możliwości poddania się każdej, najgłupszej nawet mechanicznej dyscyplinie. Nie darmo pracowały nad formułką dawamesku Bz najtęższe mózgi spośród chemików chińskich, wydzielając i łącząc niewinne grupy C, H, O i N w fantastyczne diagramy chemicznych struktur. Bo o ile podobno sama wiara płynęła z nieznanej nikomu bliżej malajskiej wysepki Balampang, o tyle środków realizacji dostarczało Państwo Niebieskie i „koncern zbolszewizowanych mongolskich prynców i władcyków”.

Dopiero teraz zainteresował się Genezyp rodziną, ale jakoś nie śmiał pytać. A czemu? Po prostu rozkoszne było mimo wszystko to poczucie oderwania od rzeczywistości; a tu kwestia „alibi” i rozmowy z Lilianą, a tu teatr i Persy, a tu czort wie co mogłoby się wyłonić. Ale trzeba było przerwać ten stan. Ach, wiecznie płynąć tak z głową jak bania, choćby rzygając wieczność całą, byle prócz kubła nic nie było na tym świecie — żadnych problemów. Życ w ciągłym niezdecydowaniu, w *ciągłym zamiarze bez końca*, w obietnicy — tylko w tym jest wszystko i doskonała okrągłość. Ach, prawda: a zamach? Ale to było oczywiste: kwatermistrz zwyciężył. Ona potakująco kiwnęła głową, odgadując jego myśli. Gdybyż wszystko to było jeszcze dokonane w imię jakiejś określonej idei, gdyby można wierzyć jeszcze w coś poza sobą i poza obowiązkiem mechanicznego wypełniania narzuconych przez sam nieodwołalny fakt istnienia funkcji: od fizjologicznych, aż do wojskowo-społecznych — wtedy przeżycie takiej awantury byłoby szczęściem. Trudno — są szczęśliwe osobniki, które właśnie w takim wplątywaniu się w byle jaki układ rzeczywisty znajdują usprawiedliwienie swej egzystencji, i są wieczni wygnańcy, nie jakiegoś określonego kraju, społecznego kompleksu ani nawet ludzkości, są „wygnańcy świata”, jak ich nazywał Sturfan Abnol. Nie są to ci, którzy przez przypadek nie znaleźli odpowiedniego dla siebie miejsca, nie „*déveineur’zy*”, nie „nieudaczniki”, którzy „*pust’ płaczut*” — dla nich w ogóle miejsca nie ma i nie ma udanego dzieła i sytuacji, ani żadnej możliwej szansy,

nawet gdyby się tacy, jak są, znaleźli w nieskończenie wyższych lub *niższych* kulturach jakichś dziwnych stworzeń, na planetach innych układów. Dawniej byli to twórcy religii, wielcy artyści, a nawet myśliciele — dziś niektórzy dostają bzika, a inni cierpią potwornie całe swe niepotrzebne nikomu życia, nie mogąc *nawet* porządnie zwariować. Na szczęście jest ich coraz mniej. Ale znowu przyszło zbawcze myślątko trzeciej klasy: musi w tym być sens jakiś, jeśli on: a) spotkał Hindusa, b) nie zginął, c) spotkał JA i d) ona właśnie wierzy w Murti Binga. Nie chciał myśleć o tym: każdy wysiłek wywoływał zawrót głowy i wymioty. Już rzygał znowu wsparty spoconym łbem na jej dobrych, miękkich jak płatki kwiatów dłoniach. Ale czynił to swobodnie, lekko i bez żadnego już upokorzenia.

Informacja: torsje te nie tyle były wynikiem kontuzji, ile zatrucia morfiną, co później stwierdził sam genialny Bechmetiew.

Powiedział sobie: „niech się dzieje, co chce. Poddaję się przeznaczeniu”. — Potem leżał bezwładnie. Była to jedna z chwil prawdziwego szczęścia, których nie mógł nigdy dostatecznie docenić: zupełna izolacja czystej jaźni, podobnie jak na granicy utraty przytomności w eterycznej narkozie: nieodpowiedzialność, ponadczasowość — „byt idealny” pojęcia, jako rzeczywiste przeżycie — a jednak był to on, Genezyp Kapen, identyczny ze sobą i jakby wieczny, poza wszelką kontyngencją życiowych spraw. Jeszcze trochę to spotęgować, a nastąpi nicomość: „złanie się z dwoistą jednością” Murti Binga.

Informacja: w wierze tej nie było metempsychozy, hierarchii i kondygnacji „planów”, tylko różne sposoby (a nie stopnie) zlewania się z jednością tu, w jedynym byciu możliwym, czasowo-przestrzennym. Na tym polegała wyższość wiary tej nad różnymi „teozosiami” (jak mówił Kocmołuchowicz), że nie było w niej nadziei na jakieś tam „poprawki” na innych „planach”: tu trzeba było zrobić wszystko, a inaczej „sposób złania się z jednością” mógł być tak straszliwy, że skóra cierpła na samą myśl o tym. Wiedzieli o tym ci, co zażyli choć raz (w ogóle więcej nie było nawet trzeba) piekielne pigułki Prezesa Najwyższej Rady Chemicznej Niebieskiego Państwa, nieśmiertelnego Czang-Weja. Mieli przedsmak tego, co ostatecznie (czas był wykluczony z tych rozważań — jak? — nikt nie wiedział — ale nie była to bynajmniej wieczność) przeżyć by musieli, gdyby nie chcieli poddać się dyscyplinie śmierci za życia, zupełnemu zmechanizowaniu wszelkich funkcji życiowych — miało to być uczucie „*malaise*”, podobne do duszności, niestrawności, mdłości i *zgagi*, doprowadzone do nieskończonych nieomal potęg wszystkich czterech tych elementów, przy czym wizje wzrokowe przedstawiały niesłychanie męczące *bezsłowne* zlewanie się niezrozumiałych przedmiotów w coś, co istnieć nie mogło.

Eliza trzymała dalej rękę Zypcia i była to jedyna pępowinka, którą łączył się ze światem. To była nareszcie prawdziwa miłość: „kochanka” nie wciągała go w zdradliwe gąszcz „takości” życiowych, tylko stwarzała pancierz, izolujący go od reszty istnienia, ginąc w nim sama jako obca jaźń, stając się tylko symbolem absolutnej samotności. Oczywiście taką była prawdziwa miłość dla niego (czyli dla „draba z dna”) — dalekie to było od tego, co normalnie za miłość uważanym bywa: w tej ześrubowanej w sobie osobowości nie było już miejsca nie tylko na przejście się kimś drugim „od środka”, na „dbanie o niego” w najogólniejszym znaczeniu, ale nawet na obojętne zrozumienie tego faktu, że inna niż on psychiczna struktura w ogóle jest możliwa. A cóż dopiero mówić o poświęceniu dla tego kogoś, zrezygnowaniu na jego rzecz choćby z jakichś drobnych przyzwyczajzeń! Był prawdziwym wampirem, sam o tym nic nie wiedząc — mimo że nie zdawał sobie sprawy z możliwości istnienia niepodobnej do niego jaźni, praktycznie na tym fakcie „inności”, zupełnego przeciwieństwa (w tym wypadku „żądzy ofiary”) opierał instynktowo swoją własną egzystencję, nie tyle okłamaną własną „duszą”, świadomie i z wyrachowaniem, ile całą organizacją komórek swego ciała z koniecznością skonstruowanej w pewnym celu maszyny. Mógł zdawać się nawet „dobrym” dla innych i sam mógł się za takiego uważać, ale, jak mówi Kretschmer, „*binter dieser glänzenden Fassade waren schon nur Ruinen*”. W tym mrocznym świecie rozpadającej się osobowości miała błędzić dusza Elizy do końca, jak w jakimś zaświatowym piekle, stworzonym dla niej za życia przez nienawistny

przypadek takiego właśnie ciała i takiego pięknego chłopczykowatego pyska: wiecznie nienasycona ofiarą, spalająca się w niesytej żądzy zupełnego oddania się, którego on bałby się nawet, jako czegoś stawiającego go oko w oko ze znieawidzoną rzeczywistością. On mógł tylko chleptać jej krew przez wąską rurkę jak komar — w tym było jego szczęście. Nic nie wiedząc o takich psychologicznych kombinacjach, kochali się po prostu jak „para gołąbków”, jak zwykła parka na końcu bajki, kiedy to już „wszystko jest dobrze” aż do spokojnej śmierci.

Aż tu nagle, kiedy zdawało się, że przekłeta rzeczywistość wyparta została definitywnie aż na krańce pustego, doskonałego w nicości swej świata, straszne nienasycenie (absolutnie niczym możliwym), ta zhora początkujących schizofreników, złapało go za wnętrzności od spodu. Jęknął i wyprężył się — zrobił po prostu „most” i zdawało mu się, że wisząc nad przepaścią pępkiem dotyka samego, w nieskończoności tkwiącego „nadiru”.

— Jaki dzień dziś?

— Wtorek. Dwa dni był pan nieprzytomny.

— Proszę o gazety.

— Nie można teraz.

— Muszę. — Wstała i zaraz przyniosła. Przynosząc mówiła:

— Kochałam cię już wtedy u Ticonderogów i wiedziałam, że wrócisz do mnie.

— Czy już wtedy...?

— Tak: byłam już wtajemniczona.

Czytał, a wszystko kołowało mu straszliwie we łbie i widział chwilami ją wplecioną w druk i w wypadki tym drukiem wyrażone. Działo się to naprawdę po raz drugi na jakiejś płaszczynie rajsbretowatej, będącej już poza tą naszą przestrzenią, tam w tej mdłej nicości (w której przebywał tuż, przed utratą przytomności na ulicy w czasie bitwy), a która zaczynała się jakby na szczytach ludzimierskich pagórów. Całe życie było na niej rozwałkowane, jak kawał ciasta. Któż jak nie on musi z tego zrobić pierożki, tylko czym nadziane, kiedy prócz tego nie było nic i ile, ile?! — Boże cóż za piekielne zadanie ponad siły! Znowu rzygał i znowu czytał. Opis bitwy na placu Dziemborowskiego był dla niego najstraszniejszy. Widział siebie wyraźnie z boku w całej tej wstrętnej „działalności” i przeżył znowu ten okres absolutnego bezsensu, ale już bez dodatku usprawiedliwiającego wszystko, a niczym nie usprawiedliwionego zapału. Tak: miała rację Irina Wsiewołodowna: brak idei był tego bezsensu przyczyną. Nie pomoże kawaleryjski marsz i dzika, młoda kawaleryjska siła, promieniejąca z czarnych gał i wąsów, i kawaleryjskich lędźwi, i jąder generalnego kwatermistrza. Naukowa organizacja pracy i racjonalna regulacja wytwórczości to nie są właściwie idee. Ale innych nie ma i nie będzie — chyba bzdura zdegenerowanej religii w rodzaju Murti Binga. Szlus.

Na końcu wczorajszego numeru „Brytana” znalazł wzmiankę następującą: „*Krwawe porachunki*. W mieszkaniu znanej artystki teatru Kwintoffrona Wieczorowicza, pani F. Z., nieznanego sprawca zamordował uderzeniem tapicerskiego młotka w głowę sublokatora tejże, pułk. Michała Węborka, byłego pilota i byłego szefa gabinetu gen. kw. Kocmołowicza. Przebywał on w K. incognito, jako urzędnik dla specjalnych poruczeń ministra wojny. Badania daktyloskopiczne nie dały żadnego rezultatu — przezorny sprawca odziany był w rękawiczki. — („Cha, cha, — przezorny sprawca! Zapomniał po prostu zdjąć — po prostu nie wiedział, kim był, a oni... ten wstrętny dziennikarski styl! Pierwszy raz miał „wycinek” o sobie. Kto to mówił — ach, to Tengier: „człowiek bez wycinków jest niczym. Pokaż mi twe wycinki, a powiem ci, kim jesteś”. Oto mam — pierwszy i chyba ostatni. Śmiało się i czytał dalej). — Zmarły tragicznie śp. Węborek miał niestety wiele znajomości, rekrutujących się z najgorszych szumowin miejskich, a koncentrujących się dookoła lokalu „Euforion”, znanego jako miejsce *rendez-vous* miejscowych, a nawet zamiejscowych homoseksualistów. W mieszkaniu nie było nikogo prócz ofiary, gdyż tego wieczoru właśnie p. Z. wyjechała wraz ze swą gospodynią nocnym ekspresem do stolicy”. — „Ach — więc to było uplanowane! A ścierwo!” Upokorzenie jego i wstręt do siebie doszły do niemożliwych do wytrzymania granic. Musiał wyznać wszystko — inaczej by go to zadusiło jak kłęb glist, pełzających z żołądka. Wyrwał Elizie prawą rękę ze wstrętem i zmiął gazety w jedną bułę.

— Mówiłam, że nie można...

— To ja — to ja to zrobiłem... — Wyszarpnął znowu z tej buły numer „Brytana” i wskazał jej fatalne miejsce: swój jedyny wycinek. Znowu wszystko: i bitwę, i dowód odwagi, i odwagę samą, i honor zabrało mu w mgnieniu oka tamto plugastwo. Czytała, a on patrzył dosłownie przez palce w jej twarz. Nie drgnęła. Złożyła spokojnie gazetę i spytała:

— Czemu? Tęgo nie zauważyłam.

— Kochałem ją, ale wierz mi: inaczej niż ciebie. To było potworne. Wszedł tamten drab. Ona uciekła przedtem. Czy tu rozumiesz? — Mówił jej ty, sam o tym nie wiedząc. — To wszystko było przygotowane. Jestem splugawiony. I ja ją kochałem! Inaczej, ale także mimo wszystko. — (Nie mógł jednak wobec niej kłamać). — Ale to nie była zdrada. On nie był jej kochankiem. To niemożliwe. Już jej nie kocham, ale coś strasznego jest we mnie, czego nie pojmuję...

— Uspokój się. Ona była kochanką wodza. Musiał ją mieć przy sobie, ale nie na co dzień — to by mu odbierało siły. Jeździła do niego co miesiąc. Musiał ją mieć zaraz po pokonaniu rewolucji — inaczej wściekłyby się. — Te słowa i ten styl w jej (JEJ!) ustach to był szczyt perwersji! Ale zaraz poczuł, że to nie jej słowa, że to ktoś jej tak opowiedział i ona powtarza to prawie dosłownie. *Mimo to* pękła w nim jakaś tama i nareszcie zmysłowy obraz Elizy połączył się w nim z tą tylko co „wybuchniętą” czystą miłością. Pożądał jej więcej niż kiedykolwiek księżnę lub Persy, a nawet wszystkie możliwe kobiety świata aż po wieczność samą, ale inaczej... Ach — na czym polegała ta różnica? Chyba na tym, że tamte były to potęgi wyższe od niego (nawet księżna — tylko starość jej była pewnym obniżeniem) — nigdy nie mógłby ich pokonać, wchłonąć w siebie i zniszczyć. Tak — zniszczyć — to było rozwiązaniem zagadki: Elizę mógł pożreć jak dziki zwierz, mimo że podobała mu się więcej niż tamte. A może dlatego, że ją właśnie kochał naprawdę i to przedtem właściwie, nim mu się podobać zaczęła. Ale na czymże u diabła polegała ta miłość, jak nie na poczuciu możności pożarcia? To była właśnie ta wymarzona izolacja od świata, doprowadzona do ostatecznego wypełnienia — pożerając i niszcząc izolował się — to takie proste. Oczywiście nie wiedział o tym wszystkim sam Zypcio, a tym mniej ona. Tym niemniej na tle tej miłości ten stopień pożądania był szczęściem prawie nieludzkim. Gdyby tylko na dnie tego wszystkiego nie było wstępu (do czego?), niby małego, a tak w gruncie rzeczy wielkiego, że tylko śmierć (czyja?) zabić by go mogła. Ale tamta wiadomość była bądź co bądź druzgocąca.

— Kocmołuchowicza? — wymiamał, jeszcze prawie nie wierząc, na tle tamtych zmian, odbywających się jakby na tylnym ekranie świadomości.

— Tak — odpowiedziała spokojnie Eliza. — Tak jest lepiej. — Skąd mogła wiedzieć o tym, co się w nim miało stać za chwilę, skąd, psia-krew, wiedziała ta naiwna panienska, że tak właśnie będzie lepiej? Chyba jeden Murti Bing...? Ostatni wewnętrzny promień zniknął, zgnieciony czarną łapą z dziecinnego snu. Ucichła ostatecznie wojenna muzyczka — ta ze szkolnej wizyty wodza — wściekły kawaleryjski marsz Karola Szymanowskiego. To on mu ją zabierał, ten piekielny tytan z czarnymi kozackimi wąsami, ten najbardziej tajemniczy człowiek naszych czasów, ta nie tyle apokaliptyczna co „apoplektyczna bestia”, jak go nazywali pokątni wrogowie. Była w tym osobliwego rodzaju chwala, ale wszystkie światła przeszłości zgasły bezpowrotnie: za Gezeypem rozpościerała się czarna noc umarłej ohydy i umarłego wstydu. Ale właśnie tak jest doskonale, bo przecież — to jasne — w ten sposób *cała* przeszłość zostaje przekreślona i wsiąka jak w gąbkę w tę nową miłość. Tylko ta niewygoda zostaje, że z tej przeszłości nic już czerpać nie wolno. Koniec. Eliza, jako ta właśnie, która tę wiadomość z umarłego już świata przyniosła, wypiętrzyła się (duchowo oczywiście) do „niebotycznych” rozmiarów, załała cały rozszarpany horyzont jakimś mlecznym, łagodnym sosem i wchłonęła całą potworność życia. Teraz dopiero upolowana zdobycz gotowa była do tego, aby być pożarta, jak królik obśliniony przez anakondę. Było to wysoce nienormalne i niebezpieczne: (mimowolne liczenie na kogoś), ale było dobrze. W istocie Zypcio stracił jedyną rzeczywistą podstawę (wypnęła się spod niego jak podpórka spod wieszanego człowieka), podstawę dla normalnego rozwiązania życia. Głową na dół powoli zagłębiał się w bagno obłędu, nie widząc nawet na pożegnanie niepowrotnych gwiazd, świecących gdzieś z tamtego brzegu. „*Potuszczająca forma schizofrenji*” — powiedziałby Bechmetiew.

— Skąd wiesz?

— Od mego mistrza. Bezpośredni podwładny Najwyższego Mistrza Dżewaniego: Lambdon Tygier. Poznasz go. On cię nauczy, jak znosić ciosy życia. Wtedy poczujesz się nie tylko godnym mnie, ale także poznania Tajemnicy Dwoistej Jedności Granicznej.

— Ten twój mistrz musi mieć niezłą policję tajną. Boję się, że pracuje ona metodami lepszymi niż nasza defensywa.

— Nie mów tak, nie mów tak. — zakryła mu usta ręką. Zypcio zamknął oczy i zbałwaniał zupełnie. — Poznasz go, ale dopiero po nocy poślubnej ze mną. — A może i wcześniej. To musi się stać i ty w to wierzysz. — Ale swoją drogą sposób traktowania tych spraw przez tę dziewczkę był tak dziwny, że Genezyp o mało nie wybuchnął dzikim śmiechem, co byłoby przecie straszliwą niestosownością. Ale nawet gdyby to zrobił, i to pewnie przebaczone by mu było. Niewyczerpana była cierpliwość wyznawców Dżewaniego. Ach — wszystko byłoby dobrze, jeśliby ta wiara nie była taką bzdurą! Te pojęcia jej, te „graniczne jedności” jakies, były dla niego martwe: „*Begriffsmumien*”, jak mawiał Nietzsche.

— I ten wszechwiedzący nie mówił ci, że to ja...?

— Nie — widocznie chciał, abyś ty sam przyznał się przede mną. — Tu Zypcio opowiedział jej o spotkaniu z tajemniczym Hindusem w noc zbrodni. Eliza ani drgnęła. Niewrażliwość jej na wszelkie niespodzianki zaczęła go irytować. Ale było w tym coś z płciowego rozdrażnienia. To mu się w niej właśnie podobało: wzbudzało w nim zwierzęcą wściekłość, zmieszaną w absolutną (niegraniczną) jedność z nieznaną mu dotąd „czułością” i „tkliwością”. (Ach — czemu nie ma na to innych słów?!) I jeszcze jedno: miał wrażenie, że się nią nigdy, nigdy nie nasyci, że nie będzie mógł znieść już widoku innych kobiet. „W każdym razie” ścisnął jej rękę na znak, że „*tak*” i na wieki. I nagle okropne przecucie stężyło go w masę zimnego bólu, zmieszanego w jedno z metafizycznym prawie przerażeniem. Czyżby miał nie dożyć tej poślubnej nocy i umrzeć nie oczyszczony ze wszystkich grzechów? Znowu życie jego nie było jego życiem własnym: władali nim jacyś straszni ludzie, znający najskrytsze tajemnice, wiedzący wszystko, mimo że operowali bzdurnymi pojęciami, może wobec tłumów tylko — na przynętę. Czy sam generalny kwatermistrz nie jest także w ich ręku? A może to on kieruje wszystkim i ich też zużywa dla swoich niezbadanych celów? Uczuł nagłą dumę, że jednak nim, jakimś niedoszłym oficerkiem, zajmuje się tak potężna organizacja, jak ci wyznawcy Murti Binga — i to mogoby, a nie jakieś podrzędne szarże. Oni jednak robią coś rzeczywistego, a nie uciekają od życia, jak książę Bazyli. [Wspomnienie bytności w pustelni leśnej i cały ten ludzimiński okres ukazał mu się jak dalekie życie obcego człowieka. Chyba nic w nim nie zostało z tamtego chłopczyka — teraz to sam zrozumiał — przez sekundę nie był sobą na granicy dwóch osobowości. Tajny drab, więziony na dnie przez ojca, stał się nim samym i to on kochał Elizę — tamten do takiego uczucia dla takiej osoby nie byłby nawet zdolnym. A jednak gdybyż to mógł kochać ją tamten chłopczyk. To byłoby właśnie „wymarzone” szczęście, które prawie wszystkich omija. Gdyby chociaż można było władac przestawieniem w czasie. Ale i to nie — wszystko przychodzi albo za późno, albo za wcześnie. Do Elizy (i pośrednio do wyznawców Binga) należało uświęcenie jego (już tego draba) egzystencji w innym, lepszym wymiarze]. O ile oczywiście towarzystwo takie nie jest ślepym narzędziem w rękach jeszcze potężniejszej mafii, która zużywa je może nawet dla jakichś zbrodniczych, przeciw-ludzkich zamiarów. A — wszystko jedno: dobrze jest gdzieś przynależeć, a już najlepiej do jakiejś tajnej konfraterni. W każdym razie poczuł Genezyp, że on sam, gdyby był w tej chwili na przykład na bezludnej wyspie, nie mógłby dokonać ze sobą niczego. Był siłą, której kierownictwo nie leżało w nim samym. Myślał: „Muszę być igraszką tajemnych potęg, wcielonych w innych ludzi. Czyż wszyscy nie są dziś takimi, pod pozorami samowładczych gestów? Władają nimi siły wyższe, naprawdę wszechludzkie — już nie „ideały” jak kiedyś — właściwie nieubłagane prawa ekonomii. Historyczny materializm nie był prawdą wieczną, ale *zaczął być prawdą kiedyś* — może „koło” XVIII wieku. Społeczny potwór tworzy niebyłe dotąd nigdy życie, a wszyscy jesteśmy tylko marionetkami — może największe indywidualności naszych czasów też”. Zupełnie zgębiony zapadł w prostrację, graniczącą z rozkosznym omdleniem. Chodziło tylko o brak odpowiedzialności.

Ona czekała. Miała czas. Wszyscy wyznawcy Murti Binga (nie tylko młode panny, ale i pożerani przed nawróceniem gorączką czasu i użycia starcy) mieli i mają czas. Po-

śpiech jest im obcy. [To był właśnie ten niesłychany spokój, który spływał (dosłownie jak ciecz jakaś oleista) na wszystkich zaraz po objawieniu. Na czym polegała ta chwila objawień, nikt potem opowiedzieć nie mógł. I Zypcio mimo postanowień przegapił później sam najistotniejszy moment. Tylko czy ten drab (to znaczy on) nie udawał sam przed sobą całego tego nawrócenia? Bo po tym, co zaszło później — ale o tym później]. Wobec asymptotycznej zbieżności dwoistości w jedności nie ma się co śpieszyć. Płynęły chwile białe, beztreściwe, wzniosłe — dla niej. Wzniosłości tej nie czuł jeszcze Genezyp — w nim toczyła się walka dwóch światów: czarnego, podłego indywiduum i białej szczęśliwej nicości przyszłych wieków. Walka zbyt duża — w tej proporcji danych w tej epoce ulec musiał (nie ulegał może jeden Kocmołuchowicz, choć i to nie na pewno — historia coś o tym powie później) — tylko jeszcze o tym nie wiedział. Pewnego stopnia i jakości indywidualności mogli się jeszcze pokazywać na tym świecie jedynie w postaci wariatów. Są jednak wariaci, którzy w pewnej epoce, w pewnym układzie stosunków, mogliby być uważani za normalnych, a w innej epoce i układzie muszą być wariatami, i są wariaci absolutni, którzy w każdym systemie byłiby nie-do-przystosowania. Zypcio należał do pierwszych.

Znowu (po raz — nie wiadomo który) wzięła go za rękę. Za każdym razem (jak upolowane bydlę przez jakieś leśne przeszkody) przeciągała go coraz bardziej na swoją stronę, stronę łagodnej, usypiającej bzdury, w której natura jej rozwijała się właśnie najistotniej we „wspaniałą bukiet najlepszego gatunku cnót kobiecych”. Ale dla fanatyków walki o życie, dla niedoszłych artystów, dla wariatów, mężów stanu, w ogóle dla wszelkich transformatorów rzeczywistości, ta że sama bzdura mogła być zabójczym jadem o wielorakim działaniu, w zależności od proporcji elementów składowych ich dusz — jednych mogła uspić, a innych wywlec na ich własne, urojone szczyty, których rzeczywisty odpowiednik nie mógł mieć miejsca w otaczającym ich życiu — w oblęd. „Ach — ona wie i jest z nim”. — „On”, to był jakiś ktoś między nieznanym Hindusem a Murti Bingiem, ktoś, na którego można było w każdym razie zrzucić wszelką odpowiedzialność. Znowu promień łaski najwyższej dotknął wierzchołków jego ducha, zaklinowanych w nocny zakamar zbrodni i wariactwa. Bo czyż nie było czystym bzikiem to wszystko. Tylko dla nich, zatopionych w nienormalności jak w zwykłym „codziennym” powietrzu, uczucia ich mogły się wydawać normalnymi — w istocie był to trujący gaz, którego nie powstydziliby się nawet chińscy mistrzowie chemii. Gdyby takie choroby mogły być zaraźliwe! — lepiej o tym nie myśleć. Potoki *nieświadomej prawie, a mocnej jak koń męczarni*, przevalały się przez zdechłe, wysuszone ogniem zwątpienia ciało dawnego Zypulki. Już idzie ten czas, gdy wszystkie takie historie będą tylko „historiami dla niegrzecznych dzieci”, o ile takie dzieci w ogóle istnieć będą.

Nagły trzask i huk rozwalonych drzwi: wizyta lekarska. Ale ręka jej (czyż prócz tej ręki nic naprawdę nie było, czy co u diabła? — ciągle ręka i ręka — w niej był na razie cały wszechświat) nie drgnęła nawet na piekielny hałas wpadających bez pukania władców tej sali. Szedł jak burza sam wielki Bechmetiew, obskakiwany przez naczelnego lekarza i sforę asystentów. Wszystkie szyje wyciągnęły się ku grupie potentatów w białych fartuchach — bo przecież tam było może z pięćdziesięciu rannych na tym oddziale. — Nie widzieli ich prawie Zypcio i Eliza. W sekundę potem oddaliła się pewnie i spokojnie, jakby mówiła: „zaraz wrócę”. I to był może najrozkoszniejszy moment całego życia: ta pewność absolutna, to zawierzenie komuś aż poza granicami śmierci. O — gdybyż to można wiedzieć! Ileż cudownych chwil przemarnowuje się w ten sposób, nie wiedząc, która z nich jest najcudowniejszą.

Wielki duszoznawca podszedł ku łóżku krokiem złego lwa. Tamci zatrzymali się, wypięci na „lekarskie bacność”. Coś przykładł do oczu, zamykał jedno, potem drugie pachnącą cygarem, chyprem i potem grubą łapą, potem stuknął, rysował czymś po skórze, skrobał, szczypał i laskotał — wreszcie spytał:

— Czy macie czasami takie poczucie, że wszystko jest nie to? Że takie jest jak jest, a jednak nie to — jakby całkiem inne? Co? — I wszechwiedzającymi orzechowymi oczami zajrzał Zypciowi pod sam psychiczny szpik. „*Dusza schizotimika w tiele ciklotimika*” — pomyślał w przerwie przed zeznaniem ofiary.

— Tak — była cicha odpowiedź onieśmiałego pacjenta. Ten drapieżny „duszekłuj” lepiej izolował od świata niż nawet sama Eliza. Zypcio miał wrażenie, że prócz niego

samego pod jakimś kloszem, nie ma nic w promieniu bilionów kilometrów. — Prawie zawsze. Ale czasem ktoś jest we mnie...

— Tak — ten obcy — wiem. Czy dawno stał się tym właśnie?

— Od czasu bitwy — przerwał — ośmielił się przerwać *takiej* powadze Zypcio.

— A przedtem? — spytał Bechmetiew i ciężar tego pytania jak roztopiony ołów zalał całe zypciowe jestestwo. Sprężył się w nim ten zły do walki. „Czyżby jeszcze jedna kondygnacja w dół? Czyż nigdy nie dojdę do końca?” Otworzyła się w nim czarna, pusta otchłań — (bez żadnej przesady i literatury) otchłań prawdziwa: (*tam nie było jego wcale*), w którą wbite były w tej chwili te straszne orzechowe oczy, wylupiające się z potworną siłą z blond-brodzatej twarzy, raczej arcybestialskiej mordy — jak ostrokoły z wilczego dołu. Jeden ruch, a spadnie i nadzieje się — „Nie przyznać się” — szepnął jakiś głos. „Nawet JEGO oszukać można”.

— Nie — rzekł twardo, ale bardzo cicho — — Do bitwy nie czułem nic takiego. — Tamte gwiazdy złoto-orzechowe przygasły, ale po tym ich lekkim przyćmieniu poznał Zypcio, że on wie wszystko — nie fakty, ale ich istotę, abstrakcyjny wyciąg i to nie przez szpiegów Dżewaniego, ale sam z siebie, z własnej duchowej potęgi. Ukorzył się przed tym prawdziwym znawcą ducha. W tej chwili dałby mu się pokrajać na kawałki — wierzył, że na jego rozkaz zrósłby się znowu w jedność poza czasem. (Co? Kto to powiedział?) „Jedność ciała z duchem. W granicy poza czasem” — tak to mówiła przed chwilą Eliza. Już myślał pojęciami tamtych przez nią.

Ale wielki psychiatra okazał dyskreję równie wielką — proporcjonalną do swojej wielkości, tej już poza-życiowej, nie wchodzącej w ramki społecznych konwencji. Cofnął się o krok i Zypcio słyszał, jak mówił do Głównego Lekarza szkoły:

— *On usiegdà był niemnożko sumasszedszjy, no eta kantuzja jemù zdòrowo podbàwila.*

— Więc jednak jest wariatem — to strasznie ciekawe i straszne — i *jednak jest* kontuzjowany w dodatku. W tej chwili sprawiło mu to niczym niewytłomaczoną ulgę. Potem dopiero, dużo później, miał sposobność przekonać się dlaczego — to otwierało mu kredyt na najdziksze czyny, dawało wewnętrzną przynajmniej bezkarność i co ważniejsze bezwinność.

Odeszli. Eliza znowu (!) wzięła go za rękę i zamarł w bezprzedmiotowym szczęściu. Nie chciało mu się nawet rzygać. Trwała szczęśliwa nicość. Zasnął.

Obudziło go wejście księżnej. Prawie że jej nie poznał. Tajemnym duchowym ogniem zionęła jej twarz. Niosła się jak ptak przez salę: niezemska, czysta, wzniosła. Eliza spokojnie podniosła się na jej spotkanie. Ścisnęły się gorąco za ręce. Genezyp patrzył na nie obie, olśniony niespodziewanym szczęściem. Cóż za cud się stał, że one są takie razem wzięte, że tak się witają, tak się w siebie wlepiają oczami, jak jakieś zaświatowe przynajmniej siostry? Na niego nawet nie zwróciły *razem* uwagi (to go nie zraniło zupełnie) a same ze sobą są *takie*: przeduchowione, w inny wymiar wypiętrzone, unoszące się ponad rzeczywistością. (Zresztą Eliza była ciągle taka — teraz tylko spotęgowało się to niemożliwie). Naprawdę nie można by uwierzyć, że one mają organy płciowe, że oddają mocz i kał jak wszyscy ludzie — gdyby ktoś śmiał to w tej chwili twierdzić. Nie mówią nic — widać, że to pierwsze spotkanie, że za nieprzytomności Zypcia nie widziały się wcale. Księżna, nasyciwszy wzrok Elizą, zwróciła się do swego byłego ucznia (tę „byłość” czuć było w całym zachowaniu się od chwili wejścia) wyciągając rękę, którą on ucałował z nieznaną dotąd czcią. Wiedział o tym na pewno — szalona była w tym rozkosz. Prawie nie wierzył Zypcio, że widzi przed sobą tę niedawną trucicielkę, która zdawało się na całe życie napoiła, nasyciła po gardło jego duszę jadem zatrutej miłości. Więc dokonała się wreszcie ta „matronizacja” jak wyrażał się *marchese* Scampi. Nareszcie i naturalnie dzięki nauce Murti Binga. Księżna walczyła na tak zwanej „Barykadzie Pszczół” tuż obok placu Dziemborowskiego, oczywiście po stronie Syndykatu. Mało brakowało, aby się byli spotkali w ataku. Nie była ranna. Ale bitwa i mała rozmowa z Dżewanim (no i pigułki) dokonały swego.

Zypcio nie czuł w tej chwili ani odrobiny tego jadu — zbyt głęboko miał go w sobie. Ale o tym przekonać się miał później. Obie te drugie kobiety nie były już tymi, którymi być mogły, gdyby spotkał je przed poznaniem miłości z tej „ciemnej strony”, w tak spotworniałej interpretacji starzejącego się byłego demona. Tylko perwersja wytworzo-

na przez księżną kazała mu tkwić aż do ostatecznego pęknięcia w niezdrowej atmosferze niedosytu przy Persy; tylko wahnięcie się w przeciwną stronę zmuszało go teraz do szukania izolacji od życia w mętnej, zatumanionej, słabej „duszycze” Elizy, w której oparach mógł się roztopić w bezosobową nicość, nie tracąc złudzenia życia — chwilowe wymignięcie się z katatonii. Jad krążył dalej nieznacznie w jego psychicznych arteriach — on to żywił i sycił rozrastającego się w Zypciu ciemnego gościa-nowotwora, autora pierwszej bezprzyczynowej zbrodni.

Księżna zaczęła mówić tak, jak gdyby miała przygotowaną z góry dłuższą przemowę. Ale w czasie tej recytacji skręciło się w niej coś i, poprzez ukryte łzy, wyrwały się z niej słowa jej samej nieznane, którym sama się dziwiła, słysząc je mówione przez siebie.

— Zypciu — już nic między nami nie stoi. — Tu pękła krótkim histerycznym śmiechem z dawnych czasów. Zaśmiał się i Zypcio, ale krótko i wężłowato. Eliza spojrzała na nich dziwnie okrągłymi oczami, ale bez żadnego zdziwienia. Księżna mówiła dalej z niezwykłą powagą: — Możesz kochać ją — bo przecież widzę, co jest. Jak tylko dowiedziałam się, że to ona jest pielęgniarką w szkole, wiedziałam już, co będzie. Wiem teraz wszystko. Oświecił mnie Marti Bing przez Mistrza Dżewaniego. — „Choroba czysta z tym Dżewaniem — czyż oni opanują w ten sposób wszystkich” — pomyślał Genezyp i spytał brutalnie:

— A pigułki księżna już jadła?

— Jadłam i nie w tym rzecz...

— Ja mam tego dziewięć sztuk i dziś to zeżrę. Dostyc mam tych gadań.

— Nie uczyn tego przedwcześnie, przed zstąpieniem pierwszego stopnia eterycznej łaski...

— Już — szepnęła Eliza.

— Może się to zemścić fatalnie. Ale może dlatego, że znałeś mnie, ujdzie ci to bezkarnie. Może kiedyś, kiedyś ocenisz, co ci dałam, o ile dożyjesz dość późnego wieku, czego wam obojgu życzę. Dżewani zdjął ze mnie ciężar mego ciała. To, co widziałam po zjedzeniu pigulek, zaraz po bitwie, utwierdziło we mnie tylko Jedyną Prawdę. Od-tąd będę szła ciężką drogą ku doskonałości i nie ugnę się przed żadnym zwątpieniem. — „Pociecha dla »nieudaczników« i starych bab” — pomyślał Genezyp, ale nie „odparł” nic. — A ciebie kochałam i Kocham dotąd — (łzy posłyszeli w jej głosie, głęboko, jak bełkot podziemnego źródła) — ale już nie chcę robić więcej świństwa z naszego stosunku i dlatego wyrzekam się wszelkich pretensji co do ciebie — wyrzekłam się przedtem, nie wiedząc jeszcze, że ona jest przy tobie. I tylko przebac mi, że cię trulałam — tu padła na kolana przy łóżku i załkała krótko, króciutko, tyle ile koniecznie było trzeba. Ani Genezyp, ani Eliza nie zrozumieli, o co chodzi i nie śmieli nawet pytać. A chodziło biedaczce o pokryjome kokainowanie ostatniego kochanka. Siadła znowu i mówiła przez gęste, jakby z jakiegoś syropu łzawego czy z żywicy drobione łzy. — Nie wiesz jakie to szczęście dla takiej sponiewieranej wewnątrz, a nawet i zewnątrz, istoty, wznieść się wreszcie ponad siebie. Wiesz, że wszystko jak w jakimś młynku przekręciło się we mnie od jednej rozmowy z nim — z mistrzem.

ELIZA: Jakże ciocia jest szczęśliwa, że mogła z nim...

ZYPCIO: Tylko na grube ryby ekspansuje się sam mistrz. My musimy się zadowolnić tym twoim Lambdonem. Dobra psu i mucha — *bq pur e szię e la musz* — rzekł programowo brutalnie Genezyp. Coś go wściekało jednak w tym wszystkim. Eliza spojrzała na niego bez wyrzutu i to go podnieciło tak, że byłby tu ją zgwałcił przy wszystkich, gdyby nie ból w łydce. A nawet z samego bólu mógłby ją zgwałcić, tak jak inny rozbiłby na przykład krzesło. Ale zaraz załala żądze czysta miłość. Zgasła z sykiem, pękła gdzieś w ciemnościach ciała, jak daleki meteor. A ta gadała dalej:

— Syndykat dla mnie nie istnieje. Zobaczyłam nagle całą nicość i małość tej ich programowej pseudo-narodowej roboty bez podkładu rzeczywistych uczuć. — [Myśl Zypka: „Tum cię czekał. To pigułki działają i na to. Ho, ho! Zobaczymy co będzie ze mną”]. — Jedna, jednolita będzie ludzkość, a społeczeństwo nie będzie przeszkadzać wewnętrznemu rozwojowi indywiduum, które jak klejnot w futerale ochronione będzie przed samym sobą. Podobno chińscy neobuddysty z góry zrezygnowali z osobowości — wyznawcy Murti Binga nie. — Mówiła głupawo i nieładnie, ale to nie raziło dziś wcale. „Matronizacja” pokrywała wszystko dostojną szatą pokuty: było w tym coś prawie świętego. Czysto es-

tetyczne, formalne zadowolenie z takiego końca tej starej wydry było tak wielkie, że nie było pojęciowej lub słownej „gaffy”, której nie można by jej przebaczyć. Zypciowi nie chciało się gadać, tak jak tylko może się nie chcieć poważnemu inteligentowi zabierać głosu w lekkiej rozmówce na banalnym fajfie, ale coś powiedzieć musiał:

— Niestety nie mogę w to uwierzyć, ale przypuszczam, że osobowość zaginie tak powoli i nieznacznie, że nikt z tych, którzy będą elementami tego procesu, nie odczuje tego boleśnie. Jeszcze może dziś pocierpią niektórzy czysto fizycznie nad materialnymi stratami na tle społecznych przemian, ale za lat kilkadziesiąt śladu nie zostanie po tego rodzaju problemach. — Nie czuł, że wszystkie jego cierpienia pośrednio wynikają z głębokiego przeżywania tego właśnie zjawiska. Niekoniecznie jako takie ma być to przez wszystkich uświadamiane, aby być tym właśnie. Wystarczy, że *ktos jeden* sklasyfikuje pewne fakty, jako symptomy takiej właśnie przemiany. Nic więcej nie trzeba dla przyszłego historyka.

KSIEŻNA: Myślisz pewno, Zypulka, że ja tak przez kompromis: że szukałam czegoś, co by mi mogło zastąpić rzeczywiste życie i ciebie, który tego życia jesteś symbolem, i tak wpadłam na pierwszy lepszy paliatyw. Mylisz się...

ZYPCIO: Nigdy tak nie myślałam... (A właśnie tak myślał).

KSIEŻNA: Otóż to dobrze, bo tak nie jest. To, do czego przyznać się przed sobą nie mogłam: że między nami dla twego dobra musi być koniec, to zrozumiałam dopiero, kiedy on zaczął mówić. A przedtem, wiesz, walczyłam może z tamtym przeciw tobie. — I nagle rozplakała się, ale już na dobre. Ale nie było w płaczu tym cierpienia nad niepowrotną przeszłością: była raczej rozkosz wyniesienia się ponad dotychczasowe bagno upadków, zwątpień i sztucznie podtrzymywanej wiary we własną fizyczną niezniszczalność. — Nawet myślałam, że gdybyś ty mnie był zabił w bitwie, to byłoby tak piękne, tak piękne, że aż żał naprawdę, że się tak nie stało. — Genezyp skręcał się z żalu. Więc ona biła się jeszcze, biedactwo. Gdyby zginęła, nigdy, ale to nigdy by sobie tego nie darował. Teraz, kiedy spadł z niego fizyczny ciężar miłości spotworniałego, a jednak tak zmysłowo pięknego starawego pudła, teraz dopiero poczuł, jak bardzo ją kochał (i kocha dotąd — może więcej niż na samym początku ich stosunku). Nawet na dnie zawitych splotów uczuć zjawilo się lekkie przecucie tego, co jej zawdzięczał — gdyby miał czas, ocenilby to w zupełności, ale na to trzeba byłoby, aby jad zresorbował się całkowicie, a zostały tylko stworzone przezeń anty-ciała. A przyszło zrozumienie to na tle takiej podłej myśli: „Co by było, gdybym w jej postaci nie miał antidotum przeciwko tamtej? Czyż potrafilbym wybrnąć z tego z tak małymi stosunkowo stratami: jeden pułkownik, atak obłędu, no i tylko »stracone zachody miłości«?”. Genezyp rozkosznie cierpiał patrząc na splakaną twarz Iriny Wsiewołodowny. Wszystko się uwznioślało tak przyjemnie i księżna była jednym z elementów tej ogólnej przemiany. Eliza pocieszała ją blado, ale za to bardzo skutecznie. Po chwili uśmiechnęła się przez łzy i piękna była tak w tym zmieszonym wyrazie radości i cierpienia, że Genezyp zadygotał cały z dziwnych uczuć, które już, już mogły przejść w stan zdecydowanie jednolicie płciowy. Na to wszystko weszła rodzina: Matka, Michalski, Lilian i Sturfan Abnol. Rozpoczęły się typowo rodzinne czułości. Lilian wpatrywała się w Zypcia wszechwiedzącymi oczami. Był jej pewnym — to była piekielna przyjemność. Czuł się uwielbianym przez nią może więcej nawet, niż przez tamte dwie kobiety, i dziko był zadowolony, że Lilian ma na własność jego tajemnicę, o której nigdy nie dowie się Abnol. A do tego matka... Teraz dopiero osiągnął szczyt szczęścia. Popelniona zbrodnia łączyła się z tym kłębem kobiecych uczuć wokół niego w harmonijną, konieczną całość — była warunkiem pewnych kombinacji z Lilian i Elizą, bez których nie byłoby to szczęście tak pełnym, prawie absolutnym. Na wyrzuty sumienia nie było wprost miejsca. (Może gdyby znał bliżej tego nieszczęsnego Węborka, to może — ale tak? — nie można wymagać nawet wyrzutów od takiego, który bez powodu zabił kogoś, w minutę po poznaniu się z nim. Nonsens. Mało kto miał takie przeżycia i ogół nie jest w stanie tego należycie osądzić). A do tego jeszcze rozkaz dzienny szkoły, który przyniesiono przed chwilą: już był oficerem i to takim, który w bitwie stawał, wprawdzie nie jako dowódca i w parszywej miejskiej strzelaninie, — no, ale dobre i to. W rozkazie stało, że jakkolwiek do promocji pozostawał od buntu Syndykatu Zbawienia jeszcze tydzień, to jednak, ponieważ wypełniony on miał być ćwiczeniami taktycznymi, dzień walki został zaliczony jako wystarczająca próba i wszyscy uczniowie mianowani zostali podporucznikami, czyli „karnietami”, jak lubił z rosyjska nazywać tę rangę Wódz.

Nawet całe upokorzenie z powodu Persy zresorbowane zostało w ten sorbet szczęścia, który siorbał Zypcio pełnymi ssawkami swojej nowej drabiej osobowości. A po wyjściu wszystkich Eliza sama dała mu dziewięć piguł Dawamesku B2, tych samych, które dostał wtedy na ulicy, mimo że miała swój porządny zapasik. Zasnął jak kamień myśląc sobie: „no — zobaczymy co teraz będzie. Czyż i ja zbabieję tak, jak wszyscy”.

Obudził się o drugiej z dziwnym uczuciem. Nie był tu, w szkole i nie czuł żadnego bólu, ale nogi miał jak sparaliżowane. Przed oczami zdawała się powiewać jakaś ciemna, gruba zasłona. Przeraził się, że oślepl. Spojrzał w kierunku okien, które nawet w najciemniejszą noc przecie majaczyły czerwonałą poświatą. Nic — ciemność absolutna, a niespokojna — coś niewidzialnego przewalało się, jakby walczyły w nieprzeniknionym mroku grube cielska straszliwych płazów. Ale jednocześnie zstąpił na niego spokój zupełny — widocznie tak być musi. Leżał, nie wiedząc prawie, kim jest — unosił się nad sobą, zaglądając w siebie jak w jakieś nieznanne pieczary i jaskinie, w których tworzyła się rzecz niewiadoma. Aż nagle pękła kłębiąca się zasłona i ogarnął go wir brylantowych iskier. Z nich zaczęły się formować walczące ze sobą przedmioty nieznanne i niepojęte: jakieś kombinacje maszyn i owadów, jakieś piekielnie precyzyjnie skonstruowane, wcielone w niewiadomą materię uosobienia przedmiotowych nonsensów w barwach burych, żółtych i fioletowych. A potem nagle stanął ten wir i przekonał się Zypcio, że to tylko *trójwymiarowa zasłona* wyższego rzędu, kryjąca inny świat, *nie znajdujący się w tej przestrzeni*. Gdzie trwał on jako obraz wyraźny, jednak i to trójwymiarowy, nie można było absolutnie pojąć. I potem, mimo że pamiętał wszystkie obrazy, nie mógł nigdy już realnie zrekonstruować tego niesamowitego wrażenia w jego bezpośredniej świeżości. Zostały tylko porównania — istota wymykała się normalnym zmysłom i poczuciu przestrzenności w ogóle. Zaczęło się od rzeczy względnie zwykłych, których znaczenie mówił Zypciowi tajemny głos wewnątrz niego. — Słyszał go nie uszami, ale brzuchem. A więc: mała wysepka wśród oceanu kulistego — jakby jakąś planetkę oglądał z wielkiej odległości oczami o średnicy tysięcy kilometrów. Ale żaden „kilometraż” w ogóle nie był możliwy. Odległość nie była odległością, tylko poczuciem skręcenia szpica, w który wydłużyła mu się głowa, sięgając *sufitu świata*, znajdującego się *poza nieskończonością*. To wszystko słowa, których używał potem, aby opisać Elizie te wrażenia. Ale nie oddawały one ani cząstki nieuchwytniej dziwności tego przemieszania wszystkich możliwych planów, aż do zupełnego zaniku poczucia przestrzenności w normalnym znaczeniu. (Eliza tylko kiwała na to wszystko pobłażliwie swoją małą blond-główką, uważając, że wizje Zypcia niczym są wobec tego, co widziała ona: „Každy ma wizje takie, na jakie zasłużył — ale dla ciebie, dla twego ciemnego ducha, dobre i to”. To poczucie niższości, było jednym z elementów piekielnego pożądania, które w stosunku do niej odczuwał — nic, nawet najdzikszy gwałt, nie mogło zniszczyć dystansu między nim a nią — była w pewnym sensie niedosiężna. I ta niedosiężność właśnie wyrażała się w drażniącym spokoju, z jakim przyjmowała najbardziej nieoczekiwane zjawiska). Nagle zobaczył Genezyp nieskończoną drogę, którą był pełną w bezkresną dal zębaty wąż. On sam stał na nim i poruszał się jak na ruchomym chodniku. To już działo się na wysepce. Ktoś mówił w nim: „To jest Balampang — za chwilę ujrzysz Światło Wszystkich Światłości, jedyne, który za życia złączył się z Graniczną Jednością”. Wąż skończył się (trwało to wieczność całą — w ogóle czas zdawał się deformować dowolnie, w zależności od wypełniających go przeżyć) — zobaczył Zypcio nareszcie *samo to*: (co widzieli wszyscy — jedno i to samo — którzy mieli szczęście polknąć piguły Dawamesku): chatka wśród niskiej, suchej dżungli (purpurowe kwiaty pnączów chwiały mu się przed samym nosem i słyszał śpiew małego ptaszka, który powtarzał ciągle po trzy razy *ostrzegawczo* tę samą nutę, jakby mówił: „nie idź tam, nie idź tam...”). Przed chatą siedział w kucki starzec o cerze *café au lait*. Łypał wokoło czarnymi, olbrzymimi, przelśnionymi oczami, a młody kapłan (z ogoloną głową, w żółtej szacie) karmił go z miski ryżem, przy pomocy drewnianej łyżki. Nie miał rąk, tylko (i to zobaczył Zypcio *potem*) z ramion wyrastały mu olbrzymie amarantowe skrzydła, którymi poruszał czasem, jak znudzony w klatce sęp. „Więc on jest, on jest” — szeptał Genezyp w szalonym zachwycie. „Widzę go i wierzę mu, wierzę mu na wieki. To jest prawda”. Co było prawdą — nie wiedział. *Dowolna rzecz, przedstawiona mu w imię Murti Binga, musiała być dla niego prawdą*. I to wszystko działo się w tej samej niepojętej przestrzeni,

która, nie przestając być tą naszą zwykłą trójwymiarową, nawet wcale *nie wygiętą* przestrzenią, nie była jednak włączona w nasz wszechświat. Gdzież to się działo? Już miał to pojąć, kiedy starzec łypnął oczami prosto w niego i przebił go nimi na wylot. Poczul Zypcio światłość w sobie — był promieniem pędzącym w nieskończonej pustce ku jakiemuś krystalicznemu jarzącemu się *nieznanymi* barwami tworowi (nie tworowi, tylko czort wie czemu), którym była nigdy nieosiągalna Dwoista Jedność Graniczna. Wizja znikła — znowu kiełbasiła się przed nim zasłona z *niewidzialnych* walczących gadów. A potem zobaczył całe swoje życie, ale jakby wyżarte przez płomień — niepełne, z lukami okropnych ciemności, w których nieznaną drab (on sam, ale podobny z wyrazu do Murti Binga) czynił niezrozumiałe rzeczy, deformując się i zwiększając do nieskończonych prawie rozmiarów, to zmniejszając się do czegoś nieodszukalnego, mikroskopijnie małego, zaplątanego w czymś innym, co było samymi *wnętrznosciami świata* — była to w istocie kupa niewiarogodnych flaków, miotająca się wśród erotycznych transów części swych, jako nienależących do nikogo osobowego, organów płciowych. To było jego życie, ale już rozpatrzone krytycznie z punktu widzenia jakiejś wyższej, nie-człowieczej celowości — cele były poza tym światem (w tej tajemniczej przestrzeni), ale życie musiało układać się według nich, inaczej potencjał świata musiałby się zmniejszać, a nawet dojść do zera i wtedy (o, okropności) nie tylko zapanowałaby Nicość Bezprzestrzenna, coś niewyobrażalnego, *ale także wszystko to, co już było, zostałoby przekreślone* i byłoby to równoznaczne z tym, jakby *nigdy nic nie istniało* i istnieć nie mogło. Strach przed tym był wprost niewymierzalny. Stąd powstawała ta niesłychana „żarliwość w posłuszeństwie” wszystkich wyznawców — Nicość z przekreśleniem przeszłości — jakże to było możliwym? A jednak podczas działania Dawamesku B2 rozumiało się te rzeczy tak łatwo, jak ogólną teorię funkcji. Zobaczył Zypcio całe swoje życie i przysiągł poprawę. Zbrodnia, której dokonał, przedstawiała się w tym obrazie jako przeniknięcie się dwóch krystalicznych potęg w sferze Wiecznego Ognia — Węborek stał się nim, Zypciem, a bynajmniej nie zniknął, jak to się wszystkim zdawało — za to Zypcio był dwuosobowy — oto wszystko. Ale sam moment objawienia prześlepił jak wszyscy. Zdaje się, że chwilą najistotniejszą było tu to wściekłe, przebijające łypnięcie, ale kiedy dokładnie i *jak* zazębiało się to o dotychczasową psychikę, nikt nie był w stanie pojąć. Jeszcze jedno: ci, którzy już mieli wizję, nie mówili o nich nic z tymi, którzy jeszcze przez to nie przeszli. Działo się to samo, bez żadnego upominania władz wyższych sekty. Nikt by i tak nie uwierzył, że ktoś w ogóle coś podobnego widzieć mógł — nie warto było gadać. Za to wspólność wizji wywoływała dziwną łączność między wyznawcami — trzymali się siebie z siłą rzepów czepiających się psich ogonów.

Zbudził się Zypcio koło jedenastej rano i od razu poczuł, że jest inny. Powoli, powoli przypomniał sobie wszystko i promieniał z zachwytu. Eliza *już* trzymała go za rękę, ale to nie nudziło go wcale. Wchodził w siebie coraz głębiej, do tych pustych teraz piwnic, w których hodował draba. (To ten drab się nawrócił — chłopczyk nie byłby do tego zdolny). Tam węszył obcą sobie jaźń po kątach — nowy ktoś wylaniał się z tych samych zakamarów — kto to mógł być, u diabła. Oblęd, zmieszany z jadem piguł, nie dającą się syntetycznie odtworzyć morbidesiną, dawać zaczął wyniki nieprzewidziane przez psychiatrów chińskich. Teraz miało się zacząć „intelektualne” (!) opracowanie wyników objawienia. To było zadanie Elizy, tej notorycznie nieinteligentnej panienci ze sfer demiarystokracji.

NOC POŚLUBNA

Zrobiła się pół-letnia sierpniowa niby-jesień. Przykrojędnostajna lipcowa zieleń różniczkowała się na całą skalę tonów od szmaragdu do ciemno-buro-oliwkowego odcienia. Genezyp powoli zaczynał wstawać. Nie tyle przeszkadzała mu przestrzelona łydka, co pozostałości po kontuzji, objawiające się nie tylko fizycznie (zawroty głowy, kolapsy i leciutkie konwulsyjki), ale i w dziwnych zabarwieniach stanów psychicznych, w jądrze swym od czasu zbrodni niezmiennych. Ciągle miał poczucie, dochodzące czasem do niezmiernie przykrej intensywności, że *to nie on przeżywa to wszystko*. Z boku patrzył na siebie jako ktoś obcy, ale *dosłownie*, a nie jako jakiś „mnożący się w nieskończoność obserwator”, Leona Chwistka. To nie było żadne gadanie, tylko *tak było*. Kto tego nigdy nie przeżył,

nie wie, co to jest. Niepodobna tych rzeczy nikomu wytłumaczyć. Pyknicy chcący stan ten zrozumieć muszą kropnąć dużą dawkę meskaliny (wizyjny alkaloid peyotlu) Mercka, aby mieć choćby pojęcie o schizoidalnym kierunku, w który zbacza normalny ciąg psychicznego życia. Porządny „schyzio” od razu zrozumie, o co chodzi, ale z pyknikiem nawet nie warto zaczynać na ten temat bez wyższego rzędu narkotyków. Między dwiema osobowościami wytwarzały się bolesne przerwy, wypełnione strachem — co było w tych przerwach? Co stanowiło treść pustki trwającej, niewypełnionej żadną z dwóch jaźni? Czaiły się w niej jakieś czyny straszliwe, mogące, zdawało się, przebić pancierz zasadniczych praw istnienia, zdolne stworzyć możliwość przeżycia w ułamku sekundy aktualnej nieskończoności wszystkich, nawet tylko możliwych światów. Ach, te pustki! Wrogowi najgorszemu nie należy życzyć tego stanu. Chwila, która zdaje się nie być niczyją, a jednak jest kitem łączącym dwie istoty, które bez niej byłyby *faktycznie* odrębnymi jaźniami. W tych chwilach trwał ten trzeci, *nieziszczalny* w życiu, chyba w ostatnich momentach zupełnej katatonii.

Mimo nocnej wizji nie był Zypcio „pełnym” murtibingistą — o nie. *Cóż* nie szło w tym wszystkim tak gładko jak z innymi i ciągle nie był biedny aspirant godnym tego, aby osobiście pomówić z Lambdonem Tygierem. Ale za to teraz dopiero poznał duszę swojej narzeczonej, raczej tę jej emanację, którą w niej sam wywoływał — Eliza mogła istnieć tylko jako negatyw w stosunku do kogoś — negatyw *pozytywny* — (po prostu jako dobra postać, „duch z prawej strony”²) — sama była niczym. Zaczęła żyć od chwili wpicia się w bebechy duchowe Geneczypa. Tak — poznał duszę Elizy, o ile ona takową w męskim znaczeniu posiadała i nie była tylko idealnie zmontowanym przez Lambdona Tygiera manekinem, o co na tle jej doskonałości posądzać by ją można. Na dnie tego wszystkiego tkwiła pewna nuda, jak na dnie każdej doskonałości. Doskonałość to bardzo podejrzana rzecz i kryje czasami zupełny negatywizm — nicość. Ale na razie upojony spokojnym szczęściem Zypcio nie zdawał sobie z tego sprawy. Nudził się z rozkoszą, sam o tym nie wiedząc, że podstawą tej rozkoszy jest właśnie nuda. Eliza w normalnych wymiarach była tym typem, co to żyje tylko wtedy naprawdę, o ile podnosi do swej „wyżyny” upadłego anioła, albo zwykłego demona, pod warunkiem, że osobnik taki ma dla niej wartość czysto płciową. Ale najbardziej w typie takiej osoby będący, normalny, odproblemiony zdrowy byczek, nawet na swój sposób mądry, będzie równie niczym jak odwrotność tego typu — musi być i jedno, i drugie. Znalazła takiego w Zypciu i postanowiła nie popuścić go aż do śmierci.

Informacja: Sytuacja polityczna trwała bez zmiany. Kocmołuchowicz, po zwycięstwie „lakmusowym”, jak nazywano pobicie syndykaliatów zbawieniowych, przejął w siebie, częściowo przynajmniej, siły Syndykatu, stając się jeszcze bardziej tajemniczym, niż dotąd. Okazało się, że w ogóle cały Syndykat był błądą, wydętym pęcherzem bez treści — nie miał racji bytu jako oddzielny społeczny element — wsiąkł bez reszty prawie w ogólną organizację obrony Białej Rasy. Może to była ta słynna, niezbadana „idea” kwatermistrza — może on sam tylko był emanacją rasowego instynktu Białych? — czort wie. Oprócz nieubłaganych komunistów nie było już różnych partii w państwie — wszyscy podświadomie ogarnięci byli ideą „przedmura”, ale właśnie nie na tle narodowym, tylko rasowym: czuli się białymi i tyle — w przeciwstawieniu do żółtych, jako do innego gatunku zwierząt. Tak samo można by zorganizować walkę ze szczurami czy karaluchami — ściśle narodowych elementów w tym ruchu nie mogli się doszukać najbardziej nawet zawzięci nacjonalisci wśród socjologów. O tym, co się działo w Chinach, i zdobytej przez żółtych Moskwie, nie wiedział nikt nic. Nie, żeby szlachetni z natury Polacy nie byli zdolni zorganizować czegoś tak podłego, jak dobra służba szpiegowska — nie — nie wiedziano o niczym i na Zachodzie. Tak cisłym murem otoczyły się przeklęte żółciochy i tak potwornymi torturami karano tam nie tylko szpiegów złapanych na gorącym uczynku, ale i najlżej podejrzanych, że nie było agenta, który by po pewnym czasie nie zaczął działać w przeciwnym kierunku niż zamierzał. Potem

²„duch z prawej strony” — por. *Dziady, część III* A. Mickiewicza: Prolog, Sceny II i III. [przypis edytorski]

przestano ich nawet wysyłać. Porządnych szpiegów można mieć tylko, o ile uczucia narodowe są jeszcze w pełni rozwoju, albo jeśli idzie o propagandę społeczną — za pieniądze nigdy. Te dwa pierwsze punkty były u nas nieistotne z powodu zaniku odpowiednich danych bezpośrednich. Taki strach przed obcą rasą, jaki panował obecnie w Europie, nie był dobrą podstawą dla hodowania bohaterów. Bronić się w tym stanie można, gdy już nic innego do zrobienia nie ma i nie ma gdzie uciekać — dla ataku wymagane są inne uczucia — pozytywne. Ogólnie przeczekiwano się z coraz większym zdenerwowaniem. Wolni od czekania byli tylko wyznawcy Dżewaniego — dla nich osobisty czas rozszerzył się jakby poza ich życia — w tył i naprzód (odwrotność tamtej koncepcji karnej z przekreśleniem już byłego istnienia — ta ucieleśniona niezrozumiałość, którą oni pojmowali bez najmniejszego trudu). Nawet w pewnych chwilach wmyślania się w metafizyczne dobro świata czas zdawał się być nie prostym, ale pękiem jakimś hiperprzestrzennym, tak wzbogacała się ich skala odczuwania innych osobowości. Drobne telepatie stały się w pewnych sferach najzwyczajszą codziennością — wszyscy przenikali się wzajemnie, tworząc jedną wielką bezosobową miazgę, z której każdy, kto by się odpowiednio za to wziął, mógł zrobić, co by zechciał. Wszyscy tonęli w zachwycie nad innymi i tym samym, nie wiedząc o tym, potęgowali własny zachwyty nad samymi sobą. Roztapiały się w sosie dobroci powszechnej co drobniejsze nienawiści, a nawet większe zaczęły się powoli łagodzić. Szczęście dżewanistów, widoczne jak na dłoni, wzbudzało tak szaloną zazdrość w otoczeniu, że całe masy ludzi, nie wierząc w nic podobnego do nauki Murti Binga albo wierząc w coś zupełnie innego, zaczęły z czysto pragmatycznych powodów grawitować w jej kierunku, by skończyć w masowej hipnozie i poddaniu się jej niezbyt zrozumiałym zasadom. Dokończyły wszystkiego piekielne piguły DB2. W tym czasie przyjechał do K. w leśnych sprawach książę Bazyli. Wysłannicy Mistrza dotarli nawet do jego pustelni w ludzimierskiej puszczy i oczywiście wywabili wartościowego dla nich zwierza z jego ostępów. Pod wpływem dziewięciu pigułek przekonał się książę, że to jest właśnie religia, której potrzebował — było w tym i trochę „intelektu” (pożał się Boże!), i trochę wiary — kompromis rozkoszny, nie wymagający żadnych nowych poświęceń, a nade wszystko umysłowej pracy. Ale na każdego działało to wszystko inaczej, najistotniej z jego właśnie osobistego punktu widzenia. Nawet Afanasol Benz, powołany wreszcie na jakąś marną docenturę za staraniem samego Dżewaniego, pogodził system Asymptotycznej Jedności ze swoim państwem znaczków i z aksjomem Benz-a i zlogizował nawet pewne partie nauki Murti Binga — pewne, bo całość wiary tej miała elementy wykluczające zupełnie poddanie się logistycznej aparaturze. Tymczasem wypadki szły dalej. Aż wreszcie pękły ściany chińsko-moskiewskiego kotła i żółta magma przelała się znowu o paręset kilometrów dalej, aby stanąć w groźnym milczeniu nad naszą biedną polską granicą. Ale o tym później.

Nowo mianowany oficer i jego wzniosła narzeczona siadywali teraz często w ogrodzie szkoły, gdzie spóźnione (?) róże, koralowe bzy, śliwki, jabłonie, przekwitłe czeremchy i berberysy, wśród poszycia z baldaszków, szczawiów i gencjan, stanowiły wspaniałe *wprost* tło dla rozwijających się uczuć. Byli oboje jakby parką błękitno-złotych chrząszczy, tak zwanych popularnie robaczków, kochających się na podczerwieni listku jeżyny w złotym, sierpniowym słońcu. Natura dyszała łagodnym, zamierającym ciepłem i dnie błękitne, wsparte na lotnych żaglach białych obłoków, pędzących na wschód, przelatowały jak płatki kwiatów, obrywanych łagodnym podmuchem — coś mniej więcej takiego w przybliżeniu. (Dosyć tych przeklętych pejzażowych nastrojów, tak zapługawiających naszą literaturę. Nie można z tła robić istoty rzeczy i przy pomocy sentymentalnych widoczków wymigiwać się z zawilej psychologii). Bez ustanku, aż do bólu, drażyła ich oboje wzrastająca miłość. Zdawało się, że to nie oni pożerają się wzajemnie duchowo (wszelkie fizyczne „*prykosnowienja*” były na razie wykluczone), tylko że sama dwoista miłość,

Natura, Literat

Miłość romantyczna

pozaosobowo ujedniona, zobiektywizowana, zhipostazowana, obok nich, a nie w nich istniejąca, wysysa ich jak mątwą, sycąc tym swoje własne, niepojęte istnienie. Stało to paskudne w istocie swej widmo za nimi ciągle, gdy siedzieli przytuleni do siebie leciutko na ławeczce pod świecąca płomienisto-czerwonymi gronami jagód na tle błękitu jarzębiny, czy też na jakiejś tam kanapce w zimnym mroku zielonego abażuru w długie, choć nie zimowe wieczory. Gdy szli w zamiejskie okolice (Zypcio już w nowym mundurze oficerskim szkoły wyszkolenia adiutantów) pełzało (zdawało się oczywiście) wśród schnących żółkłych traw za nimi, zagładało w formie kłębiastych sierpniowych obłoków w ich czaszki z góry, zalecało się ostrożnie, a podstępnie, w powiewach łagodnego pół-jesiennego wietrzyka i szeptało zwodnicze, kłamliwe, niby radosne, a już pełne bolesnego smutku i przyszłych zawodów słowa w szelestach wysuszonych gorącym liści.

Ale niedługo względnie trwał ten stan błogiej rekonwalescencji i beztróskiego nasywania się własnym bohaterstwem i przedwczesnym oficerstwem, i czystym, niezmaczonym „mętami rozumu” uczuciem. Synowie Dwoistej Jedności zaczęli zwiększać dookolne ciśnienie i powoli przymuszać do istotniejszej według nich wewnętrznej pracy. Już miała Eliza parę konferencyjek tajnych z różnymi niższymi szarżami murtibingowskiej hierarchii. Rozpoczęły się formalne lekcje. Na jedną z nich (niestety czas ich był ściśle oznaczony — od szóstej do siódmej, i to denerwowało Zypcia, jako jeszcze jedno obowiązkowe zajęcie) przyszedł sam Lambdon Tygier, malutki starzec (a nie mały staruszek — to nie jest to samo) o popielatej brodzie i jasno-żółtych oczach, świecących jak topazy w brązowej, gładkiej twarzy. (Podobno był kiedyś plantatorem kawy). Ale nie powiedział absolutnie nic. Słuchał tylko, żując jakieś tajemnicze orzeszki. Za to Eliza wpadła w istny szal wykładowy pod wpływem jego obecności. Płynęły z niej rzeki wprost słodkiego nonsensu o zbieżnościach nieskończonych w X-tym wymiarze, o dwoistości już, już na granicy jedności, o sublimacji zmaterializowanych uczuć, o eterycznych dziurkach, przez które jedność spływa na rozdwojone stworzenia. Wszystko wiedziała na pewno, bezapelacyjnie, wszystko umiała biedactwo objaśnić, nie było dla niej tajemnic. Lambdon słuchał i potakiwał. Świat tamten, świat Murti Binga tak samo był pospolity, jak z pewnego punktu widzenia ten nasz, z którym się zresztą przenikał, ale wszystkie problemy filozoficzne dotyczyły go w najlepszym razie, zarówno jak i tego naszego — ale tego zdawali się nie dostrzegać zjadliwie objaśniacze. Nie widzieli, że swoją nieistotną, dowolną paplaniną zabijają tajemnicę na drugim, fikcyjnym planie, nie różniącym się od naszego, zamiast po prostu bez całej tej parady zanegować ją głośno na pierwszym, jak to czynią najzwyczajniejsze „bydła w surdutach”, żuizerzy i wyznawcy „życia samego w sobie”. Po co ta cała komedia? Coś podobnego *podświadomie* myślał adept nowej wiary, ale zawsze w poprzek skonsolidowania się takich myśli stawało wspomnienie wizji: jednak coś w tym było. A może tak jest? I na tę wątpliwość nie znajdował jego filozoficznie niewycwiczony intelekt żadnej odpowiedzi.

Z początku nawet buntował się Genezyp trochę przeciw tej całej bzdurze — nieśmiało i nieudolnie, ale „przecie”. Ale powoli pewne słowa Elizy zaczęły się łączyć w nim z pewnymi odpowiednimi stanami z czasów popołudniowego przebudzenia. Cały okres miłości dla księżnej i epoka tortur w towarzystwie Persy zwały się w jeden, prawie nierzeczywisty koszmar, który odrzucił któregoś sierpniowego dnia, jak liniejący wąż swoją skórę. I nagle stanął przed sobą duchowo nagi, młody i niepodzielny, wobec nowego cudu: miłości tak pierwotnej i doskonałej, że zdawało się, iż ten do niedawna perwersyjny młodzik nigdy nie znał kobiety i pierwszy raz widzi przed sobą jakąś tajemniczą stworę, o której nigdy nawet nic nie słyszał. Przeszłość *faktycznie* należała do innego osobnika. Buchnęły zahamowane zwały uczuć — nigdy, w najdziwniejszych snach nawet nieprzeznaczonych — Genezyp kochał teraz dopiero po raz pierwszy naprawdę. Chodził z rozdartym, krwawiącym naprawdę sercem jak jedną wielką raną, był prawie — bo cóż mógł robić więcej, jak siedzieć z nią i rozmawiać — pocałunek najniewinniejszy zdawał się być w tym stanie jakimś potwornie świętokradczym aktem brutalnej rozpusty. Rozczulał się nad nią do pęknięcia, litował się tak jak nad całą sforą uwięzionych psów, rozdzierał się i rozpajał aż do bólu — wszystko nadaremnie: nic z tego więcej nie można było uczynić, jak siedzieć lub chodzić razem i rozmawiać. A, przekleństwo! Zakorkowało go zupełnie — nie wyobrażał sobie wprost najskromniejszego nawet pćiowego aktu na tle tej piekielnej

sublimacji. I co było najdziwniejsze, że kochał ją teraz już świadomie, jako ten ciemny drab (z lekka tylko nocą wizji przejaśniony) i nic w nim, prócz metafizycznych przeżyć, nie łączyło się z dawno umarłym chłopczykiem. O morderstwie nie było już więcej mowy. „Jeśli to stworzyło w tobie nowego człowieka, to nie trzeba się tym martwić” — powiedziała raz Eliza i na tym koniec.

Ale powoli, zatrzymana w swym rozwoju przez skutki kontuzji i świeżo otworzony wulkan idealnych uczuć, zaczynała się budzić w Genezypie płciowa pożądlivość. Było to raczej tylko dalekie „pochutnywanie”, daleko subtelniejsze nawet od pierwszych wrażeń irytacji płciowej na tle spokoju i zrównoważenia Elizy, które to symptomy po pigułkach ustąpiły zupełnie. Eliza, mimo piękności, była, na pierwszy rzut oka, stworzonkiem prawie zupełnie bezpłciowym. (Tym niebezpieczniejsze bywają takie osoby, gdy już raz podobać się zaczną). Wielkie, szare, niewinne, prześwietlone zachwytem oczy zniewalały raczej do czci jakiejś nieziemskiej, niżby budzić miały myśli śliskie, nieczyste; (ale takie oczy widzieć skoszone żarem nasycanej żądz... Ha!); usta wygięte w łuk modlitewny, ani wąskie, ani szerokie, ale wcięte w kącikach z zaciętą trochę dobrocią, („dla *jego* dobra można go nawet trochę pomóc”), (takie usta rozmiążyć pocałunkiem tak, żeby się oddały bezwolne i jeszcze więcej pragnące... Ha!) i ciało wiotkie pozornie, ale giętkie do akrobatyki włącznie (w chwilach ekstazy dotykała pięt głową) i stalowoprężne w nerwowym podnieceniu (takie obojętne ciało zmusić, żeby się wiło jak gad w lubieżnych drgawkach... Ha!). Wszystko to stanowiło kompleks „danych zmysłowych” o pozornie nikłym erotycznym napięciu, ale kryjący w sobie jakieś piekielne, nieznanne możliwości, o których świadomie nie śmiał pomyśleć Genezyp, wysrubowywany w rozmowach na coraz wyższe piętra duchowej doskonałości. Ta nikłość to było złudzenie — oczywiście nie wiedział o tym niedoświadczony młodzik, który dotąd tylko bebechy na wierzchu uznawał za wyraz namiętności prawdziwej i nawet martwił się chwilami zbyteczną wzniosłością narzeczonej, nie śmiejąc wyrwać jej z tego stanu. Milcząca umowa trwała, że do nocy poślubnej ani dotknięcia jakiegos najskromniejszego być nie może. Pożądanie jego w tym okresie było raczej bezosobowe, na tle nagromadzonych zwałów żądz do tamtej kobiety, żądz już odosobowionej (zdezindywidualizowanej) pod wpływem zalania, zatopienia całej duszy wielką miłością idealną dla Elizy. A do tego nie miał żadnego antydotum jak wtedy w postaci sztuczek księżnej Iriny i mieć by nie chciał, mimo że czasem... ale mniej-
sza z tym: czegoż nie pomyśli człowiek w jakiejś cząsteczce sekundy? Gdyby wszystkie takie drgnienia uczuć i myśli zanotować i zanalizować, to cóż by zostało z najbardziej świetlistych postaci historii? Chodzi tylko o proporcję. Tak — każdy ma podobno różne zarazki w swym ciełe, ale nie każdy choruje na wszystkie choroby, które one wywołują.

Doskonałość

Podświadomie, wstrętnym instynktem samca, czuł Genezyp jakieś straszliwe bezimiennie napięcia w głębiach tej tak bliskiej mu, a tak tajemniczej osoby. Bo stokroć bardziej tajemniczą była dla niego ona, niż księżna i Persy w chwilach ich poznania. Tęgo nie mógł jeszcze ocenić kilka miesięcy temu, a teraz, jako ten drugi zatapiał w niej bezsilne szpony swoich wariackich myśli (nienasycenie absolutne) i odpadał jak od śliskiej, prostopadłej ściany. Niby przezroczysta była jak stulbia czy chełbia — widział nieomal proces jej psychicznego trawienia, gdy wykladała mu wzniosłą naukę Murti Binga, a jednak... Tą tajemnicą jej dla Zypcia była płonąca na razie zimnym ogniem, skryta w głębiach jej ciała płciowość, bo cóż w ogóle może być tajemniczego w kobiecie (jako takiej, a nie jako metafizyczna jaźń), jak nie to, prócz pewnej, głupiej zresztą nieobliczalności, na którą po prostu uwagi nie trzeba zwracać, *à la* Napoleon I. Tak myślał o tym ostatnim problemacie Genezyp, zasłyszawszy odnośną teorię od Sturfana Abnola. Miała Eliza uśmieški i błyski oczu, od których zamierały w Zypciu wnętrzości. Były w tym głębie nieznanych dla niego, w ogóle niepojętych uczuć — nigdy ich nie zrozumie, nie przeniknie, nie weźmie w siebie... Chwilka morderczej wściekłości i upokorzenia, a potem, właśnie na tym tle, miłość jeszcze wspanialsza, promienna, rozświetlająca i jego, i cały świat. W chwilach takich gałązka berberysu z czerwonymi jagodami na tle kobaltowej niebieskości sierpniowego „nieboskłonu”, jakiś listek, zaczynający z lekka żółknąć; albo błyszcząca ważka, trzepocząca z furkotem skrzydełkami, a sama zastygła nieruchomo w ciepłym podmuchu, idącym od rozgrzanych ściernisk, stawały się symbolami rzeczy najwyższych, w istocie niedościgłych, a wtedy właśnie na sekundę choćby stających się Genezypa i Elizy własnością wspólną, jak ich własne, nieznanne sobie ciała. Bo cóż jest

„właśniejszego” od własnego ciała? — chyba czasem czyjaś dusza. Zamaskowany zachwyt nad sobą — zwykle banalności pierwszych prawdziwych uczuć. Ale nie można było tego zatrzymać, w coś innego, trwalszego przetworzyć, ująć i wchłonąć na zawsze. Chwile płynęły i coraz większym smutkiem promieniała rosnąca przeszłość. Przeszłość jego pokręcona dziwacznie, nabiegła męką wykrzywionego od samego początku życia nie mogła stać się jej własnością. To jest może właśnie szczytem miłości, jeśli dwie przeszłości kochających się dwojga ludzi zleją się w jedną wspólną. Tu zbyt wielkie były różnice — Eliza nie miała w sobie odpowiednich narządów (wstrętne), aby strawić byłego Zypcia z całym jego rozdwojeniem. Gdy zagłębiał się w dawne a tak niedawne życie, stawał się dla niej obcym i musiał być samotnym, mimo pozornego analitycznego zrozumienia. I to może nadawało najjaśniejszym nawet chwilom tragiczne zabarwienie. Tajemny lęk okrężał ich powoli i często *jednocześnie* wdrygali się oboje, tknięci niejasnym przecuciem nadciągającej bezmiennej okropności. (Może to miał być „żółty mur”). Anielska twarz rzeczywistości zmieniała się chwilami nieznacznie, na nieskończoność czasu, w jakąś niewiarogodnie potworną mordę. A tak krótko trwało to, że nigdy nie wiadomo było, czy to nie złudzenie.

Na tle tych uczuciowych transformacji bzdura Murti Binga przenikała powoli niedokształcony, a głodny jakiegokolwiek metafizyki mózg Genezypa. Masa tych potencjalnych, nierozwiniętych uczuć, stanów i myśli, związana z poczuciem nieskończoności świata i zamkniętej w sobie jak w kufrze osobowości, nie rozplomieniała się w żadną zaczątkową nawet konstrukcję *prawdziwych* religijnych uczuć, mających za przedmiot Boga, ani nie krzepła i nie krystalizowała się w system choćby pierwotnych, ale ścisłych pojęć. Gniła powoli, rozkładała się w jakiś miękkisz bezkostny, nieartykułowany. Lekkie mgliste zarysy *dowolnego* szkieletu złożonego z niepowiązanych części: — wałęsających się zbanalizowanych pojęć: granicznej jedności w dwoistości na przykład, nie mogły stanowić żadnego ośrodka myślowej krystalizacji, były tylko powierzchownym narkotykiem, usypiającym wszelką pojęciowość w zarodku. Dobrze było zatkać dziurkę, prowadzącą do niezmiernie otchłani byle jakim korkiem, byle tylko za tę cenę można było się pogodzić z otaczającą i nieznośnie rzucającą się w oczy potwornością istnienia. Tak dobrze było wyciągnąć się w doskonałym, choćby w granicy, świecie, jak w wygodnym fotelu — nie na zawsze — choćby na chwilę, choćby na małą chwilkę tej wzniosłej miłości, tak kruchej w stosunku do piętrzących się dookoła groźnych potęg. Tej siły, aby móc powiedzieć sobie: „cokolwiek się stanie, niech uderza we mnie” i strawić każdą możliwą rzeczywistość, nie dała Zypciowi nowa wiara. Czyż warto było zaczynać coś na wielką skalę, wobec niemożności rozstrzygnięcia przyszłości w sposób jednoznaczny? Jak będzie wyglądać życie, jeśli Chińczycy zwyciężą? A jeśli, co było nieprawdopodobne i w co nikt *naprawdę* nie wierzył, Polska, wieczne przedmurze, rozbije mongolską lawinę? Jeszcze niepewnie przedstawiała się w tym wypadku przyszłość. Ruina sztucznego, podtrzymywanego przez Komunistyczny Zachód faszyzmu i jeśli nie chiński, to krajowy komunizm groził nieuchronnie. Genezyp przestał wkrótce dociekać ostatecznego sensu całej tej okrutnej bałiwerni życia. Zadowolnił się tym, że ostateczne prawdy zsyła na Murti Binga Graniczna Jedność, a oczywistym było to na podstawie wizji. W ogóle, kto nie miał nigdy wizji, nie wie, jak bardzo są one przekonywujące. Niepodobna wyklądać tu całego systemu — pies by tego nawet nie przejrzał. Było to coś pośredniego między religią a filozofią, coś po prostu okropnego: wszystko programowo niedokładne, do końca nie przemyślane, wszystko owinięte w pojęcia-maski, kryjące istotne trudności i zamazujące problemy. A skutek: barania dobroć i ogłupienie pozwalające na byle jaką przemoc. Tak myśleli w tym czasie wszyscy, których dosięgła zaraza: *Murtibingitis acuta*, jak to (jeszcze?) nazywał Kocmołuchowicz. Ogólną tendencję w tym kierunku spotęgowały znakomicie wypadki lipcowe: wytchnąć choć na chwilę przed ostateczną katastrofą było jedyną ideą ogólną — nikt nie myślał o dalekich dystansach. Tak to przygotowywały sobie grunt pod swoje nieuchronne panowanie te „żółte diabły”: usnąć i we śnie zadławić było ich zasadą naczelną. Jeden z niewielu nie poddał się nowej wierze Tengier. Nie chciał, jak mówił, odczytywać tych „znaków końca na niebie rozumu” — komponował coraz dziksze rzeczy, pił, zażywał co najmorowsze świństwa, miał swoje dziewczynki — co mu tam — takiemu dobrze. Artysta — brrr — najwstrętniejsze pojęcie w tych czasach — robak w ściervie. Trudno — do takich narkotycznych myśli (przed samą ostateczną bezmyślnością) (skończy się na-

uka w znaczeniu ogólnym i zakorkuje się filozofia) dąży ludzkość — w naszych oczach się one tworzą. Ale iluż „spłyciarzy”, szlachetnych (czy koniecznie) optymistów i sprytnych psychicznych byznesmanów nie widzi tego i widzieć nie chce.

A więc: Zypcio był już prawie nasycony dogmatyką nowej wiary, gdy Eliza znajdowała się na krańcach możliwości rozmów. Już, już za chwilę miało się wyczerpać wszystko i miłość idealna zjadłaby przed czasem miłość w ogóle, tę prawdziwą, nieodróżniczkowaną na duchową i zmysłową. A zmysłowe okropności czekały w przyszłości, obstawiwszy drogę życia, jak sfinksy świątynną egipską aleję. Pod koniec rozmówki były mniej więcej takie:

GENEZYP: (Nieszczerze). — Czuję się w sferze twojego ducha doskonałością tym większą, im bliżej jestem tego przecięcia się dwóch linii osobowości: przestrzennej i czasowej, o którym mówiłaś wczoraj...

ELIZA: (Patrząc bezkresnie, dwuokienkowo, jeden wzrok błędził koło wyspy Balam-pang, — drugi, ciemny, po zakamarkach ciała, dotykając, próbując wewnętrznych organów. Które by tu, od których by tu, którymi by tu tak zagarnąć.. Co? Zbudziła się). — Wiesz — chwilami straszliwe przychodzi na mnie zwątpienie: jeśli źródło pojęć ostatecznych, tych, które musimy przyjąć, nie jest potęgą dobrą, tylko obojętną, to dlaczego właśnie świat ma być postępem, a nie bezkierunkową oscylacją — a wtedy, w której fazie jesteśmy? — albo nawet ciągłym upadkiem? — (Przez wątpliwości lubiła najbardziej dochodzić do wiary). — Ograniczoność nasza nigdy nie da nam pewności co do znaku: *plus* czy *minus*, całości Bytu.

GENEZYP: (Nieprzyjemnie ocknięty). — Zawsze mówiłem, że etyka jest względna. Tylko specyficzne właściwości danego gatunku istot stwarzają specyficzny stosunek poszczególnego osobnika do całości gatunku i to *jest* etyka. Wobec Granicznej Jedności Bytu czyż nie jest wszystko jedno, w którym miejscu jesteśmy. Zawsze uderzamy się o nieskończoność.

ELIZA: Ponieważ nieskończoność jest graniczna, nie aktualna, więc to tak, jakby praktycznie jej jej było... — Kilka liści żółkniejącego klonu oderwało się i powoli balansując spadało na ziemię, od której buchał suchy żar. Zapatrzili się w te liście lecące w nieruchomym powietrzu i (na chwilę) pojęcia, których używali, wydały im się takim nonsensem wobec istnienia, że zawstydzili się jakby tej pseudo-filozoficznej rozmowy. Ale Eliza brnęła dalej z uporem: — (ileż by oszczędzili sobie rzeczy strasznych, gdyby teraz, zamiast gadać, oddali się sobie wzajemnie). — Hierarchia na skończonych wycinkach czasu jest bezwzględna. Zachowanie objawów indywidualnych, ale społecznie nieszkodliwych — oto do czego dąży nasz mistrz.

GENEZYP: Nie uwierzę w to nigdy. Widzimy, co się dzieje z teatrem: ostatnie podrygi czystego nonsensu. Nie byłaś w Kwintofrona. A muzyka kończy się naprawdę na Tengierze. To jest już to ostateczne wyprzedzenie społeczeństwa przez sztukę, to, którego nigdy odrobić się nie da.

ELIZA: Nikt jeszcze dotąd, a tym bardziej żadne państwo, nie działało w tym kierunku świadomie. Zizolowanie artystów i uczonych, jak pod kloszem, od reszty mechanizującego się społeczeństwa...

GENEZYP: Potworna bzdura. Ale i to też jest możliwe. Cóż się nie kryje w przyszłości naładowanej przez *taką* teraźniejszość.

ELIZA: Przy pomocy naszej wiary możemy przetrwać jak zamarynowani w galarecie dowolny system rządów. Tylko wszelka filozofia musi być trzebiona z największą zajadłością, jako bezpłodne marnowanie fosforu w mózgu, podobnie jak gra w szachy.

GENEZYP: A jednak coś przeraża mnie w tym wszystkim, gdy myślę tak *razem z tobą*. Ja chcę żyć, a duszę się w tym! Ratunku! — Zaniemówił na chwilę, zduszony prawdziwym strachem: czarnym, spoconym, wylupiastym: załupionym za samego siebie w nieskończoności, a potem krzyknął i nie poznał swego głosu. Nagła przepaść mignęła w nim samym. *Wszystko było nie to*. Coś rzucało się na niego z jego własnego wnętrza — już nie obcy człowiek (ten dawny więzień — och! — jakże rozkoszne były to czasy!), ale coś, coś bezimiennego, a ostatecznego jak sama śmierć — i to nie tylko jego własna, ale śmierć wszystkiego — Nicość. Eliza siedziała nieruchomo, zwrócona swym czystym profilem ku niemu, ale po ustach jej błąkał się jakiś tajemniczy, prowokujący uśmiešek. Genezyp bił rękami powietrze, w którym z szaloną szybkością rozprzestrzeniała się *gorąca* broda tamtego, zabitego przez niego — już wypełniała cały wszechświat, już przekraczała

granice skończoności, jak w wizji po dawamesku — jak wtedy gdy wszystko działo się w innej przestrzeni, poza tą naszą. A jednocześnie widział całą rzeczywistość przed sobą, z niesłychaną wyrazistością — jak nigdy dotąd — tylko jako jakieś *coś* obce, nieswoje — cudze i nie wiadomo przez kogo oglądane. Zrobiło się straszno. Oczy miał wylupione i dyszał ciężko. Eliza nie wytrzymała: wzięła go za głowę i przyciągnęła — wyrywającego się obłędnie — ku sobie. Takim go mieć na zawsze, panować nad nim, przetopić go w sobie na kogoś zupełnie innego, *niepoznawalnego*. Eliza kochała jego obłęd, *kochała go jako wariata*, w tym tylko znajdowała nasycenie — teraz miała taką chwilę — poczuła, że ma ciało, że ma i to, i tamto, tamto wewnątrz. Oczywiście nie wiedziała, że dlatego to czuje — och — szczęście! Wtedy był jej, gdy się sam z siebie wyrywał, gdy nie był już sobą. Pocałunek pierwszy w życiu, lekki jak dotknięcie skrzydeł ćmy, muskającej kielich nocnego kwiatu, a przewrotny w lekkości jak samo płciowe zło, zaczajone w całym istnieniu, spłynął na rozchylone i wykrzywione wargi Genezypa i zdarł zasłonę szaleństwa z jego rozwalonych przestachem oczu. Przeszło. Zachciało mu się strasznie Kocmołuchowicza: wodza i jego bitwy też. W takiej chwili umrzeć nawet bez kawaleryjskiej muzyczki. Cóż kiedy chwila taka zawsze przyjdzie nie w porę. Zbudził się i wtedy właśnie jakże piekielnie ją kochał! (A ona już trochę mniej — lepszy był przed sekundą). Czuł dobrze, że to ona wyciągnęła go z tego wilczego dołu, w który strącała go ta sama bezlitosna łapa, ta co od początku kierowała jego życiem, łapa ojca. Ale nie tego, który umarł, tylko tego wiecznego, prawie Ojca-Boga, tego, którego niedokończone szaleństwo, szaleństwo silnego człowieka, rozwijało się teraz w nim, duchowo-słabym wymoczku. Okropna była w tym niesprawiedliwość. Ale czyż nie największym szaleństwem jest żądać sprawiedliwości od istnienia w całości? To jest właśnie to, co robili najwięksi myśliciele: uświęcali z uporem i bez skutków w zaświatowych prawach bezładne kupy etycznych kontyngencji.

A czasem znowu Eliza mówiła płomiennie:

— ...i oto tam w nieskończonej dali przetną się linie sensów przedłużonych najwyższych pojęć i w jedności absolutnej wszystkiego ze wszystkim i poza związkiem wszechrzeczy samej ze sobą staniemy się jednym i tym samym. Pomyśl, co to za szczęście będzie, kiedy zatraci się różnica między realnym a idealnym bytem, między pojęciem a tym, co je nazywa takim, i tym, co ono oznacza. Byt nie będzie się niczym różnił w swej rzeczywistości od jego jedyne, najwyższego zrozumienia: Wszystkość stopi się sama z sobą — i tak dalej i dalej. — Genezyp troszkę wstydził się za nią, ale uniesiony w końcu samą płomiennością tych stów, zaczynał wściekle jej pożądać. Czuł, że tę jedność osiągnąć można tu na ziemi przez akt płciowy po prostu, ale jeszcze nie śmiał o tym mówić. [„Dwoista jedność” — cha, cha — parskali na to słowo dzikim śmiechem sztabowcy chińscy, popijając ryżową wódką ogony szurcze, smażone w lnianym oleju. Śmiał się sam Wang, głównodowodzący zbolszewizowanych mongolów całej Azji, ten jedyny człowiek, przed rozmową z którym Kocmołuchowicz odczuwał lekki straszek].

Konało lato w bólu swej własnej piękności. Szafirowa twarz nocy powlekała się żalobą beznadziejnej zagwiezdnej pustki. Świat zdawał się naprawdę ograniczonym, jak w koncepcji Einsteina — jedno wielkie więzienie. [Niektórzy ludzie, mimo że fizyka nie wymagała już tego poglądu (jakiś szwindel zrobiony z tym nieszczęsnym nieskończeniem wielkim grawitacyjnym potencjałem), żyli się tak z ideą „krzywego wszechświata”, że intuicyjnie nawet godzili się na jego ograniczoność i było im z tym dobrze. Niebezpieczny symptom]. „Tam” było głucho — między niedościgłą prawdą a istnieniem faktycznym rozpostarła się zasłona pojęć Murti Binga. Chociaż była to raczej poszarpana firanka deszczu, zasłaniająca powoli śmiejący się dawniej nadzieją słoneczny horyzont poznania. To ostatnie słowo wyrzucono dawno na śmietnik: był sobie zwykły kretynizm i niczym nie różniący się od niego pewność, że tak musi być, jak Murti Bing naucza. Poza tym nic — chyba znaczki Benza. Jak szelest liści żółtych, spadających ze smutnych szkieletów drzew na martwiejącą ziemię, tak szemrały słowa usypiającej nauki Mistrza, padając na krwawo zakrzepłe zwoje mózgowie biednego adiutanta-aspiranta. Rozpoczęły się już ćwiczenia ostateczne — kurs najwyższych eddekanckich subtelności — z dnia na dzień oczekiwać należało nominacji. Podróż do stolicy, nowe życie... z trudem myślał o tym Genezyp, zapadając coraz głębiej w bolesną, miękką nudę. Jedyne myślenie o zbliżającym się ślubie galwanizowała jego zatęchłe gangliony. Ale i tu otwierało się całe morze komplikacji.

Jak spełni się ofiara tej ostatniej (tego był pewien, mimo swoich młodych lat) miłości? I brał go czasem jak w kleszcze dziki strach, od którego cierpła mu skóra na łądźwiach w łuskę krokodyla. Jak nasyci tę straszną, nieznaną dotąd, wzdętą jak pąk jakiegoś sportowniałego kwiatu żądzę, która rozgałęziła mu się w ciele jak włóknisty nowotwór i żarła go lubieżnie mlaskając, a przy tym paraliżowała zdolność wszelkiego czynu realnego — był tak bezsilnym wobec Elizy, jak wobec tamtej, i nie wiedział, jakim cudem zdoła przezwyciężyć ten stan bezwładu. I jednocześnie była w tym niepojęta *bezkresna* nuda. Ha! A jeśli to nawet pokonany zostanie, to co dalej? Znał tylko księżnę jedną naprawdę i bał się aż do mdłości tej wrogości płciowej, ponurej w swoim kłamstwie, która mogła wytworzyć się w miarę urzeczywistniania się erotycznych stosunków. A miłość duchowa trwała i bez niej nie można już było wyobrazić sobie życia.

Nadchodził fatalny i upragniony dzień — już był tuż, tuż — jutro czy pojutrze. Genezyp zdecydował się na rozmowę ostateczną. Od kogoż mógł oczekiwać pociechy, jak nie od niej, mistrzyni swojej w sferze tajemnych nauk. I pchał się do niej, i garnął, i cisnął, błagając o ratunek i nie czując, że w niej właśnie jest źródło dalszego rozwoju obłądnych stanów, które może bez niej opanować by zdołał. Zdecydował się mówić, ale szeptał tylko bez sensu, ukrywając twarz w jej lewej pasze, wciągając rozdętymi nozdrzami zabójczy „krwawy i zbrodniczy” (nie miał na to innego słowa) leciutki zapaszek nieznanego jej ciała. „Ach, to ciało — przecież to tam jest tajemnica wszystkiego, a nie w kombinacjach pojęć zawieszonych w idealnym bycie, którym babrali się bez skutku wszyscy mędracy świata”. Ucieszyłby się nieboszczyk Bergson, gdyby mógł „słyszeć” tę „myśl”. Tak się myśli przedtem, ale potem? Szeptał, a każde jej słowo, którym mu na ten bydlęcy szept odpowiadała, było świętością i szatańską nudą, i wściekłą podnietą dla nienasyconej i bezsilnej żądz. Jak krople wody padające na ściany rozpalonego do czerwoności kotła były te zwykle bzdurawate słowa zabójczej nauki dżewanistów polskich — oczywiście w jej ustach. Wstyd powtarzać te nonsensy. A wszystko to działo się jakoś *na sucho* — innego określenia na to nie ma — pustynia i gorący samum. Straszno było — co tam Chińczycy! Tu, na małym skraweczku osobistych tragedii rysowała się tragedia całych pokoleń, semaforycznie, wskaźnikowo. A imię jej: „niezdolność do prawdziwych wielkich uczuć”. Oczywiście gdzieś jakiś szewc kochał naprawdę jakąś kucharkę — ale to nie tworzyło życia ogólnego, przynajmniej w Polsce, pełnej schizoidów, a nawet schizofreników na stanowiskach twórczych. Pyknicy jeszcze nie dorwali się do władzy — dopiero Chińczycy umożliwili im rozwinięcie się w prawdziwą potęgę i potem było już dobrze. Zypcio zdecydował się przerwać wykład za jaką bądź cenę.

— Słuchaj, Elizo — mówił (zupełnie nie to, co chciał, jak zwykle młodzi ludzie) — nie mogę zdobyć się nawet na to, aby nazywać cię Lizką — jest w tym męka bez granic. Jeśli ty nie dasz mi możliwości spełnienia jakiegoś wielkiego czynu, to co będzie wtedy...? — spytał z bezradnym uśmiechem najwyższej rozpacz, patrząc w prześwietlone wieczornym seledynem wrześniowe niebo. Już chłód wiał od dalekich łąk, na które kopiec imienia pewnego prawie zapomnianego narodowego bohatera kładł szmaragdowo-błękitne cienie. Tu ziemia dyszała jeszcze żarem dnia. Straszliwa tęsknota przytłoczyła ich oboje. Jakże piekielnie zazdrościli rojowi zapóźnionych (czemu? we wrześniu?) komarów, wirującemu w tanecznych podskokach na tle gorącego wnętrza żółkniejących „krzów” rokity. Zazdrościli całemu rojowi, a nie pojedynczym komarom — zdysocjować się na poszczególne istnienia — żyć w wielości, nie być sobą, oto do czego doszło. W wieczornym powiewie długoigłaste sosny syczały cicho. Zamknąć wieczność w takiej chwili i już nie istnieć.

— Poświęciłabym siebie, abys ty tylko mógł czegoś wielkiego dokonać. Nie chcę żadnych zaszczytów, tylko żebyś ty mógł być wielkim sam dla siebie — wierzę, że ty się nie okłamiesz...

— Nie, nie — ja tak nie chcę — jęknął Genezyp.

— Wiem: ty byś chciał, aby to było przy wojskowej muzycze ze sztandarami i żeby Kocmołuchowicz — (zawsze tak mówiła, inaczej niż wszyscy) — uderzał cię mieczem Bolesława Chrobrego po plecach. — (O jakże nienawidził jej Genezyp w tej chwili, tak jednocześnie kochając! O, męko!) — Nie, to może być dla ciebie tylko drogą do wielkości. Jak dojrzejesz, to ty właśnie w tym nie pozostaniesz. Wojnę musisz przeżyć na przekór sobie, w ukryciu przed samym sobą. —

— Więc, czyż chciałabyś, abym został wielkim automatem?! — „zakrzyknął” Zypcio i stanął przed nią w całej okazałości, w tym dziwnym, huzarskim mundurze adiutantów, rozkraczywszy nogi w obcisłych ceglanych portkach i botfortach z ostrogami. (Coś było z napoleońskich „guide’ów” w tym wszystkim. Używał sobie kwatermistrz na dekoracjach ile mógł). Jakże był pięknym ten jej ukochany Zypcio! Ach, gdyby to można teraz, tu, na tej gorącej ziemi — żeby on spadł na nią jak jastrząb na ptaszka i żeby ona wyc mogła z rozkosznego bólu jak kotka — niedawno widziała taką scenkę. I to on tym... Oboje tego chcieli i nie mogli się zdecydować. Czemu, czemu nie zrobili tego w porę? I znowu rozmowa: teraz męczyła Eliza Genezypa *ofiara*. Nowa zmora przybyła w ostatnich dniach, ta przeklęta ofiara: dobrowolna ofiara indywidualnemu społeczeństwu, aby tym silniej zakwitnąć potem w oderwanych od życia sferach, ale już w śmierdzącym wnętrzu masy — nie oddzielnie, nie obok — i potem dopiero, rozpychając się, zapachnić znowu cały ten interes tą oderwaną, dobrą już, osobowością — (śmierdzącym psychicznym zbydlęcieniem — ten okres był konieczny) — zewnętrznie wymyć będą i czyści, syci, i świetnie mieszkający ci, ci — szczęśliwcy — raczej nie *ci*, tylko te kółka, trybki, śrubki i klamerki idealnej maszyny przyszłych wieków, której pierwszy szkic można już było teraz w niektórych państwach oglądać. Strach mroził kości przed tym, co nastąpi.

[A w gabinecie na Świętokrzyskim Placu w pałacu M. S. Wojsk. stał przed kominem generalny kwatermistrz i kołysał się z lekka, grzejąc hemoroidy, które dziś mu specjalnie dokuczały. Na operację teraz zdecydować się nie mógł, a wczoraj właśnie upił się w towarzystwie Persy i działy się rzeczy potworne, nawet dla niego. Dyktował jakiś pozornie podrzędny rozkaz Oleśnickiemu. Historia tworzyła się w tej właśnie chwili, a działo się to tak: „...a więc przez to właśnie szkodliwej. Rozkazujemy nie dopuszczać wyznawców Murti Binga do koszar. Żołnierz musi być do pewnego stopnia tylko zautomatyzowany przy pomocy środków zawartych w regulaminie numer trzy. Uważamy zasady wyżej wspomnianej nauki za nieszkodliwe jedynie dla wyższych inteligencji, począwszy od chorążego. W warstwach niższych spreparowana przez odpowiednich popularyzatorów trzecia klasa wtajemniczeń może tylko wywołać nie dające się przewidzieć kombinacje dawnych, zamierających wierzeń z materialistycznym ujęciem dziejów. Polecam p. p. oficerom, od kapitana począwszy, rozbabranie tej całej diabelskiej kaszy. [Takim był styl generalnego kwatermistrza, nawet w oficjalnych rozkazach]. Przeczytać na zebraniach oficerskich, które umyślnie w tym celu zwołane być mają”. Ordynansowy oficer zaanonsował Dżewanego. Skąd właśnie teraz tu? Kocmołuchowicz poczuł się tak, jakby był obleziony przez kleszcze w cejlońskiej dżungli. Wszedł młody i piękny Hindus w smokingu. Na głowie miał turban, spięty szafirem wielkości gołębiego jajka. Zmierzyły się ze sobą dwie potęgi: wysłannik tajny wschodniej komuny z dewizy: zniszczyć najpierw wszystko, a potem stworzyć nowego człowieka i odtruc ziemię z jadu białej rasy, i bezi-deowy, nieświadomy siebie niewolnik potwornej machinacji komunizmów zachodnich, a poza tym siła sama w sobie, samowichrowata, bez określonego kierunku, jedno z ostatnich ginących indywidualiów — (czepia się takie czego może bezprzytomnie). Rozmowa była krótka.

DŻEWANI: Czemu Wasza Eksceleńcja zabrania żołnierzom świetnego Przedmurza — (wymówił te słowa beczelny Hindus z ledwo dostrzegalną ironijką) — uczestniczyć w wielkiej prawdzie, ogarniającej nie tylko nieskończoność idealnego bytu, ale i przyszłość stworzeń myślących w całym kosmosie, na wszystkich aktualnych i możliwych planetach? — Kocmołuchowicz rzekł na to spokojnie, prawie słodko, a straszna to była słodycz:

— Jak to, nikczemny szpiegu żółtej lawiny...

DŻEWANI: Nic wspólnego nie mamy z najazdem Mongołów. Nic nigdy nam nie udo-
wodniono...

KWATERMISTRZ: Nie przerywać. Więc czyż tylko myśli, które są tu — (tu stuknęła się w swoje guziaste czoło mędrca) mogą być niepoznawalne?

Dżewani obdarzony był słuchem wprost piekielnym, a potęgował go przez użycie specjalnych rożków akustycznych. Wynalazek chiński — nieznan na Zachodzie. Pod-
słuchał cały rozkaz z poczekalni oddalonej o trzy pokoje, przedzielone wypoduszkowa-
nymi drzwiami. Słuchał poprzez piec i kominowe rury. W ogóle cały fakiryzm to tylko

wysubtelnienie zmysłów i zdolność sugestii. Tej ostatniej sile nie podlegał jednak dzielny „Kocmołuch”. Nie jego brać na takie sztuczki. Dżewani nie drgnął.

— Tylko myśli nienarodzone są niepoznawalne — rzekł szalenie po prostu znacząco, patrząc płomiennym wzrokiem w czarne, wesołe, genialne gały tamtego. Najwyraźniej robił aluzję do niepoznawalności ostatniej myśli wodza. Tego jeszcze nikt nie ośmielił się dokonać. Spojrzenie jego było tak znaczące, że wesołość znikła momentalnie z czarnych gał jak zdmuchnięty nalot. „Czyżby on znał mój mechanizm” — pomyślał Kocmołuchowicz i nagle zrobiło mu się zimno w całym ciele. Nagły kurcz i hemoroidy przestały boleć — kiszka wciągnęła się. Tak to zużytkował generalny kwatermistrz tę wizytę, poza tym, że zwiększył od tej chwili kontrolę przylegających do gabinetu pokojów i kontrolę wewnątrz-zewnątrzną swojej własnej osoby. Z najdrobniejszych rzeczy wyciągać wnioski i zaraz, natychmiast stosować je w praktyce — oto wszystko. Rozmowa poszła dalej jakby nigdy nic i nic ważnego nie zostało powiedziane ani postanowione. Dwaj panowie badali się przeważnie wzrokiem. Nie wiadomo było w dalszym ciągu, co wiedziała ta brązowawa małpa. On też próbował swojej intuicji, ten Hindus. Bo żeby dla niego, joga drugiej klasy, biały człowiek mógł być tajemniczym, to mu się jeszcze nie zdarzyło. Dał jemu również szkołę „*der geniale Kotzmoloukowitzsch*”, jak i wszystkim. A to dlatego, że nic ważnego nigdy nie zapisywał — wszystko miał we łbie. Wychodząc wręczył Dżewani kwatermistrzowi dwadzieścia pięć pigułek dawamesku w prześlicznie rzeźbionej szkatułce. „Dla takiego orła i dwadzieścia pięć nie jest dosyć. Ale wiem, że Wasza Ekscelsja jest cierpiąca”. To były jego ostatnie słowa].

Kiedy Genezyp obudził się nazajutrz po zdaniu ostatniego adiutanckiego egzaminu, poczuł znowu tajemniczą przestrzeń dowolności, prawie jak wtedy zaraz po maturze. Wiedział, że przy „boku wodza” czeka go praca, przechodząca miarę wszystkiego, co dokonał dotąd. Ale to nie było to. Teraz dopiero poczuł się człowiekiem wolnym i skończonym — wszelkie szkółki (i szkółka Elizy też) były już poza nim. Trzeba było być kimś naprawdę — straszna to chwila dla pewnych schizoidów, lubiących wisieć w niepewności między postanowieniem a dokonaniem. Czyż jest coś gorszego od wolności, z którą nie wiadomo co zrobić? Dałby dużo, aby się nie obudzić tego ranka wcale. Ale dzień stał przed nim jak jeden blok, nieubłagany, a pusty — (czymś wypełniony być musiał — czas leciał) — i to (ach, prawda!) w dodatku dzień ślubu. Przypomnił to sobie Zypcio w dziesięć minut po obudzeniu dopiero i przeraził się do kwadratu. Patrzył wylupionymi oczami w okno, które machinalnie odsłonił. Obcość świata dochodziła do szczytu — jesienne drzewa w słońcu zdawały się rosnać co najmniej na innej planecie. Gdzie tam inne planety — to była dziura bez dna, ten świat, wypełniona samą ucieleśnioną w zewnętrznych przedmiotach obcością. Ale gdzie był ten świat, w którym by żyć można? Gdzie? Nie istniał i *nie mógł istnieć*. To była najokrutniejsza z prawd. „Po co ja żyję” — wyszeptał i lzy zdusiły go za gardło. O męko bezgraniczna — czemuż nie zrozumiał tego wcześniej!? Zdawało mu się, że dawniej mógłby się zabić bez wahania — teraz *musiał żyć*. Czemuż przepuścił tę sposobność? Dla głupstw, dla jakichś kobiet, dla rodziny. Aha, *à propos*: gdzież była matka, siostra i ten wszechwiedzący Abnol, i wszyscy inni, drodzy dawniej, a teraz widma bezosobowe, które mu nic pomóc nie mogą, w tym jego wymarłym, bezosobowym świecie? Czyż Eliza nie należała też do świata widm? Różniła się tylko tym od tamtych, że miała tę twarz piekielną i pożądane, nieznanne ciało. Tamci byli bezcieleśni. Taki był Genezyp nędzny, taki żądny współczucia: jakiegoś choćby muśnięcia lekkiego czyjeś kochającej dłoni (człowieka mogłoby nie być, tylko dłoń), że aż wstyd. Dłoni? Śmieszne. Skąd jakaś dłoń, co to wszystko w ogóle miało znaczyć? Był sam i cierpiał potwornie — nikt by go nie zrozumiał i nikt nawet gadać by z nim o tym nie chciał. Nie warto było mówić o tym nikomu, nawet jej. Wiedział, co usłyszy: mały wykład o jakichś eterycznych dziurkach czy czymś podobnym. Mimo że przed chwilą myślał o ślubie (abstrakcyjnie jakoś, bez związku z określoną osobą), teraz dopiero uprzytomnił sobie realną egzystencję narzeczonej. Ona naprawdę jest, jego Lizka, ha, ha! — I stoczył się w nią (czy w swoją miłość do niej) jak w śmierć. Przecież ona jedna wypełniała cały pusty, obcy świat. I on o tym mógł zapomnieć!! Tak — zapomniawszy, bo tak szczelnie świat był nią wypełniony, że właśnie to jako takie mogło być niezauważone. Czy było to wszystko prawdą? Kto to wiedzieć może. I pomyśleć, że tego rodzaju i natężenia tragedie, które

Konflikt wewnętrzny

dawniej, odbywając się na odpowiednich stanowiskach społecznych, zmieniać mogły historię świata, teraz są jakimiś wypłutymi pestkami, ogarkami czy ogryzkami. Nic nikogo to nie obchodzi. Takie rzeczy tępi się jak pluskwy. Wymarli tam, we świecie śmieszni marzyciele. Tylko tu jeszcze, na tym, cudem zachowanym w ogólnej przemianie, kawałku planety, w jakimś, do pęknięcia natężonym, bezwładzie, trwało coś, przypominającego dawne czasy. Ale wszystko to było wydrążone, wyjedzone, suche, dźwięczące pustką, jak zeschnięta tykwa. Jak posępny, straszliwy sęp, kryjący pod różnokolorowymi piórkami swoją straszność, wyjadała resztki mózgowi zabójcza nauka Murti Binga. A pozornie była to taka łagodna, „słodka” sztuczka. Eliza — samo imię to zalewało mózg jadowitym syropem — ha! I te wszechwiedzące oczy, kryjące nieznaną szal, nieznaną rozkosz, obiecujące spełnienie najwścieklejszych nieprawdopodobnych pragnień, zbitych w jedno z idealnym przywiązaniem, graniczącym z nienawiścią prawie. Tylko dokonanie czegoś aż bezsensownego w swej potworności mogłoby go nasycić — ale czego? Tak ograniczone są wszystkie możliwości, że choć tłuc łbem o ten kaflowy piec — nie wymyśli się nic. O, żeby można było naprawdę po prostu pęknąć!

I równie nagle jak przyszło, tak i spadło z Genezypa całe to zawikłanie, niby jakaś wstrętna maska. Eliza była tylko rzeczywistą ukochaną dziewczynką, a nie żadnym widmem czy trującym tajemniczymi naukami potworem, rodzina — kochaną rodziną, Sturfan — prawdziwym przyjacielem, a on sam — pięknym kandydatem na adiutanta Wodza, z otwierającą się równie piękną karierą. Dobrze jest i koniec.

Uwaga: dusza, która może uleczyć jednego, może struć śmiertelnie drugiego, trzeciego uczynić wielkim wbrew jego woli, a czwartego spodlić aż do kanałowo-psychicznych wymiarów, wytrzeć go na śmierdzący łachman. Straszno pomyśleć, że dobroć i poświęcenie siebie, oddanie się komuś bez zastrzeżeń, zatracenie się w kimś, może dla przedmiotów tych uczuć i czynów stać się właśnie najgorszym z wymienionych wypadków. Byłoby najlepiej, aby dusze były tak nieprzepuszczalne, jak monady Leibniza, aby wszystko szło według jakiejś zasady obcej faktom, nie mającej w nich samych swego źródła. Trudno — ludzie włożą jedni na drugich i to jest wstrętne.

Zypcio mył się w łazience, jak najnormalniejszy bubek. Potem ordynans (ten przytyłek z przedhistorycznych nieomal czasów wojskowości) zaczął znosić mu świeżo wyczyszczone ubrania, naostrożone lśniące buty, akselbanty i inne „zamierzchłe fintifluszki”. Ranne słońce wymiatało z sypialnego pokoju wszelką ponurą dziwność. Zdawało się młodemu, normalnemu oficerkowi, że przeszedł długą i ciężką, odradzającą chorobę. Czuł się byczym i zdrowym jak nigdy. Nie widział groźnego cienia, stojącego za nim i nakręcającego drobne niteczki na wałeczki, zakładającego sprężynki i wtykającego ledwo dostrzegalne sztyfciki między zwoje jego biednego mózgu. Nawet ordynans Ciompała odczuwał coś niesamowitego w atmosferze. A ten nic — jak kotek.

Przygotowania przeszły „jak sen”, a potem zaczęła się zwykła „kanitièl” formalności, obrzędów i ceremonii. Ślub był potrójny: cywilno-wojskowy, katolicki (dla mamy) i murtibingowy, tak zwany dwój-jedyny. Małżeństwo było symbolem dwoistej granicznej jedności = zupełnego zagłupienia i tymczasowego zaniku osobowości na rzecz społeczeństwa. Ceremonii dokonał przy pomocy odpowiednich zaklęć sam Lambdon Tygier. Eliza, zamknięta w sobie i skupiona, miała w kącikach ust jakiś bolesny uśmiezek męczzonego niewiniątka, który rozpałił najbardziej złe i okrutne żądze w ciele młodego adiutanta. Ale przecież to było zupełnie normalne i pożądanе.

Nazajutrz mieli państwo młodzi wyjechać do stolicy, gdzie Genezypa czekała samodzielna, odpowiedzialna praca. „Co za rozkosz, co za rozkosz” — powtarzał, a zęby mu szczękały i latały oczy z jakiegoś wyprutego z samego szpiku niepokoju. Był jak w gorączce, ale tej zwykłej, życiowej — wszyscy uważali to za naturalne. „Aliści” wieczorne gazety przyniosły niepokojące wiadomości. Żółty mur ruszył się. Pierwsze oddziały doszły do Mińska, gdzie w trzy godziny „zchinizowano” białoruską republikę. Po południu ogłoszono u nas ogólną mobilizację, a już o piątej wieczorem wybuchł, na tle ideologii komunistycznej, bunt trzech pułków rozłożonych w stolicy i znajdujących się pod dowództwem Niehyda-Ochlujka, — jak to wiadomo z powodu swego notorycznego niemycia się i spoconych rąk słusznie Ohydem-Niechlujem zwanego. Po konferencji z kwa-

termistrzem we cztery oczy (podobno było nawet mordobicie, co zdarzało się stosunkowo rzadko) ohydny mąż ten uspokoił w mig swoje pulki, nie wyjaśniając jednak istotnego stanu rzeczy wyznawcom swym i podwładnym. Był to jeden z cudów tej epoki, których nigdy nie wyjaśniła potem historia. Do cudów (podobnych stosunkowi Napoleona do Talleyranda i Fouchégo) zaliczane były również relacje Kocmołuchowicza z Niehydem. Pewni ludzie twierdzili, że kwatermistrz musiał mieć koło siebie taką niebezpieczną bestię dla wewnętrznego dopingu i dla „trzymania ręki na pulsie pewnych procesów” i to było wysoce prawdopodobnym. Inni zaś tłumaczyli wszystko ogólnym zidioceniem.

Na wesele przyjechał też wynędzniały w więzieniu były ambasador w Chinach Adam książę Ticonderoga. Ale absolutnie nie chciał nic mówić, ani mamie, ani nikomu. Tylko księżna zauważyła, że jest to zupełnie nie ten człowiek i wstrzyknęła mu kolosalną dawkę nauki Murti Binga. Młody książę kiwał tylko beznadziejnie głową — miał dosyć wszelkich gadań. Chodziło o tak zwany „problem zatrzymania kultury” — czy to było ostatecznym szczytem chińskiej ideologii, czy też poza tym kryło się coś jeszcze, czego nie wiedział nikt w Europie i Ameryce? Książę Adam chciał wszystkie wiadomości swoje dostarczyć jedynie Syndykatomu Zbawienia. Dlatego ujęto go po drodze i osadzono w więzieniu. Po rozmowie z kwatermistrzem, który (według zdania pewnych podejrzanych figur) torturował go osobiście (lepiej nie mówić jak) wycięto mu podobno jakiś gruczołek w mózgu i zapomniał biedak o wszystkim. W ten sposób coś pewnego na ten temat wiedział jedynie sam Kocmołuchowicz. Detale wydobywania tych tajemnic były straszne. Ticonderoga musiał oddać się najwyższemu mandarynowi Wu (o mało przy tym nie umarł), ale tylko temu zawdzięczał, że go w ogóle wypuszczono. A może to była błaga, którą umyślnie puszczono jako tajemnicę przez tak wąską rurkę, aby nas okłamać? Kocmołuchowicz bił się ze strasznymi myślami. Nareszcie mógł o czymś „ideowym” pomyśleć na tle ciągłych strategicznych kombinacji i to może było szczęściem — kto wie? Czy puścić tę „ideę” dalej czy nie — oto był problemat. E — lepiej nie. Cały ten „*Ideengang*” przedstawiał się mniej więcej w następujący sposób, na tle zeznań księcia, który wyjęczał (podobno) wszystko, wijąc się w nieludzkich cierpieniach: „Jak wszystko dokładnie włoży na swoje miejsca we właściwym czasie, to całość robi wrażenie bloku — nie odczuwa się wtedy ani tarć, ani wewnętrznych szybkości. Na błędach i nieregularnościach można zaobserwować dopiero ten szalony wir (nie ciąg) wzrastającej kultury, którego rozpęd coraz większy grozi przez przekomplikowanie życia zupełną zagładą ludzkości. Otóż wyszło na jaw, że komplikacja przerastać zaczyna nie tylko siłę indywidualną — to zostało zużyte dla organizacji — *ale siłę samej możliwości organizacji masy ludzkiej*. To była ta katastrofa przyszłości, którą zobaczyło (podobno!) tylko paru Chińczyków. To już się okazało na małą skalę w Chinach, nie mówiąc o Zachodzie. Ale tam nie *wiedział* o tym nikt nic. A więc same rasy żółte, mimo ich intelektualnej potęgi, oswobodzonej przez zaprowadzenie zachodniego typu alfabetu, nie mogły dać rady tym problemom. Doświadczenia wykazały nowe możliwości u osobników mieszanych: — aryjsko-mongolskich. *Waliali!* Na Zachód więc i przez połączenie na wielką skalę dwóch ras, odświeżyć ludzkość — no i co dalej? Ha — nieznanne możliwości — może cofnięcie kultury i zahamowanie jej na pewnym punkcie okaże się koniecznym tylko na czas pewien, a potem może ludzkość czekają nowe niewyobrażalne teraz przeznaczenia. Na razie chodziło tylko o opanowanie i skanalizowanie potęgi „dzikiego kapitału”, głównego elementu przyspieszenia, i zaprowadzenie tymczasowego systemu komunistycznego dla chwilowej choćby „*pieredyszki*”. Komunizm zachodni, przesiąknięty tak faszyzmem, że faktycznie prawie od niego nie odróżnialny, nie zaspakajał pod tym względem wymagań chińskich”. Kocmołuchowicz ważył idee, chodząc z kąta w kąt po swoim nowym olbrzymim gabinecie w byłym pałacu Radziwiłłów, „po-radziwiłłowski” jak go nazywano obecnie. (Tydzień temu kazał wyrzucić stamtąd rodzinę nie chcących mu się podporządkować Radziwiłłów po prostu na bruk. Uznawał arystokrację, ale tylko w tym wypadku, gdy lizała mu buty. Panoszących się panów od czasu poskromienia Syndykatu ścierpieć nie mógł i chyba, na Boga, miał rację). Ważył się wyższą nad-świadomością (jak orzeł) nad własną jaźnią, która leżała przed nim, rozsmarowana parszywą aktualnością, jak marmelada na stalowej płycie. Ale zwykły atazek historii, jeden z tych, w których improwizował zwykle swoje najgenialniejsze posunięcia, nie przychodził, psia-krew. Postanowił kropnąć dziś właśnie dwadzieścia pięć piguł Dżewaniego — niech się dzieje co chce. — Zarządził przeciw mobilizację, wojna

rozpoczęła się, plany były gotowe — trzeba było odpocząć i zobaczyć, co jest „na dnie” — czy było jeszcze w ogóle to dno, z którego zawsze dotąd potrafił wydobyć jakiś nowy pomysł. Umiał nie myśleć o najbardziej palących problemach, gdy tego bardzo chciał — w tym była jego siła. Zadzwonił na Oleśnickiego i kazał sobie tu, do tego gniazda znieawidzonych Radziwiłłów, zawołać Persy, czekającą już od dwóch dni w hotelu — z nią razem postanowił zażyć zabójczy narkotyk. Ha — zobaczymy, co będzie. (Protokół wizji prowadzony przez Oleśnickiego tej nocy, protokół podwójny, posłał nazajutrz Bechmetiewowi. Ten zaś, nie pokazawszy go nikomu, kazał sobie niebezpieczny dokument włożyć aż do trumny. Tajemnica pozostała niewyjaśnioną. Ale na podstawie wizji Zypcia choćby można się domyślać, co to takiego było). Właśnie w tej chwili wchodził do gabinetu Niehyd-Ochluj (brodaty, z wylupionymi na wierzch piwnymi gałami, ohydny) z raportem o uśmierzeniu swego własnego buntu. Lewy pysk miał obwiązany, ale trzymał się niezłe. Rozmowa była przyjacielska, pogodna. Kwatermistrz zdecydował się na zimno (a nie w ataku) odsłonić choćby rąbek ostatnich swych myśli przed swoją „przeciwwagą”, jak w tajnych samo-bebeszeniach zwykł był nazywać Niehyda. Ochluj był zachwycony zaszczycem. Pierwszy raz panowie ci rozstali się w tak doskonałych stosunkach.

A tam, w regionalnej stolicy K. właśnie na tle tych wypadków, odbywało się skromne wesele przyszłego adiutanta głównego ich bohatera. Jedynym elementem łączącym obie serie była gratulacyjna depesza Wodza: „Zypciu, trzymaj się. Kocmołuchowicz”. Natychmiast domowymi środkami oprawiono ją w zaimprovizowane *passe-partout* i powieszono na lampie nad stołem. Genezyp pił mało, ale mimo to doznawał coraz silniej jakiegoś wewnętrznego przelśnienia, ogarniającego górne regiony jego niedokształconego umysłu. Czuł się po prostu inteligentniejszym od samego siebie i to go zaniepokoiło. Zwierzył się z tym Elizie.

— To działa moja modlitwa do Podwójnej Nicości. Czułam fałę, którą wysłał sam Murti Bing. Oby światłość wiecznie sphywała na jego głowę — szepnęła ta wszechwiedząca dziewczeczka. Genezyp odczuł też nagłą fałę, ale nudy, fałę wysłaną chyba z jakiejś metafizycznej centrali tej istności — potęga jej była straszna. Cały ten układ obecny, razem z weselnymi gośćmi (a byli wszyscy prawie, występujący w części pierwszej, a nawet książ Bazyli), wydał się Zypciowi czymś tak małym i detalicznym, przypadkowym w swej tożsamości, jak na przykład kiszki tego właśnie, a nie innego karalucha, chodzącego po opuszczonej już przez kucharzy kuchni oficerskiego klubu piętnastego ułańskiego, gdzie przygotowano kolację dla gości. (Był tam niedawno, rozdając jakieś napiwki). Słowa Elizy spiętrzyły w nim nagły, nieznany mu dotąd, właściwie bezprzyczynowy na pozór gniew. Z rozkoszą wykonałby natychmiast jakąś choćby drobną dziką potwornostkę. A więc „do dzieła”: ściągnąć nagle cały obrus ze stołu, rzucić parę półmisków w całą tę kompanię, ryknąć rozdzierającym bolesno-szaleńczym śmiechem nad przerażonymi twarzyczkami mamy, Lilian, księżnej i Elizy, umazać majonezem wąsaty pysk naczelnika szkoły, generała Próchwy, i uciec, uciec, uciec — ale gdzie? Świat był za mały na tę ucieczkę. Uciec można by chyba w zamkniętą niestety na zawsze metafizyczną otchłań. Broniły wejścia tam porządne korki: czysto wojskowa tępota, niewykształcenie, nieściskość pojęciowa, no i Murti Bing, ten wielki odtajemniczacz wszystkiego. Wentyl bezpieczeństwa nie działał — ten wentyl, którym były kiedyś dla ludzkości wszystkie religie świata — te programowe dla większej części dzisiejszych ludzi oblędy, chroniące ludzkość całą przed pęknięciem w próżni bezmiarów wszechświata, przed ulotnieniem się w dzikim przerażeniu w międzygwiazdną przestrzeń. Jeszcze chwila, a byłby wykonał swój plan. Ale ostatnim wysiłkiem świadomości opanował wściekły odruch nieomal na obwodzie drgających pod atlasową skórą mięśni. „Nie — to będzie dla Lizki — kochanie moje jedyne”. Ofiarował to wszystko jej. Jakże straszliwie ukochał ją (idealnie i zmysłowo jednocześnie, w najwyższych, n-tych potęgach). Uratowała go od głupiego „metafizycznego” (cha, cha!) czynu.

Wstali od stołu po potwornych mowach Sturfana, Próchwy i Michalskiego. O — niedobrze było w ogóle. A gdzieś w jakimś zakamarku serca, wzdętego niesamowitą, aż na nienawiść przekraczającą się miłością, rozklębiało się małe zadowolenie, małe szczęście, małe uczuśko, uczuciątko, uczucięczo dodatkowe (a, cholera!) — jeszcze tylko trochę sobie pozwolić, a zaleje to jak lepka maź Elizę, a z nią cały świat i będzie tak kretyńsko dobrze. To też było niebezpieczne. Nagły błysk normalnej świadomości i rze-

czywisty obraz zmaterializował się przed nim z kokainiczną nieomal wyrazistością. Ale czuł Zypcio, że spadł tu na to swoje krzesło z jakiegoś piekielnego *innego* świata, w którym odbicie tego samego obrazu znaczyło całkiem *nie to*, miało swój ukryty, straszny jakiś, dla nikogo absolutnie nieodgadniony sens. Odetchnął głęboko. Siedział oto tu — obok matka i wąsy Michalskiego, i kochana twarz jakiegoś przybłąkanego wujcia, chana Murły-Mamzelowicza, i kawa, i likiery. O — jak dobrze jest w zwykłym świecie! O, czemu dopiero jutro mieli wyjechać?! Jakies papiery nie były na czas gotowe w adiutanturze okręgu i ten stempelek jakiś głupi zdecydował o wszystkim. Może by się nie zdarzyła cała ta historia, gdyby teraz, zaraz po kolacji, pojechali na dworzec. Rzeczywistość — wielkie słowo — może największe. Niestety nie zobaczył już jej Zypcio tymi zwykłymi swymi oczami, bo te odwracały się *oto* teraz przy wszystkich gościach, mamach, siostrach, żonach — (a prawda! — to była jego, jego własna żona — nie-do-uwierzenia!), zatapiając się w zakazane sezamy potworności wewnętrznej, tam, gdzie króluje prawdziwa swoboda i gdzie przesublimowane bydlę popełnia swe urojone zbrodnie i dopełnia miary nieprawości świata tego. Biada jednak, jeśli zbyt silne napięcie centrów i ganglionów popuści nerwowy refleks aż do peryferii, inerwując bezwładne mięśnie. Wtedy krzyk, zbrodnia, kaftan i już do końca zduszony metafizyczny wrzask jaźni, rżnący wnętrzości piekielnym bólem zmarnowanego jedyne go życia. Ryk wnętrzości dartych piekielnym cierpieniem wyrwania się z nieodwołalności świata zjawisk słycać było zdawało się na kilometry całe wokół. A tu nic: popijali goście kawę i sipali likiery i ona też, w tym zwykłym świecie. Wciągnąć ją w tamten wir, i tam uczynić swoją własnością. Ale jak? Jego oczy patrzyły teraz w głąb mózgu, gdzie zachodziła potworna praca wydzierania się jaźni w nieskończoność, bez sztuki, nauki, religii i filozofii i bez żadnych sztuczek, w samym życiu, tu, w saloniku oficerskiego klubu piętnastego pułku ułanów, przy ulicy Widok numer 6. Nie zobaczy już ona tych jego zwykłych oczu nigdy. Zegar przeznaczeń, idący z hukiem w głowie, przeszedł nareszcie czerwoną strzałkę: *Keep clear — danger*, nie dotykać — wysokie napięcie, *Vorsicht!* Jedziemy! — Uf — nareszcie! Najgorzej jest na ten obłąd czekać. Sam on nie jest znów tak straszny — jest obłądem, a to już ulga znaczna. Czełuść rozwarła się — już w nią zajrzał. Rozwalała się przed nim dalej, jak jakaś bezwstydna wyzudana samica i kusila, niemożliwie kusila.

Nagle zagrał Tengier, pijany jak noc i zakokainowany na tym podkładzie na biały dzień. Genezyp uczył, że coś pękło mu w środku — ale była to tylko mała błonka, pokryta wstrętnym śluzem dawnych, dziecinnych uczuć. Gdyby teraz pękło wszystko, wszystkie przepierzenia i zastawki, byłby może uratowany. Ale to była tylko, ach, tylko mała błonka. Uciekł do klozetu i tam lkał suchym lkanem bez łez — tym najgorszym — słysząc z dala przelewające się, zdawało się w bebechach wszechświata, dźwięki muzyki Tengiera. Nagły spokój — cofnęło się wszystko, ale nie całkiem. Czaił się w nim do skoku potwór metafizycznego użycia siebie i świata. Kiedy wszedł na powrót do saloniku, muzyka już nie działała na niego. Ostatni narkotyk, produkcji dorywającego się dopiero do życia genialnego pożercy i wypluwacza zaświatowych głębi, nie działał. Straszna po prostu rzecz. Lawina oberwała się i szła, a cicho było, jak przed burzą.

Zadzwoił telefon. Okazało się, że pokój w hotelu uwolnił się. Mogli iść do tego wymarzonego (nie wiadomo przez kogo) „Splendidu”. Tam było *od wieków* przeznaczone miejsce na tę piekielną poślubną noc, w imieniu Murti Binga — tam miała się spełnić ofiara. „Chińczycy zrozumieją to kiedyś” — pomyślało się Genezypowi, gdy wkładał wojskowe palto i przypasywał szablę. Tę myśl powtarzał sobie potem ze zdumieniem, nie mogąc dociec, skąd ona mu wtedy przyszła.

Pustoszał świat daleki — zostawała tylko Eliza, jedyne medium poznania istoty tej tajemnicy, którą mu zakryli swoim gadaniem tamci trzej, tej nocy w leśnej pustelni. Szli powoli przez puste prawie uliczki prowincjonalnej biednej stoliczki. „Głos przeszłości” nie wołał na nich „z krążanków, wież i bastionów”. Hejnał na wieży martwo, bez oddźwięku obwieścił północ. Zajaśniał hotel „Splendid” luną światła w ciemnym pustkowiu domów, w których, zdawało się, czai się zaraza. Tak — zaraza była naprawdę: przekłeta nauka Murti Binga, przygotowująca bezpłciową mechanizację przez gwałt — bo nie chcieliście sami „*vous autres — polonais*”. Genezyp poczuł, że nigdy, nigdy nie potrafi zerznąć Elizy, jeśli ona nie „zacznie” lub w najgorszym (?) razie jeśli on jej czegoś na ten temat nie powie. Była mu w tej chwili zupełnie obca i daleka, oddzielona od niego nieprzebytym

murem jego własnego niezdecydowania. Zwierzył się jej z tego w słowach tak zwykłych, jakby był najpospolitszym oficerkiem i mężem normalnej panienki sprzed lat dwustu.

— Wiesz, taka dziwnie obca mi jesteś w tej chwili: jakbym widział tylko twoją powłokę, jakiś automat, udający cię, a nie ciebie samą. Wydajesz mi się w tej chwili absolutnie niedosiężną. Czyż cię nigdy nie potrafię zdobyć? — Zaśmiał się głośno nad niewspółmiernością tych słów z tym, co się w nim wewnątrz „wyrabiało”. Eliza odpowiedziała zupełnie spokojnie:

— Tylko się nie denerwuj i nie bój niczego. Postępuj ze mną tak, jak z dziewczynką uliczną, której dałeś trzydzieści złotych. Jestem twoja od końców włosów do paznokci palców nóg. Ty nie wiesz jeszcze, jakie ja mam nogi: są tak piękne, że sama się w nich kocham. Chcę się zatopić w miłości. Tak każe nasz mistrz. Powiem ci prawdę: we mnie nie ma nic, prócz tej wiary i miłości do ciebie. Czasem mam wyrzuty, że się tak do siebie przywiązuję, do wcielonej pustki. Ale przeze mnie staniesz się kimś na tym strasznym cmentarzysku światów, w którym płonie tylko jedno światło naszej nauki. Musisz się wyzwolić sam z siebie... — Przytuliła się do niego całym ciałem, rozpuszczonym, zmięczonym w potężniejącym pożądaniu. Niedosiężność zginęła: rozpętało się w Geneczypie zwykle bydlę. Strasznie wdzięcznym był jej za to. Szybko potaszczył ją, mdlejącą prawie, w stronę hotelu.

Piekielnie kochał Zypcio Elizę, zdejmując z niej pachnące australijskim cząbrem parletko. Wszystko by dla niej zrobił, tylko nigdy, przenigdy nie wyrzekłby się jej ciała. Dręczyła go szatańska ciekawość — przecież to była druga kobieta w jego życiu. Po pewnych czynnościach przedwstępnych żona, prawdziwa żona! — co za wygoda, co za wygoda! — oddała mu się najnormalniej w świecie i wszystko weszło (zdawało się — ale tylko zdawało niestety) na zwykłą drogę idealnego, w znaczeniu doskonałości, małżeńskiego pożycia. Był nawet maleńki formalny gwałcik, który umożliwił Elizie w sztucznym trochę zamieszaniu przejście od stanu dziewicy do stanu żony, bez wielkich psychicznych przynajmniej trudności. „Aliści” nagle, przy następnej próbie zadowolenia prawnie dozwolonych rozkoszy (co za prostota! co za prostota!) stało się coś niesamowitego: — „*quelque chose de vraiment insamovite à la maniere polonaise*” — wyrażenie Lebaka. Oto atlasowa skóra Zypcia, jego wspaniałe mięśnie i ten valentinowaty, młody pysk zezwierzęcony w nasycańcu żądzy, we wspomnieniu tylko co przeżytej, niedokończonej, z powodu szybkości zjawisk, rozkoszy, zmieniły się w coś przechodzącego pojęcia Elizy o miłości w ogóle. Nie wiedziała, że to jest aż *takie*. Wyolbrzymiło się wszystko do jakichś nadludzkich, niepojętych wymiarów — nieomal że się umetafizyczyło. Leżąc obok niego doznała najwyższego dreszczu, od samego wpatrywania się w jego twarz. Zapragnęła zaraz tego samego, ale z nim, z nim w niej, natychmiast, bo inaczej stanie się coś strasznego. Bez tego nie można żyć. Nagi Zypcio, leżący bezwładnie w jej wspaniałych ramionach, w swej niedosiężnej, męczącej do obłędu absolutną „niezdobytością” piękności, nagle zmienił się jej w jakiegoś półboga, w coś niewyraźnego, przechodzącego wszystkie możliwości, w coś — ach — niech tylko trwa tak ciągle, nigdy ani chwilki bez tego — to jest jedyne — bez tego śmierć — niech diabli wezmą państwo, Kocmołuchowicza, Murti Binga, Dwoistą Jedność (jako taką), Chiny, przewrót socjalny i wojnę, byle tylko był on i żeby to niewyraźne, co on robił, trwało bez końca. To jest dwoista jedność sama w sobie bez żadnych głupich symbolów, to, a nie jakieś bzdury Lambdona Tygiera — to jest jedyna prawdziwa rzeczywistość. I to on tak ją wścieka, ten tak ukochany Zypcio — jęknęła ze szczęścia prawie że aż potwornego. Nie wiedziała biedaczka o ograniczoności sił męskich — za dobrze wychowana była, a do tego pilnie strzegąca samą siebie przed jakimkolwiek uświadomieniem. Żyła własną pustką — teraz ta pustka pękła, ukazując jej jako istotę niepojętych dotąd zjawisk życia, to jedno: rozdarcie niesamowitą rozkoszą pragnącego wnętrza ciała, dokonane przez niego, jedyne, ukochanego, przepięknego chłopczyka-bydlaka. Cóż może być jeszcze poza tym? Wyl w niej niesyty zwierz o ciągłość takich chwil — poza tym nie było, *nie mogło być nic* — to był prawdziwy szczyt wszystkiego. Po prostu od pierwszego dotknięcia tajemniczego wału rozkoszy (nie wiedziała, skąd się to wzięło *takie*) i to na tle jeszcze delikatnych mięśni poprzednich, dostała biedna Eliza ataku ostrej nimfomanii. Bywają takie wypadki i teraz los taki padł na biednego również Zypcia, wiszącego już i tak na ostatniej krawędzi, za którą była jedynie tylko

cuchnąca rozkładem jaźni (okropne słowa!) otchłań kompletnego zdziczenia osobowości i zwykłego bzika.

I tu nagle zaczęło się wszystko na nowo, ale z siłą i wściekłością tak piekielną, że Zypcio też poczuł coś całkiem innego niż kiedy z księżną — i tak dalej. Wydało mu się, równie jak i jej, że nic już poza tym nie ma. Świat znikł. Był tylko ten jedyny pokój w hotelu „Splendid”, izolowany system, nie wiadomo czemu wciągnięty w krąg działania piekielnych sił, emanujących z ich ciał, splątanych wzajemnie i z ich duchami, w jedną masę żywego, dwuosobowego, jak jedność Murti Binga, szalu, graniczącego z chęcią śmierci za życia, czegoś w ogóle sprzecznego w sobie, niewyraźnego. Eliza miała (jak się okazało) tę szatańską intuicję wszelkiego zepsucia — rozwinęła się w jedną godzinę tej nocy, jak kwiat agawy — pękła w sobie, jak granat jakiś, naładowany potencjalną rozkoszą. Żyli w tej chwili oboje zdawało się za miliony ludzi, niepojmujących metafizycznej głębi tych rzeczy, pożerani płomieniem zaświatowo-bydlęcej żądzy stopienia się w jedną niepojętą istotność. Był to proces odwrotny w stosunku do dzielenia się komórek — tylko tu nie mogło stać się to naprawdę — było asymptotyczną torturą nieskończoności, gwałceniem (w granicy) najistotniejszego prawa bytu, mocą którego indywidua są tak od siebie oddzielone, jak ponadskończone liczby Cantora, piekielne hebrajskie alefy aż do *C*, liczności *continuum* i dalej może, w nieskończoną nieskończoność aż do nieskończoności i tak dalej i dalej. (Ponad-skończonych funkcji nie ma i być nie może: chciał stworzyć je nieboszczyk sir Tumor Mózgowicz i na tym kark, a raczej mózg skręcił).

Jakże cudownie piękną stała się Eliza w swoim wyuzdaniu. Wszystko, co było w niej święte, dalekie i niedostępne w swym wyrazie (oczy, usta i ruchy) stało się bestialskim, nie tracąc jednocześnie poprzedniej świętości — zbydlęcony nagle anioł mógłby tak wyglądać. To wszystko, co dla Zypcia było w niej na zimno, na wzniosło, *nietykalnie* piękne, zapłonęło teraz piekielnym ogniem ciała, tego już nie posągowego a rzeczywistego w swych nieprzyzwoitościach, zapachach i nawet (ach) w obrzydliwościach. W tym właśnie jest ten szatański urok erotyzmu, że taki anioł (po prostu) o twarzy pięknej jak obłok świecący odbiciem zorzy na fiołkowym wieczornym niebie, może mieć takie nogi, takie wspaniałe, zgrabne łydki z żywego mięsa i takie obrzydliwości nawet, które, nie przestając być takimi, stają się *jednocześnie* jakimś niepojętym cudem. W tym tkwi diabelska siła tych rzeczy, a do tego jeszcze sam charakter niezrozumiałej nigdy tajemniczej rozkoszy, które one dają — złej, rozpaczliwej i nawet ponurej, jak wszystko, co zbyt głębokie. A mimo to, czy jest gorsze upokorzenie dla mężczyzny niż akt płciowy? Dawniej, jako bestialska rozrywka dla wojowników po walce, jako odpoczynek z całym poczuciem wyższości mężczyzny nad jego niewolnicą — to jeszcze można było wytrzymać. Ale dziś — o — to okropne. Co innego cały problem dzieci i rodziny, choć i to zmieniło się zasadniczo: zagłupiony, zapracowany samiec dzisiejszy nie jest ekwiwalentem dawnego rodzinnego władcy. Można nie zwracać uwagi na drobne wyjątki pierwotnego matriarchatu — prawdziwy „babiarchat” idzie dopiero. Nikt nie tryumfuje bardziej nad niczym jak kobieta nad światem całym i tajemnicą osobowości w takiej chwili. O — gdyby mógł widzieć teraz Zypcia i niewinną Lizkę ten kretyn Owsiusienko, projektodawca tayloryzacji erotycznych stosunków. Oszalałby z rozpaczy na widok tej różnorodności niepotrzebnych pozornie wymysłów. W pewnej chwili Genezyp zwinął się cały jakby ukąszony powiedzmy przez skorpiona. Teraz musi się nasycić za wszystkie czasy i stracone miejsca — nieskończoności nie obejmie, ale tu musi się stać coś takiego, co mu ją zastąpi. Przecież nic nie ma naprawdę oprócz tego pokoju, Elizy i jej niezwykłej piękności. Nie myślał nic, ale działo się w nim coś potwornego. Wszystkie tajemne znaczenia dawnych snów miał tu przed sobą, w tym hotelowym łóżku. Życie dalsze nie istniało — przyszłość była martwym słowem bez treści. Rodzina, znajomi, Kocmołuchowicz, Polska i wisząca nad nią beznadziejna wojna, czymże to było wobec tej możliwości połknięcia świata i siebie w jednej dawce jakiegoś szalonego czynu i to bez żadnej pracy i wysiłku. Tylko się puścić — zrobi się samo. Sine skręty jakiejś nieskończonej spirali zawirowały mu zdawało się w centrum jego istoty, która była jednocześnie środkowym punktem całego wszechświata, gdy wpatrzył się w wywrócone do góry dnem w szaleńczej ekstazie rozkoszy, niewinne, a teraz tak obce, zwierzęco-anielskie oczy żony — to nie była już żona, ani kochanka, tylko jakieś niesamowite bydlóbóstwo, wcielenie całej znikomości wszystkie-

go, przepływania bezcennie drogiego czasu, czegoś drogiego ponad wszystko. I to było rzeczywiste! Ha! Jak w to uwierzyć, jak zatrzymać lotny płomień najwyższego cudu, jak z tej zwiewnej aż do unicestwienia się mgły, trującej aż do bólu niepowrotnością nieuchwytną chwili, uczynić choćby *kawałek wieczności*, zakrzepłej w twardych, gnaciastych łapach woli. Wszystko na nic. Czymże były marzenia o potwornostkach przy uczcie weselnej? — małe bzdurki. Teraz dopiero z takim trudem przez miliony pokoleń tworząca się w nim jaźń ludzka zaczęła się rwać, drzeć i pryskać i prychać, i łamać, i druzgotać, pękając w powolnym, bolesnym wybuchu, i nie mogła się do syta rozpęknąć w pustce bez dna, zionącej czystą śmiercią. Widział przed sobą drgającą w spazmie szyję, białą, giętką, kuszącą i czuł pod oszalałymi rękami przepiękne, *wieczyscie* doskonale kształty półkul odwrotnej strony wyprężonego w łuk ciała. Rozdzierał je i wbijał się całym sobą w samą ucieleśnioną rozkosz, która zdawała się nie mieć miejsca, obejmować wszystkie kręgi ziemskiego piekła i nigdy w istnieniu niedoścignętego, prawdziwego Nieba Nicości. Ale umrzeć nie mógł. Nie kochał jej w tej chwili — raczej nienawidził do nieobjętej rozumem potęgi. Za co? Za ten ból unicestwiania się na żywo, za to, że nigdy nie mógł być nią samą i samym sobą jednocześnie i za tę straszliwą nieznośną przyjemność, z której jej udział w tym wszystkim stwarzał jakieś diaboliczne misterium, za to, że tym, co czynił, nigdy jej zniszczyć nie zdoła, nie pokona tej niemożliwej do zniesienia piękności. Rwały się w nim żyły i ścięga, skręcały kości i mięśnie, a w mózgu został już tylko jeden potworny, płonący zabójczy ryk zachwyty nad Nicością Istnienia. Puścił tamto i wpił ręce w tę nienawistną szyję. Oczy Elizy wyszły jej na wierzch i stały się przez to jeszcze piękniejsze. Nie broniła się, tonąc również w zachwycie najwyższym. Ból połączył się w niej z rozkoszą i śmierć z życiem wiecznym w chwale rozjaśniającej się Tajemnicy Wszereczczy. Odetchnęła głęboko, ale już ten oddech nie wyszedł z niej nigdy żywy. Ciało jej drgało w śmiertelnych konwulsjach, dając potwornemu zwycięzcy nasycenie najwyższe — wiedział, że ją zniszczył — w tym była ostatnia iskierka gasnącej świadomości. Genezyp zwariował definitywnie, nieodwołalnie. Zasnął tak z trupem w objęciach, nie rozumiejący nic ziemskiego. Czy była to zbrodnia? Chyba nie, bo Zypcio absolutnie nie wiedział w tej strasznej chwili, że tym niszczeniem pozbawia kogoś życia. Kochał tylko Elizę nareszcie po swojemu, chciał się z nią nareszcie naprawdę połączyć.

A rano obudził się o siódmej „*avec une exactitude militaire*”, jak marszałek Ney przed egzekucją. Wyswobodził się z martwych objęć ukochanej, wstał, umył się w łazience obok, wyszedł stamtąd, nie spojrzawszy nawet na trupa (a nawet gdyby spojrzawszy, nie wiedziałby co to jest właściwie) i włożywszy mundur i palto i wzięwszy ręczną walizkę, zeszedł na dół. Postępował zupełnie jak automat, działał tym gatunkiem świadomości, która każe pszczołom zbierać miód, mrówkom nosić sosnowe igły, gąsienicznikom składać jajka w liszki i tym podobne rzeczy wykonywać tysiącom innych stworów. Teraz naprawdę nie było w nim nic z dawnego człowieka. Mimo że pamiętał wszystko doskonale, pamięć ta była martwa — jako żywa należała do innego człowieka.

Był zwykły jesienny dzień, taki sobie „dzionek” ludzi zwykłych. Genezyp też był takim sobie zwykłym osobnikiem — wypaliło się w nim wszystko — tak się rozpoczął początek katatonii.

— Papiery są? — spytał portiera.

— Tak, panie poruczniku — ordynans przyniósł o wpół do siódmej. Właśnie miałem pana kazać obudzić.

— Pani zostaje do jutra — powiedział jakiś głos z innego świata przez niego. Zapłacił rachunek i pojechał na stację. To wszystko robił już ktoś inny za niego. Zypcio umarł na wieki, ale osobowość była ta sama. Jadł obiad w restauracyjnym wagonie, patrząc bezmyślnie na ulatującą w dal, oszronioną z lekka mazowiecką równinę, tonącą w blaskach ćmawego, jesiennego słońca i słuchał równie bezmyślnie niezmiernie głębokich bzdur, które mówił, siedząc naprzeciw niego, Lambdon Tygier. Oczywiście dziwny starzec wiedział już o wszystkim i wszystko w zupełności usprawiedliwiał — to było ciekawe i tego wysłuchał Zypcio nawet z przyjemnością, ale cały wykład teoretyczny przepadł — nie czepiały się już te pojęcia jego zautomatyzowanego mózgu. Może o to właśnie chodziło. Wszyscy murtbingiści przechodzili najpierw stan ostry, a potem zasypiali w systemie tych pojęć, jak wśród stosu wygodnych poduszek. (Tylko ci, u których trwał stan ostry dość długo, używani byli jako agitatorzy). Lambdon wiedział, że Eliza przestała dla niego

istnieć z chwilą zrealizowania się jej erotycznych marzeń. Wiedział też, nie wiadomo skąd, że dzieci mieć nie mogła — była niepotrzebną. Co go obchodziła reszta? Umarła w najwyższej chwili swego życia — po tym, co było, mógł ją czekać tylko powolny upadek i samobójstwo. Czyż nie lepiej, że tak...?

W stolicy zameldował się Genezyp w komendzie miasta i zaraz udał się do mieszkania kwatermistrza. Była piąta po południu. Generał jadł właśnie obiad w towarzystwie żony i córeczki. Był dziwnie bladej i czarność jego wąsów robiła na tle tej bladej twarzy wrażenie żalobne, śmiertelne. Przecież to właśnie tej, tylko co ubiegłej nocy, przeżył kwatermistrz swoje dawameskowe wizje. Coś tam musiało się zmienić w tym tytanicznym mózgu — ale co — nie wiedział i nie dowiedział się nikt. Oczy, czarne, smoliste, „smorodinowe”, świeciły dziwą wesołością jak zwykle. Przecież to jutro właśnie wyjeżdżała się całą bandą na front, — nareszcie! Kończyły się małe, głupie polityczne gierki i zaczynała się wielka, największa w życiu gra — o życie i śmierć. A w duszy była tajemnica i czaiła się gdzieś zwinięta na dnie wielka niespodzianka, ta jedyna wierna, prawdziwa, godna jego kochanka. Zaproszony do obiadu zjadł go Zypcio z apetytem, mimo że dwie godziny temu nasycił się zupełnie w pociągu. Jednak był biedaczek trochę wyczerpany. Rzecz dziwna — Kocmołuchowicz nie robił na nim żadnego specjalnego wrażenia. Owszem, cieszył się, że ma wodza, że ten wódz był taki morowy — ale żeby to było coś aż tak bardzo nadzwyczajnego, to nie. Jako były rywal w stosunku do Persy nie istniał dla niego zupełnie. Kwatermistrz wypoczywał dziś przed jutrzejszym wyjazdem, detantował się, entszpanował się, rozwalniał się — jak mówił sam. Umiał stwarzać te programowe, beztrioskie wypoczynki wśród największego nawet nawału pracy. Nie robił nic: rozmawiał z żoną, a nawet ją rznął chwilami, bawił się z córeczką i rudym kotkiem „Pumą” i wałęsał się po prostu z kąta w kąt. Nasycił się nastrojem rodziny i domu — może już po raz ostatni w życiu. To nie uponurzało bynajmniej elementów tego nastroju. Więcej tylko można było się tym nasycić w tym stanie. Najwyższa sztuka używania życia. To się wyrobić nie da — trzeba mieć już taki charakter. O wpół do szóstej siedzieli sobie z Zypciem w domowym gabinecie i pili kawę. Na łaskawe zapytanie opowiedział Genezyp całe swoje życie, różne detale o ojcu, przebieg służby i bitwy, a nawet ogólnikowo zdał sprawę z romansu z księżną. Kiedy przyszedł moment poznania się z Persą, dziwnie wpatrzył się w swego adiutanta kwatermistrza. Ale skatatonizowany adiutant wytrzymał dzielnie spojrzenie — „*un aide de camp catatonisé — quel luxe*” — jak mówił potem de Troufières.

Przyszedł telefon — że to a to i tamto a tamto — ze słów generała domyślił się Genezyp, że chodzi o śmierć Elizy. Wstał, stanął na baczność i gdy Kocmołuchowicz odłożył słuchawkę i zwrócił na niego swoje cudowne, bezdenne oczy z pewnym zdziwieniem, wyrecytował wszystko jak raport:

— Zaduśłem ją, bo zanadto ją kochałem. Może to obłąd, ale tak jest. Chcę służyć tylko armii. To by mi przeszkadzało. Proszę o łaskę. Odpokutuję wszystko na froncie. Tego jednego niech mi pan generał nie odmawia — ukarany mogę być przecie potem. — Zamarł wpatrując się psimi oczami we wspaniałą twarz Wodza. Kocmołuchowicz patrzył i patrzył bez końca — patrzył i zazdrościł. Zypcio stał bez drgnienia. „Ależ to tegi wariat — wysoka marka” — pomyślał Wódz. „Swoją drogą ja też nie jestem tu bez winy” — przypomniał sobie jeden z ostatnich raportów Węborka. Czy jednak młody ten idiota nie przeżył czegoś takiego, czego nigdy nie osiągnie i nie pojmie nawet on sam, jedyny w swoim rodzaju człowiek na świecie, który z niczego absolutnie nic sobie nie robi. Chwila wydłużała się niepomierne. Poobiedni nastrój drugorzędnej stolicy. Cykanie zegara, różne domowe zapaszki przesiąkające aż tu i mieszające się z zapachem cygar, „*mielkoburżuazyjnaja skuka*”. A na tym tle takie rzeczy!

W tej chwili nawet gdyby Zypcia do więzienia wzięli, albo i na śmierć skazali, przyjąłby to z tą samą obojętnością. „Ale kiedy przyjdzie chwila przebudzenia i ja wreszcie zrozumieć wszystko?” — pomyślał automatycznie, beztreściwie. — „Wtedy śmierć — ale w jakichże potwornych męczarniach — br”. — To rzekł w nim jeszcze jakiś nowy ktoś, który teraz wstawał z samego dna ostatnich den jego istoty, opanowując cały stężyły cielesny mechanizm. Między dwiema osobistościami: tego tworzącego się teraz i tego, który jako dziecko (teżka) spuszczał biedne pieski z łańcuszków, była próżnia, której nikt i nic wypełnić by nie zdołało — „przerwa w duchu”, jak określał stan ten, niezbyt inteligentnie, Bechmetiew. Aby to zrozumieć, trzeba być samemu wariatem, co

wyklucza dokładne i obiektywne ujęcie tego i każdego w ogóle zjawiska — kółko bez wyjścia. A tamten patrzył i patrzył, i patrzył na tego syna przyjaciela i swego własnego „niedoszłego”, i zdawało się, że swymi jasnowidzącymi oczami widzi nie tylko mózg tego dziwnego zbrodniarza, ale nawet jak się układają w tym mózgu cząsteczki białkowych połączeń, a nawet (według fizykalnej koncepcji) elektrony i inne coraz mniejsze, aż w nieskończoność, fikcyjne (czy może rzeczywiste — *tak samo* w tym stopniu rzeczywiste jak systemy ciał niebieskich — o — Boże! gdyby tak było... a któż wie? — to zbyt straszne...) elementy idealnej materii-energii, pochodzące pojęciowo od a) pierwszego lepszego przedmiotu, czy przedmiotu w ogóle; b) ruchu i c) naszej muskularnej, bezpośrednio danej jako następstwo jakości, siły. Widział genialny kwatermistrz nie tylko chwilę obecną i wszystko co było (miał zresztą doniesione różne szczegóły z przeszłości Zypcia, jak w ogóle z życia wszystkich swoich adiutantów), ale i przyszłość całą tego wyjątkowego zaiste pegiekwaka: będzie długo żył, będzie szczęśliwy, jako ten trupek właśnie, którym się stał przez tę zbrodnię. O on? — ha — lepiej jednak nie myśleć. Cała waga problemu polegała na walce z czymś niewymiernie potężniejszym, wobec czego nie można było marzyć o zwycięstwie — jakby ktoś palcem chciał zatrzymać kurierską lokomotywę. Ale mimo to koniec *musi* być piękny. Jak przepadnie wszystko, zrobi szarżę sam na czele swego sztabu i zginie. Jakże zapłonęła na tle tej bezdennej (?) myśli cała rzeczywistość obecna. — Można tylko powiedzieć: „ha!” i nic więcej. „Tylko może on jednak potem z nią tego...” (na tle zbrodniczego wieczorku u Persy). Nie dokończył tej myśli — teraz i nigdy już. — Zamurował ją jak Mazepę (?). Upłynęło pół godziny może, może trzy kwadransy. I nagle ten pięknutki młody człowiek rzekł, a tamten zdołał jeszcze przedtem pomyśleć: „Ale to musiała być frajda dla tamtej histeryczki (poznał kiedyś Elizę na jakimś balu) — zginąć z rąk tak pięknego bubka. Szkoda, że nie jestem pedzio — użyłbym sobie na nim jak na burej suce”.

— Melduję — itd. — ...przedtem zabiłem także pułkownika — nazwiska znowu nie pamiętam — wtedy kiedy kochałem się tak beznadziejnie w pannie Zwierzontkowskiej. — Kwatermistrz drgnął, mimo że właśnie o tym samym myślał. To nazwisko zawsze robiło na nim wrażenie. Kochał się przewrotnie we wszystkim, co do niej należało: w pantofelkach, pończochach, szminkach, wstążkach, nawet w dźwięku nazwiska i imienia. „To jej, to jej to wszystko” — mówił sobie w duchu w pewnych strasznych chwilach. Właśnie zachciało mu się wprost niemożliwie tych zwykłych dziwności z nią, na zakończenie ostatniego może odpoczynku. Wstał — brzęknął ostrogami i powiedział, rozciągając trzeszczące kości:

— Wiem wszystko i o więcej nie pytam. Wobec tego, co teraz nastąpi, to są „*miéłoczy*” — a „*miéłoczy k'czortu*”. Mówiła mi panna Persy — jest teraz u mnie sekretarką. Jutro wyjeżdżamy na front. Na front — rozumiesz, błźnie jeden. Takiego frontu nie pamięta dotąd ziemia i takiego spotkania ludzi jak my z Wangiem nie widziała. Ja, widzisz, dureńku, nie przesadzam. Sam zobaczysz i ciesz się z tego. Zanim tam zbadają, że to nikt inny nie mógł zrobić, tylko ty, będziemy daleko stąd. Odrobisz wszystko, a najpewniej zginiemy wszyscy. Teraz jesteś mój. Takich mi ludzi trzeba — wariatów też. Tęgi z ciebie wariat, Zypek, ale ja lubię takich, potrzebuję ich i będę bronił. To rasa wymierająca. A może ja też jestem wariat? Cha, cha! — Zaśmiał się z piekielną, rozdzierającą swobodą. Pocałował Zypcia w czoło, po czym zadzwonił. Adiutant siadł spokojnie na fotelu, skłoniwszy się przedtem w milczeniu. Ha — gdyby tak dawniej! — a teraz nic. Wszedł ordynans, „głupi Kufke”, jak go nazywano. (Znał swego pana na wylot i czasem przez niego podawano beznadziejne skądinąd prośby i [o dziwo!] przeważnie załatwiane były pomyslnie. Znał chwile takie, o jakich jego pan sam nie miał pojęcia. Umiał to wyczytać z drobnego skurczu policzka, z nieznacznego błysku smolistych, wszechwładnych oczu. A głupi w ogóle był — to była prawda — ale miał tę — no jakże się nazywa? — intuicję — tak — tę kobietą, krótkodystansową). — Powiesz pani generałowej, *gawnò sabàczje*, że pojechałem na chwilę do biura. Będę przed dziewiątą. Jutro o ósmej rano jedziemy. Przygotujesz wszystko. A pana podporucznika zaprowadzisz do jego pokoju. Gościnnie, numer trzeci. Marsz spać, Zypku, natychmiast. W nocy będziesz miał robotę. — Podał mu rękę, władczą a miękką, i lekkim młodzieńczym krokiem wyszedł z gabinetu. Wsiadł następnie w auto (które zawsze: dzień i noc stało przed bramą) i pojechał do Persy. Tam działy się rzeczy straszliwe. Lepiej się nie domyślać. Nie wytrzymał i opowiedział ko-

chance wszystko, a ona jemu nieznanne detale o Zypciu, o jego mękach, co podnieciło ich jeszcze więcej; tym bardziej, że Persy przekonała generała, że to ona przez ręce Zypcia, na tle jego szalonej do niej miłości, zabiła Elizę. Ale to było nieprawdą, jak to widać z poprzedniego — chyba podświadomie? — ale któż takie rzeczy skontroluje. Psychoanalitików nie było już w tych dobrych czasach. Ale od tej chwili Persy zaczęła myśleć inaczej — o, grubo inaczej. Jakieś przeczucie zupełnie dziwnej przyszłości majaczące się na chwileczkę w jej „cudnej” główce. I uprosiła generała, żeby wziął ją ze sobą na front. Zrobiła coś takiego, że musiał się zgodzić. Mimo że bała się straszliwie (choć znowu z drugiej strony dla kobiety zawsze jakieś wyjście się znajdzie), musiała tak postąpić.

OSTATNI PODRYG

Ósma rano. Za pół godziny odchodzi pociąg sztabowy na front, który już jest gotowy — w ostatniej chwili skonstruował go Kocmołuchowicz. Genialny plan, urodzony nieomal podświadomie w tym straszliwym turbogeneratorze, jakim jest mózg niezwykłego stratega, urzeczywistnił się tam na dalekich polach, bagnach i lasach polskiej Białej Rusi, z magiczną wprost dokładnością. Dużo by dali Chińczycy, aby znać tę koncepcję, cudowną w swej prostocie. Nie ma na to rady, bo na papierze ona nie istnieje. „*Der geniale Kocmoloukovitsch*” ma wszystko w głowie. Rozkazy były telefonowane do każdego z szefów korpusów osobno, a oznaczały rozkład do kompanii, szwadronów i baterii włącznie. Ani jednego papierka. Mapa, niepokalanie czysta, bez jednego znaczka, przed oczami i telefon w *poczwórnym* wypoduszkowanym tzw. „gabinecie operacyjnym”. Nawet gdyby kto jaką rozmowę podsłuchał, nie wiedziałby nic. Linia specjalna, podziemna, której częściowe pozycje znało kilku ludzi, no i ci oficerowie, którzy części jej zakładali — zawsze inni. A rozkazy takie i to na dwa dni przed defensywną ofensywą: Dzwonek. „Hallo. Komenda Trzeciego Korpusu. Generał Niekrzejko? Słuchać i notować: Trzynasta dywizja. Odcinek cztery kilometry długi od Brzuchowic do Śniatyna. Dwudziesty pierwszy pułk piechoty: Brzuchowice–Lipa Wielka. Pierwszy batalion Brzuchowice. Sztab kota dwieście sześćdziesiąt jeden, chatka węglarza, koło brzoźowego lasku. Front O. S. O. Trzysta kroków na prawo od wielkiego dębu z czerwonym krzyżem bateria druga, pierwszy dywizjon, piątego pułku sześciocalowych moździerz. Dwie haubice na W. trzydzieści metrów na lewo od błękitnych chałup przy drodze do Śniatyna”. itd., itd. Innemu we łbie by się pokręciło. Ten ci jucha nic. Aż zachrypi i gada, gada, gada bez końca. Sam w pokoju — inny by zwariował — ten ani na źdźbło nie znieprzytomniał nawet na chwilę. Mało inicjatywy mają dowódcy grup? — no to i co? Durnie wszyscy prócz niego — popsuliby mu wszystko. Psy, które można poszczuć — nic więcej. On jeden wie — pan nad pany.

Pierwszy raz od czasu wymarszu z Pekinu mandaryn Wang i jego japoński doradca Fucuszito Johikomo zastanowili się trochę. Żadnych danych co do systemu obrony. Żadni szpiegowie nie pomogli. Zginęli prawie wszyscy, a ci, co wrócili, mówią, że nikt nic nie wie. Nie pomogły straszne tortury. Plan operacyjny miał być zakomunikowany dowódcom grup do dywizji włącznie wieczorem tuż przed ofensywą. A tak go miał jasnym w swym prawdziwie jaśnie-pańskim łbie generalny kwatermistrz, jak i samo rozłożenie wojsk. („Szkoda takiego człowieka na taką parszywą epokę” — mówili nawet niedowiar-kowie). I to plan, który musiał zmusić przeciwnika do takich właśnie, a nie innych działań, choćby nie wiadomo co przedtem był wykonywał. Oczywiście mogły być małe odchylenia, ale od czego telefon? Na rzeczy nieoczekiwane umiał reagować kwatermistrz z takim samym spokojem, jak na znane od wieków. Oczywiście przewaga liczebna była po tamtej stronie praktycznie nieskończenie wielka, Chińczycy naród straszny i niezrozumiały, o śmierć i ból nie dbają, mogą nie jeść i nie pić dniami całymi i bić się jak diabły. Technika ich w ostatnich latach przewyższyła wszystko, co tylko Białe Zamorskie Diabły wynaleźć zdołały. Jednym słowem ogólna przegrana pewna — chociaż kto wie — a nuż jakiś cud. Mało to ich miał w swym życiu Wielki Kocmołuch? Postanowił „pokazać, co umie” — jak to o nim mówiono. Pierwsza bitwa — musi być wygrana. Życie takie i tak diabła warte. A jeśli nie zginie, to muszą go Chińczycy wziąć do siebie co najmniej na szefa sztabu głównego i na tej posadzie zejść mu ostatnie lata wspaniale: z początku będzie prał Niemców, potem Francuzów, Anglików, a potem choćby diabła samego. I na jedno, i na drugie był przygotowany — czy to, czy tamto, było mu to prawie doskonale

obojętne. Prawie — bo jednak dawameskowa noc zrobiła mały, malutki wylomik. Ale umiał to ukryć przed sobą i innymi.

Ósm rano. Jesienny dzień wstaje, typowo-bezbarwnie październikowy, mimo słońca. Drugi dzień przymrozku. Trudno robić okopy, ale iluż ludzi było w pogotowiu — wystarczy. Zresztą ziemia twarda tylko po wierzchu. A co za sztuki będą z kawalerią, to się opowiedzieć wprost nie da, ani przedtem, ani potem. Będą mieli robotę wojenni historycy, a dokumentów nie zostanie żadnych — ani jednego papirka — hi, hi! Bucha para z cylinderkurków potwornej amerykańskiej maszyny. Złączenia ogrzewania też dymią. Jak widma snują się największe mogoly wojennej Polski w kłębach mokrej mgły. Rozkoszny dzień przed wielkim śmiertelnym czynem. Wszyscy tu przy pociągu: Niehyd Ochłuj, Kuźma Huśtański, Stępolek i cały Rząd z ostatnim błogosławieństwem: wszystkie Boroedry, Cyferblatowicze i Koldryki, a zdrada od nich zionie. Niech ta se, niech ta. „*Nech sa paczy*” — jak mówią Czesi. A — i kilku hrabiów durnych, doszczętnie zamundurowanych, jak w ciemię bitych — ale i ci dobrzy. Tamci mędrsi nie wiedzą także nic. W tym cała rozkosz. On jeden — jeden, jeden. Jego Jedyność i to w tych parszywych czasach, na tę masę tego żółtego paskudztwa, niosącego światło ze Wschodu. Och — żeby tylko nie śmierdzieli tak strasznie! Podobno na trzy kilometry już oddychać nie można. Sam brat kwatermistrza, naczelnik ogólnego ruchu, Izydor, prowadzi pociąg. Można jechać? Jeszcze nie. Nareszcie lekkim krokiem wchodzi Persy na peron. Elegancko ucałował rączkę oficjalnej już teraz kochanki kwatermistrza. Teraz wszystko mu wolno — idzie na pewną śmierć. Żona wita się z nią czule, jak z siostrą. Co za stosunki, co za stosunki! Zaszepłali wszyscy. Rząd wylupiał na to zdziwione, zaspane oczy. Uniósł kwatermistrz córeczkę Ileankę do góry i wtulił jej twarz w czarne swe wąsiska. Lekko, jak pliszka, sfrunęła Persy z peronu prosto w salonowy wagon. Będą perwersje, czy nie będą? A tu nagle Zypcio z meldunkiem (posłany był sprawdzić, czy jakiś tam kuferek czort wie czyj jest w pakwozie, czy nie). Zczepiły się oczy tej dziwnej, niedoszłej pary. Ale trupie było w tej chwili spojrzenie niedawnej ofiary panny Zwierzontkowskiej — żadnego śladu uczucia. Niezadowolona, cofnęła się w błyszczącą samą esencją wagonowego szyku głab wagonu i zasunęła okno. Nie lubiła, gdy się jej ktokolwiek wymykał, a po ukatrupieniu Węborka nabrał dla niej Genezyp jakiegoś specjalnego uroku. Bądź co bądź z wściekłości na nią dokonał czegoś tak niesamowitego. Ta myśl przesywała ją tym specjalnym dreszczykiem, który dotąd dawał jej tylko sam Wódz. Będzie miał kwatermistrz przedśmiertną zabawę z tych dwojga, czy nie będzie? Chyba nie, bo Zypcio to żywy trup w mundurze, przytomny nieprzytomnością ostateczną, śmiertelną.

Gwizdek Izydora „rozdarł” mroźne powietrze. Czas już najwyższy. Jeszcze jeden pocałunek na czole umęczonej żony (świętej Hanny Męczennicy, jak ją nazywano), jeszcze jedno zanurzenie wąsów w ten cudowny, różowy pyszczek córeczki (i tu łza stoczyła się, czarna jak czarna perła [ale do wewnątrz] z oka tego wspaniałego okazji ginącej rasy — co też z nią będzie, biedaczką, jak to żółte robactwo zaleje tę ziemię) i szybko weszli do ciepłego wagonu. [Kocmołuchowicz nie był właściwie przywiązany do ziemi, tylko do pejzażu — tak przynajmniej mówił po pijanemu]. Pociąg ruszył z wolna, sapiąc ciężko pod szklanym sklepieniem dworca, przesunął się jak widmo wzdłuż wstrętnych bud stacyjnych i znikł w rudawej w rannym słońcu mgłę miejskiej. Samo historyczne przeznaczenie całego kraju sunęło w luksusowym wagonie na Wschód, ku niezbadanej otchłani przyszłości, która czekała w postaci jesiennego nudnego, smutnego białoruskiego pejzażu. A małe to wszystko było, a wstrętne, a płaskie — oczywiście wobec tajemnic międzygwiazdnej przestrzeni. Cudownie się jechało w porządnie nagrzanym salonowym wozie. A sytuacja też była nie najgorsza. Zypek zakuty w polowy mundurek siedział sztywno, markując wyraźnie, że jest adiutantem i niczym więcej. Persy, teraz dopiero przerażona całą tą imprezą, myślała tylko, jakby się tu wywinąć z tej matni wobec pewnej kłęski. Liczyła jedynie na swoją demoniczną urodę, w związku z szaloną pożądlivością chińskiego sztabu na białe kobiety wyższej marki. Ale jeśli ten szaleniec Erazm (Ercio), którego też na swój sposób kochała, każe jej iść w pierwszą linię, to co??? Na samą myśl o tym wściekała się już na niego z góry. A jednocześnie ta niemoc jej, wobec jego wszechwładzy, podniecała ją do szału i to nie tylko do niego, ale i do innych — po raz pierwszy w życiu. I wzbierała w niej potworna żądza do cudnego, młodego mordercy w adiutanckim

uniformie. Rzeczywistość zniechęconego niebezpieczeństwa i *możliwość niechybnej* (jak to?) śmierci, czyniła wszystko tak właśnie, w tym stopniu, jakościowo prawie odmiennie strasznym i cudownym, i pożądanym, i nienawistnym, i kochanym aż do obłądu. Psia-krew — z tego właśnie wybrnąć jakimś genialnym „trick’iem” — to było zadanie, och, było. Ale nie czuła się biedna Persy na siłach i to, to właśnie, dodawało, raczej tworzyło ten piekielny, niewyobrażalny nawet w przybliżeniu w normalnych warunkach urok chwili. Nie umiała jednak *w całości* przetransponować złego na dobre, jak ten jej byk wszechwładny, któremu zazdrościła tej zalety do wściekłości. A bodaj to... A jednak tak dobrze jest, tak dobrze, jak nigdy. Wszystko ma w ręku, jak rękojęć zatrutego sztyletu — w kogo wyrzucić ten pierwszy, decydujący, nabity przyszłością cios? I to szalone wahanie między ostatnią rozpaczą a szczytem życia... Nawet jeśli się uda oszukać los i wyminąć krnąbrne przeznaczenie, to już nie będzie *to*. Ta chwila jest najwyższa, tylko nie można jej całkowicie użyć. I tak bez końca: z góry w dół i z dołu do góry, aż do psychicznej morskiej choroby, do tego zawrotu głowy nad przepaścią dziwności ostatecznej. Tam to spotykali się asymptotycznie z Zypkiem, tam to spotkali się naprawdę o nieskończoność od zupełnego zlania się w jedność.

Pociąg pędził jak wystrzelony pocisk — nie do zatrzymania, nie do zdewiowania ku nieznanym „wyrokom historii”, ku zjezonemu dwurożnie chińskiemu czemuś — co to było, nie wiedział nikt — nawet sam Murti Bing, o ile by istniał naprawdę. A komandor tej całej dzięki ekspedycji w świetnym był humorze. On też przeżywał szczyt swoich marzeń. Nareszcie był tym „osobowym wcieleniem śmiertelnego ciosu”, jak go nazywali jego sztabowcy — takim się oglądał zawsze w wyobraźni z tęsknotą zabójczą w pokojowe dni. Nareszcie pękła pępowinka łącząca go z parszywym, codziennym życiem. Krótka to będzie, ale użyje za wszystkie czasy. Ale się mylił biedaczek (kto ośmielił się tak powiedzieć?! Rozstrzelać!!!), że to jest najwyższy moment. Ten krył się jeszcze w punktochwili hiperprzestrzeni, naznaczonej w ziemskim względnym kalendarzu po prostu tak: 9 rano, 5/X, Pychowice, tam, na tym, z góry w genialnym łbie kwatermistrza ułożonym, froncie. Nie wszystko jednak da się przewidzieć, nawet przy tak świetnym aparacie działania, jakim był mózg Wodza. Ale o tym później. Na razie był to moment najwyższy — trudno. Niech sobie przyjdą inne, jeszcze wyższe — nic nie miał przeciw temu „podufały” z największymi potęgami świata kwatermistrz: z najwyższym życiem na szczytach i ze śmiercią choćby gdziekolwiek bądź, byle dobrą, to jest bohaterską, „prawdziwą”, to znaczy w chwili rzeczywistego wypełnienia się misji jego ducha na tej planecie, piękną psia-mać jak marzenie dziewczynki z rodu wodzów o idealnej śmierci wyśnionego rycerza. Na razie tak się właśnie wszystko zapowiadało. Patrzył Wódz na uciekające szmaragdowe pola, żółte ścierniska i sosnowe laski bez żalu — może ostatni raz — a może? — e — w cuda lepiej nie wierzyć. A jak się już stanie, można się wtedy weselić. To, co go czekało, to była prawie że kosmiczna katastrofa — konieczna jak rozwiązanie w greckiej tragedii. Pewne było to, że innego wyjścia nie ma i być nie może. Myślał zawsze naprzód — nigdy wstecz — to była jego metoda. Myśl jego stale wyprzedzała życie, a nie ciągnęła się za nim. Do tej chwili wszystko musiało być tak, jak on tego chciał, psia-krew! — a potem zobaczymy. Zanurzył usta w puszyste kędziory Zwierzontkowskiej i przez kosmyki jej blondynowości pochłaniał lecący w ramie szerokiego okna wagonu pejzaż. Przepracowani towarzysze Wodza przeważnie drzemali na czerwonych aksamitach kanap. Część poszła spać na dobre — noc tę spędzili na intensywnych pożegnaniach z życiem. Plan operacyjny był potencjalnie gotów — należało go tylko podyktować dowódcom poszczególnych grup, tak, aby nie mogli zrozumieć całości działań. Teraz nie było nic innego do zrobienia, jak „zentszpanować się” kompletnie. Wziął Persy na ręce jak rzecz jaką i wyniósł z salonu do sypialnego oddziału. Zypcio nie drgnął nawet — zanik erotycznych uczuć, czy co u diabła? Pewne natury tylko w obłądzie uzyskują maksimum szczęścia — od urodzenia prawie nie był tak szczęśliwy. Trwał nieruchomo, zdany na czyjąś wolę, tuż u głównej turbiny wypadków, przy samym ognisku sił tej miary, co Kocmołuchowicz (czegoż więcej trzeba?), zatulony w zaciszny kącik na pędzącym pocisku — pchelka maleńka na piętnastocalowym granacie, rwącym zdyszane powietrze. Chwilami tylko, jakimś bocznym centrem świadomości, bał się przebudzenia z tego stanu. Dokładnie widział w wyobraźni ostatnią scenę z Elizą i bezpośrednio, uczuciowo, nie mógł uznać tego, że to on był odpowiedzialny przed sobą i innymi za to, czego dokonał. Wszystko, co było

dotąd, ułożyło się w obrazek piękny i konieczny, w którym nawet żyjące osoby występowały jedynie jako poprzebierani aktorzy. I wszystko to było normalne, bez cienia obłędu — oczywiście dla niego tylko.

Był dzień wiosenny w jesieni — jeden z tych dni, w których starzejące się lato (gdzie?) wyciąga się jeszcze raz rozkosznie nad usypiającą ziemią i przeżywa swoją znikomą drugą młodość, jak pijak czy inny „drogista”, który przestał pić czy zażywać coś tam i mówi sobie: nie — jeszcze raz. Cicho było na froncie jak makiem zasiał — oczywiście z punktu widzenia huraganowego ognia. Dla biednej Persy była to najstraszniejsza bitwa, jaką w życiu oglądała: artyleria chińska „przystrzeliwała się” do polskich pozycji, macając nieprzyjaciela i korygując wyliczenia. Raz po raz odzywały się po stronie chińskiej pojedyncze huknięcia dział różnego kalibru w różnych miejscach i pędziły ku nam samotne pociski, hucząc długo w spokojnym powietrzu, i pękały w naszych okopach, wyrządzając czasami znaczne szkody. My załatwiliśmy tę pracę już wczoraj — nie można było dłużej czekać, choć to ułatwiło zadanie Chińczykom. Oni mieli czas — my — to jest Kocmołuchowicz — nie. Jesień była bezwietrzna i drzewa stały przeważnie w liściach, zbrązowiałych od przymrozków. Ścierniska i łąki świeciły leżącą pajęczyną, odbijając jak w stawach pokrytych rzęsą matowe, łagodne i senne słońce. Nieprzebrana cichość przestworzy budziła strach jakiś zabobonny. Wszyscy, poczynając od prostych ciurów w obozach do dowódców korpusów i grup, zupełnie niezależnie od zwykłego, normalnego strachu, byli „czegoś” dziwnie przejęci i uroczyści. Kocmołuchowicz, w towarzystwie Zypcia i Oleśnickiego, objeżdżał front w małej, eleganckiej „pieroletce”, jak nazywano ten typ torpedowych, luksusowych tanków. Wielką ulgą było wykluczenie przez Ligę Ochrony Wojny powietrznego bombardowania i gazów. Gdzieś wysoko krążyły wywiadowcze samoloty, okrążane co chwila grupami białych obłoczków pękających szrapneli, ale nikt nie potrzebował już bać się pocisków na setki kilometrów za frontem. Chyba można było być ranionym własnym odłamkiem — ale na to trzeba już być zupełnym „nieudacznikiem”. I to właśnie zdarzyło się Kocmołuchowiczowi. Główka do nastawiania odległości naszego własnego pocisku wyrzuciła go w koniec buta, rozwalając podszewę i niszcząc sam szpic, w chwili gdy rozmawiał z dowódcą trzeciego korpusu, Niekrzejką. Niekrzejkę zbladł. Wódz zachwiał się, ale nie upadł. Zrobiło się zamieszanie. Mógł Zypcio podziwiać doskonałość tej maski — ani na sekundę nie straciły smoliste gały swojej bezczelnej wesołości. Niestety dosłownie: mógł Zypcio podziwiać, ale nie podziwiał — nic już nie robiło na nim wrażenia. Roboty ziemne były już na ukończeniu — chodziło tylko o strefy wypadowe — linia obrony była gotowa dawno, o dwadzieścia kilometrów stąd w tył. Chińczycy trzymali się na dziesięć, piętnaście kilometrów km od naszej linii. Najbardziej wysunięte patrole kawalerii złapały zaledwie na jakie siedem kilometrów kontakt z nieprzyjacielem.

General-kwaternistrz w świetnym był humorze. Już przeszedł linię zwątpień i wahań — był sam jak wypuszczony pocisk. A jednak zdarzają się, psia-mać, cuda. Znał siebie i wiedział, że zawsze jednak może oczekiwać od siebie czegoś nieoczekiwanego. Co też teraz „wykinie” jego nieposkromiona natura przedostatniego indywidualisty na tej ziemi, zakonserwowana aż na dzień 5/X w piekielnym sosie polskich układów sił społecznych? Dumnym mógł być ze swojej armii = maszyna — dość było pociśnąć guzik i „trach”...!! Ale równie dumnym mógł być i ze swego łba, w którym, prawie bez jednego zapisanego papierka, mieściła się ta piekielna przyszła bitwa w potencjalnym stanie. Na chwilę poczuł w sobie kwaternistrz wszystkich wodzów Polski, którzy walczyli kiedykolwiek z mongolskimi „nawałami”. Ale nagle jakiś dziwny smutek starł tę świetną chwilę, jak ściereczka „pył” z zakurzonego, gładkiego stoliczka. Czemu takie „domowe” porównanie przyszło do głowy samemu Wodzowi? Lśniącą, niepokalana nuda absolutnego bezsensu najświetniejszych nawet czynów ogarnęła go z niezmożoną siłą. Chciałby *po prostu* żyć. A tu śmierć zaglądała mu bezczelnie pod szeroki daszek czapki pierwszego pułku szwoleżerów, którego mundur ozdobiony generalskimi naszywkami i sznurami nosił. Nie był to brak odwagi bynajmniej, tylko czysty, pozbawiony strachu przed śmiercią sentyment do życia. Cichy szept wewnętrzny mówił mu o jeszcze cichszym istnieniu w jakimś małym domku w kooperatywie wojskowej za miastem — jakieś pelargonie w oknach i córeczka bawiąca się w ogródku — o, w taki śliczny dzień jak dzisiaj i śliczna pani Hanna z całą swoją filozofią (teraz mógłby to nareszcie poznać) i won wszelkie perwersje z tą prze-

klętą „dziwką” i dzikie „entszpanungi” i „detanty”, których potrzebę stwarzało mu życie w natężonej, obłędnej pracy. W gruncie rzeczy było mu to obce, było tylko substytutem nasycenia nieświadomej, metafizycznej żądz bycia wszystkim, ale to *dosłownie wszystkim*. A tu Nicość. — Jakże bliskim był tej nicości w olbrzymiej drabinie hierarchii wszelkich możliwości! Ledwo oderwał się od podstawy zupełnej pospolitości [on, były chłopiec stajenny, a potem dojeżdżacz (co to jest?) hrabiego Chraposkrzeckiego-Łzowskiego, pana na Łzowie i Dubiszkach, którego syn najmłodszy, major, dowódca szwadronu w jego przybocznej legii, był teraz jego ślepy m narzędziem], a już ciągnęła go ona pokusą cichego snu, pospolitego, prawie nie wiedzącego o sobie istnienia. „Chamska krew, czy co?” — „zachnął się” Wódz sam na siebie. I sam zaśmiał się nad sobą. — „Właśnie tak jest dobrze — gdybym był hrabią, nie byłoby w tym żadnej sztuki”. Ach, gdyby to można skończyć to życie spokojnie, tak po dokonaniu tego beznadziejnego czynu, tej przeklętej bitwy, która miała być tym „opus magnum” całego jego życia? A? I tylko jeździć sobie potem po świecie z córeczką, ukazując jej jego zakryte dla zwykłych oczu cuda i wychować ją na potwora takiego jak na przykład Persy lub on sam — szepnął głos tajemny — brrr...! Nie nasycił go niegdyś ani front rumuński, ani Bolszewia, ani genialne walki miejskie, w których był mistrzem — on kawalerzysta z krwi i ducha najtajniejszych bebechów, ten Kocmoło-centaur, jak go nazywano na orgiach pułkowych, kiedy w szaleństwie alkoholu, jako piechur ledwo trzymając się na nogach, dokonywał piekielnych swych kawalerskich, smoczcentaurowych czynów, dając przykład niedościęły prawdziwie „końskiej” młodzieży oficerskiej. Ale czy był tym w istocie swej najgłębszej, od samego początku, kim jest obecnie? Kim mógłby być przy „najświetniejszym zbiegu” sprzyjających okoliczności? (!) — właścicielem stajni wyścigowej, czy stadniny, czy profesorem hodowli koni na uniwersytecie wileńskim? Bo ta jego kariera była nienormalna — zawdzięczał ją tylko wypadkom — no może trochę i sobie — ale czymże byłby, gdyby nie krucjata? A profesorem mógł zostać zawsze. A nade wszystko powinien był się urodzić co najmniej hrabią — tak wszystko przepadło i teraz trzeba było walić naprzód. Był jednak niewolnikiem czegoś ponad niego wyższego — bo cofnąć się nie mógł. Program: objazd, orgia u szwoleżerów, sen, mały ranny „Entspannung” z Persy (czekała go w dworku pp. Łopuchowskich w Załupach, tam za sennymi (?) grupami miedzianych drzew — pewnie teraz pije kawę w tej poziomkowej piżamce... Ech!!). A potem bitwa, ta bitwa jedyna w historii, której sława rozejdzie się po świecie całym i on jako najstraszliwszy mit gasnącej osobowości, którym straszyć będą mechaniczne matki potomków przyszłych, szczęśliwych ludzi. Uha, uha! Otrząsnął ostatnią słabość, w którą był się zatulił, jak w miękkim leniwniku-zatulniku w leniwe świąteczne rano. Adiutanci patrzyli na niego, ledwo śmiejąc oddychać. Na samą myśl, co działo się w tym piekielnym łbie, brał ich strach zabobonny (koniecznie). Oto siedzi teraz między nimi ta kupa pospolitego pozornie mięsa w generalskim przepychu, a w niej zaklęta jest jedyna w swoim rodzaju chwila historii ginącego świata. Oto ta sama chwila definitywnego przewalania się ludzkości w jej drugą zasadniczą fazę, wcielona w tę diabelską kukłę, pełną niepojętych myśli, trwa tu przed nimi, w październikowe rano, w pędzącej przez zapajęczone ścierniska „pierdoletce”. Zypcio zaczął się powoli budzić, ale już po tamtej stronie. Okropność przeszłości, powleczone tajemnym werniksem obłędu i oczekiwania nadchodzących wypadków, świeciła jak stłumione, a niegdyś jaskrawe barwy na obrazie jakiegoś dawnego mistrza. Wspomnienie nie zająłoby się o nic aktualnego. Z jednej strony był to wynik „nerwowego szoku”, który przeżył tej strasznej nocy wyzwania się w zaktualizowaną nieskończoność i dziwność istnienia, z drugiej tłumiała wszelkie głębsze przemiany zbliżająca się katastrofa. Rozkoszna była tymczasowość tych chwil niepowrotnych. Już w dzień odjazdu szepnął ordynans Wódza obu adiutantom, że nikt z tej wyprawy nie wróci. Jeszcze nigdy takiego oka nie miał podobno generał. Obserwację tę zrobił głupi Kufke podczas rannego ubierania. Potem maska kwatermistrza nie zdradzała już innych uczuć prócz wścieklej, skoncentrowanej jak słońce w soczewce, woli. „Spiał mózg ostrogą woli” — zaiste było tak. A przy tym, co mógł przeżyć jeszcze ten obłąkaniec. Bo i jeden, i drugi, i Wódz, i adiutant — byli prawie na granicy — może Zypcio posunął się dalej w urzeczywistnianiu swoich pomysłów, może był jako wariat właśnie życiowo dojrzalszym, ale z Kocmołuchowiczem było naprawdę źle. Nie zdawał sobie tylko z tego sprawy, a piekielna praca trzymała go jak w kleszczach, nie dając możliwości uświadomienia pewnych symptomów. Dotąd dosłownie nie miał czasu

zwariować. Ale nierzadko, ale też i nie bardzo często, Bechmetiew kiwał nad nim głową z politowaniem, połączonym z podziwem. „W grobie nie będzie czasu leczyć się, Erazm Wojciechowicz” — mówił. „Jeszcze nie czas na sanatoria” — odpowiedział kiedyś kwatermistrz. — „A zresztą jak się skończę, to lepiej wyprowadzić za płot i strzelić w ucho. Płot już mam w Kooperatywie na Żoliborzu, a rewolwer znajdzie się w ostatniej chwili — ktoś życzliwy użyczy” — miał na myśli swoich najstraszliwszych wrogów, co może teraz, gdy on tu leż nadstawia, tam w stolicy chleb i sól dla Chińczyków przygotowują i czyszczą klucze stołecznego miasta. Dobrze czuł się Genezyp w tej pustce uczuć. Nie mógłby już wrócić między normalnych ludzi — w więzieniu czy na swobodzie, czekała go jedynie samobójcza śmierć. Teraz był wolny od tego zagadnienia — miało to załatwić samo życie. Nie poznawał ani siebie, ani otaczającego świata. Ale właśnie w tej obcości czuł się jak w wygodnym futerale. Tylko czy to nie jest jednym z objawów zbliżającego się bzika? Zaniedbał się tym problemem — po raz pierwszy naprawdę ogarnął go strach przed obłędem — czy nie za późno? — jego, skończonego już wariata, żyjącego tylko mocą nadwyzki sił, których dostarczała sama sytuacja zewnętrzna, no i skatatonizowanie. Ale nie było czasu zastanawiać się nad takimi głupstwami. Właśnie zajęli przed jakąś zakamuflowaną ciężką baterię, gdzie Kocmołuchowicz wypowiedział jedno z tych swoich słynnych, wstrząsających najtajniejsze żołnierskie bebechy, przemówień. (Nigdy ich nie zapisywano i nie drukowano, bo bez jego obecności, głosu, postawy i tej atmosfery, którą koło siebie stwarzał — okazywały się bardzo liche i nieudolne. On sam był tego zdania). Ledwo skończył, a tu, jak na zawołanie, nadleciał od dalekich pozycji chińskich ciężki, jedenastocalowy granat i pękł tuż przed linią armat, zasypując wszystkich ziemią i drzazgami rozwalonych rogatek. Cudem nikt nie zginął, ale Wódz dostał po łbie dużym kawałkiem drzewa. Drugie ostrzeżenie. Żałował Zypcio, że niezdolnym był już do odczuwania tego entuzjazmu, co w szkole, gdy parę buczeń trąb i sam głos Wodza zdolne było rozpromienić świat cały w szalony wybuch skondensowanego uroku życia. Ze spuszczoną głową, wstydząc się za niesmaczne dowcipy Kocmołuchowicza, słuchał całej tej baliwerni, jak skazaniec, dla którego pojęcie życia straciło sens wszelki.

Dalej wypadki potoczyły się z przeraźliwą szybkością. Nazajutrz rano stał już Wielki Kocmołuch otoczony sztabem na kocie 261, skąd miał obserwować bitwę [wobec braku gazów i samolotów (co za rozkosz!) bezpieczeństwo było względnie duże — 10 km od własnej pierwszej linii], a raczej jej punkt centralny zdeklansowania. Front bitwy rozciągał się na przestrzeni 300 km — trwanie jej obliczano na dni pięć minimum. Za sztabem, na jakie tysiąc kroków, rozłożyły się trzy pułki legionu przybocznego, konnych pegiekwaków, pod dowództwem adiutanta Cara Kiryła, Karpeki, jednego z lepszych kawalerzystów rosyjskich. A prawda! — na śmierć się zapomniało — wczoraj o dwunastej w nocy rozstrzelano prawie bez sądu Niehyda-Ochlują, który na fikcyjnej radzie wojennej (odbyła się po orgii) zaczął się nieprzyjemnie, po bolszewicku stawiać. Zakneblowano mu gębę i wyprowadzono. W kwadrans już nie żył. Sam Zypcio pomagał wlec go, wrywającego się rozpaczliwie rozwścieczonym sztabowcom, nie czując przy tym nic. Pijany Huśtański (Kuźma) chciał mu jeszcze przed śmiercią własnoręcznie wyciąć jaja, ale nie danym mu było tego dokonać — Wódz stanowczo zabronił. Zypcio wsiąkł cały bez reszty w duszę Kocmołuchowicza — egzekucja nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia — był już kompletnym automatem. Sytuacja urządzona było po napoleońsku — ostatni występ przed historią nie mógł się obyć bez pewnej dekoracyjności: sztab, kawaleria, „Siwek”, galowe mundury i defilady. No ale trzeba było przystąpić wreszcie do czarnej roboty tego świątecznego dnia. Rozkaz operacyjny wydany był przez telefon oczywiście osobiście przez kwatermistrza z zamkniętej telefonicznej kabiny, którą wożono za nim wszędzie. Przygotowanie artylerii miało trwać krótko — o trzeciej po południu atak generalny — ha!

Był świt błady jesienny. Z początku było szaro. Potem zaróżowiły się od spodu uwarstwione obłoki na wschodzie i dzień prześliczny zaczął się rozwijać powoli, systematycznie. Kocmołuchowicz na koniu (tym słynnym „Siwku”, co to wszystko miał z rozkazu wodza w swym zadzie) przed sztabem. Słuchawkę telefonu miał w ręku. Twarz spokojna, a czarne gały utkwione w niedalekie chałupy Pychowic, zasłaniające dalszy horyzont. Gały pełne były jego pękającej z własnego nadmiaru indywidualności. Cisza. Nagle jakaś czarna błyskawica rozdarła mu normalną (tę genialną) ciemność mózgow. Na odwrót,

wszystko na odwrót! Nie będzie żadnej bitwy. On poświęci swoją sławę dla dobra tych biednych żołnierzy, biednego kraju i reszty biednej Europy. Chińczycy i tak, i tak muszą zalać wszystko. Po cóż mają ginąć te tysiące? Za co? Za ambicję jego i jego sztabu? Ambicję pięknej śmierci? Straszna wątpliwość przemknęła przez jego precyzyjny, a ciemny łeb umęczonego sobą tytana. Zaczął mówić w telefon głosem pewnym i stanowczym, a szare obłoki krwawiły się coraz bardziej, długimi, strzępiastymi pasmami. Ale jednak odczuli sztabowcy, że kwatermistrz wyrывa z siebie te słowa z jakąś niewidzianą u niego dotąd, pełną bólu potęgą:

— Hallo — centrala sygnałów? Tak. Słuchać uważnie, generale Kłykieć: bitwa się nie odbędzie. Odwołane. Na wszystkich odcinkach wywiesić sygnał poddania się. Front się otwiera. — (Nagła myśl już między nieodwołalnymi zdaniami: „Czy ja aby po prostu nie chcę żyć?” — Mignęły mu w wyobraźni pelargonie w okienku kooperatywnego domku na Żoliborzu). — Wszystkie oddziały, po przyjęciu sygnału przez nieprzyjaciela, mają bez broni wyjść z pozycji i pójść w kierunku wschodnim, w celu zbratania się z wojskami żółtej koalicji. Niech żyje — zawahał się — ludzkość — wyszeptał sam do siebie bezwładnie i puścił słuchawkę, która padła na zmarzniętą ziemię ze słabym, głuchym hukiem. Telefonista stał jak wkopany, nie śmiejąc się ruszyć. Sztab słuchał oniemiały. Ale taka była karność w tym wojsku, że nikt nie pisnął ani słowa. A zresztą chciało się żyć wszystkim — wiadomo było, że sytuacja była beznadziejna. A potem okrzyk: „niech żyje!” — nieregularny, porozrywany, zagrział zmieszonym gwarem. Krwawe obłoki zaczęły pomarańczowieć. Kocmołuchowicz odwrócił się do swoich wiernych towarzyszy i zasalutował. Był w tej chwili takim samym automatem, jak i jego przyboczny adiutant, Zypcio Kapen — coś się nagle skreśliło. Podjechał do nich ordynansowy oficer dowódcy, „legionu Kocmołuchów”, Chraposkrzecki, właśnie drugi syn tego byłego „pana” generała kwatermistrza.

— Panie generale: czy mogę się zapytać, co tu się stało? Mówiłem tam z Ciuńdzikiem. Twierdzi, że...

— Panie poruczniku — (na służbie kwatermistrz trzymał się ściśle stopni i nie pozwalał sobie na żadne poufałości) — poddajemy się w imię ludzkości. Niepotrzebny rozlew krwi. Jedź pan zawiadomić mój legion przyboczny. — Nastąpiła chwila milczenia. Obłoki były już żółte. Wielkie płyty seledynowego nieba odkrywały się na wschodzie. Na wzgórzach za sztabem błysnęło poranne słońce. Chraposkrzecki jednym rzutem wyrwał wielki bębnowy rewolwer z futerału i wystrzelił w naczelnego wodza. Po czym, nie bacząc na wynik strzału, zdarł konia i galopem popędził ku liniom legionu, o jakie ośmset kroków na Zachód. Tam już świeciło jasne słońce. Kocmołuchowicz pomacał lewe ramię. Kula oderwała mu epolet w tym miejscu, gdzie przyszyte były generalskie akselbanty, które zwisły smutnie wzdłuż generalskiego boku, łaskocząc bok generalskiego „Siwka”.

— Zdegradował mnie przed moim sztabem. Idiota! — zaśmiał się Wódz. — Ani kroku! — krzyknął do wiernych sztabowców. Wszyscy zwrócili się na Zachód — Chraposkrzecki karierem dojeżdżał właśnie do zwartej linii kawalerii na równinie. Coś tam krzyczał. Tłum oficerów go otoczył. Ktoś mówił mowę — krótką. Komenda... Jaka? Najwyraźniej posłyszeli ostatnie słowa: głos generała Sergiusza Karpeki: „Skróć cugle, broń do ataku, maaarsz!” — A potem krótkie: „Marsz, marsz!”. Ława ruszyła z wolna, lśniąca szablami w różowym, ciepłym „słoneczku”.

— No — teraz, panowie, na nas kolej — powiedział spokojnie Wódz, zapalając papierosa. — Karierem do trzynastej dywizji. *Direktion* — Pychowice, E, mapa s. g. N, 167. — Zaśmiał się szeroko i spiął konia. Pognali *ventre-à-terre* w kierunku pierwszych domków Pychowic, gdzie na mapie wypadła litera *E* tej słynnej odtąd nazwy nieznanego dotąd nikomu miejsca ostatniego boju legionu Kocmołuchów z trzynastą, wierną Wodzowi, jak i cała zresztą armia, dywizją. A za nimi gnali tamci w rozwiniętym szyku. Trudno jednak gonić dwudziestu jeźdźców trzema pułkami. Grupa fantastycznych fantasenów dopadła wsi na dwieście kroków przed tamtymi.

— Zbuntowali się! Ognia!! Obrócić kulomioty!! — krzyczał dziko Kocmołuchowicz, nie tracąc ani na sekundę zimnej krwi. Obserwował siebie z boku, tego tak zwanego historyka i bujdogeneratorsa. Świetnie sprawiał się ten bohater i wierne mu, zautomatyzowane kompanie trzynastej dywizji w rezerwie. Grzmotnęła salwa w przejrzystym powietrzu je-

siennego poranka. Czterdzieści kulomiotów zagrzechało ku słonecznemu oddziałowi. Już i tu było słońce. I waliły się kupami wspaniałe, prawie że gwardyjskie, szwoleżery, nie mogąc dobiec do przekłętego E. Kocmołuchowicz patrzył na to spokojnie. Kiedy trzy pułki legły na oświetlonych pełnym słońcem ścierniskach (pogoda była już zupełna — chmury ściągały się z nieba, jak firanki, ciągnięte przez niewidzialne smutki) kazał wysłać lotne szpitale, sam zaś pojechał dalej ku swoim byłym pierwszym liniom. Miał wrażenie, że dokonał potwornego wprost poświęcenia własnej ambicji na rzecz ludzkości, większego, niż Napoleon po Waterloo. Na „jego” froncie była cisza. Już wychodziły pierwsze oddziały „bratańców”. Witano Wodza uprzejmie, ale bez entuzjazmu, jak przystało na armię automatów w decydującej chwili. Kocmołuchowicz pokazał, co umiał — tym razem naprawdę.

Siedzieli przed małą chałupką tuż przy byłej pierwszej linii robót ziemnych. Kwatermistrz dziwnie szklannym wzrokiem wpatrzył się w czarną czeluść okopu, wrytą w przepysznym, starokonstantynowskim czarnoziemiu. Pierwszy raz pomyślał o grobie i serce ścisnęło mu się nieznanym dotąd, tajemnym bólem. Wiekuistość wszechrzeczy zmieniła się na przelotne „*Minderwertigkeitsgefühl*”. Córeczka i żona (może to dla nich, i dla tych pelargonii w okienku, wykonał tę woltę?) wyolbrzymiły mu się jako jedyne wartościowe istności w świecie całym. Wstrętną była mu obecność Persy, która, uszczęśliwiona nowym obrotem rzeczy, wesoło szczebiotała z oficerami sztabu, kryjącymi pod sztucznie ponurymi maskami rozsadzającą ich radość z darowanego życia. Duch niepotrzebnie zamordowanego Niehyda przesłonił na chwilę jasność godziny jedenastej październikowego, pogodnego przedpołudnia. — „Jeszcze mnie pociągnie za sobą” — pomyślał kwatermistrz. — „Przecież właściwie on tego chciał wczoraj, co ja zrobiłem dziś. Ale chcieć, a móc to różne rzeczy. On tego wykonać sam nie mógł — co najwyżej wywołałby jakiś drobny bałagan. Tak to u nas zawsze w Polsce bywało: zabić kogoś dla tego, co się jutro zrobi po jego śmierci”. — Oczekiwano wysłańca chińskiego sztabu, który miał osobiście wyznaczyć spotkanie wodzów. Ciekawy był kwatermistrz „tamtej strony”, której nigdy (do dziś z rana) nie miał pokojowo przekroczyć i zobaczyć. Sztab chiński stał w Starokonstantynowie o dwadzieścia kilometrów od pierwszych okopów. Gwar bratania się rósł wzdłuż całej linii, mącąc przedpołudniową ciszę natury, przykucniętej jakby ze strachu przed nadchodzącą zimą, ukradkiem grzejącej się w darowanym ciepłe ociągającego się lata. Zima z latem stykały się prawie w ten przepiękny dzień, zawierający elementy obu tych pór roku.

Krótko trwały zwątpienia kwatermistrza. Szybko nastawił się swoją niezłomną wolą na poprzednie stanowisko, wynikłe z histerycznej chwili absolutnej dowolności czynu, z dodaną (?) teoryjką („*eine zuge dachte Theorie*”?) dobra kraju i całej ludzkości — i poświęcenia najwyższej strategicznej ambicji, dla jeszcze większej (kto wie?) sławy i popularności, której przy tym używać będzie można — bo „lepszy jest żywy baran, niż zdechły lew”. Potem tłumaczono to działaniem indukcyjnym „pola psychomagnetycznego”, wytworzonego obecnością milionów Chińczyków, ogarniętych jedną ideą. — (Był taki naukowy kierunek na Zachodzie). Inni mówili tajemniczo o „nocy dwudziestu pięciu piguł” — inni po prostu zwalali wszystko na obłąd. Było tak, jak tu jest opisane i konieczne. Wszyscy ucichli i nastawili uszu. Zawarczał automobil na szosie. Po chwili zajechał przed chałupę po drugiej stronie linii wspaniała, czerwony Bridgewater. Wysiadł z niego niepozorny chiński czelczyzna w żółtawo-szarym uniformie, przepasanym dwubarwną: czerwoną z żółtym wstęgą. Lekko przeskoczył czarną w cieniu czeluść okopu, unosząc ręką długą krzywą szablę z niesłychanym wdziękiem i zbliżył się do grupy oficerów polskich. Oddał honory (cały sztab również), po czym zwrócił się do kwatermistrza: (Zypcio wciąż był zupełnie obojętny — on jeden ani się cieszył, ani smucił tym, co zaszło. Ale wobec takich wypadków, co może obchodzić nas psychologia jakiegos tam gówniarza? — wariat nie wariat — wszystko jedno).

— Mam honor mówić z Ekscelecją Kocmołuchowiczem? — (*Have I honour to speak with His Excellency Koczmołukowitsch?*) — spytał najczystsza angielszczyzną. Kwatermistrz wyrzekł krótkie: „Yes”. „No — teraz wytrzymać maskę” — szepnął sam do siebie przez ściśnięte zęby. Tamten mówił dalej, nie podając ręki, tylko kłaniając się po chińsku. — Jestem generał Ping-Fang-Lo, szef sztabu generalnego i kawaler orderu Żółto-Czerwonego Bławatka (tu skłonił się). — Nasz wódz, mandaryn pierwszej kategorii

Wang-Tang-Tsang — (złowrogo zabrzmiało to tse-tse-owe — zaiste nazwisko) ma zaszczyt prosić przeze mnie Waszą Ekscelencję wraz z całym sztabem i zapewne — hm — z małżonką, na śniadanie o pierwszej do staronkostantynowskiego pałacu. — („*Old-constantinavian palace*”). — Wyraźny strach widać było w czarnych oczkach Mongoła. — „Czego się boi to ścierwo?” — pomyślał kwatermistrz. — „Przecież oni w ogóle nie boją się niczego. Coś w tym jest”. — i odpowiedział nie wiadomo czemu po francusku z „wylaniem”:

— Panie generale (*mon général*): jest mi niezmiernie przyjemnie, że mogę w panu powitać... (*je suis énormément flatté de pouvoir saluer en votre personne...*).

— Dziękuję — przerwał tamten po angielsku. Odsalutował i skoczył przez okop i dalej do auta, które zawróciło już podczas rozmowy. Wóz z potwornym kompresorem skoczył od razu w sto kilometrów na godzinę i za chwilę nie było go już widać. Po chwili przykrej ciszy, gwar wybuchnął w całym sztabie. Kocmołuchowicz był najwyraźniej skonsternowany (oczywiście dla Kufkego, gdyby tu był) — widać to było tylko po zmarszczce między oczami. Coś psuło się w ogólnej kompozycji tej historii.

— Co ta bestia sobie myśli — mówił do Persy — jak on śmiał... ha — trudno. Trzeba spożywać owoce czynów w wymiarach komunistycznych. Ale ja im jeszcze pokażę! —

— Nic nie pokażesz — szczebiotała rozpromieniona kochanka. — Dokonałeś największego czynu od czasów Aleksandra Macedońskiego. Pomyśl, jak piękne będzie nasze życie. Gdyby to zrobił tchórz, byłoby to straszne, ale taki knur, taki skrzydlaty byk, taki Lewiatan jak ty...! To cud, prawdziwy cud! Ja jedna cię rozumiem naprawdę. — Wzięła go za rękę i wpiła się w niego tym najgłębszym, mącącym najkrystalicześniejsze myśli spojrzeniem. Odbiło się od jego oczu, jak od dwóch metalowych tarcz. — Wódz patrzył w siebie. Znowu obraz żony (bądź co bądź była hrabianką) i córeczki, przemknął mu przez umęczony mózg. Ale nowym nawrotem woli szybko wrócił kwatermistrz do poprzedniego stanu automatyzmu, z dodatkiem pewnej nieznanego dotąd rezygnacji. Rozkazał podać auto. Opodal przewożono rannych w rannej szarzy szwoleżerów w kierunku chińskich szpitali. Taki był rozkaz. Czyj? Chiński. On musiał się poddać chińskim rozkazom. Tego nie przewidział. Okropny, prawie że fizyczny ból przeszył mu duchowe wnętrze i zgasł w czarnej pustyni, która rozesała się tam nagle, zdradziecko. Na odgłos jęków zakrył sobie generał twarz — — na chwilę. „Iluż by ich było, gdybym nie postąpił właśnie tak? A jednak coś mi we łbie trzasło, psia-krew! Nie czuję nic”. Bezmiernie umęczenie i nuda objęły go ze wszystkich naraz stron — nawet tam od Zachodu, gdzie były ONE — żona i córka. Świat zamarł wokół — nie było nikogo. On sam jeden, w bezimiennej otchłani pełnej automatów — ostatni może prawdziwy człowiek w tym układzie. Jakoś przyjaciele nie zwracali na niego wielkiej uwagi. Nikt nie zbliżył się nawet po odjeździe Chińczyka. Coś niesłychanego! Hrabowie szeptali ponuro z Oleśnickim. Kuźma Huśtański, pijany od rana, chodził wielkimi krokami, brzęcząc groźnie swoim olbrzymim szabliskiem. Stęporek gwizdał przez zęby tango *Jalousie*, patrząc z niepokojącym uśmieszkiem w kierunku linii chińskich. Ale taka była wiara w absolutną doskonałość postępów Wodza, że nikt pary z pyska nie puścił. Jeden ten bałwan Chraposkrzecki — bohater! Niedawno doniósł Wodzowi Zypcio, że postrzelany jak sito skonał w świetnym humorze — sławę miał zapewnioną. A takiemu nie trzeba nic więcej. On, no i tamci. Ale to Karpeka winien. Kto mi kazał, u licha, Moskale dawać na dowódcę legii przybocznej? Zahypnotyzował ich, czy co? A może fałszywie przedstawili sytuację? Oto do czego doprowadza przesadna dyscyplina — nikt się nie oprze byle czyjej komendzie. Ha — zobaczymy potem, jak to było naprawdę.

Jechał z Persy, Zypkiem i Oleśnickim. Mężczyźni milczeli, tylko Zwierzontkowska wykrzykiwała swoje zachwyty nad pięknnością pejzażu. Młody książę wywalał na nią swoje przecudowne oczy z wyrazem beznadziejnej, ponurej żądz. Zypcio nic — prawie nie istniał sam dla siebie. Był tylko małą naroślą na tamtych mózgach, a mimo to odczuwał doskonale, co się tam w nich dzieje — tę zdolność wnikania bezpośrednio w obce jaźnie dał mu dawamesk B2, — ale na cóż mu to teraz było potrzebne. Nie ma biednej Lizki i nie będzie. Nie mógł wyduśić z siebie na ten temat ani jednej najmniejszej wewnętrznej lezki. — Kamień.

Zajechali przed bramę parkową starokonstantynowskiego dworu. Chińscy żołdaci oddali honory z wielkim szykiem i przepuścili auto. Mijali dziwni goście grupy drzew żółtych i miedziano-czerwonych wśród szmaragdowych trawników. Jakoś niesamowicie przedstawiał się im zwykły (identycznie taki sam, jak poza frontem) białoruski pejzaż — zdawało się im, że są już w Chinach, że formy drzew są zchinizowane, że wszystko ma inny kolor, jak na mapie.

Nagle ujrzeli dziwny widok. Od skrzyżowania alei rozpościerał się trawnik, idący aż do dworu, świecąco oślepiając białością ścian i kolumn, wśród gęstwy purpurowych jarzębin. Na lekkiej pochyłości klęczał szereg ludzi. Stali tylko: kat (jak się później okazało) i oficer. — Właśnie zaczynała się egzekucja. Kocmołuchowicz wyskoczył z auta w biegu. Auto stanęło. Tamci gramolili się za nim. Aha — zrozumiał. „*Unser liebenswürdiger Gastgeber hat uns eine kleine Ueberraschung vorbehalten — nach Tisch werden ein Paar Mandarinen geköpft*” — przypomniał mu się „witz” z odwiecznego „Simplizissimusa”. Tylko, że tu było „*vor Tisch*”. Zatrzymali się przy pierwszym skazańcu.

— Za co ich tak karzecie? Co oni zrobili, u diabła? — spytał Kocmołuchowicz dyżurnego oficera. (Żołnierzy straży nie było widać wcale).

— *Ne me parlez pas, Excellence — je suis des gardes* — odpowiedział zimno, ale grzecznie, jakby z wyrzutem lekkim, poruczniczek o twarzy dziecka.

Skazany patrzył obojętnie w głąb jarzących się w słońcu drzew parkowych, rozumiejąc zdawało się wszystko (dosłownie wszystko w metafizycznym znaczeniu), albo nie rozumiejąc absolutnie niczego — jedno z dwojga. Inni klęczący (nie mieli nawet związanych rąk! — coś nieprawdopodobnego!!) patrzyli na niego z wielkim zainteresowaniem, jak sportowcy, oczekujący wyniku jakiegoś niezmiernie ciekawego rekordu. Nad tym pierwszym stał kat, z prostym mieczem w ręku. Komenderujący egzekucją oficer nie zwracał więcej już żadnej uwagi na przybyłych. Kocmołuchowicz stał o trzy kroki od niego w pełnym generalskim uniformie, a ten nic sobie z tego nie robił. Musiał przecież wiedzieć, z kim ma do czynienia. Coś niezrozumiałego. Nagle krzyknął, jakby „miał już dosyć tego wszystkiego”. Kat zamachnął się i głowa pierwszego „faceta” stoczyła się parę kroków po pochyłości, szczerząc żółte zęby. Ale w chwili ścięcia zauważył Kocmołuchowicz (kiedy głowa była już w powietrzu) plaster jakiś, coś podobnego do przekroju jakiegoś salcesonu: w środku szare, potem białe, potem czerwone, jakieś plamki i równa linia skóry, otaczającej żywe jeszcze ciało. W sekundę (może w ćwierć) wszystko to zalała bulgocząca krew, a głowa dawno szczerzyła zęby na trawniku. (Co za technika, co za technika!) Może mu się zdawało, ale oczy ściętego chińskiego łba najwyraźniej mrugały na niego porozumiewawczo. Paru innych skazańców zrobiło zdawało się parę technicznych uwag. Musiały być pochlebne, bo kat skłonił się w ich stronę, po czym przystąpił do następnego skazanego. Wszyscy podobni byli do siebie, jak krople tego samego płynu. Znowu komenda, znowu ten sam gest kata i nowa głowa stoczyła się po polskim dworskim trawniku, zalany słońcem jesiennego południa. Tamci widzieli zupełnie to samo — to nie była halucynacja. Persy zemdlą i Zypek z Oleśnickim musieli wlec ją pod pachy, za idącym w kierunku dworu milczącym kwatermistrzem. Żuł lewy wąs i mruczał: „dobra szkoła, dobra szkoła”. Widok egzekucji dobrze mu zrobił — nabrał siły do rozmowy z niezwykłym Wangiem. Nareszcie nadeszła ta chwila — już myślał, że go ominie, a jednak jest jak byk, tuż przed nim. Dobra nasza! Weszli pod kolumny polskiego „dworku” — ileż mord różnych sług i tym podobnych stworzeń nabito tu i w szerokim promieniu stąd, od wieków. Teraz miał nastąpić rewanż — to pomyślał w ostatniej chwili kwatermistrz. Już miał przed sobą pomarszczoną, żółtą twarz, w której, jak w szafranowym placku rodzynki, tkwiły czarne, mądre oczka dziecka — powitał ich sam głównodowodzący mandaryn Wang-Tang-Tsang. Był ubrany tak samo skromnie, jak i inni towarzyszący mu oficerowie. Weszli do sali jadalnej. W tej chwili zajechały auta, wiozące resztę sztabu kwatermistrza. Z nadzwyczajnymi honorami posadzono Kocmołuchowicza i Persy na pierwszych miejscach. Po lewej stronie miała Zwierzontkowska samego Wanga; Kocmołuchowicz miał po prawej szefa sztabu generalnego Ping-Fang-Lo, tego, który przyjeżdżał do niego rano. Innych nie widział — ukryci byli za wysoką piramidą jedzeń, piętrzącą się w środku stołu. Po gniazdach jaskółczych w słodkim sosie z gniecionych karaluchów (tu i ówdzie zaplątała się łapka któregoś z tych mądrych stworzonek), Wang wstał i biorąc w rękę olbrzymi kielich oryginalnego Dubois, rzekł w czystej nad wyraz angielszczyźnie.

— Ekscelencjo: mam honor powitać pana pierwszego w naszym sztabie po świetnym czynie, dokonanym przez Niego w imię uczuć obejmujących ludzkość całą. Jednak, ceniąc jak nikt zasługi pańskie, nie mogę nie uznać pana za jednego z najniebezpieczniejszych indywidualistów, należących raczej do epok minionych, niż do naszej. Dlatego, dla dobra całej ludzkości, dla którego pan, panie Kocmołuchowicz, poświęcił był ambicję wodza jako takiego i prosty honor pierwszego oficera swego kraju („*the ambition of the commanding officer as such and the plain honour of the first officer of your country*”) jestem zmuszony skazać pana na śmierć przez ścięcie — bardzo szlachetna śmierć — dlatego, że dalsze pańskie istnienie, w związku ze znajomością pańskiej intymnej natury, obnażonej dla nas w tym właśnie epokowym czynie, zagrażałoby tym celom, w imię których czynów był spełniony. Jednak nic się nam nie śpieszy z wypełnieniem tego nieodwołalnego wyroku i możemy dalej weselić się, spożywając dary bogów i pijąc, i pijąc, i pijąc za pomyślność szczęśliwej ludzkości, dla której, tak czy inaczej, poświęcamy nasze marne istnienia osobiste. — Zypcio patrzył cały czas w swego byłego idola. Kocmołuchowicz tylko raz (kiedy mowa była o jego śmierci) podniósł na chwilę swe wspaniałe brwi, jakby się zdziwił nad jakimś czysto retorycznym frazesem. Zypcio wbił się w niego jeszcze głębiej swoimi nieczułymi oczami. Nic — maska była zupełnie spokojna. Było to zjawisko prawie aż przykre, tak piękne. Nie można było pojąć, jakim cudem to żyjące bądź co bądź stworzenie wytrzymało taki cios. Podobnie jak człowiek chory na morską chorobę podczas burzy cierpi, gdy patrzy na kogoś spacerującego spokojnie po pokładzie. Wydaje się, że tamten męczy się nieludzko z tego powodu, że nie może rzygać. „Ta bestia ma trzon — niech go...!” — pomyślał Genezyp z prawdziwą admiracją. Poczul, że ma jednak wodza i że może mu zaufać nawet w samą godzinę jego najstraszniejszej śmierci. Bo cóż jest gorszego jak być skazanym? A wiadomo było, że Chińczycy nie żartują nigdy. Coś jednak drgnęło w jego martwych głębiach, pod wpływem tej emanacji czystej Wielkości. Tylko teraz pytanie, co odpowie ten demon i jak. Ale Wang mówił dalej, wychlapszy całą wodę jednym haustem. — Otóż, panowie: należy się panom parę słów wyjaśnienia co do naszych celów i metod. Rzecz jest prosta, jak konstrukcja naszego modlitewnego młynka: nie umiecie sobą rządzić i jesteście rasowo wyczerpani. My umiemy; nasza uśpiona od wieków inteligencja ocknęła się, dostawszy raz w ręce wasz genialny alfabet. Nasza nauka stanęła od razu wyżej niż wasza. Odkryliśmy to właśnie, że wy urządzić się nie umiecie, a my umiemy. Każdy kraj ma swój idealny układ, w którym największą może osiągnąć wydajność. Dowodem naszej wyższości jest organizacja nasza i innych pokrewnych nam ludów. Musimy was nauczyć. Polityka nie istnieje dla nas jako taka — chodzi o naukowo zorganizowaną i uregulowaną wytwórczość. Urządzimy was i będziecie szczęśliwi. Nie chodzi o cofnięcie kultury, jako takie, tylko o trampolinę do skoku. Jakie będą możliwości dobrze gospodarczo zarządzanej ludzkości, nawet my nie jesteśmy w stanie przewidzieć. Może tylko zostanie uszczęśliwiona, a wszystkie wyższe formy twórczości będą musiały zaniknąć — trudno. I tak będzie to wiele, bardzo wiele. Ale jest jeszcze jeden problemat; my też jesteśmy wyczerpani w pewnym sensie — nie tak jak wy, ale przecie (*not as you are, but nevertheless*). Musimy się odświeżyć rasowo, musimy was połknąć i strawić, i stworzyć nową rasę żółto-białą, przed którą, jak to dowiodły nasze instytuty badań socjologiczno-biologicznych, otwierają się nieznane możliwości. Dlatego zaprowadzamy obowiązkowe małżeństwa krzyżowane — tylko artyści będą *mieć mogli* takie kobiety, jakie będą chcieli — białe lub żółte — wszystko jedno. Dlatego z góry mam zaszczyt prosić Waszą Ekscelencję o rękę wdowy po Nim dla siebie i rękę córki Jego dla mego syna. Racjonalna hodowla przywódców, zdeindywidualizowanych w dobrym znaczeniu, jest jedną z naczelných zasad naszego programu. — Zapił znowu to zdanie i siadł, obcierając łysinę jedwabną białą chusteczką. Kocmołuchowicz milczał. — Milczenie jest znakiem potwierdzenia — rzekł Wang, zwracając się już nieoficjalnie do Wodza, który miał minę taką, jaką by miał wysłuchawszy mowy Huśtańskiego na przykład, na jakimś pułkowym święcie. A przeszedł przez następujący szereg stanów: w chwili, gdy posłyszał wyrok śmierci, podany mu w tak oryginalnej formie, doznał dziwnego uczucia, jakby we wszystkie zakończenia nerwów wbito mu nagle rozżarzone szpilki — nie, raczej jakby ze wszystkich zakończeń tych trysnął prąd jakiś — ognie świętego Elma, czy coś takiego. Tryśnięcie to było bolesne. Na rękach zobaczył najwyraźniej fioletowe ognie. Spojrzał przed siebie i ujrzał przez wielkie okna słoneczny, jesiennie-południowy widok

parku — to nie była rzeczywistość — to sam ekstrakt uroku wspomnień niepowrotnej przeszłości przedstawiał mu jakiś zły duch w zaczarowanym zwierciadle. Patrzył na to jak na przeszłość... Straszliwy sentyment pejzażowy targnął mu jelita bolesnym skurczem. Nigdy... Ho, ho — taka chwila to nie bitwa. Wszystkie siły wysłał na front — tym frontem była maska. Nie drgnie i drgnąć nie może. Na ruch brwiami może sobie pozwolić. — Zbyteczna skamieniałość nie jest nawet dobra — może dać coś poznać. Obraz ten zakrył mu zaraz inny obraz — pamięciowy — żony i córki. Zobaczył małą Ileankę, jak je kaszkę na wysokim krześle, na tle ciemnego wnętrza sali jadalnej, a nachylona nad nią „Święta Hanna, Męczennica” mówi coś do niej szeptem. (Tak było właśnie o tej porze). Nie — w tym nie należało szukać ratunku — tam była słabość — Żolibórz i pelargonie (koniecznie). Jedyńm czymś w rodzaju oparcia była Persy — ta udająca jego żonę przed Chińczykami. Właśnie w tej chwili zemdląa i dwóch sztabowców chińskich, zupełnie do siebie podobnych, cucilo ją z naukowym zrozumieniem rzeczy. Kocmołuchowicz jeszcze raz „spiął mózgi ostrogą woli” i zatrzymał uciekające ciało na skraju śmierdzącej przepaści, gdzie czaiły się: strach i dyshonor. „A może lepiej było zginąć w ogniu?” Okropna wątpliwość — jak to tam było z tą ludzkością. Odwagi nie brakło mu nigdy — ale tu inna była sprawa — nawet John Silver dostawał mdłości na myśl o stryczku. Hm — ścięcie — prawie że „*ganz pommade*” — jedno warte drugiego. I nagle, na miejscu, gdzie siedziała przed chwilą Persy, ujrzał Wódz najwyraźniej *przeźroczytą* brodatą, niechlujną postać Niehyda-Ochluję — pierwsza halucynacja (poza wizjami dawamesku) w życiu. Ale już spięty ostrogą woli mózg wytrzymał i to uderzenie. Nikt nie mógł tego ocenić — kwatermistrz patrzył na widmo, tak jak na krzesło — w biały dzień! Coś naprawdę piekielnego. Przypomniało mu się, jak kiedyś, jako mały, panie, „brzdąc”, oglądał *Makbeta* Szekspira z ilustracjami de Seluze'a. Pokazywał mu tę książkę, jemu — stajennemu chłopcu, młodszy od niego Chraposkrzecki — brat tego, co zginął dziś rano w szaleńczej szarzy na kulomioty trzynastej dywizji. I pamiętał kwatermistrz, jak bał się tego ciemno-przejrzystego ducha Banka i jak zasnąć potem nie mógł, wskutek powracającej uporczywie wizji. Duch znikł. A kiedy Wang skończył swoją mowę, zaśmiał się Wódz wśród ciszy, „gromkim”, krystalicznym śmiechem. Nie było w tym nic historycznego — młodość. (Już dawno dusił śmiech ten w sobie — od czasu oświadczyn starego „czinka” o jego żonę. Cha, cha! — *c'est le comble!* Postanowił nie wyprowadzać biedaka z błędu, „*pust' rozbierut potòm*”. Będzie z tego dzika uciecha). Wszyscy spojrzeli na niego. Persy ocknęła się i podtrzymywana przez chińskich oficerów, szczękając zębami, wróciła do sali. W ciszy slychać było dzwonięcie tych okrutnych ząbków o dźwięczny kryształ pucharu, który podawał jej szef sztabu Ping. Kocmołuchowicz wstał i powiedział głosem swobodnym i lekkim — „kawalerskim” (po francusku):

— Panie marszałku Wang: zbyt dużo honoru, aby odmówić: „*Slizkom mnogo czesti, cztob' otkazátsia*” — jak powiedział sekundantom pewien nasz oficer w 1831 roku, wyzwany przez Wielkiego Księcia. A i tak nic by to nie pomogło. Przyjmuję ten komplement Waszej Dostojności (*Votre Eminence*) w głębokim zrozumieniu praw historii. Może masz pan rację, marszałku Wang: jestem niebezpieczna bestia, o tajemniczych odruchach — tajemniczych dla mnie samego. Czy i dzisiejszy ranek nie jest tego dowodem? Gdyby nie ta moja ostatnia wolta, straciłbyś pan ze trzy czwarte twoich tutaj dysponibłów. Ostatecznie zwyciężylibyście liczbą. A planu mego nie pozna pan, bo on jest tu. — (Tu stuknął się w łeb, imitując ten odgłos znanym sposobem: świńskim pół-chrząkiem między nosem a gardłem. — Zdumieli się Chińczycy). — Ani jednego papierka nie zapisałem. Moglibyście mieć ze mnie dobrego szefa sztabu w walce z Niemcami — nie ubliżając panu, generale Ping — dodał kłaniając się żółtej, niepozornej, młodej mumijce. — Bo niemieckich komunistów bez walki wziąć się wam nie uda. Nas zgubił brak idei wewnętrznej — mieliśmy, ale narzuconą z zewnątrz. No, a w dodatku tam nie dałby się wyhodować taki okaz jak ja. Ale nawet gdybyś teraz, mandarynie Wang, darował mi życie, nie przyjąłbym tego daru i wpakowałbym sobie karmelek w łeb, z tego oto browninga, który dostałem od Cara Kiryła i który składam w Twoje ręce. — Położył mały, czarny przycisk przed nakryciem chińskiego dostojnika i siadł. Nikt więcej nie mówił, choć temat był niezły. (Każdy skrywał wstydliwie coś pod swymi giezły — dodałby poeta). Rozmawiano o mechanizacji bez utraty kultury, o mechanizacji samej w sobie,

o zmechanizowaniu procesów samej mechanizacji i o tym, co będzie, kiedy już wszystko zmechanizowanym będzie. Zadziwił wszystkich biedny, genialny skazaniec „cierpkością” swoich uwag i dowcipem. A kiedy zjedzono ogony szczurów w sosie z duszonych w pomidorach pluskiew i zapito świństwo to świetną ryżową wódką z różaną wodą, mandaryn Wang wstał i rzekł:

— Pora już. — Kocmołuchowicz poprosił o parę słów na stronie:

— Jedyłą moją prośbą, panie marszałku, to pół godziny rozmowy z moją żoną na osobności. Przy tym muszę napisać dwa listy: do pierwszej żony i córeczki.

— Ależ oczywiście, generale — mówił przyjaźnie Wang. — Ha — ma pan jeszcze pierwszą żonę? — zainteresował się. — To świetnie, to świetnie. Nie wiedziałem, że córeczka jest z pierwszej... Ale to nic, nie tego, nie zmienia naszych planów?

— Ależ nic a nic. Gdzie?

— Tam w saloniku — poklepał Kocmołuchowicza poufale po plecach. Niezwykły ten u Chińczyków wypadek wzruszył wszystkich niemal do łez. Ale oficerowie kwatermistrza nie śmieli do niego podejść. Wytworzył się jakiś nieprzekraczalny dystans, czy ściana tajemna — ani rusz. On też nie miał na nich ochoty. Co tu gadać w takiej chwili. Trzeba się trzymać — ot co. Co innego Persy, która rozmawiała właśnie z Zypkiem i chińskim szefem sztabu o tylko co przeżytych wrażeniach kulinarnych. — Jest pan tęgim chłopcem, generale — mówił dalej marszałek. — Szkoda, że nie urodził się pan Chińczykiem. Gdyby inne wychowanie pan otrzymał, byłby pan naprawdę wielkim. Ale tak jak jest — muszę. Trudno.

— Gdzie?

— Sam pana zaprowadzę.

— Chodź, Persiu — będziesz miała dość czasu na flirty dziś wieczorem. — Przeszli dalej do małego rokokowego saloniku.

— Ma pan pół godziny czasu — rzekł Wang ze współczuciem i odszedł spokojnie. Przy drzwiach postawiono wartę: porucznik, jakiś były mongolski książę, z dobytą szablą. Pod oknami mijając się spacerowały dwa bagnety. — A pan, panie poruczniku — zwrócił się do Zypcia — zostanie tu — (wskazał ręką na fotel, stojący pod drzwiami) — a po pół godzinie zapuka pan do tych drzwi. — Czas płynął wolno. Gdzieś bił zegar trzecią po południu. Było ciemnawo w tym szerokim korytarzu. Zypcio zdrzemnął się na sekundę. Ocknął się i spojrzął na zegarek. Dwadzieścia po trzeciej. Czas już, na Boga czas! Zapukał — cisza. Drugi raz mocniej, trzeci — nic. Wszedł. Uderzył go dziwny jakiś zapach, a potem sobaczył rzecz straszna. Jakiś talerzyk, jakieś krwawe pręgi na czymś i porzucona obok szpicruta, ta z brylantową gałką, z którą (szpicrutą) nigdy nie rozstawiała się Persy od czasu przybycia na front. A ona, płacząca u okna. Zypkowi świat cały zatańczył pod czaszką dziką kaczącą. Ostatnim wysiłkiem opanował się. Działo się w nim coś niepojętego przez sekundę, ale przeszło. Uf — jak dobrze, że przeszło.

— Czas, panie generale — rzekł cicho, naprawdę złowieszczo.

Zerwał się kwatermistrz, pośpiesznie poprawiając tualetę. Persy zaczęła iść ku Zypciowi od okna, z wyciągniętymi rękami. W jednej z nich (lewej) miała zgniecioną chusteczkę. Zypcio cofnął się pośpiesznie i przeszedł do jadalni. Tam było pusto. Nalał sobie duży puchar ryżówki i wychłął do dna, zakąsiwszy jakąś kanapkę z czort wie czym. Słońce było już pomarańczowe.

Za chwilę wyszli wszyscy na przepiękny trawnik przed dworem, gdzie leżały jeszcze ciała i głowy ściętych przed południem skazańców.

— Oficerowie, którzy popełnili błędy taktyczne w przygotowaniach do nieodbytej bitwy z Waszą Ekscelencją — objaśnił uprzejmy Wang. Kocmołuchowicz był błąd, ale maskę miał nieprzeniknioną. Już był po tamtej stronie. Tu — tylko trup jego udawał, że nic go tu nie obchodzi. (Na tym polega odwaga w takich chwilach: trup udaje — duch już jest gdzie indziej). Oddał Zypciowi listy mówiąc:

— Bywaj zdrow, Zypek. — Po czym kiwnął ręką wszystkim i dodał: — Nie żęgnam się, bo się niedługo zobaczymy. „Ja wybierając los mój, wybrałem szaleństwo” — zacytował wiersz Micińskiego. I od tej chwili zoficjalniał, zeszywniał. Odsalutował — wszyscy podnieśli ręce do czapek — — rzucił o ziemię czapkę pierwszego pułku szwoleżerów, klęknął i wpatrzył się w długie, podwieczorne, szmaragdowo-błękitne cienie, które

grupa miedzianych drzew rzucała na słoneczne trawniki. Zbliżył się kat — ten sam. Nie wypowiedziany czar padł na cały świat. Jeszcze nigdy żaden zachód słońca nie miał dla niego tak piekielnego uroku — szczególnie na tle tego, co ostatni raz (ach — ta świadomość ostatniości! — ileż dała mu zabójczej rozkoszy!) dokonał z kochanką. Już nigdy żadna chwila nie będzie wyższą od tej — po cóż więc żałować życia? To październikowe popołudnie, to jest właśnie szczyt.

— Jestem gotów — rzekł twardo. Przyjaciele mieli lzy w oczach, ale trzymali się. Ściana między nimi a Wódzem pękła. Dla nich też wypiękniał dziwnie świat w tej chwili. Na dany przez Wanga znak („*il était impassible, comme une statue de Boudda*” — jak mówiła potem zawsze Persy, opowiadając tę scenę) kat podniósł prosty miecz, który błysnął w słońcu. Wiuuuu! I Zypek zobaczył to samo, co cztery godziny temu widzieli wszyscy razem z generalnym-kwatermistrzem: przecięcie jakiegoś szatańskiego salcesonu, który zalała następnie buchająca z arterii ostatniego indywidualisty krew. Głowa stoczyła się. A Wódz w chwili cięcia poczuł tylko zimno w karku i kiedy głowa zachwiała się, świat w oczach fajtnął takiego kozła, jak ziemia widziana z aeroplanu na ostrym wirażu. A potem mdła ciemność objęła głowę leżącą już na trawie. W tej głowie skończyła byt swój jego jaźń, niezależnie już od korpusu w generalskim mundurze, korpusu, który klęczał dalej i nie wywracał się. (To trwało jakie piętnaście sekund). Nie wiedziała Persy, czy rzucić się ku głowie, czy ku korpusowi — gdzieś się rzucić musiała. Wybrała pierwsze, przypomniawszy sobie Salome, królową Małgorzatę i Matyldę de La Mole ze Stendhala. (Następna osoba w tej sytuacji, przypomni sobie jeszcze ją: Persy Zwierzontkowską — będzie już tak sławną, jak tamte). I podniósłszy z trawy wściekły, nieugięty łeb Kocmoluchowicza, rzygający przez szyję krwią i mleczem, i pochylając się ostrożnie naprzód, ucałowała go w same usta, pachnące jeszcze nią samą. Och — to nieprzyzwoite! Z ust tych pociekła krew, krwawe usta swoje (tak zwany później „*rouge Kotzmoloukowitzsch*”) zwróciła potem Zwierzontkowska ku Zypkowi i jego ucałowała też. Potem rzuciła się ku zgorszonym Chińczykom i przyjaciółom Wodza. Musiano ją związać, pniącą się w histerycznym ataku. Zypcio z obrzydzeniem obcierał się, obcierał i nie mógł do syta się obetrzeć. Tej nocy (przyznawszy się, że nigdy nie była żoną Wodza) została kochanką zautomatyzowanego Zypcia, który, jak Cymisches Bazylisse Teofanu „posiadł ją bez żadnej absolutnej przyjemności”. A potem kochała jeszcze szefa chińskiego sztabu, mimo że śmierdział trupem, i jeszcze innych „*czinków*”, mimo że śmierzdzili tak jak i on — a może właśnie dlatego — nie wiadomo. Na wszystko pozwalał jej na wszystko zubożniały Zypulka.

Śnieżycza, która nagle przysła z Zachodu, nie pozwoliła Chińczykom wyruszyć zaraz na podbój kraju. Zajęto się zorganizowaniem na nowo „zbratanych” wojsk nieprzyjacielskich. Zypcio szalenie dużo miał do roboty — ledwo miał czas na miłość.

A potem puszczono się na Zachód. W pierwszych dniach listopada weszły wojska chińskie do stolicy. Tymczasem działy się tam straszne rzeczy. Syndykat Obrony Narodowej wydał bitwę komunistom. Sprano ich. Dwa duchy: zamordowanego Niehyda i mordercy jego, który okupił swe winy wobec tamtego ostatnim „czynem”, dalej wodziły za łby masy, ciskając jednych na drugich bez litości. Mściły się te truposze, że same nie mogły już używać życia. „Święta Hanna Męczennica” poświęciła się wyłącznie córeczce, narzeczonej młodego Wanga. Ale za starego nie wyszła i kwita — nie mogli jej dać rady. Zypcio „zezwykłał” zupełnie. Jakieś były tam dochodzenia w sprawie Elizy, ale wobec zalewu chińskiego wszystko zostało umorzone. W ogóle mnóstwo zbrodniarzy zaczęło nowe życie.

Dla artystów były ulgi. Sturfanowi i Tengierowi powodziło się świetnie. Tengier, zdawszy wychowanie dzieci na „zceprzałą” zupełnie żonę, komponował teraz bez przeszkody, tarzając się w wolnych chwilach jak Sardanapal na stosach całych różnej maści dziewczynek, których dostarczała mu sekcja ochrony sztuki przy ministerium mechanizacji kultury. Sturfan pisał razem z Lilianą, która grała prócz tego w teatrze dla najwyższych mandarynów — pisał rzeczy okropne: powieści bez „bohaterów”, których rolę objęły grupy. Operował tylko zbiorową psychiką — rozmówek nie było zupełnie. Krytykę literacką i artystyczną zniesiono nareszcie całkowicie. Również książę Bazyli i Benz, jako

ludzie nauki (ten od Murti Binga, tamten od znaczków) opływali we wszystko. Za to masa (książęta, hrabiowie, chłopci, robotnicy, rzemieślnicy, armia, kobiety itp.), zużyta dla poprawienia rasy mongolskiej, cierpiała z początku potępięczo na temat płciowy. (Ale przecie to takie głupstwo płciowość — kto by tam się długo w tym babrał). Jednak stosunkowo dość szybko (w jakie dwa miesiące) przyzwyczaili się ludziska, bo chyba gorszych bydląt nad ludzi nie ma w całym Wszechświecie. Przygotowywano się gorączkowo do zawojowania zbyt mało po chińsku komunistycznych Niemiec. Miało to nastąpić z początkiem wiosny.

Zycio, wariat już skończony, umiarkowany katatonik, ożeniony gwałtem z cudownej piękności Chinką z rodu jakichś mongolskich chanów, coraz bardziej był zajęty jako wzorowy oficer i coraz więcej zaniedbywał Persy, która w końcu zupełnie przeszła na Chińczyków, wyszedłszy za mąż za żółtego dygnitarza. A prawda: księżna zginęła na jakichś barykadach w czasie antychińskich rozruchów, a Michalskim powodziło się nieźle. Za specjalną protekcją można było utrzymać w całości dawniej zawarte małżeństwa.

Wszystko rozwiło się w coś w polskich terminach niewyraźnego. Może jakiś uczo-ny, bardzo chiński duchowo „czink”, ujrawszy to *nie po chińsku*, mógłby to następnie opisać po angielsku. Ale i to jest wątpliwe.

16/XII. 1927 r.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/witkacy-nienasyenie-obled>

Tekst opracowany na podstawie: Stanisław Ignacy Witkiewicz, Nienasyenie. Powieść. I. Przebudzenie, Dom Książki Polskiej Spółka Akcyjna, Warszawa 1930.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Dorota Kowalska, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

Publikację wsparli i wsparły: Jacek J. Hoffman, jacekH, Beata Okulińska, Jan Marcinkiewicz, WMZPR.

ISBN 978-83-288-1015-0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).